



TYSIĄC
ODŁAMKÓW
CIEBIE

CLAUDIA GRAY

CLAUDIA GRAY

TYSIĄC
ODŁAMKÓW
CIEBIE

Tłumaczenie: Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *A Thousand Pieces of You*

Redakcja: Justyna Czebanyk

Korekta: Elżbieta Śmigielska

Skład i łamanie: Ekart

Copyright © 2014 by Amy Vincent

Jacket art © by Craig Shields

Jacket design by Elizabeth Clark

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-584-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Podziękowania

Rozdział pierwszy

Dłonie mi drżą, gdy opieram się o ceglany mur. Moją skórę chłoszcze padający z nieba zimny, ostry deszcz, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Trudno mi złapać oddech. Wiem tylko, że Firebird zadziałał. Wisi na mojej szyi, wciąż promieniujący ciepłem po podróży.

Nie mam czasu. Nie wiem, czy zostały mi minuty, sekundy czy jeszcze mniej. Rozpaczliwie przeszukuję nieznane ubranie – krótka sukienka i lśniący żakiet nie mają kieszeni, za to na ramieniu mam małą torebkę. Kiedy zaczynam w niej grzebać, nie znajduję długopisu, jedynie szminkę. Drżącymi palcami odkręcam ją i gryzmołę napis na obszarpanym plakacie na ścianie zaułka. To wiadomość, którą muszę przekazać – jedyna rzecz, jaką muszę zapamiętać, gdy zniknie wszystko to, czym jestem.

ZABIJ PAULA MARKOVA.

Teraz mogę już czekać na śmierć. Chociaż właściwie „śmierć” nie jest odpowiednim słowem. To ciało nadal będzie oddychać. To serce nadal będzie bić. Ale ja nie będę już zamieszkującą je Marguerite Caine.

Ciało zostanie zwrócone prawowitej właścicielce, Marguerite, która przynależy do tego właśnie wymiaru. Wymiaru, do którego przeskoczyłam za pomocą Firebirda. Jej świadomość zastąpi moją lada chwila, za sekundę, i chociaż wiem, że w odpowiednim momencie znowu się obudzę, przeraża mnie myśl o tym, że stracę świadomość. Zniknę. Będę uwięziona wewnątrz niej. Cokolwiek dzieje się z ludźmi przybyłymi z innego wymiaru.

W tym momencie dociera do mnie, że Firebird naprawdę działa. Podróż między alternatywnymi wymiarami jest możliwa. Właśnie to udowodniłam. Wśród całego mojego smutku i lęku rozpała się jeden ognik dumy, a ja mam wrażenie, że to jedyne źródło ciepła i nadziei na świecie. Teorie mamy są prawdziwe. Udowodniłam to, nad czym pracowali moi rodzice. Gdyby tylko tata mógł się o tym dowiedzieć.

Theo. Nie ma go tutaj. Nadzieja, że tutaj będzie, była całkowicie nierealna, ale mimo to ją żywiłam.

Proszę, niech Theo będzie cały i zdrowy – myślę. To byłaby modlitwa, gdybym nadal w coś wierzyła, ale moja wiara w Boga także umarła zeszłej nocy.

Opieram się o ścianę, z dłońmi rozłożonymi jak podejrzany na policyjnym samochodzie, na chwilę przedtem jak zostanie skuty kajdankami. Serce wali mi jak młotem. Nikt wcześniej tego nie zrobił – co oznacza, że nikt nie wie, co się zaraz ze mną stanie. A jeśli Firebird nie zdoła ściągnąć mnie z powrotem do mojego wymiaru?

Czy właśnie w ten sposób umrę?

Wczoraj o tej samej porze mój tata prawdopodobnie zadawał sobie to samo pytanie.

Zacisnęłam powieki, a zimny deszcz zmieszał się na mojej twarzy z gorącymi łzami. Chociaż starałam się nie wyobrazić sobie, jak umierał, obrazy ciągle na nowo wdzierały się nieproszone do mojego umysłu: samochód napełniający się wodą, brązowawa rzeka chlupiąca o szyby. Prawdopodobnie jest oszołomiony po wypadku, ale stara się bez powodzenia otworzyć drzwi. Chwyta ostatnie hausty powietrza wewnątrz samochodu, myśli o mnie, mamie i Josie...

Musiał tak bardzo się bać.

Zawroty głowy sprawiają, że ziemia pod moimi nogami się przekrzywia i uginają się pode mną kolana. To już. Zaraz zniknę.

Dlatego zmuszam się, żeby otworzyć oczy i patrzeć na wiadomość. Chcę, by to była pierwsza rzecz, jaką zobaczy tamta Marguerite. Chcę, by ta wiadomość została w niej niezależnie od wszystkiego. Jeśli ją zobaczy, jeśli będzie powtarzać w myślach te słowa, to obudzi mnie wewnątrz niej tak samo skutecznie, jak zrobiłby to Firebird. Moja nienawiść jest silniejsza niż wymiary, pamięć i czas. Moja nienawiść jest teraz najprawdziwszą częścią mojej tożsamości.

Zawroty głowy narastają, świat staje się rozmyty i szary, a słowa „ZABIJ PAULA MARKOVA” czernieją...

...i nagle mój wzrok się wyostrza. Znowu widzę wyraźnie słowo „ZABIJ”.

Zaskoczona odsuwam się o krok od ściany. Czuję się całkowicie przytomna. Nawet bardziej niż przedtem.

Kiedy tak stoję i patrzę na moje buty na szpilkach w kałuży, uświadamiam sobie, że nigdzie się nie wybieram.

W końcu zaczynam wierzyć w swoje szczęście i robię kilka kroków w głąb zaułka. Deszcz mocniej chłoszcze moją twarz, gdy podnoszę głowę, by spojrzeć na pokryte chmurami niebo. Nisko nad miastem wisi futurystyczny pojazd latający, przypominający jeszcze jedną chmurę. Najwyraźniej jego

zadaniem jest wyświetlanie na miejskim niebie holograficznych billboardów. Zdumiona patrzę na pojazd powietrzny, unoszący się w tym dziwnym nowym wymiarze, i na trójwymiarowe reklamy, które migoczą wokół niego, gdy leci po niebie. Nokia. BMW. Coca-Cola.

To tak bardzo przypomina mój świat, a jednocześnie jest od niego całkowicie odmienne.

Czy Theo czuje się tym nowym światem tak samo przytłoczony jak ja? Na pewno. Jego rozpacz jest niemal tak samo głęboka jak moja, chociaż tata był tylko jego opiekunem naukowym. Poza tym właśnie nad tym Theo i moi rodzice pracowali przez ostatnie kilka lat. Czy on także zachował świadomość? Jeśli tak, w trakcie tej podróży będziemy panować nad wszystkim, nasze mózgi będą pilotować nas samych urodzonych w tym alternatywnym wymiarze. To oznacza, że mama myliła się w jednej sprawie – co jest dość zaskakujące, skoro wszystkie jej pozostałe teorie okazały się prawdziwe. Ale jestem za to wdzięczna losowi, przynajmniej do chwili, gdy moja wdzięczność roztapia się w ognistym wybuchu gniewu.

Teraz nic mnie nie powstrzyma. Jeśli Theo także tu trafił i zdoła mnie znaleźć – a ja rozpaczliwie chciałabym, żeby tak się stało – uda nam się to zrobić. Dopadniemy Paula. Odbierzemy ukradziony przez niego prototyp Firebirda. I zemścimy się za to, co zrobił mojemu ojcu.

Nie wiem, czy jestem osobą, która potrafi zabić kogoś z zimną krwią. Ale zamierzam to sprawdzić.

Rozdział drugi

Nie jestem fizykiem, tak jak mama, ani nawet studentem fizyki, jak Paul i Theo. Jestem córką pary naukowców, którzy postawili na edukację domową i dali mi mnóstwo swobody w wyborze kierunku. Jako jedyny członek rodziny z lepiej działającą prawą półkulą mózgu znacznie więcej czasu poświęcałam na rozwijanie pasji malarskiej niż na przyswajanie zaawansowanych tematów naukowych. Jesienią wybierałam się do Rhode Island School of Design, gdzie zamierzałam studiować konserwację dzieł sztuki. Dlatego jeśli chcielibyście mieszać farby olejne, rozpiąć płótno na blejtramicie albo porozmawiać o Kandinskim, jestem do dyspozycji. Jeśli chodzi o teorię naukową leżącą u podstaw podróży międzywymiarowych, spróbujcie pod innym adresem. Ale mogę wam powiedzieć, co wiem.

Wszechświat jest tak naprawdę zbiorem wszechświatów. Istnieją niezliczone kwantowe rzeczywistości, poskładane wewnątrz siebie nawzajem, i to właśnie je nazywamy dla uproszczenia wymiarami.

Każdy wymiar reprezentuje jeden zestaw możliwości. Mówiąc w skrócie, wszystko, co mogłoby się zdarzyć, gdzieś się zdarza. Istnieje wymiar, w którym naziści wygrali drugą wojnę światową. Wymiar, w którym Chiny skolonizowały Amerykę na długo zanim Kolumb wyruszył w rejs. A także wymiar, w którym Brad Pitt i Jennifer Aniston nadal są małżeństwem. Nawet wymiar zupełnie taki jak mój, identyczny pod każdym względem, poza tym jednym dniem w czwartej klasie, kiedy tamta Marguerite założyła niebieską bluzkę, podczas gdy ja wybrałam zieloną. Z każdą możliwością, za każdym razem, gdy los rzuca monetą, wymiary dzielą się po raz kolejny, tworząc jeszcze więcej warstw rzeczywistości. Ten proces przebiega nieustannie, w nieskończoność.

Te wymiary nie ukrywają się w odległym kosmosie. Są dosłownie wokół nas, nawet wewnątrz nas, ale ponieważ istnieją w innej rzeczywistości, nie możemy ich zauważyć.

Na początku swojej kariery moja mama, dr Sophia Kovalenka, postawiła hipotezę, że powinniśmy być w stanie nie tylko wykryć istnienie tych wymiarów, lecz także je zaobserwować, a nawet wejść z nimi w interakcję. Wszyscy się z niej śmiali. Pisała artykuł za artykułem, rok po roku

rozbudowywała swoją teorię, lecz nikt jej nie słuchał.

Aż pewnego dnia, kiedy już wszystko wskazywało na to, że zostanie ostatecznie uznana za wariatkę, zdołała opublikować jeszcze jeden artykuł wskazujący na zbieżności pomiędzy teorią falową, a jej pracami nad rezonansem wymiarowym. Prawdopodobnie tylko jeden naukowiec na świecie potraktował ten artykuł serio – dr Henry Caine, brytyjski oceanograf. A także fizyk i matematyk. Oraz, jak łatwo zgadnąć, pracoholik. Kiedy zobaczył artykuł, potrafił dostrzec w tej teorii potencjał, jakiego nikt wcześniej nie zauważył. Mama miała szczęście, ponieważ od kiedy rozpoczęli wspólne badania, ich wyniki naprawdę zaczęły się układać w całość.

Ja i Josie miałyśmy jeszcze więcej szczęścia, ponieważ dr Henry Caine z czasem został naszym tatą.

Przeskoczmy teraz dwadzieścia cztery lata. Ich badania weszły na etap, na którym zaczęły przyciągać także uwagę osób spoza grona akademickiego. Eksperymenty dostarczające dowodów na istnienie wymiarów alternatywnych zostały powtórzone przez innych naukowców na Uniwersytetach Stanforda i Harvarda. Nikt już się nie śmiał. Moi rodzice szykowali się do spróbowania podróży międzywymiarowej – a przynajmniej stworzenia urządzenia, które by ją umożliwiło.

Teoria mamy zakładała, że przenoszenie obiektów fizycznych pomiędzy wymiarami byłoby bardzo, bardzo trudne, ale energia powinna podróżować stosunkowo łatwo. Mama twierdziła także, że świadomość jest formą energii. To prowadziło do mnóstwa szalonych spekulacji – ale mama i tata koncentrowali się przede wszystkim na zbudowaniu urządzenia, które uczyniłoby podróż międzywymiarową czymś więcej niż tylko mrzonką. Czegoś, co pozwoliłoby ludziom swobodnie przenosić się do innego wymiaru, a potem – co było znacznie bardziej skomplikowane – wrócić tą samą drogą.

To był śmiały pomysł. Nawet niebezpieczny. Urządzenie musiało zostać zrobione ze szczególnych materiałów, które przemieszczały się znacznie łatwiej niż inne formy materii. Musiało stanowić kotwicę dla świadomości podróżnika, co najwyraźniej było bardzo trudne. Musiało spełniać jeszcze milion innych technicznych warunków, do których zrozumienia potrzebowałabym dziesiątków stopni naukowych z fizyki. W skrócie: takie urządzenie naprawdę trudno było zrobić. Właśnie dlatego moi rodzice opracowali wiele prototypów, zanim w ogóle zaczęli się zastanawiać nad ich przetestowaniem.

Dlatego gdy – zaledwie kilka tygodni temu – w końcu zbudowali model, który mógł działać, musieliśmy to uczcić. Mama i tata, którzy zwykle nie pili nic mocniejszego niż Darjeeling, otworzyli butelkę szampana. Theo dał kieliszek także i mnie, ale nikt się tym nie przejął.

– Za Firebirda – powiedział Theo. Ostateczny prototyp leżał na stole, wokół którego się zgromadziliśmy. Mechanizm lśnił, a skomplikowane warstwy metalu nakładały się na siebie jak skrzydła owada. – Nazwanego na cześć legendarnego rosyjskiego żar-ptaka, który wysyłał bohaterów na poszukiwanie cudownych przygód – Theo skłonił się przed moją matką – i oczywiście na cześć mojego sportowego autka, ponieważ jest ono równie niesamowite. – Theo był gościem, który mówił rzeczy takie jak „sportowe autko” ironicznie. Niemal wszystko mówił ironicznie. Ale tego wieczora, gdy patrzył na moich rodziców, w jego oczach lśnił prawdziwy podziw. – Wznoszę toast za nadzieję, że także przeżyjemy jakieś przygody.

– Za Firebirda – powiedział Paul. Już wtedy musiał planować to, co zamierzał zrobić, nawet w momencie, gdy uniósł kieliszek i stuknął nim o kieliszek taty.

Wszystko razem spowodowało, że po dziesiątkach lat trudności i szyderstw moi rodzice w końcu zyskali prawdziwy szacunek środowiska naukowego – i byli na krawędzi odkrycia, które miało przynieść im znacznie więcej. Mama zostanie ogłoszona jednym z największych naukowców wszechczasów. Tata osiągnie przynajmniej taki status, jak miał Pierre Curie. Może nawet będzie nas stać na wakacyjną podróż po Europie, w trakcie której mogłabym zwiedzić Ermitaż, Prado i wszystkie inne niesamowite muzea, o których słyszałam, ale których nigdy wcześniej nie widziałam. Wszystko, o czym marzyliśmy, było na wyciągnięcie ręki.

A potem ich zaufany asystent, Paul Markov, ukradł prototyp, zamordował mojego ojca i uciekł.

Miał sposób, żeby uszło mu to na sucho – wymknął się do innego wymiaru, gdzie nie mogła go osiągnąć sprawiedliwość. To była zbrodnia doskonała. Zniknął ze swojego pokoju w akademiku bez śladu, zostawiając drzwi zamknięte od środka.

(Najwyraźniej kiedy ludzie podróżują pomiędzy wymiarami, ich fizyczne ciała „przestają być obserwowalne”, co należy do żargonu mechaniki kwantowej. Wyjaśnienie wymaga opowiedzenia całej tej okropnie skomplikowanej historii o kocie w pudełku, który jest jednocześnie żywy

i martwy do momentu, gdy otworzysz pudełko. Nigdy nie próbujcie pytać fizyków o tego kota).

Nikt nie mógł znaleźć Paula, nikt nie mógł go złapać. Ale Paul nie wziął pod uwagę Theo.

Theo przyszedł do mnie wieczorem, kiedy siedziałam na rozchwianej starej werandzie na tyłach domu. Jedyne źródła światła stanowiły księżyc w pełni oraz lampki, którymi Josie w zeszłym roku oplotła balustradę, w kształcie lśniących turkusem i pomarańczem tropikalnych rybek. Na koronkową sukienkę barwy kości słoniowej narzuciłam stary rozpinany sweter taty. Nawet w Kalifornii grudniowe noce były zimne, a poza tym sweter nadal pachniał tatą.

Myślę, że zanim wszedł, obserwował mnie przez chwilę i czekał, aż się uspokoję. Na zaczerwienionych policzkach miałam ślady łez. Wydmuchiwałam nos tyle razy, że z każdym oddechem wydawał mi się otarty do żywego. Głowa pulsowała mi bólem. Ale przynajmniej na chwilę całkowicie się wypłakałam.

Theo usiadł na stopniach koło mnie, niespokojny i spięty, przytupując nerwowo jedną stopą.

– Posłuchaj – powiedział. – Mam zamiar zrobić coś głupiego.

– Co takiego?

Popatrzył prosto na mnie ciemnymi oczami, tak skoncentrowany, że przez jeden zwariowany moment pomyślałam, że pomimo wszystkiego tego, co się dzieje, zamierza mnie pocałować.

Zamiast tego wyciągnął rękę, na której leżały jeszcze dwie kopie Firebirda.

– Zamierzam ścigać Paula.

– Ty... – Drżący głos, już i tak nadwyrężony od płaczu, całkiem mi się załamał. Miałam tyle pytań, że nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. – Masz jeszcze stare prototypy? Myślałam, że zostały rozebrane.

– Paul też tak myślał. No i... cóż, technicznie rzecz biorąc, tak myśleli też twoi rodzice. – Theo zawahał się. Nawet sama wzmianka o tacie, zaledwie dzień po jego śmierci, bolała okropnie, jego na pewno prawie tak samo jak mnie. – Ale zatrzymałem te części, których nie wykorzystywaliśmy ponownie. Bawiłem się nimi. Pożyczyłem trochę sprzętu z laboratorium Triadu i wykorzystałem postępy, jakich dokonaliśmy przy okazji ostatniego Firebirda, żeby ulepszyć te dwa. Jest spora szansa, że przynajmniej jeden z nich będzie

działać.

Spora szansa. Theo miał zamiar podjąć nieprawdopodobne ryzyko, ponieważ dawało mu to „spora szansę”, żeby zemścić się na Paulu za to, co zrobił.

Chociaż zawsze był żartownisiem i czasem bywał flirciarzem, zdarzało mi się zastanawiać, czy Theo Beck, poza tymi swoimi T-shirtami z nadrukami zespołów indie, hipsterskim kapeluszem i pontiakiem z 1981 roku, którego sam naprawił, nie jest skończonym idiotą. Teraz było mi wstyd, że kiedykolwiek w niego wątpiłam.

– Kiedy ludzie podróżują między wymiarami – zaczął, patrząc na prototypy – zostawiają ślady. Na poziomie subatomowym... Dobra, będę się streszczać. Chodzi o to, że mogę dogonić Paula. Nieważne, ile razy będzie skakał i przez ile wymiarów się przemieści, zawsze będzie zostawiał ślad. Wiem, jak ustawić te urządzenia, żeby podążały tym śladem. Paul może uciekać, ale nie zdoła się przede mną ukryć.

Firebirdy lśniły na jego dłoni. Wyglądały jak dziwaczne, asymetryczne medaliony z brązu – trochę jak biżuteria z epoki Art Nouveau, kiedy modne zrobiły się organiczne kształty. Jeden z metali w środku był tak rzadki, że wydobywano go tylko w jednej dolinie na całym świecie, ale jeśli ktoś nie wiedział o tym wszystkim, zauważyłby tylko urodę tych wisiorów. W rzeczywistości Firebirdy były kluczami do drzwi wszechświata. Czy też raczej – do wielu wszechświatów.

– Możesz dostać się za nim wszędzie?

– Prawie wszędzie – odparł Theo i popatrzył na mnie. – Wiesz o ograniczeniach, prawda? Nie przestawałaś słuchać za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy o tym przy obiedzie?

– Wiem o ograniczeniach – powiedziałam urażona. – Chodziło mi o to, czy wszędzie, uwzględniając ograniczenia.

– W takim razie tak.

Żywe istoty mogły podróżować tylko do wymiarów, w których już istniały. Świat, w którym moi rodzice nigdy się nie spotkali, był światem, którego nie mogłam zobaczyć. Nie mogłabym się dostać do wymiaru, w którym równocześnie nie żyłam. Ponieważ kiedy człowiek podróżował do innego wszechświata, tak naprawdę materializował się wewnątrz swojej innej wersji – gdziekolwiek by nie była i czegokolwiek by nie robiła, tam właśnie się znajdował.

– A jeśli Paul skoczy gdzieś, gdzie nie będziesz mógł go ścigać? – zapytałam.

Theo wzruszył ramionami.

– Pewnie wyląduję w sąsiednim wszechświecie. Ale to nic takiego. Kiedy znowu skoczy, będę mógł wykryć jego ślad. – Z nieobecny wrokiem obracał Firebirdy w rękę.

Dla mnie to brzmiało tak, jakby z punktu widzenia Paula najlepszym pomysłem było skakać raz za razem, tak szybko, jak tylko zdoła, aż znajdzie wszechświat, w którym żadne z nas nie zaistniało. Wtedy mógłby tam zostać tak długo, jak tylko by chciał, i nigdy nie zostałby złapany.

Ale z całą pewnością Paul chciał czegoś więcej, niż tylko zniszczyć moich rodziców. Nieważne, jakim okazał się zbrodniarzem, nie był głupi – wiedziałam, że nie zrobił tego z czystego okrucieństwa. Gdyby zależało mu tylko na pieniądzach, sprzedałby te urządzenia komuś z naszego wymiaru, a nie uciekał do innego.

Czegokolwiek chciał, nie mógł się wiecznie ukrywać. Prędzej czy później spróbuje zrealizować swój prawdziwy, ukryty cel. A kiedy to zrobi, my będziemy mogli go złapać.

Będziemy mogli go złapać. Nie sam Theo, ale my oboje. Theo trzymał w ręku dwa prototypy.

Chłodny wiatr poruszył moimi włosami i sprawił, że lampki na balustradzie zakołysały się, jakby plastikowe rybki próbowały odpłynąć.

– Co się stanie, jeśli się okaże, że Firebird nie działa? – zapytałam.

Theo poskrobał martensem o deski werandy i odłupał drzazgę.

– Cóż, może nic się nie stanie. Może po prostu będę stał i czuł się jak idiota.

– To najgorszy scenariusz?

– Nie, najgorszy scenariusz obejmuje zmiksowanie mnie na atomową zupkę.

– Theo...

– Ale to się nie zdarzy – powiedział, jak zawsze pewny siebie. – W każdym razie poważnie w to wątpię.

Mój głos był ledwie głośniejszy od szeptu.

– Ale podejmiesz to ryzyko. Dla taty.

Nasze oczy się spotkały.

– Dla was wszystkich – powiedział Theo.

Ledwie mogłam oddychać.

Theo od razu odwrócił wzrok i dodał:

– Jak mówiłem, nic takiego się nie zdarzy. Prawdopodobnie oba powinny działać. Znaczący, to ja je odtworzyłem, a jak oboje wiemy, jestem genialny.

– Kiedy rozmawialiście o testowaniu tych urządzeń, sam powiedziałaś, że nie ma mowy, żeby którekolwiek z was brało to pod uwagę.

– No tak, wiem, często przesadzam. Chyba już to zauważyłaś. – Theo mógł być niezdolny, ale musiałam mu przyznać, że przynajmniej ma tego świadomość. – Poza tym to było, zanim sam zacząłem nad tym pracować. Te Firebirdy są lepsze od wszystkich wcześniejszych.

Nie umiałabym wskazać momentu, w którym podjęłam decyzję. Kiedy Theo przyszedł i usiadł ze mną na werandzie, czułam się bezsilna wobec tragedii, która rozdarła moją rodzinę. Jednak kiedy teraz się odezwałam, wydawało mi się, że już od dawna wiedziałam dokładnie, co zamierzam zrobić.

– Skoro jesteś tego taki pewien, to niech będzie. Wchodzę w to.

– Stop, moment. Nie mówiłem, że to wycieczka dwuosobowa.

Wskazałam na Firebirdy w kształcie wisiorów.

– Policz je.

Zacisnął pięść na Firebirdach i popatrzył na swoją rękę, jakby żałował, że przyniósł je oba i podsunął mi ten pomysł – ale co za pech, było już za późno.

– Nie musisz się obwiniać – powiedziałam cicho. – Nie zdołasz przekonać mnie, żebym zrezygnowała.

Theo pochylił się do mnie, a jego uśmiezek zniknął.

– Marguerite, czy pomyślałaś, jakie ryzyko podejmujesz?

– Nie większe od tego, jakie ty podejmujesz. Mój tata nie żyje. Mama zasługuje na sprawiedliwość. Dlatego trzeba powstrzymać Paula. I ja ci w tym pomogę.

– To niebezpieczne. W tym momencie nie mówię nawet o samym skakaniu między wymiarami. Chodzi mi o to, że nie wiemy, w jakim świecie możemy się znaleźć. Wiemy tylko, że gdziekolwiek wylądujemy, Paul Markov tam będzie, a to niestabilny sukinsyn.

Paul – niestabilny. Dwa dni temu roześmiałabym się, gdybym to usłyszała. Paul zawsze wydawał mi się cichy i solidny jak skały, na które wspinał się w weekendy.

Teraz wiedziałam, że Paul jest mordercą. Jeśli zrobił coś takiego mojemu ojcu, mógł zrobić to samo każdemu z nas. Jednak wszystko to nie miało już znaczenia.

– Muszę to zrobić, Theo – powiedziałam. – To ważne.

– To ważne. Właśnie dlatego ja to robię, ale to nie znaczy, że ty także musisz.

– Zastanów się nad tym. Nie możesz przeskoczyć do wymiaru, w którym nie istniejesz. Prawdopodobnie są takie wymiary, w których ja istnieję, a ty nie.

– I na odwrót – odparł.

– Mimo wszystko. – Wzięłam teraz Theo za drugą rękę, jakbym mogła mu przekazać, jak bardzo poważnie mówię, po prostu mocno ją ściskając. – Mogę ścigać go w miejsca, w które ty nie dotrzesz. Poszerzę twój zasięg. Zwiększę znacznie szanse na znalezienie go. Nie kłóć się ze mną, bo wiesz, że to prawda.

Theo wypuścił powietrze, ścisnął w odpowiedzi moją rękę, wypuścił ją i przeczesał sterczące kosmyki włosów palcami. Był niespokojny i nerwowy jak zawsze – ale widziałam, że się nad tym zastanawia.

Kiedy znowu na mnie spojrział ciemnymi oczami, tylko westchnął.

– Gdyby twoja matka dowiedziała się, o czym rozmawiamy, obdarłaby mnie żywcem ze skóry. I nie mówię tego w przenośni. Myślę, że mogłaby to zrobić całkiem dosłownie. Czasem ma naprawdę dzikie spojrzenie. Założę się, że płynie w niej krew Kozaków.

Przez moment zawahałam się i pomyślałam, co to oznacza dla mojej matki. Jeśli w tej podróży coś pójdzie nie tak – jeśli zmienię się w atomową zupkę – w ciągu dwóch dni straci nie tylko męża, lecz także córkę. Nie było słów, by opisać, co wtedy się z nią stanie.

Ale jeśli Paulowi ujdzie to na sucho, to także ją zabije – i mnie również. Nie zamierzałam na to pozwolić.

– Mówiłeś już o zemście w imieniu mamy. To znaczy, że zrobimy to razem, prawda?

– Tylko jeśli jesteś całkowicie pewna. Proszę, zastanów się nad tym przez moment.

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziałam, co nie do końca było prawdą, ale to nie miało znaczenia. Mówiłam to z takim samym przekonaniem wtedy, jak i teraz. – Wchodzę w to.

Właśnie tak się tutaj znalazłam.

Ale gdzie właściwie było to „tutaj”? Szłam ulicą, zatłoczoną pomimo późnej pory, i starałam się przyjrzeć otoczeniu. Gdziekolwiek byłam, na pewno nie była to Kalifornia.

Picasso mógłby uwiecznić to miasto, z ostrymi kątami, sztywnością

i ciemnymi stalowymi liniami, które wydawały się przecinać budynki jak cięcia noża. Wyobraziłam sobie siebie jako jedną z namalowanych przez niego kobiet – z twarzą podzieloną na pół, asymetryczną i wewnętrznie sprzeczną, której jedna połowa się uśmiecha, a druga wydaje się bezgłośnie krzyżeć.

Zatrzymałam się. Znalazłam się na nadrzecznym bulwarze, a po drugiej stronie ciemnej wody zobaczyłam oświetlony reflektorami budynek, który rozpoznałam: katedrę świętego Pawła.

Londyn. Jestem w Londynie.

Dobrze. To ma sens. Tata jest... był Anglikiem. Przeprowadził się do Stanów dopiero wtedy, kiedy on i mama zaczęli razem pracować. Domyślałam się, że w tym wymiarze to ona przyjechała na jego uniwersytet i wszyscy mieszkaliśmy w Londynie.

Myśl o tym, że mój ojciec jest znowu żywy, gdzieś niedaleko, buzowała we mnie, aż przestałam być zdolna myśleć o czymkolwiek innym. Chciałam pobiec do niego teraz, w tej sekundzie, uściskać go mocno i przeprosić za wszystkie te razy, kiedy się z nim kłóciłam albo naśmiewałam się z jego obciachowych muszek.

Ale ta wersja mojego taty nie będzie moim tatą. Będzie inną wersją – ojcem tej Marguerite.

Nie obchodziło mnie to. I tak już nigdy nie znajdę się bliżej taty, więc nie zamierzałam marnować tej szansy.

No dobrze. Następnym krokiem: dowiedzieć się, gdzie mieszka ta wersja.

Trzy moje wizyty w Londynie u cioci Susanny były raczej krótkie. Ciocia była zainteresowana tylko zakupami i plotkami. I chociaż tata kochał swoją siostrę, był w stanie wytrzymać z nią najwyżej sześć dni, zanim tracił cierpliwość. Jednak spędziłam w mieście dostatecznie dużo czasu, żeby wiedzieć, że powinno ono wyglądać zupełnie inaczej.

Szłam ulicą wzdłuż brzegu Tamizy i od razu mogłam się domyślić, że komputery zostały tutaj wynalezione trochę wcześniej, ponieważ były bardziej zaawansowane. Wielu ludzi, pomimo padającego deszczu, zatrzymywało się, by wywołać małe świetliste kwadraty, przypominające ekrany komputerów, które pojawiały się w powietrzu przed ich głowami. Jakaś kobieta rozmawiała z czyjąś twarzą – to musiała być holograficzna rozmowa telefoniczna. Kiedy tak stałam, jedna z moich szerokich bransolet zalśniła w świetle. Podniosłam nadgarstek do twarzy i przeczytałam słowa na wewnętrznej krawędzi, zapisane małą techniczną czcionką:

Ochrona Osobista ConTech
DEFENDER wer. 2.8
Technologia Verizon

Nie jestem pewna, co to znaczy, ale nie wydaje mi się, żeby ta bransoleta była tylko bransoletą.

Jakie jeszcze zaawansowane technologie mają tutaj? Dla wszystkich innych w tym wymiarze te rzeczy były bardziej niż pospolite. Zarówno pojazdy latające nad Londynem, jak i jednoszynową kolej przemykającą w górze wypełniali znudzeni pasażerowie, dla których był to po prostu koniec kolejnego zwyczajnego dnia.

Nie ma to jak w domu – pomyślałam, ale kiepski żart nie sprawdził się nawet w mojej głowie. Popatrzyłam znowu w dół, na wysokie obcasy, w niczym nieprzypominające moich zwykłych baletek. Na pewno nie wyglądały na magiczne czerwone pantofelki.

Przypomniałam sobie, że mam najpotężniejszą technologię na świecie – Firebirda zawieszono na szyi. Otworzyłam medalion i popatrzyłam na mechanizm w środku.

Jest skomplikowany. Bardzo skomplikowany. To coś przypomina mi nasz pilot uniwersalny, który ma tyle przycisków i funkcji, że nikt w moim domu – zamieszkiwanym przez licznych fizyków, w tym moją matkę, będącą podobno nowym Einsteinem – nie potrafi odkryć, jak przełączyć go z PlayStation na nagrywarkę telewizyjną. Jednak podobnie jak w przypadku uniwersalnego pilota, nauczyłam się kilku najważniejszych funkcji. Jak przeskoczyć do nowego wymiaru. Jak natychmiast przeskoczyć z powrotem, gdyby ten, w którym się znajduję, z jakichś powodów okazał się niebezpieczny. A także jak w razie potrzeby uruchomić „przypomnienie”.

(Teoria zakładała, że ludzie podróżujący pomiędzy wymiarami nie będą przez cały czas w pełni świadomi tego, co się z nimi dzieje – tak jakby zapadną w sen wewnątrz innej wersji siebie. Dlatego za pomocą Firebirda można ustawić przypomnienie, które pozwoli świadomości na zachowanie kontroli trochę dłużej. Cóż, ta teoria upadła. O ile mogłam stwierdzić, przypomnienia nie były do niczego potrzebne.)

Popatrzyłam na Firebirda lśniącego w mojej dłoni i przypomniałam sobie, że skoro nauczyłam się, jak go ustawiać, to poradzę sobie ze wszystkim, czym

może mnie zaskoczyć ten wymiar. Z nową energią zaczęłam starannie obserwować ludzi wokół siebie. *Patrz i ucz się.*

Kobieta dotknęła metalowego znaczka na rękawie i pojawił się przed nią holograficzny ekran komputerowy. Szybko przesunęłam dłońmi po własnym ubraniu. Ten srebrny zakiet nie miał niczego na rękawie, ale coś podobnego było przypięte do klapy. Postukałam w to i aż podskoczyłam, gdy pojawił się przede mną holograficzny ekranik. Hologram podskoczył razem ze mną, zakotwiczony w metalowym znaczku.

Dobra, to... całkiem fajne. Co dalej? Komendy głosowe, takie jak wydawałam Siri w telefonie? Czy można zrobić ekran dotykowy, jeśli nie ma ekranu do dotykania? Na próbę wyciągnęłam rękę i przed ekranem pojawiła się holograficzna klawiatura. Czyli jeśli udam, że na niej piszę...

Rzeczywiście, słowa wpisywane przeze mnie pojawiły się na ekranie w okienku wyszukiwania: PAUL MARKOV.

Kiedy tylko pojawiło się osiemdziesiąt zylionów wyników, poczułam się jak idiotka. „Markov” było dość popularnym nazwiskiem w Rosji, skąd wyemigrowali rodzice Paula, kiedy miał cztery lata. Imię „Paul”, które ma rosyjski odpowiednik „Pawieł”, jest także często spotykane. Dlatego istnieją tysiące ludzi, którzy się tak nazywają.

Spróbowałam jeszcze raz – tym razem wyszukiwałam „Paul Markov” i „fizyk”. Nie było pewności, czy Paul także tutaj studiuje fizykę, ale od czegoś musiałam zacząć, a najwyraźniej fizyka była jedynym z ludzkich dokonań, jakie potrafił zrozumieć.

Te wyniki wyglądały bardziej obiecująco. Większość z nich pochodziła z Uniwersytetu Cambridge, więc wyświetliłam ten zatytułowany „Spis pracowników”. Pojawił się profil profesora o zupełnie innym nazwisku, zawierający listę jego asystentów naukowych, i oczywiście znalazło się wśród nich zdjęcie Paula Markova. To on.

Cambridge. To także w Anglii. Mogłam tam dotrzeć w ciągu kilku godzin...

Co oznaczało, że on także może tu dotrzeć w ciągu kilku godzin.

Możemy śledzić Paula, ponieważ Firebirdy pozwalają nam wykryć naruszenie struktury wymiaru. Ale to oznacza, że Paul może także śledzić nas.

Jeśli to jest właściwy wymiar – jeśli tutaj właśnie Paul uciekł po tym, jak przeciął hamulce w samochodzie taty i ukradł najnowszego Firebirda – to wie już o tym, że tu jestem.

Może ucieknie i ukryje się w następnym wymiarze.

A może już jedzie, żeby mnie dopaść.

Rozdział trzeci

Szłam przez mgłę i obejmowałam się ramionami. Miałam wrażenie, że rozszczepiam się jednocześnie na tuzin części – targały mną żal, potem wściekłość, a na końcu panika. Ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie potrzebowałam, była utrata panowania nad sobą. Dlatego zmusiłam mój mózg, żeby skoncentrował się na tym, co zawsze mnie uspokajało i pozwalało mi odnaleźć równowagę – na malarstwie.

Gdybym miała namalować ten wymiar, który miałam przed sobą, nałożyłabym na paletę umbrę paloną, jednolitą czerń i odcienie szarości – nic bardziej wyrazistego. Musiałabym kciukiem domieszać coś do farby, może ziemię albo popiół, ponieważ brud tutaj nie znajdował się tylko na powierzchni. Nawet powietrze wokół mnie wydawało się brudne. W tym Londynie jest mniej starego kamienia, jaki zapamiętałam, a więcej twardego metalu. Jest także mniej drzew i roślin. W powietrzu unosi się przenikliwy chłód. Jest dopiero początek grudnia, a mimo to mam na sobie tylko krótką czarną sukienkę i cienutki żakiet, jaśniejszy niż folia aluminiowa.

(Tak, na pewno jest grudzień. Urządzenie pozwala na podróże między wymiarami, nie podróże w czasie. „To temat na innego Nobla” – powiedziała kiedyś pogodnie mama, jakby mogła się tym zająć, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę.)

Wyobrażanie sobie obrazu trochę mi pomogło, ale atak paniki minął dopiero wtedy, kiedy mój pierścionek zaczął migotać.

Zaskoczona popatrzyłam na rozjaśniającą się rytmicznie srebrną obrączkę na małym palcu prawej ręki. Moją pierwszą myślą było, że to coś w rodzaju LED-ów służących do popisywania się w klubach. Ale jeśli metalowy znaczek na żakiecie mógł wytwarzać holograficzny komputer, do czego mógł służyć ten pierścionek?

Ostrożnie postukałam w obrączkę. Lśnienie zawirowało, a w przestrzeni przede mną pojawił się mały promień światła i hologram. Na moment zostałam zaskoczona, ale zaraz rozpoznałam twarz w srebrzysto-niebieskim blasku.

– Theo!

– Marguerite! – Uśmiechnął się, a ulga promieniowała od niego równie

jasno jak światło hologramu. – To ty, prawda?

– To ja. Boże, udało ci się. Jesteś żywy. Tak okropnie się bałam.

– Hej. – Jego głos potrafi być taki ciepły, kiedy tylko tego chce, ponieważ mimo udawanej arogancji (a także tej prawdziwej) Theo umie dostrzegać w innych ludziach więcej, niż się przyznaje. – Nie trać już czasu na zamartwianie się o mnie, okej? Ja zawsze spadam na cztery łapy. Zupełnie jak kot.

Nawet w obecnej sytuacji Theo starał się mnie rozbawić, ale poczułam nagle gulę w gardle. Po tym, co wydarzyło się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny – po dniu, kiedy mój ojciec zginął, mój przyjaciel nas zdradził, a ja przeskoczyłam z rodzimego wymiaru w nieznane miejsce – kończyły mi się siły.

– Gdybym cię straciła, chyba nie byłabym w stanie tego znieść – powiedziałam.

– Hej, hej, nic mi nie jest. Ze mną wszystko w porządku. Widzisz?

– Nie wątpię. – Starałam się, żeby to zabrzmiało lekko. Może mi się udało, a może nie. Nie bardzo umiem flirtować. Tak czy inaczej sama próba sprawiła, że poczułam się pewniej.

Theo spoważniał, przynajmniej na tyle, na ile potrafił spoważnieć ktoś taki jak on. Jego ciemne oczy – dziwnie przejrzyste na hologramie – przyglądały mi się uważnie.

– No dobrze, jak rozumiem, właśnie użyłaś przypomnienia, ponieważ mnie pamiętasz. No, chyba że robię aż tak piorunujące pierwsze wrażenie.

– Nie, nie potrzebowałam przypomnienia. Wszystko pamiętam.

– Mówisz, że pamiętasz, kim jesteś? – Pochylił się z uwagą, na chwilę zniekształcając holograficzny obraz. – Żadnego okresu zagubienia?

– Nie, nic. Jak rozumiem, z tobą było podobnie. Czyli mama chyba nie miała racji, że podróżnicy międzywymiarowi zapominają, kim są.

Jednak Theo potrząsnął głową.

– Nie. Ja potrzebowałem... no wiesz, użyłem przypomnienia od razu, kiedy się tu znalazłem.

– To dziwne.

Theo wydawał się lekko zaniepokojony tym, że pamiętam wszystko z taką łatwością. To sprzeciwiało się wszystkim teoriom mamy – a także jego własnemu doświadczeniu – ale najwidoczniej różni ludzie odmiennie reagowali na podróże między wymiarami. Teorie można ulepszać tylko dzięki

eksperymentom – tyle zdążyłam nauczyć się od mamy i taty.

– Cóż, najwyższy czas na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, bo mamy ich zdecydowany deficyt – powiedział tylko.

– Gdzie jesteś?

– W Bostonie. Najwyraźniej w tym wymiarze jestem studentem MIT. Z całej siły staram się nie zauważać tych wszystkich koszulek Red Sox w mojej szafie.

– Theo kompletnie nie interesował się sportem, przynajmniej nie w naszym wymiarze. – Wydawało mi się, że daleko mnie poniosło, ale Meg, niech to szlag, ty wylądowałaś aż w Londynie.

Theo zaczął mnie nazywać „Meg” kilka miesięcy temu. Nadal nie zdecydowałam, czy uważam to za irytujące, czy też za urocze. Ale podobało mi się, że zawsze się uśmiechał, gdy to mówił.

– Jak udało ci się mnie tak szybko znaleźć? Włamałeś się do moich prywatnych informacji czy coś takiego?

Uniósł jedną brew.

– Wyszukałem cię w internecie. Znalazłem twój profil i przesłałem prośbę o połączenie, co jest możliwe w miejscowym odpowiedniku Facebooka. Zadzwoiłem, a ty odebrałaś. Nie wymaga to doktoratu z technologii kosmicznych i mówię to jako ktoś, kto całkiem poważnie rozważał zajęcie się technologiami kosmicznymi.

– Aha, okej. – To była prawdziwa ulga. Może nie wszystko musi być trudne. Może czasem uda nam się złapać oddech i będziemy mieć trochę szczęścia, tak jak teraz.

Chociaż oba nasze urządzenia były ustawione na podążanie za Paulem, nie mieliśmy żadnych gwarancji, co się stanie. Przy każdym skoku mogliśmy zostać rozdzieleni. Ale nie tym razem. Tym razem Theo był ze mną. Popatrzyłam na jego twarz, rozmytą w blasku hologramu, i żałowałam, że nie może od razu znaleźć się koło mnie.

– Udało ci się... – urwałam, ponieważ dopiero teraz uspokoiłam się na tyle, by sobie uświadomić, że mówię z brytyjskim akcentem. Zupełnie jak tata.

Oczywiście to ma sens, skoro tutaj mieszkam. Najwyraźniej sposób mówienia jest częścią pamięci ciała, która pozostaje nawet wtedy, gdy świadomość drugiej Marguerite, że tak powiem, nie siedzi za sterami. Ale w tym momencie wydaje mi się to najdziwaczniejszą, najwspanialszą i najzabawniejszą rzeczą na świecie.

– Wanna – powiedziałam, rozkoszując się krótkim „a” w moim nowym

akcencie. – Waaaaanna. Prywatność. Aluminium. Laboratorium. Pomidor. Hhhhharmonogram.

Zaczęłam chichotać i musiałam stanąć, przyciskając rękę do piersi i starając się złapać oddech. Wiedziałam, że śmieję się przede wszystkim dlatego, że nie chcę się poddać i zacząć płakać. Rozpacz po stracie taty nie miała ujścia i zniekształcała wszystkie moje inne nastroje. Poza tym... Ten akcent był komiczny.

– Jesteś tak ciut roztrzęsiona, nie? – powiedział Theo, gdy ocierałam łzy śmiechu.

– Chyba tak – odparłam, starając się hamować wesołość.

– Cóż, jeśli jesteś ciekawa, to brzmisz przeuroczo.

Moment wesołości minął tak szybko, jak przyszedł, zastąpiony złością i strachem. Zapewne to właśnie oznaczało bycie na granicy hysterii. Musiałam wziąć się w garść.

– Theo, Paul jest bardzo blisko Londynu. Jeśli wie, że trafiliśmy do tego wymiaru, może już tu jechać.

– Co takiego? Skąd to wiesz?

– Nie jesteś jedyną osobą, która umie używać komputera. Znalazłam go w Cambridge.

Popatrzyłam na ostrą linię wieżowców na tle nocnego nieba po drugiej stronie rzeki, gdzie poszarpane zarysy drapaczy chmur górowały nad kopułą katedry. Paul mógł już tutaj być. Ile czasu potrzebuje, by znaleźć się w Londynie?

Gwałtownie sobie przypomniałam, że jeśli będzie mnie ścigał, to oszczędzi mi zachodu ze ściganiem jego. Kiedy następnym razem się spotkamy, jedno z nas tego pożałuje, i nie będę to ja.

Musiałam wyglądać morderczo, ponieważ Theo powiedział:

– Słuchaj, musimy pamiętać o jednym, zgoda? Jest minimalna szansa, że pomyliłem się przy kalibrowaniu. Mogliśmy przeskoczyć nie do tego wymiaru. Paul Markov z tego wymiaru może nie być naszym Paulem. Nie możemy więc zareagować zbyt gwałtownie, dopóki nie będziemy mieć pewności.

Tak naprawdę chodziło mu o to, że nie mogę zabić niewinnego człowieka. Nie byłam nawet pewna, czy potrafię zabić winnego, chociaż zamierzałam spróbować. Moja ograniczona wiedza o obsłudze Firebirda oznaczała, że nie potrafię odróżnić tego Paula od dowolnego innego. To był jeszcze jeden powód, dla którego potrzebowałam Theo.

– Jak szybko możesz się tu dostać? – zapytałam.

Theo uśmiechnął się do mnie przebiegle.

– Już kupiłem bilet, Meg. Nie miałem dużego wyboru, bo decydowałem się w ostatniej chwili, więc muszę lecieć do Niemiec i tam się przesiąść, ale dzięki Lufthansie powinienem być u ciebie jutro koło północy. Czy to dostatecznie szybko?

Podróżował pomiędzy wymiarami, żeby mi pomóc, a teraz musiał podróżować przez pół świata, tak szybko, jak to możliwe, a jedyną rzeczą, o jaką pytał, było to, czy jest dostatecznie szybki.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Siedzimy w tym razem – powiedział Theo, jakby to nie było nic takiego. – Posłuchaj, jeśli udało mi się rozpracować te pierścionko-komórki, a chyba tak się stało, możesz mi dać dostęp do swojego trakera.

– Co to takiego?

– Podnieś pierścień do hologramu, okej?

Zrobiłam to. Pierścień zamigotał, a na holograficznym ekranie zobaczyłam, że pierścień Theo także się rozjaśnił.

– Świetnie – uśmiechnął się Theo. – Teraz zawsze, kiedy masz ten pierścionek, będę mógł cię znaleźć, a ty będziesz mogła znaleźć mnie. To znaczy, jak tylko poznasz interfejs. Dobra, to dokąd się wybierasz?

– Chyba do domu. Jak tylko się dowiem, gdzie to jest – roześmiałam się. Theo nagle spowaźniał. Dlaczego tak na mnie patrzył?

– Marguerite... – Jego głos był bardzo cichy, bardzo poważny, w ogóle nieprzypominający zwykłego Theo.

Poczułam mocniejsze ukłucie strachu i szybko wyszukałam: HENRY CAINE I SOPHIA KOVALENKA. Wyniki pojawiły się natychmiast: artykuły z zakresu fizyki, kilka zdjęć z uczelni, kiedy byli młodszy, oraz filmy.

Filmy z wypadku poduszki wiele lat temu, w którym zginęło trzy tuziny ludzi, w tym dwoje obiecujących naukowców wraz ze starszą córką.

Nie odzyskam taty. Tutaj także nie żyje. Jedyna różnica polega na tym, że nie ma także mamy. I Josie.

Cała moja rodzina nie żyje.

Gwałtownie, jakby ktoś mnie uderzył, wciągnęłam oddech. Usłyszałam głos Theo, jakby dobiegający z bardzo daleka.

– Marguerite? Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam.

Ekran holograficzny usłużnie zaczął wyświetlać reportaż o przebiegu katastrofy, która najwyraźniej była relacjonowana przez wszystkie media. W tym momencie miałam wrażenie, że wybuch nastąpił w mojej głowie – żar, oślepiające światło i wszystko, co kocham, każdy, kto mnie naprawdę kochał – tata, mama i Josie – spala się na popiół.

To stało się nad San Francisco. Z artykułów w prasie wynikało, że szczątki i odłamki wraku znajdowano nawet w Las Vegas, opadające na ziemię, a czasem spływające z deszczem.

– Marguerite? – Migoczący hologram nie pozwalał ukryć niepokoju na twarzy Theo. – Twoi rodzice... przepraszam. Strasznie mi przykro. Kiedy trafiłem do tego wymiaru, zacząłem od wyszukania, gdzie są... No wiesz, pomyślałem, że może by nam pomogli. Nie miałem pojęcia, że jeszcze nie wiesz, co się z nimi stało.

Moje serce tęskniło do taty bezustannie, od chwili, gdy policja zadzwoniła do nas do domu. Miałam nawet nikłą nadzieję, że zobaczę go znowu tutaj – albo przynajmniej jakąś jego wersję.

Ale jego nadal nie było, wciąż był martwy, a dodatkowo mama i Josie były teraz nieobecne tak samo jak on.

Nic im nie jest! – spróbowałam sobie powiedzieć. – *To się stało w tym wymiarze, ale nie w twoim. Kiedy wrócisz do domu, mama i Josie będą na ciebie czekały. To nie tak jak tutaj, nie straciłaś wszystkiego, nie wszystkiego zupełnie... Wszystko będzie dobrze...*

Ale nie będzie. Mimo wszystko tata nie żył.

– Po co ktokolwiek miałby w ogóle chcieć podróżować między wymiarami? – wykrztusiłam. Wbiłam paznokcie w skórę na przedramionach, które skrzyżowałam przed sobą jak tarczę. Fizyczny ból powstrzymywał mnie od płaczu, mimo wszystko nie pozwalałam sobie płakać. – Nie zastanowiłby się nad tym, co może znaleźć?

– Przykro mi – powtórzył Theo. Wyglądał, jakby chciał przejść przez hologram, żeby się do mnie dostać. – Tak mi przykro.

Czy tego właśnie chciałeś, Paul? – pomyślałam. *Czy nienawidziłeś ich tak bardzo, że uciekłeś do świata, w którym już nie żyją? Żeby twoja robota była już zrobiona?*

Znowu przypomniałam sobie poważną twarz Paula i jego szare oczy, które wydawały się przeszywać mnie na wylot. Pamiętałam dzień, kiedy obserwował, jak maluję, a jego wzrok śledził każde pociągnięcie pędzla

na płótnie. Teraz mdliło mnie na myśl o tym, że przez krótką chwilę mało brakowało...

Theo odezwał się znowu, tym razem bardziej stanowczym głosem.

– Ten wypadek był dawno temu i w innym życiu. Musisz o tym myśleć w ten sposób. Jasne?

Jego słowa wyrwały mnie z melancholii i ściągnęły z powrotem na ziemię.

– Jasne. Tak. To tylko szok, nie pozwolę sobie na to po raz drugi.

Z grzeczności udał, że mi wierzy.

– Trzymaj się i pilnuj aż do jutra. Jeśli zobaczysz Paula... nie pozwól, żeby on cię zobaczył.

Hologram zgasł. Chociaż patrzyłam na mój pierścień z nadzieją, że może Theo oddzwoni, obrączka pozostała metalowa, milcząca i ciemna.

Poszłam do domu.

Mój świecący pierścionelek miał wbudowany także GPS, a kiedy poprosiłam, żeby wskazał mi drogę do domu, zrobił to. Szłam zgodnie ze wskazówkami, nie mając bladego pojęcia, dokąd dojdę.

Okazało się, że mieszkam w wyjątkowo eleganckim budynku – mniej kiczowatym od otaczających go domów, ale równie zimnym. Miał winde w szklanej tubie na zewnątrz, stworzoną chyba po to, żeby przerażać osoby z lękiem wysokości. Spodziewałam się, że kiedy wejdę do mieszkania, poczuję się trochę swobodniej, ponieważ to mieszkanie musiało być, do pewnego stopnia, także moim mieszkaniem. Ale kiedy tylko je zobaczyłam, pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam miejsca mniej przypominającego mój dom niż to.

Wnętrze kojarzyło mi się z galerią sztuki – ale jedną z tych, które wystawiają tylko dziwaczną sztukę w stylu pop-kitsch, taką jak wysadzone brylancikami krowie czaszki. A może z kliniką specjalizującą się w operacjach plastycznych celebrytów. Czysta biel i satynowy metal, żadnych miękkich foteli, nic wygodnego ani przytulnego, światło tak jasne, że można by zobaczyć każdy pyłek kurzu – zapewne specjalnie. Stałam tak, ociekając wodą z deszczu, i miałam wrażenie, że jestem brudna, niezgrabna i bardzo nie na miejscu.

Nigdy w życiu nie czułamby się tu jak w domu.

– Marguerite? – Ciocia Susanna wyszła z korytarza, ubrana w szlafrok równie biały jak wystrój wnętrza. Najwidoczniej trafiłam właśnie po jej pod

opiekę.

Była gotowa do snu. Mimo to miała rozpuszczone włosy, spadające w równych falach na jej ramiona, jakby żaden kosmyk nie ośmielał się wyslizgnąć. W tym wymiarze wydawała się taka sama.

– Wyjątkowo wcześnie dzisiaj wróciłaś – powiedziała, wcierając w twarz ekskluzywny krem.

Było po pierwszej. O której godzinie zwykle wracałam do domu?

– Byłam zmęczona.

– Dobrze się czujesz?

Wzruszyłam ramionami.

Ciocia Susanna nie ciągnęła tematu.

– W takim razie najlepiej się połóż. Nie chciałybyś się rozchorować.

– Dobrze. Dobranoc, ciociu.

Znieruchomiała. Czyżbym nie mówiła tego do niej często? Nie wyczuwałam od niej macierzyńskiego ciepła, nie była typem opiekuńczym. Nie chodzi o to, że jej nie kochałam – kochałam ją. I ona także mnie kochała. Ale domyślałam się, że obowiązki rodzicielskie nie przychodziły jej z łatwością.

– No dobrze, dobranoc, skarbie – odpowiedziała tylko.

Wróciła do swojego pokoju, więc skierowałam się do drugich drzwi, do pokoju, który musiał należeć do mnie.

Był taki... pusty. Nie tak elegancki jak reszta apartamentu, ale w jego wnętrzu nie widziałam niczego, co mogłoby należeć do mnie. Tak wyglądałby pokój w luksusowym hotelu.

Uświadomiłam sobie, że może właśnie o to chodziło.

Ta Marguerite, która w tak wczesnym wieku straciła rodzinę, postanowiła spędzić resztę życia, nie przywiązując się do nikogo ani do niczego.

Nie udekorowałam korkowej tablicy pocztówkami i reprodukcjami obrazów, które uznałam za inspirujące. W kącie nie stały sztalugi z najnowszym płótnem – czy w tym wymiarze w ogóle malowałam? Nie było półek z książkami. Nie było książek. Chociaż starałam się mieć nadzieję, że Marguerite z tego wymiaru ma jakiś zaawansowany technologicznie czytnik e-booków w kolczyku lub czymś podobnym, zaczynało mi się to wydawać mało prawdopodobne. Nie sprawiała wrażenia mola książkowego.

Ubrania w mojej szafie to były w większości marki, które znałam, oraz kilka, których nie znałam, ale mogłam się założyć, że także były luksusowe. Nic z tego nie przypominało rzeczy, jakie nosiłam w domu – wszystkie były

metaliczne, skórzane lub plastikowe, często twarde i błyszczące. Może powinnam cieszyć się myślą, że najwyraźniej w tym wymiarze rodzinna fortuna Caine'ów przetrwała kilka pokoleń dłużej, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, jak zimne jest to życie.

Teraz ja będę musiała je prowadzić.

Zamknęłam dłoń na medalionie Firebirda. Mogłam go teraz zdjąć, jeśli chciałam, ponieważ najwyraźniej nie potrzebowałam przypomnień. Ale sama myśl o tym, że nie miałabym go przy sobie, wydawała się przerażająca. Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że pozwoli mi odlecieć w nowe miejsce, nie do dawnego życia, lecz do nowszej, jaśniejszej rzeczywistości, gdzie wszystko jest dobrze i gdzie nie stanie mi się już nigdy żadna krzywda.

Nogi ugięły się pod mną i upadłam na nieskazitelnie gładkie łóżko. Przez długą chwilę leżałam skulona w kłębek i pragnęłam znaleźć się w domu – w moim prawdziwym domu – bardziej rozpaczliwie, niż kiedykolwiek czegokolwiek pragnęłam.

Rozdział czwarty

Leżałam w wymiarze, który nie należał do mnie, na pustym łóżku, bardziej odpychającym niż wygodnym, i starałam się w głowie namalować obraz domu. Chciałam odtworzyć każdą twarz, każdy kąt, każdy cień i każdy promień światła. Chciałam zamalować moją rzeczywistością ten świat, aż przestanę widzieć oślepiającą biel.

Mój dom – prawdziwy dom – jest w Kalifornii.

Nasz dom nie stoi nad morzem, lecz usadowił się u stóp wzgórza, w cieniu wysokich drzew. Jest zawsze czysty, ale nigdy nie ma w nim porządku. Książki stoją w dwóch rzędach na regałach niemal w każdym pokoju. Rośliny doniczkowe mamy rozrastają się we wszystkich kątach i zakamarkach, a wiele lat temu rodzice pomalowali cały korytarz farbą tablicową, przeznaczoną do pokoióv dziecinnych – wyjątkowo przydatną do zapisywania równań fizycznych.

Kiedy byłam mała, moi koledzy byli ogromnie podekscytowani, kiedy im opowiadałam, że większość pracy naukowej rodzice prowadzą w domu. Gdy przychodzili do mnie po raz pierwszy, rozglądali się w poszukiwaniu wrzących zlewek, prądnic i wszystkiego, czego się spodziewali na podstawie seriali science fiction. Tak naprawdę oznaczało to przede wszystkim papiery na każdej powierzchni. Jasne, później mieliśmy trochę gadżetów, ale tylko kilka. Nikt nie miał ochoty słuchać, że fizyka teoretyczna ma więcej wspólnego z liczbami, niż z błyszczącymi laserami.

Na środku największego pokoju stoi drewniany stół, ogromny i okrągły, który mama i tata kupili za niewielkie pieniądze w sklepie charytatywnym, kiedy Josie i ja byłyśmy jeszcze małe. Pozwolili nam go pomalować na tęcze kolory, po prostu pomazać go umoczonymi w farbie rękami, ponieważ uwielbiali słuchać, jak się śmiejemy, a także dlatego, że nikogo na świecie mniej od nich nie obchodziło, jak wyglądają ich meble. Josie uważała, że malowanie zawijasów palcami to świetna zabawa. Dla mnie jednak to był pierwszy raz, kiedy zauważyłam, jak różnie wyglądają kolory, kiedy się je miesza lub kontrastuje ze sobą. Możliwe, że to był właśnie moment, kiedy zakochałam się w malarstwie.

– Pewnie uważasz, że malowanie nie jest tak ważne jak fizyka – powiedziałam do Paula, siedząc przy sztalugach w dniu, kiedy obserwował mnie przy pracy.

– To zależy, co nazywasz ważnym – odpowiedział.

Mogłam go wtedy wyrzucić z pokoju. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Moje wspomnienia przekształciły się w sny, kiedy niezauważalnie dla siebie zasnęłam. Przez całą noc widziałam przed oczami twarz Paula, wpatrującego się we mnie, zadającego mi pytania i planującego coś, czego nie potrafiłam odgadnąć. Następnego dnia rano obudziłam się w nieprzytulnym obcym łóżku i nie mogłam sobie tych snów przypomnieć. Wiedziałam tylko, że próbowałam dogonić Paula, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca.

O dziwo, nie byłam ani trochę dezorientowana. Kiedy tylko otworzyłam oczy, wiedziałam, gdzie jestem, kim jestem i kim powinnam być. Pamiętałam, co Paul zrobił mojemu ojcu i że nigdy więcej nie zobaczę taty. Leżałam w pogniecionej białej pościeli i czułam, że nie mam ochoty się ruszać. Rozpacz unieruchomiła mnie jak liny.

– Chodź tutaj, skarbie – zawołała ciocia Susanna. – Czas zrobić się na bóstwo!

To było niewykonalne, chyba że technologia tego wymiaru potrafiła czynić cuda. Usiadłam, zobaczyłam odbite w szybie poskręcane po spaniu włosy, i jęknęłam.

Najwyraźniej wybierałyśmy się na obiad charytatywny, chociaż mojej cioci kompletnie nie obchodziło, o jaki cel charytatywny chodziło i kto był organizatorem. To było spotkanie wyższych sfer towarzyskich – miejsce, gdzie należało się pokazać – i tylko to miało dla niej znaczenie.

Wiedziałam, że muszę spokojnie czekać na Theo. Jeśli miałam powstrzymać Paula, potrzebowałam każdej pomocy – a Theo był jedyną osobą, która mogła mi pomóc. Dlatego przez cały jeden dzień musiałam prowadzić życie tej Marguerite.

O ile zdążyłam się zorientować, była to umiarkowana zabawa.

– Chodź, kochanie. – Ciocia Susanna stąpała po ulicznym bruku na wysokich szpilkach zwinnie jak górska kozica. – Nie możemy się spóźnić.

– Na pewno nie możemy? – Myśl o tym, że mam przetrwać całe spotkanie towarzyskie jako inna wersja siebie wydawała mi się przytłaczająca.

Ciocia rzuciła mi przez ramię zdziwione spojrzenie.

– Przecież chciałabym, żebyś poznała księżną. Wiesz, że jej siostrzenica Romola pracuje u Chanel. Jeśli chcesz kiedyś zostać projektantką mody, potrzebujesz odpowiednich znajomości.

W tej rzeczywistości chciałam być projektantką mody? Cóż, przynajmniej to twórczy zawód.

– Jasne. Pewnie.

– Nie udawaj, że jesteś zbyt wyrafinowana, żeby być pod wrażeniem tytułu – powiedziała ciocia Susanna. Taka właśnie, czyli rzeczowa i trochę lekceważąca, robiła się, kiedy ktoś się jej sprzeciwiał. – Jesteś jeszcze większą snobką niż ja i wiesz o tym. Zupełnie jak twoja matka.

– Co takiego?!

– Wiem, wiem, dla ciebie twoi rodzice są święci i tak być powinno. Nie mówię, że nie byli przeuroczymi ludźmi. Ale pamiętam, jak twoja matka rozwodziła się nad tym, że pochodzi z rosyjskiej arystokracji! Można by pomyśleć, że sama musiała uciekać przed Armią Czerwoną z klejnotami Romanowów w ramionach.

– Jej rodzina wywodzi się z arystokracji i musiała uciekać przed rewolucją. Następne cztery pokolenia spędzili jako imigranci w Paryżu, aż jej rodzice w końcu przeprowadzili się do Ameryki. Nigdy nie kłamie i nie podaje się za kogoś, kim nie jest. – W tym momencie przypomniałam sobie, że w tym wymiarze nie powinnam tak dobrze znać mojej matki i że tutaj straciłam ją, tak samo jak ojca. – To znaczy, nie podawałaby się.

To była prawda. Mamę obchodziły tylko dwie rzeczy: nauka i jej bliscy. Upinała poskręcane w sprężynki włosy na ołówku albo długopisie, który akurat znalazła. Pozwoliła mi malować palcami po stole. Nikt na świecie nie był mniej snobistyczny niż mama.

Stałyśmy teraz na środku chodnika, o przecznicy od hotelu, w którym księżna spotkała się na herbacie ze stu czterdziestoma najbliższymi przyjaciółmi. Ciocia Susanna położyła dłoń na piersi jak aktorka w szmirowatym starym filmie, ale wiedziałam, że mówi szczerze – a przynajmniej tak szczerze, jak tylko potrafi.

– Nie mówiłam źle o twojej mamie. Wiesz o tym, prawda?

Dla cioci Susanny „snob” było praktycznie wyróżnieniem.

– Tak, wiem – westchnęłam.

– Nie chciałabym, żebyśmy się na siebie obrażały. – Ciocia podeszła bliżej i objęła mnie. – Zawsze byłyśmy tylko we dwie. Ty i ja przeciwko światu, co?

Mogłabym prawie uwierzyć, że nasze wspólne życie dobrze się układa, gdybym nie była w tym nieprzyjaznym mieszkaniu. Albo gdybym za przejrzystymi szklami ciemnych okularów cioci Susanny nie widziała jej znudzonego, zniecierpliwionego spojrzenia.

Potrzebowałam niecałego dnia, by się przekonać, że ciocia Susanna nie znosi bycia zastępczą matką dla Marguerite z tego wymiaru. Jak musiała się czuć, żyjąc od zawsze z taką świadomością? Czując się odrzucona przez jedyną rodzinę, jaka jej została.

– Ty i ja – powtórzyłam, a ciocia Susanna uśmiechnęła się, jakby to był powód do radości.

W moim prawdziwym domu nigdy nie byliśmy „tylko my”.

Odkąd pamiętam, asystenci naukowci mamy i taty spędzali w domu prawie tyle samo czasu, co ja. Kiedy byłam zupełnie mała, myślałam, że są moim rodzeństwem, tak samo jak Josie. Okropnie płakałam w dniu, gdy Swathi łagodnie wyjaśniła, że wraca do New Dehli, ponieważ ma tam pracę i rodzinę. Kim byli ci ludzie? Jak mogli być jej rodziną, skoro to my byliśmy jej rodziną?

Potem rodzice wyraźniej podkreślali, kim są dla nich asystenci, ale prawda wyglądała tak, że większość z nich zostawała w mniejszym lub większym stopniu nieformalnie adoptowana. Mama i tata zawsze chcieli mieć mnóstwo dzieci, jednak okazało się, że mama źle znosi ciążę, dlatego zrezygnowali z dalszych prób po moich narodzinach. Wydaje mi się, że doktoranci wypełniali puste miejsce, które mieli zajmować moi bracia i siostry. Spali u nas na kanapach, pisali prace naukowe przy tęczowym stole, a nawet wypłakiwali się po miłosnych zawodach, czy pili mleko prosto z kartonika. Ze wszystkimi utrzymywaliśmy kontakt, a niektórzy byli dla mnie szczególnie ważni. Diego nauczył mnie jeździć na rowerze. Louis pomógł mi pochować złotą rybkę w ogrodzie, chociaż przez cały „pogrzeb” lał deszcz. Xiaoting jako jedyna była w domu, kiedy zaczął mi się pierwszy okres, i poradziła sobie doskonale – wyjaśniła, jak się używa stosownych produktów higienicznych, a potem zabrała mnie na lody do Cold Stone Creamery.

Mimo to, od samego początku Paul i Theo byli inni. Bliżsi nam niż ktokolwiek z pozostałych. Wyjątkowi.

Paul był najbardziej wyjątkowy ze wszystkich.

Mama żartowała, że polubiła go, ponieważ oboje są z pochodzenia Rosjanami, a tylko Rosjanie rozumieją swój czarny humor. Tata stale chodził

z Paulem na lunch na kampusie uniwersyteckim, a raz pozwolił mu pożyczyć swój samochód. Zwykle nie pozwalał go pożyczać nawet mnie. Chociaż Paul był małomówny, zdystansowany i wyraźnie pozbawiony poczucia humoru, w oczach moich rodziców był chodzącym ideałem.

– Jest dziwny! – protestowałam po jego przybyciu. – Jest jak jakiś jaskiniowiec z czasów, kiedy ludzie nie umieli nawet mówić.

– To nieładnie z twojej strony – powiedział tata, nalewając sobie mleka do herbaty. – Pamiętaj, Marguerite, że Paul ukończył liceum w wieku trzynastu lat. Miał siedemnaście lat, kiedy zaczął pracować nad doktoratem. Nie miał zbyt długiego dzieciństwa, nie miał okazji znaleźć przyjaciół w swoim wieku i Bóg jeden wie, że nie dostawał odpowiedniego wsparcia w domu. To sprawia, że jest trochę... nieśmiały, ale to nie znaczy, że nie jest dobrym człowiekiem.

– Poza tym – wtrąciła mama – niezależnie od tego, czy przez „jaskiniowca” rozumiesz kromanińczyka czy neandertalczyka, nie ma żadnych powodów zakładać, że nie rozwinęli zdolności mowy.

Paul był ich asystentem zaledwie od półtora roku, ale kochali go bardziej niż kogokolwiek z pozostałych. Praktycznie cały czas spędzał w naszym domu i na ich wykładach. Pożyczali mu książki, troszczyli się, kiedy w zimie nie miał kurtki, nawet upiekli mu tort urodzinowy – czekoladowy z karmelową polewą, jego ulubiony.

Theo Beck pracował dla nich tak samo ciężko. Nigdy nie traktowali go nieżyczliwie, a ja sama czułam, że doskonale do nas pasuje i zdecydowanie jest lepszym towarzystwem niż dziwny, ostrożny Paul. Czarne włosy Theo zawsze były lekko rozczochrane, niczego nie traktował poważnie i zgoda, trochę ze mną flirtował, ale nie wydaje mi się, żeby mama i tata mieli coś przeciwko. Nie jestem w ogóle pewna, czy to zauważali. Dlatego Theo powinien być im równie bliski.

Ale Paul był bardziej inteligentny. Bardziej niezwykły. Był o jeden krok za tą linią, która oddziela „niezwykle inteligentnych” od „geniuszy”. Widziałam także, że zdaniem mamy i taty Paul ich bardziej potrzebował. Theo był zarozumiały, Paul był nieśmiały. Theo sypał żartami, Paul wydawał się melancholijny. Dlatego Paul budził w nich uczucia opiekuńcze w sposób, w jaki nie mógłby tego robić Theo. Wiedziałam, że Theo zauważa, jak bardzo

rodzice są przywiązani do Paula i czasem jest o to zazdrosny.

Może czasem sama czułam się zazdrosna.

Po dwudziestu minutach od naszego pojawienia się na lunchu zostałam przedstawiona siostrzenicy księżnej, Romoli, tej pracującej u Chanel. Nie była tam projektantką, tylko specjalistką od reklamy, ale jak mówiła ciocia Susanna: „Znajomości zawsze się przydają”.

O dziwo, Romola nie potraktowała mnie jak kłopotliwej doczepki, to raczej ona uczepliła się mnie.

– Możemy się świetnie bawić – powiedziała szeptem. – Najwyższy czas, żeby pojawił się ktoś interesujący.

Po dziesięciu minutach stałam w łazience i patrzyłam, jak wciąga kreskę kokainy. Zaproponowała mi działkę, ale odmówiłam, chociaż podejrzewałam, że Marguerite z tego wymiaru zgodziłaby się bez namysłu.

Dlatego kwadrans później, gdy Romola poczęstowała mnie szampanem – o drugiej po południu – zgodziłam się. Jeśli miałam być przekonująca jako ta Marguerite, musiałam odgrywać jej rolę.

Ciocia Susanna patrzyła, jak piję, i nie powiedziała ani słowa. Najwyraźniej była do tego przyzwyczajona.

Przyjęcie było przedziwne, jednocześnie arystokratyczne i tandetne. Chirurgia plastyczna zniekształciła twarze wszystkich kobiet po trzydziestce – nie wydawały się młodsze, raczej nie całkiem ludzkie w sposób, którego towarzystwo postanowiło nie zauważać. Połowa gości rozmawiała raczej z hologramami wyświetlanymi przez pierścienie lub znaczki, niż z otaczającymi ich ludźmi. Pochwycone przeze mnie strzępy rozmów obracały się głównie wokół plotek: kto z kim sypia, kto zarobił, kto stracił, a kto nie zostanie zaproszony na następne takie przyjęcie.

Może technologia się różniła, ale ta warstwa społeczna była prawdopodobnie wszędzie tak samo płytka. Czyli tak wyglądało życie, przed którym uciekł mój tata, gdy zdecydował się na karierę naukową, wyjechał z Wielkiej Brytanii i dołączył do mamy w Kalifornii. Był mądrzejszy, niż myślałam.

Twoje zdrowie, tato – pomyślałam i sięgnęłam po drugi kieliszek szampana.

Siedem godzin po lunchu siedziałam za kierownicą samochodu Romoli – opływowego i lśniącego srebrem – który prowadził się sam, na szczęście, biorąc pod uwagę, jak bardzo byłam wstawiona. Romola we własnej osobie

opowiadała mi, jakie niesamowite kluby odwiedzimy dzisiaj. Spędziłyśmy razem cały dzień. Zachowywała się teraz, jakbyśmy były przyjaciółkami, jakby miała mi załatwić staż u Chanel, jednak obie wiedziałyśmy, że wykorzystujemy tylko okazję, żeby się nawalić. Nie sądzę, by udało mi się od niej odczepić, nawet gdybym próbowała.

Nienawidziłam tego. Wolałabym wrócić do domu, zwymiotować i zasnąć, najlepiej w tej kolejności.

Ale za każdym razem, gdy patrzyłam na ciemny, poszarpany, futurystyczny Londyn, który mnie otaczał, przypomiinałam sobie, że jest tutaj Paul. Pamiętałam, że musimy się znowu spotkać i co mam zrobić, gdy to nastąpi. Nie było innej drogi – ani dla mnie, ani dla niego.

Paul powiedziałby, że takie jest nasze przeznaczenie.

– Co ty próbujesz osiągnąć? – zapytał kiedyś Theo, patrząc z irytacją na Paula. Pomiędzy nimi, na tęczowym stole, leżały rozsypane kawałki tego, co miało stać się pierwszym prototypem Firebirda. – Sophia dopiero co zdołała udowodnić swoje racje, a ty chcesz znowu zrobić z niej pośmiewisko?

– O co chodzi? – zapytałam. Wróciłam z lekcji fortepianu i szybko schowałam nuty, żeby nie wyglądać jak dziecko. Theo był ode mnie starszy tylko o trzy i pół roku, a Paul o dwa lata; byli pierwszymi studentami, którzy bardziej przypominali mnie niż moich rodziców. Chciałam, by tak samo myśleli o mnie. – Dlaczego ludzie mieliby śmiać się z mamy?

Paul spojrział na mnie przelotnie, a potem wrócił do roboty.

– To nie jest jej teoria, tylko moja. Ja będę za nią odpowiadał.

Theo odchylił się na krześle i wskazał kciukiem Paula.

– Ten tutaj chce ryzykować swoją wiarygodność jako naukowca... a także wiarygodność swojej promotorki, czego by nie mówił... żeby się upierać, że istnieje przeznaczenie.

– Przeznaczenie? – To brzmiało dziwnie... romantycznie, jak na kogoś takiego jak Paul.

– W wymiarach da się wyróżnić pewne wzorce – upierał się Paul, ale nie podniósł już głowy. – Paralele matematyczne. Można postawić hipotezę, że te wzorce znajdują odzwierciedlenie w wydarzeniach i ludziach w danym wymiarze. Że ludzie, którzy spotkali się w jednej rzeczywistości kwantowej, z większym prawdopodobieństwem spotkają się także w innej. Pewne rzeczy

będą się powtarzać, na różne sposoby, ale znacznie częściej niż można by wytłumaczyć to czystą losowością.

– Innymi słowy – powiedziałam – starasz się udowodnić, że los istnieje.

Żartowałam, ale Paul powoli pokiwał głową, jakbym powiedziała coś mądrego.

– Tak. Właśnie o to chodzi.

– Powinnaś pojechać ze mną w przyszłym tygodniu do Paryża – zawołała Romola, przekrzykując muzykę w klubie. Wydaje mi się, że to ten sam, przed którym stałam wczoraj wieczorem, kiedy pojawiłam się w tym wymiarze.

– Pewnie! – Czemu miałabym się nie zgadzać? Ona tak naprawdę nie zamierza mnie zabierać, ja nie zamierzam jechać, i obie o tym wiemy. – Byłoby ekstra.

Miałam na sobie sukienkę, którą mi pożyczyła – skóra w kolorze matowego grafitu, obcisła nawet na mojej chudej jak szczapa figurze. Nie mogłaby wyraźniej podkreślać, że praktycznie nie mam piersi, ale pokazywała za to prawie całe nogi, a zdaniem facetów w tym klubie, to rekompensowało brak krągłości powyżej. Nie chcieli się ode mnie odczepić i stawiali mi drinki, których nie potrzebowałam.

Nienawidziłam sposobu, w jaki na mnie patrzyli – z podziwem, ale i wyrachowaniem, szacowali mnie rzeczowo i chciwie jak luksusowe sportowe auto. Jednak żaden z nich mnie nie widział.

– Pewnie myślisz, że to jest co najmniej niepraktyczne – powiedziałam do Paula tego wieczora, kiedy patrzył, jak maluję. – Sztuka.

– Nie wiem, czy praktyczność jest najważniejszą rzeczą.

To zabrzmiało prawie jak komplement, przez moment, zanim sobie uświadomiłam, że właściwie przyznał, iż jego zdaniem mój pomysł studiowania sztuk pięknych jest całkowicie niepraktyczny. Zamierzałam specjalizować się w konserwacji dzieł sztuki, więc nie groziło mi, że w wieku trzydziestu lat będę musiała mieszkać u rodziców w piwnicy, ale nie miałam ochoty się przed nim tłumaczyć. Wolałam zaatakować.

Był koniec listopada, tuż po Święcie Dziękczynienia – zaledwie półtora tygodnia temu, chociaż wydawało mi się, że to było w innym życiu. Wieczór był zaskakująco ciepły, ostatni poryw „indiańskiego lata” – czyli tego, co moja mama nazywała po rosyjsku babim latem. Miałam na sobie kamizelkę

pomazaną setkami odcieni farb po poprzednich wieczorach przy pracy i niebieskie dżinsowe szorty, które sama obcinałam. Paul stał w drzwiach sypialni i to był jedyny raz, kiedy do tego stopnia naruszył moją prywatną przestrzeń.

Przez cały czas byłam świadoma jego obecności. Był wyższy niż przeciętny facet i zdecydowanie większy od przeciętnego studenta fizyki – wysoki, szeroki w barkach i niesamowicie umięśniony, pewnie dzięki wspinacze skałkowej. Jego sylwetka zdawała się wypełniać całe drzwi. Chociaż nie przerywałam pracy, rzadko odwracając wzrok od pędzla i płótna, wydawało mi się, że wyczuwam za sobą jego obecność. To przypominało ciepło ognia, które czuje się, nawet bez patrzenia na płomień.

– No dobrze, może portrety nie są już na topie w świecie sztuki – powiedziałam. Inni studenci na wystawach sztuki pokazywali kolaże i instalacje z obiektów „ready-made”, czy obrabiali w Photoshopie reklamy z lat sześćdziesiątych, by stały się postmodernistycznym komentarzem do współczesnego społeczeństwa. Czasem czułam, że nie dotrzymuję im kroku, ponieważ miałam do pokazania tylko olejne portrety ludzi. – Ale wielu artystów niezłe zarabia na malowaniu portretów. Jak już sobie wyrobisz markę, możesz brać nawet dziesięć tysięcy dolarów za sztukę. Mogłabym się tym zająć.

– Nie – powiedział Paul. – Nie wydaje mi się.

W tym momencie się do niego odwróciłam. Może moi rodzice uwielbiali tego gościa, ale to nie znaczyło, że ma prawo wleźć do mojego pokoju i mnie obrażać.

– Słucham?!

– To znaczy... – zawahał się. Wyraźnie zdawał sobie sprawę, że powiedział coś niewłaściwego, ale równie wyraźnie nie rozumiał, dlaczego. – Ludzie, którzy zamawiają swoje portrety... bogaci ludzie... chcą wyglądać dobrze.

– Jeśli chcesz się wygramolić z tej dziury, którą sobie wykopałeś, to kiepsko sobie radzisz. Tak tylko mówię.

Paul wepchnął dłonie w kieszenie przetartych dżinsów, ale jego oczy patrzyły na mnie spokojnie.

– Chcą wyglądać idealnie. Chcą się pokazać tylko z najlepszej strony. Wydaje im się, że portret powinien być jak operacja plastyczna, tylko na obrazie, a nie na ich twarzy. Zbyt piękny, by był prawdziwy. Twoje

obrazy... czasem rzeczywiście są piękne, ale zawsze są prawdziwe.

Nie potrafiłam dłużej na niego patrzeć. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na galerię obrazów wiszących na ścianach sypialni, z których spoglądali na mnie przyjaciele i rodzina.

– Tak jak portret twojej matki – powiedział Paul. Jego głos stał się miększy, a ja popatrzyłam na jej portret, kiedy mówił te słowa.

Starłam się, żeby mama wyglądała jak najlepiej, ponieważ ją kochałam, dlatego nie odwzorowałam wyłącznie jej ciemnych, leciutko skośnych oczu i szerokiego uśmiechu. Pokazałam także, jak jej włosy zawsze skręcają się nieposłusznie w stu kierunkach, jak ostro jej kości policzkowe wystają ze szczupłej twarzy. Gdybym nie umieściła tego wszystkiego na obrazie, to nie byłaby ona. – Kiedy na niego patrzę, widzę ją taką, jak wygląda późno wieczorem, po dziesięciu albo czternastu godzinach pracy. Widzę jej geniusz. Widzę jej niecierpliwość. Jej zmęczenie. Jej życzliwość. Widziałbym to wszystko, nawet gdybym jej nie znał.

– Naprawdę? – znowu popatrzyłam na Paula, a on pokiwał głową z wyraźną ulgą, że go zrozumiałam.

– Popatrz na nich wszystkich. Josie nie może się doczekać następnej przygody. Twój ojciec jest roztargniony, jak zwykle zatopiony w myślach i nie można stwierdzić, czy marnuje czas, czy będzie miał przebłysk geniuszu. Theo... – Urwał, a ja przyjrzałam się kończonemu właśnie portretowi Theo, z czarnymi włosami ułożonymi na żel w sterzące kolce, głęboko osadzonymi brązowymi oczami i pełnymi wargami, które pasowałyby do renesansowego amorka. – Theo jak zwykle zamierza się wpakować w kłopoty.

Roześmiałam się. Paul się uśmiechnął.

– No i jest jeszcze twój autoportret.

Chociaż uczestniczyłam w różnych wystawach sztuki i nawet miałam swoją indywidualną wystawę w bardzo małej galerii, nigdy nie pokazywałam tego autoportretu nigdzie poza moją sypialnią. Był czymś o wiele bardziej osobistym niż jakikolwiek inny obraz.

– Twoje włosy... – powiedział i urwał, ponieważ nawet Paul był dostatecznie taktowny, żeby wiedzieć, że nazywanie włosów dziewczyny „kompletną porażką” byłoby prawdopodobnie niewłaściwe. Ale tak właśnie należało powiedzieć, ponieważ były bardziej poskręcane, gęstsze i jeszcze bardziej nieposłuszne niż włosy mamy. Tak właśnie je namalowałam. – Widzę, jak pod wieloma względami przypominasz swoją matkę.

Jasne – pomyślałam. – Koścista, za wysoka, zbyt blada.

– I jak pod wieloma względami jej nie przypominasz.

Spróbowałam obrócić to w żart.

– Chcesz powiedzieć, że nie widzisz tego samego niesamowitego geniuszu?

– Tak.

To zabolalo. Ciekawe, czy lekko się skrzywiłam.

– W każdym stuleciu rodzi się może pięcioro ludzi z umysłami takimi jak ona – dodał szybko Paul. – Nie, nie jesteś tak inteligentna jak twoja matka. Ja także nie jestem. Ani nikt, kogo uda nam się spotkać przez całe życie.

To była prawda. Pomogło, ale policzki nadal miałam zaczerwienione. Jak to możliwe, że czułam się tak, kiedy stał koło mnie?

Jego głos był łagodniejszy, niż można by się spodziewać, patrząc na potężną sylwetkę i surowy wzrok.

– Widzę... jak zawsze czegoś szukasz. Jak bardzo nienawidzisz wszystkiego, co fałszywe lub udawane. Jaka jesteś dojrzała na swój wiek, ale nadal... radosna, jak małe dziecko. Jak zawsze patrzysz na ludzi albo zastanawiasz się, co oni widzą, kiedy patrzą na ciebie. Twoje oczy. To wszystko jest w oczach.

Jak Paul mógł to wszystko dostrzec? Jak mógł to odgadnąć tylko na podstawie portretu?

Ale to nie było tylko na podstawie portretu. Ja to także wiedziałam.

Chociaż powinnam coś odpowiedzieć, nie mogłam wykrztusić ani słowa. Oddech uwiązał mi w zaciśniętym gardle. Nie odwracałam wzroku od autoportretu, żeby popatrzeć na Paula.

– Malujesz prawdę, Marguerite – powiedział. – Nie wydaje mi się, żebyś potrafiła malować inaczej.

Z tymi słowami wyszedł.

Właśnie wtedy zaczęłam pracować nad portretem Paula. Jego twarz okazała się zaskakująco trudna do uchwycenia. Szerokie czoło, grube proste brwi, mocno zarysowana szczęka, ciemnoblond włosy z leciutkim połyskiem miedzianego złota, który wymagał ode mnie mieszania farb godzinami, by uzyskać właściwy odcień. Sposób, w jaki leciutko pochyłał głowę, jakby chciał przeprosić, że jest tak wysoki i tak silny, to jego lekko zagubione spojrzenie, jakby wiedział, że nie uda mu się dopasować do innych i nie widzi sensu w próbowaniu... Ale to jego oczy nie dawały mi spokoju.

Głęboko osadzone, przenikliwe – wiedziałam, jak wyglądają oczy Paula.

Ale... kiedy kogoś malowałam, nawet samą siebie, osoba na portrecie nigdy nie patrzyła prosto na widza. To sprawiało, że twarz była bardziej wyrazista, a jednocześnie dodawało portretowi nutkę tajemnicy – poczucie, że prawdziwy człowiek jest czymś, czego moje dzieło nie może w pełni uchwycić. To także było częścią malowania prawdy.

Ale w przypadku Paula nie potrafiłam tego zrobić. Ile razy próbowałam namalować jego spojrzenie, on nie odwracał wzroku od widza. Od artysty.

Patrzył na mnie. Zawsze, zawsze patrzył na mnie.

W dniu, gdy dowiedziałam się o śmierci ojca, godzinę po tym, jak usłyszeliśmy, że odpowiada za nią Paul, poszłam do mojego pokoju, wzięłam nożyk introligatorski i pocięłam obraz na cienkie paski.

Sprawił, że mu zaufałam.

Sprawił, że uwierzyłam, że mnie widzi.

Wszystko to było tylko częścią gry Paula, drobnym elementem wielkiego planu zniszczenia nas wszystkich.

To jeszcze jedna rzecz, za którą musiał zapłacić.

Około północy kręciło mi się w głowie i czułam, jakbym miała zaraz zwymiotować, ale nie przestawałam tańczyć. Ciężkie basy muzyki wibrowały we mnie i zagłuszały nawet rytm mojego własnego pulsu. Zupełnie jakbym w ogóle nie była żywa.

Jakiś facet położył mi rękę na ramieniu, a ja zastanawiałam się, który to z nich. Czy zamierza mi postawić kolejnego drinka?

Ale kiedy się odwróciłam, żeby zobaczyć, kto to jest, westchnęłam z zaskoczenia – i w jednej chwili poczułam się znowu żywa.

– Niezła kiecka, Meg. – Theo uśmiechnął się krzywo, obejrzał mnie od stóp do głów i znowu popatrzył mi w oczy. – Gdzie się podziała jej reszta?

– Theo! – Zarzuciłam mu ramiona na szyję, a on odwzajemnił uścisk. Przez długą chwilę staliśmy w taki sposób, na samym środku parkietu.

– Jesteś pijana? – mruknął cicho w moją szyję. – Czy może mają tutaj perfumy o zapachu tequili?

– Zabierz mnie stąd. – Dlaczego tak trudno mi było wydobyć z siebie te słowa? Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że płaczę.

Przez cały ten czas trzymałam się. Trzymałam się, ponieważ musiałam. Znosiłam rozpacz i strach nawet wtedy, gdy wydawało mi się, że ich ciężar mnie zmiążdży. Ale teraz Theo był tutaj, a ja mogłam wreszcie odpuścić.

Przytulił mnie mocniej – tak mocno, że moje stopy oderwały się od ziemi –

i zniósł mnie z parkietu, z kręgu światła. Posadził mnie na długiej, niskiej kanapie w rogu. Nie mogłam przestać płakać, więc po prostu przytulał mnie i gładził po włosach i plecach. Kołysał mnie łagodnie, jakbym była dzieckiem. Wokół nas pulsowały światła klubu i ryczała taneczna muzyka.

Rozdział piąty

Widok twarzy Theo i ciepło obejmujących mnie ramion sprawiły, że czułam, jakby wszystko wokół mnie miało zaraz zacząć iść lepiej.

Może nawet naprawdę by tak było, gdybym nie upiła się do tego stopnia, że się pochorowałam.

– Bardzo dobrze – powiedział Theo, masując mi plecy, kiedy przechylałam się przez barierkę Millennium Bridge zaraz po tym, jak zwymiotowałam do Tamizy. – Wyrzuć z siebie to paskudztwo.

Wstyd sprawił, że gorąco ogarnęło całą moją twarz.

– Czuję się okropnie upokorzona.

– Dlatego, że widziałem, jak rzygasz? Słuchaj, gdybyś zobaczyła mnie w przeciętną sobotnią noc, to wiedziałabyś, że to nic takiego. Jeśli chodzi o takie sprawy, nie będę pierwszym, który rzuci kamień. Niech to ci wystarczy.

To nie był tylko żart. Błyskotliwy umysł Theo nie był w stanie całkowicie ukryć jego żywiołowej natury. Choć nigdy nie spowodował żadnych problemów u nas w domu, do mamy i taty docierały plotki o tym, że Theo upijał się i czasem bez zapowiedzi znikał na wiele godzin albo na cały dzień. Wspominali, że zdarza mu się „wypić”, ale tak naprawdę obawiali się o substancje mniej legalne niż okazjonalne puszki piwa. Nawet Paul czasem ostrożnie sugerował, że Theo powinien trochę zwolnić tempo.

Do diabła z Paulem. Dzisiaj Theo jest trzeźwy i opiekuje się mną. Czuję na nagich plecach jego ciepłą rękę, kiedy patrzę w ciemną wodę rzeki, i staram się odzyskać panowanie nad sobą.

W tym momencie dostrzegłam w rzece moje pofalowane odbicie, rozbite na kawałeczki przez drobne zmarszczki na wodzie.

– Myślisz, że to właśnie była ostatnia rzecz, jaką zobaczył tata? – szepnęłam. W ustach miałam paskudny smak. Całe moje ciało było słabe. Takie właśnie uczucie daje porażka. – Rzekę, tuż przed sobą, jak tutaj?

Przez bardzo długą chwilę Theo nie odpowiadał. Kiedy się odezwał, jego głos był jeszcze bardziej zmęczony niż ja w tej chwili.

– Nie myśl o tym.

– Nie potrafię o tym nie myśleć.

– Jestem pewien, że tak nie było. Okej? Chodź, pójdziemy do domu.

– Mam nadzieję, że tak było. Mam nadzieję, że tata zobaczył zbliżającą się rzekę, a potem... a potem było po wszystkim. – Głos mi drżał. – Ponieważ to by znaczyło, że uderzył się w głowę w czasie wypadku albo kiedy samochód wpadł do wody. Stracił przytomność albo zginął na miejscu. Nie miał czasu, żeby się bać. – Ile potrzeba, żeby utonąć? Trzy minuty? Pięć? Na pewno dostatecznie długo, żeby to było koszmarne. Dostatecznie długo, żebym miała nadzieję, że mój tata nie musiał tego doświadczyć. – Byłoby lepiej, gdyby nie wiedział. Nie uważasz?

– Przestań. – Głos Theo był ochrypły, jego dłonie przesunęły się na moje ramiona i ścisnęły je, jakby się obawiał, że rzucę się przez barierkę. – Nie rób sobie tego. To nie pomoże.

Theo się mylił. Musiałam myśleć o śmierci ojca. Nie mogłam jeszcze zacząć go opłakiwać. Potrzebowałam tego bólu, by pozostawać rozgniewana. Przytomna. Skoncentrowana.

Kiedy znajdziemy Paula, ten ból da mi siłę, by go wykończyć.

Wyrwałam z uścisku Theo jedną rękę, żeby otrzeć sobie usta.

– Dobrze – powiedziałam. – Wracajmy do domu.

Resztę drogi do apartamentu cioci Susanny przeszliśmy pieszo. Kiedy winda ruszyła, nogi się pode mną ugięły – nadal miałam w organizmie mnóstwo szampana. Theo przytrzymał mnie za łokieć, a ja oparłam mu głowę na ramieniu na resztę drogi w górę.

Kiedy podeszliśmy do drzwi, powiedział szeptem:

– Jeszcze nie jest za późno, żebym poszedł do hotelu.

– Jeśli będziemy cicho, nie obudzimy cioci Susanny – powiedziałam i przycisnęłam dłoń do elektronicznego zamka. Rozpoznał mnie i otworzył się z kliknięciem. – Zresztą wątpię, żeby się tym przejęła.

Poza tym potrzebowałam teraz Theo bardziej niż kiedykolwiek.

W ciemności biało-szary apartament tonął w odcieniach srebrzystego błękitu, jakby został zrobiony ze światła księżyca. Wszystko wydawało się surrealistyczne, gdy po cichu prowadziłam Theo korytarzem do mojej sypialni i zamykałam za nami drzwi, żebyśmy zostali sami w środku.

Sypialnia była nieduża, samo łóżko wypełniało większość przestrzeni. Theo będzie musiał spać na podłodze. Powiedziałam sobie, że jestem głupia, jeśli wydaje mi się to krępujące – jeśli sobie wyobrażam, że potrafiłby się

skoncentrować na czymkolwiek poza tą szaloną sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy, że ta isierka przyciągania pomiędzy nami miałyby w tym wszystkim jakiegokolwiek znaczenie.

W tym momencie nasze oczy się spotkały i zrozumiałam, że nie tylko ja to czuję.

– Okej – powiedziałam i wskazałam łazienkę. – Spróbuję się, no, odświeżyć.

Theo skinął głową i podszedł do okna.

– Jasne. Idź wziąć prysznic.

Myślałam tylko o umyciu zębów, ale prysznic był niezłym pomysłem. Włosy i ubranie pachniały mi dymem papierosowym i zwiędzłym szampanem – życiem innej Marguerite. W tym momencie potrzebowałam znowu stać się sobą.

Weszłam do wyłożonej białymi kafelkami łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Skórzana sukienka zdejmowała się z trudem, tak że skóra mnie zapiekła, kiedy ją ściągałam. Przyszło mi do głowy, że to markowa rzecz, warta tysiące funtów i Romola prawdopodobnie oczekuje, że ją zwrócę. No cóż, jutro wyślę jej paczkę. W tym momencie zostawiłam zmiętą sukienkę na podłodze, jak zrzuconą skórę. Zamknęłam dłoń na Firebirdzie i podniosłam wisior, który miałam na szyi.

Dopiero kiedy stałam pod prysznicem i pozwalałam, by spłukiwała mnie gorąca woda, zaczęłam być świadoma – przeraźliwie świadoma – że jestem kompletnie naga, a od Theo dzieli mnie zaledwie kilka kroków. Powtarzałam sobie, że w tej sytuacji nie ma nic nadzwyczajnego. Ostatecznie Theo praktycznie mieszkał w moim domu przez ostatnie lata. Kąpałam się, spałam i obcinałam paznokcie u nóg, podczas gdy Theo był w sąsiednim pokoju.

Ale teraz towarzyszyło temu inne uczucie.

Para zawirowała wokół mnie, kiedy wsadziłam głowę pod prysznic, czując, jak gorąca woda przesiąka moje poskręcane włosy i spływa mi po twarzy. Starłam się myśleć tylko o pozbyciu się zapachu papierosów. Jednak moje myśli uparcie wracały do chwili, gdy Theo przytulił mnie w klubie, i potem, gdy oparta o niego w windzie miałam wrażenie, że to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Między Theo a mną zawsze było... coś. Nie dlatego, że ze mną flirtował – flirtował z każdą spotkaną kobietą, a czasem nawet z facetami. Flirtował nawet z Romolą, którą na moment odprowadził na stronę w klubie, zanim mnie

stamtąd zabrał. Flirtowanie przychodziło Theo odruchowo, bez zastanowienia, tak jak oddychanie. Jeśli już, zauważyłam, że uczucia Theo do mnie zaczęły się zmieniać, ponieważ flirtował ze mną mniej. Kiedy to robił, jego słowa miały jakąś rangę, a poświęcana mi uwaga nie była zdawkowa – i oboje o tym wiedzieliśmy.

Zawsze powtarzałam sobie, że nic z tego nie wyniknie. Theo jest starszy ode mnie. Jest zgryźliwy i samolubny, a jego arogancja byłaby całkowicie odpychająca, gdyby nie stał za nią błyskotliwy umysł. Czasem, kiedy nie spał od dwóch dni i krążył po naszym domu, mówiąc bardziej w języku matematyki niż po angielsku, była w nim jakaś brawura, jakby chciał testować własne możliwości aż do granicy autodestrukcji, a może i dalej. Dlatego powtarzałam sobie, że Theo jest mi bliski jako przyjaciel. Zgoda, jako przyjaciel, który jest tak trochę niesamowicie przystojny – ale mimo wszystko, nadal tylko przyjaciel.

Jednak przez ostatnie dwa dni zobaczyłam jego nowe oblicze. Może w końcu dostrzegłam prawdziwego Theo? Dlaczego kiedykolwiek w niego wątpiałam? Prawdopodobnie z tych samych powodów, dla których dawniej ufałam Paulowi. Najwyraźniej kompletnie nie rozumiem ludzi.

Paul gdzieś tam jest. W tym momencie jedyną rzeczą, jaką mogę zrobić, by przygotować się do konfrontacji z nim, jest wyspać się. Theo jest ze mną, a to mi wystarczy.

Zakreśliłam wodę, wytarłam się i po raz drugi umyłam zęby. Założyłam z powrotem Firebirda na szyję, zanim jeszcze wysuszyłam włosy ręcznikiem. Na haczyku na drzwiach wisiał długi T-shirt, więc założyłam go na siebie. Bładoróżowy materiał był lekko prześwitujący, a ja nie pomyślałam o przyniesieniu bielizny na zmianę. Ale w sypialni jest ciemniej, więc to będzie bez znaczenia.

Kiedy wyszłam z łazienki, Theo stał przy oknie, oparty łokciami o parapet. Światło księżyca muskało jego czarne włosy i sprawiało, że lśniły. Potrzebował chwili, żeby się do mnie odwrócić. Kiedy to zrobił, między nami pojawiło się znajome napięcie elektryczne, a ja poczułam się, jakby T-shirt był całkowicie przezroczysty. Nie ruszyłam się jednak z miejsca. Stałam tylko i patrzyłam na niego.

Theo jako pierwszy przerwał ciszę.

– Na ile udało mi się stwierdzić, nikt na ulicy nie obserwuje tego budynku. Nikt nie szedł też za nami z klubu... a przynajmniej nikogo nie zauważyłem.

– A, jasne. Świetnie. – Dlaczego o tym nie pomyślałam? Właśnie w tym momencie uświadomiłam sobie, że nadal mam w organizmie więcej alkoholu, niż powinnam. Usiadłam na łóżku, ponieważ wirowało mi w głowie. – Myślisz, że Paul wie, że tutaj jesteśmy?

– Jeśli przyszło mu do głowy, żeby to sprawdzić.

Jasne, że sprawdził, czy ktoś go nie ściga – chciałam odpowiedzieć, ale się powstrzymałam. Na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

– Paul nie wie o pozostałych Firebirdach – zauważyłam. – Trzymałeś je w tajemnicy przed wszystkimi. Nawet przed nim.

– Czasem opłaca się być skrytym draniem. – Theo odwzajemnił uśmiech. Widziałam jednak, że nie jest całkowicie pewny siebie. – Mimo wszystko nie możemy zakładać, że Paul nie ma jeszcze jakiejś sztuczki w zanadru. Już raz go nie doceniliśmy. Nie popełniamy drugi raz tego błędu.

– Masz rację. – Moja wściekłość na Paula znowu groziła wyrwaniem się spod kontroli, ale zmusiłam ją, by ustąpiła. Całe ciało mnie bolało, a mózg był pogrążony w chaosie i jakby nie mój własny. Musiałam się przespać.

Głos Theo stał się łagodniejszy.

– Hej, rzuć mi jakąś poduszkę, dobra? Zrobię sobie posłanie na podłodze.

Rzuciłam mu jedną poduszkę, a on wziął zapasowy koc leżący w nogach łóżka. Byliśmy tak cicho, że usłyszałam szelest materiału trącego o materiał. Kiedy wsunęłam stopy pod kołdrę, Theo zgasił światło, tak że znowu znaleźliśmy się w ciemności.

Powoli się położyłam, ale cały czas byłam świadoma jego obecności. Oddech mi przyspieszył, a serce biło tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi.

To głupie tak się denerwować. Ufałam Theo. Nie miałam powodów obawiać się, że coś zrobi.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że to nie Theo jest osobą, której zachowania nie byłam pewna – nie wiedziałam, czego spodziewać się po sobie.

Byłoby tak dobrze zapomnieć o wszystkim znajdującym się dalej niż to łóżko i moja własna skóra.

Poza tym to był Theo. Jedyna osoba w tym świecie, na której mogę polegać, którą chcę mieć bliżej niż kogokolwiek innego...

Mój szept był jedynym dźwiękiem w pokoju.

– Nie musisz spać na podłodze.

Przez moment odpowiedziała mi tylko cisza. Potem Theo podniósł się ze swojego miejsca w nogach łóżka. Widziałam jego sylwetkę na tle blasku księżycy i uświadomiłam sobie, że przed snem zdjął koszulkę.

Bez słowa podszedł do mojej strony łóżka i usiadł, oparty o moją nogę. Materac ugiął się pod nim i sprawił, że przysunęłam się do niego trochę bliżej. Theo oparł rękę koło mojej poduszki, a drugą ręką odgarnął mi z twarzy wilgotne pukle włosów. Chciałam coś do niego powiedzieć, ale nie mogłam wymyślić niczego. Mogłam tylko tak leżeć, oddychać płytko i szybko, patrzeć na niego i jednocześnie pragnąć, by mnie dotknął, i bać się, że to zrobi.

Theo powoli pochylił się nade mną. T-shirt zsunął mi się odrobinę z jednego ramienia, a on musnął mnie w tym miejscu wargami, wzdłuż linii obojczyka. Pocałunek trwał tylko krótką chwilę. Przeszył mnie jak błyskawica.

– Zaproś mnie kiedyś znowu, kiedy oboje będziemy sobą – powiedział szeptem Theo. Uniósł głowę i uśmiechnął się ciepło. – Następnym razem nie ograniczę się do ramienia.

Z tymi słowami podniósł się z łóżka i wrócił na swoje miejsce. Wiedziałam już, że nie odezwie się ani słowem do rana.

Czy powinnam czuć się upokorzona, czy dumna? Moje serce wyrównało rytm, czułam się bezpieczna z Theo – najbezpieczniejsza od chwili, gdy dowiedziałam się o tacie. To sprawiło, że z łatwością zamknęłam oczy, odprężyłam się i pozwoliłam, by ogarnął mnie sen.

Obudził mnie śmiech.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że jestem z powrotem w domu. Tyle razy budziłam się i słyszałam moich rodziców i siostrę śmiejących się w kuchni, może także ich asystentów – głosy przyływały do mnie razem z zapachem gofrów z jagodami. Ale nie. Nadal jestem w sypialni innej Marguerite, w jej ciele i jej świecie.

Nie było mowy, żebym w biały dzień nosiła ten różowy T-shirt, więc zaczęłam macać szafkę przy łóżku z nadzieją, że znajdę coś do założenia. Moje palce natrafiły na jedwab, podniosłam żółty szlafrok przypominający krojem kimono, ozdobiony skomplikowanymi haftami. Zaskoczył mnie i poczułam się dziwnie, ponieważ wyglądał raczej jak coś, co mogłoby należeć do mnie. Marguerite z tego wymiaru zobaczyła ten jedwabny szlafrok i zareagowała tak jak ja – ponieważ na jakimś poziomie, którego nadal nie rozumiałam, byłyśmy tą samą osobą.

Zarzuciłam na siebie szlafrok i poszłam pospiesznie do kuchni. Iluzja mojego dawnego życia okazała się wyjątkowo silna, ponieważ mogłabym przysiąc, że czułam zapach gofrów z jagodami...

– Jesteś niegrzecznym chłopcem – zagruchała czule ciocia Susanna i nadal śmiała się z własnego żartu, kiedy weszłam. Zobaczyłam, jak siedzi przy kuchennym blacie, podczas gdy Theo uwija się przy kuchence. Miał na sobie koszulkę i bokserki, a na twarzy wyraźny zarost i uśmiech.

– Dopiero się poznaliśmy, a już masz mój numer – oznajmił Theo i wylał ciasto na patelnię. Zaraz potem podniósł głowę i zobaczył mnie. – Dzień dobry, Meg!

– Yyy, cześć – powiedziałam słabo. – Ty... robisz śniadanie?

– Naleśniki z jagodami. Nauczyłem się je robić od prawdziwego mistrza. – Theo miał na myśli mojego tatę. – Miały być gofry, ale okazało się, że Susanna ma szokujące braki w gofrownicach.

– Przyznaję się do winy. – Ciocia Susanna splótła ręce pod brodą gestem, który wydawałby się infantylny u kogoś w moim wieku, nie wspominając o niej. Przypomniałam sobie z dawnych wizyt w Londynie, że robiła to, żeby ukryć zmarszczki na szyi.

Boże, ona z nim flirtuje. Może poczułabym się zazdrosna, gdyby to nie było tak groteskowe.

Theo oczywiście także z nią flirtował.

– Dziewczyno, ktoś powinien iść z tobą na zakupy.

– Nie myśl, że nie szukałam jakiegoś sponsora – powiedziała. – Oczywiście powodzi nam się całkiem nieźle. Może dla odmiany to ja powinnam kogoś zasponsorować.

– Intrygująca uwaga. – Theo uniósł wygiętą brew, a potem przewrócił naleśnik.

Byłam w stanie obserwować to przez bardzo ograniczony czas.

– Ubiorę się – oznajmiłam i uciekłam do swojego pokoju.

Moją szafę w domu wypełniały sukienki, zwiewne spódnice, wzory kwiatowe, żywe kolory, dzianiny i koronki. Ta tutaj wyglądała jak rozkładówka w czasopiśmie, mająca pokazywać najdroższe i najbardziej niepraktyczne designerskie marki. Udało mi się znaleźć prosty czarny T-shirt i znośne szare spodnie, a także parę butów, które wyglądały, jakby nie miały zamęczyć moich stóp.

Kiedy wyszłam, natknęłam się na ciocię Susannę, która wracała do swojego

pokoju z talerzem w jednej ręce i widelcem w drugiej. Na talerzu był ostatni kawałek naleśnika. Rozpromieniła się na mój widok i powiedziała scenicznym szeptem:

– Ten mi się podoba. Jest mądrzejszy, niż zwykle wybierasz.

Kogo jeszcze ta inna Marguerite przyprowadzała do domu po nocy w klubie? Nie chciałam o tym myśleć.

Na blacie w kuchni czekał na mnie talerz z naleśnikami, a mój żołądek zaburczał z niecierpliwą wdzięcznością. Theo stał przy zlewie, oparty o blat. Nie podniósł głowy, kiedy weszłam.

– Dzięki – powiedziałam i usiadłam do śniadania. – Dobrze, że zaczynamy wcześniej, ale mogłeś mnie obudzić.

– Dzięki – powiedziałam i usiadłam do śniadania. – Dobrze, że zaczynamy wcześniej, ale mogłeś mnie obudzić.

– Tak, pewnie tak. – Wydawał się roztargniony, bardziej zmęczony niż wcześniej. Prawdopodobnie nie wypoczął porządnie, śpiąc na podłodze.

– Czy ciasto na naleśniki jest takie samo jak na gofry? – Zjadłam kęs i smakowało w zasadzie jak należy. – Ty już jadłeś?

– Co?

Podniosłam głowę znad talerza i zobaczyłam, że Theo gapi się na mnie. Wydawał się zdziwiony... może nawet zdenerwowany...

W tym momencie uświadomiłam sobie, że na jego szyi nie ma Firebirda. Pewnie zdjął go zeszłej nocy przed snem, a teraz pamięć zaczynała go zawodzić. Przez ostatnie kilka minut mój Theo zaczął tracić kontrolę nad tym ciałem i tą świadomością.

Mama jednak nie całkowicie się myliła, kiedy stwierdziła, że w alternatywnym wymiarze nasza świadomość będzie zanikać.

– Potrzebujesz przypomnienia. – Odłożyłam widelec, podeszłam do niego i złapałam go za rękę. Z mojego Theo pozostało wystarczająco wiele, żeby nie walczył ze mną ani nie zadawał pytań, kiedy ciągnęłam go z powrotem do sypialni.

Popchnęłam go lekko, co sprawiło, że usiadł na łóżku. Przez moment wyglądał jakby był sobą i uśmiechnął się.

– Czy nie przerabialiśmy tego zeszłej nocy?

– Boże, raz wreszcie przestań flirtować. – Zaczęłam grzebać w jego rzeczach na podłodze i znalazłam wisior z Firebirdem. Szybko zapięłam mu go na szyi. – Załóż to, dobrze?

– Co mam założyć?

Już o nim zapomniał. Wyraźnie nie zauważał także identycznego Firebirda na mojej szyi. Mama wyjaśniła kiedyś, że ponieważ Firebirdy należą do naszego wymiaru, są bardzo trudne do zauważenia dla mieszkańców innego wymiaru. Teoretycznie w momencie, kiedy zwróciłabym jego uwagę na wisior, Theo powinien go zauważyć – jednak Firebird znajdował się poniżej jego progu świadomości.

Całe szczęście, że ta teoria była prawdziwa. Inaczej ludzie natychmiast byliby zaskoczeni tym, że na ich szyi pojawił się Firebird, i zdejmowałiby go, tym samym destabilizując przyszłych podróżników międzywymiarowych, którzy właśnie tam przeskoczyli. W obecnej sytuacji ludzie mogli je nosić przez całe miesiące i niczego nie zauważać. Fizyka to dziwna rzecz.

– Poczekaj – powiedziałam, wzięłam jego Firebirda do ręki, ustawiłam sekwencję uruchamiającą przypomnienie i upuściłam wisior w momencie, gdy zamigotało wokół niego niebiesko-białe światło.

Powiedziano mi, że przypomnienie będzie boleć. Nie powiedziano mi, jak bardzo. Theo szarpnął się niemal konwulsyjnie, a potem zaklął i pochylił się bezwładnie do przodu. Przez moment myślałam, że stracił przytomność.

– Wstrząs? – zapytałam matkę, kiedy mi o tym powiedziała. – Przypomnienie to po prostu wstrząs elektryczny?

Rozpromieniła się, jakbyśmy rozmawiały o motylkach i tęczkach.

– Ależ skąd. Przypomnienie to niezwykle złożone przesunięcie rezonansowe. Chodzi tylko o to, że odczucie jest jak przy wstrząsie elektrycznym.

– Theo? – pochyliłam się i wzięłam go za ramiona. – Czy teraz już wszystko w porządku?

– Tak. W porządku. – Popatrzył na mnie. Oddychał ciężko i miał szeroko otwarte oczy. – W porządku – powtórzył, jakbym temu zaprzeczała.

– Mało brakowało. – Położyłam rękę na piersi, żeby się upewnić, że Firebird nadal tam jest. Krzywizna solidnego metalu w dłoni dodała mi pewności i sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać. Czy ja także będę w jakimś momencie potrzebować przypomnienia?

Theo był blady, oparł się o łóżko, jakby spodziewał się trzęsienia ziemi. Na moje pytające spojrzenie powiedział:

– Potrzebuję kilku minut. Zgodna?

– Jasne. – To musiało być równie przerażające, jak bolesne. Dlatego łagodnie potargałam jego i tak już rozwichrzona włosy, a potem wróciłam do kuchni, gdzie zjadłam naleśniki, jednocześnie snując plany.

Jeśli Paul jeszcze do nas nie jedzie, w ciągu godziny my pojedziemy do niego. Na pewno jest jakaś kolej jednoszynowa, która zawiezie nas szybko do Cambridge, prawda? Albo nawet tradycyjny pociąg. Znajdziemy go, zanim on nas znajdzie. A wtedy... zabijemy go.

Nie zapomniałam o tym, że Paul, którego muszę zniszczyć, jest obecnie pasażerem w ciele zupełnie innego Paula Markova. Chociaż w tym momencie wydawało mi się, że każdy człowiek do tego stopnia zły, jak Paul, będzie tak samo zły w absolutnie każdym wymiarze, nie wiedziałam tego na pewno. Dlatego nie było to takie proste. Nie wystarczyło znaleźć go i – bo ja wiem – zastrzelić czy coś w tym rodzaju.

Ale z Firebirdem można zrobić rzeczy, które są niebezpieczne dla związanego z nim podróżnika. Theo mi o tym powiedział.

Właściwie – postanowiłam – powinniśmy to omówić, zanim zrobimy cokolwiek dalej, zanim jeszcze wyjdziemy z domu.

Zdeterminowana włożyłam talerz do zlewu i wróciłam do sypialni, żeby pogadać z Theo. Jednak kiedy weszłam do środka, jego tam nie było. Jego ubranie leżało na podłodze, poza cienką czarną kurtką, której nigdzie nie widziałam.

– Theo? – Weszłam do łazienki i zdążyłam zrobić dwa kroki, zanim uświadomiłam sobie, jak jestem nietaktowna.

Wtedy właśnie go zobaczyłam i zrozumiałam, że chciał zostać sam. Zrozumiałam także, dlaczego.

Ponieważ Theo, mój przewodnik, leżał rozciągnięty na kafelkowej podłodze i dawał sobie w żyłę.

Rozdział szósty

– Theo? – zrobiłam krok naprzód i zatrzymałam się. Z jakiegoś głupiego powodu wstydziłam się, że widzę go w takiej sytuacji.

Zaraz po tym wstydzie przysłała złość. Dlaczego to ja mam się czuć nie w porządku? To nie ja postanowiłam się napruć w samym środku czegoś tak niebezpiecznego, tak ważnego...

W tym momencie Theo jęknął i opadł na bok na podłogę w łazience. Miał kompletny, całkowity odłot.

– Cholera. – Przyklęłam i przewróciłam go na plecy. Theo wyraźnie nie wiedział nawet, że tu jestem. – Co ty wyprawiasz?

Theo skoncentrował na mnie wzrok tylko na moment i wykrztusił jedno słowo.

– Sorki.

– Sorki? Przepraszasz mnie?

– Tak – powiedział. Widziałam, że w tym momencie moja złość jest bardzo daleko od niego. Cały świat jest daleko od niego.

Podniosłam buteleczkę, którą zobaczyłam na podłodze, nadal w połowie wypełnioną płynem w intensywnie szmaragdowym kolorze. Jaki narkotyk tak wygląda? To musiało być coś z tego wymiaru, ponieważ nigdy nie widziałam niczego podobnego.

Spróbowałam ułożyć Theo wygodniej na podłodze, żeby nie opierał się tak krzywo o toaletkę, a on zareagował na to, przewracając się na bok, żeby położyć mi głowę na kolanach. Z westchnieniem usiadłam na zimnych kafelkach, oparłam się plecami o ścianę i rozwiązałam gumową opaskę, którą zacisnął sobie na ramieniu. Na pewno nie byłoby dobrze zostawiać coś takiego na dłużej.

Czułam jego oddech, głęboki i miarowy, a jego pierś unosiła się na moich udach.

Oparłam głowę o toaletkę i starałam się uspokoić. Ale to było trudne. Theo... był niestabilny. Wiedziałam o tym. Wszyscy zaczęliśmy sobie z tego zdawać sprawę. Jego odwaga i lojalność nie zmieniały tego jednego kluczowego faktu.

Osoba, na której polegałam i wierzyłam, że pomoże mi przez to wszystko

przejsć, była kimś, na kim być może w ogóle nie należało polegać.

Chociaż muszę to przyznać niechętnie, to Paul jako pierwszy ostrzegł mnie przed Theo – jako pierwszy zorientował się, jak źle stoją sprawy, próbował coś powiedzieć. Na pewno podejrzewał to dłużej, ale zachowywał to dla siebie. Dopiero wypadek sprawił, że zabrał głos.

Wypadek wydarzył się dwa miesiące temu i to był jedyny raz, kiedy widziałam, że moi rodzice byli wściekli na Theo. Sprawę udało się załagodzić i nie stało się nic złego, ale mimo wszystko to zwróciło moją uwagę.

Tamtego dnia, po południu, gadałam z moją siostrą Josie, która przyjechała na weekend ze Scripps College. Pomagała mi się uczyć do egzaminów pozwalających zaliczyć liceum, które mogą być odrobinę skomplikowane dla kogoś, kto kształcił się w systemie edukacji domowej, a nie pod kątem standaryzowanych testów.

Wiem, jakie stereotypowe wyobrażenie o edukacji domowej mają osoby, które słyszą to określenie. Zakładają, że musi być bardzo religijna i na niskim poziomie, jakbyśmy siedzieli cały dzień i uczyli się, że Bóg stworzył dinozaury, żeby jaskiniowcy mieli na czym jeździć.

Jednak w moim przypadku wyglądało to tak, że moi rodzice zabrali Josie z publicznego przedszkola, kiedy wychowawczynie powiedziała, że to niemożliwe, żeby Josie potrafiła czytać na poziomie piątej klasy – najwidoczniej wyuczyła się odczytywania słów, których nie rozumie. Ja już w ogóle nie poszłam do prawdziwej szkoły. (Z tego, co słyszałam, niewiele mnie ominęło.) Zamiast tego mama i tata zatrudnili całą procesję nauczycieli – swoich asystentów i studentów z innych wydziałów uniwersyteckich – i zmusili mnie i Josie, żebyśmy pracowały ciężiej niż ktokolwiek. Co jakiś czas przyprowadzali dzieci innych wykładowców, żebyśmy były „dostosowane do życia w społeczeństwie”. Zaprzyjaźniałam się z tymi dzieciakami, ale najczęściej byłyśmy tylko we dwie z siostrą. Tak więc Josie i ja uczyłyśmy się o literaturze współczesnej od doktorantki, która przede wszystkim dawała nam do czytania przygotowywaną pracę doktorską o Toni Morrison. Francuskiego uczyli nas studenci z wymiany międzynarodowej, przez co poznawałyśmy różne dialekty i akcenty – paryski, haitański, quebecki. Udało nam się także przetrwać nauki ścisłe, których uczyła moja mama i były zdecydowanie najtrudniejsze ze wszystkiego.

Było sobotnie popołudnie, wietrzne i pochmurne. Moi rodzice nie wrócili

jeszcze z pracy, z laboratorium na uniwersytecie. Paul i Theo mieli pracować w domu nad równaniami, ale Theo wywabił Paula na zewnątrz, żeby mu pokazać najnowsze ulepszenia w swoim ukochanym samochodzie. Dlatego Josie i ja miałyśmy dom dla siebie.

Zamiast pomagać mi w nauce, Josie mnie piłowała.

– No daj spokój – powiedziała, bawiąc się długim pędem filodendronu mamy. – Będiesz zachwycona Instytutem Sztuki.

– Chicago jest okropnie zimne w zimie.

– Ojojjoj. Kupisz sobie płaszcz. Poza tym nie mów mi, że w tym całym Rislee czy Rismee nie bywa zimno...

– Rizdee. – Tak właśnie potocznie skracano nazwę Rhode Island School of Design. – Tak, wiem o tym, ale mimo wszystko w tym kraju to bezdyskusyjnie najlepsze miejsce, jeśli chodzi o konserwację dzieł sztuki.

Josie rzuciła mi spojrzenie. Jak na siostry, bardzo się różnimy – ona jest średniego wzrostu, ja jestem wysoka; ona jest wysportowana, ja wręcz przeciwnie. Ona odziedziczyła po rodzicach pasję naukową i idzie w ślady ojca, by zostać oceanografem, ja jestem rodzinnym dziwadłem, artystyczną duszą. Josie jest wyluzowana, ja denerwuję się każdym drobiazgiem. Ale mimo wszelkich dzielących nas różnic, czasem potrafiła mnie przejrzeć na wylot.

– Dlaczego chcesz się uczyć konserwacji dzieł sztuki, skoro zamierzasz być artystką?

– Zamierzam spróbować zostać artystką...

– Albo to robisz, albo nie, nie ma próbowania – oznajmiła Josie. – Chcesz być artystką. Wielką artystką. To nią bądź. Instytut Sztuki w Chicago byłby dla ciebie najwłaściwszym miejscem, prawda?

– Ruskin – to słowo wyrwało mi się, zanim zdołałam się powstrzymać. Josie rzuciła mi spojrzenie, które jasno mówiło, że nie pozwoli mi się wykręcić bez wyjaśnień. – Ruskin School of Fine Art w Oksfordzie. W Anglii. To by było... najlepsze.

– Dobra, wprawdzie będę za tobą okropnie tęsknić, jeśli pojedziesz do Anglii, ale nie wydaje ci się, że powinnaś chociaż pomyśleć o zdobyciu tego, co najlepsze? Uwierz mi, nikt tego za ciebie nie zrobi. – W tym momencie coś odwróciło jej uwagę od tego kazania. – Co to jest?

Jak już mówiłam wcześniej, nasi rodzice zazwyczaj nie pracowali z niesamowitymi futurystycznymi wynalazkami. To był jeden z wyjątków.

– To coś, co wymyślono w Triad Corporation.

Josie zmarszczyła brwi.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Co to jest?

– To nie jest przeznaczone na rynek. Wiesz, że Triad częściowo finansuje badania mamy i taty, prawda? No więc, to ma mierzyć... chyba rezonans wymiarowy. – Czasem odruchowo przestawałam słuchać technobełkotu. To był mechanizm obronny.

– Czy to powinno mrugać na czerwono?

Ale nie to, że w ogóle go nie słuchałam.

– Nie.

Szybko podeszłam do Josie. Urządzenie Triadu było dość zwyczajnie wyglądającym metalowym pudełkiem, trochę jak stary zestaw stereo, ale panel z przodu zazwyczaj pokazywał różne sinusoidalne linie w odcieniach niebieskiego i zielonego. Teraz szybko pulsował czerwonymi błyskami.

Może i nie jestem naukowcem, ale nie potrzeba tytułów naukowych, żeby wiedzieć, że czerwony to nic dobrego.

Moją pierwszą myślą było otworzyć drzwi do garażu i zawołać Paula i Theo, ale Theo czasem parkował na ulicy. Dlatego wyciągnęłam komórkę. Wybrałam numer Paula, a on odebrał, lakoniczny i szorstki jak zawsze:

– Tak?

– To... to coś z Triadu, stojące w pokoju... Czy to powinno migać czerwono?

Zamilkł na niecałą sekundę. Kiedy się odezwał, nacisk w jego głosie sprawił, że przeszły mnie ciarki.

– Wyjdź stamtąd. Natychmiast!

Odwróciłam się do Josie.

– Uciekaj!

Uciekła bez zastanowienia – Josie jest pod tym względem przytomna. Ja nie byłam aż tak przewidująca. Wcześniej zdjęłam buty, więc teraz potrzebowałam bezcennych trzech sekund, żeby założyć je z powrotem, zanim pobiegłam do drzwi. Kiedy jednak znalazłam się na progu...

Błysk był tak krótki, jak flesz aparatu fotograficznego, ale sto razy mocniejszy. Krzyknęłam, ponieważ zaboląły mnie oczy i poczułam zawroty głowy, może od tego, że tak szybko biegłam. Straciłam równowagę, chwiejnie wyszłam na schody przed domem i spróbowałam złapać oddech, ale to było trudne, zupełnie jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny.

W tym momencie na moich ramionach zacisnęły się duże, mocne dłonie, a mój wzrok się wyostrzył. Patrzyłam w oczy Paula.

– Marguerite? Wszystko w porządku?

– Tak. – Pochyliłam się do przodu i spróbowałam znaleźć kąć, pod którym uda mi się złapać równowagę. Zaczął padać zimny deszcz, ale bardzo delikatny, prawie jak mgiełka. Oparłam czoło o szeroką pierś Paula, czułam, jak jego serce bije szybko pod wilgotnym T-shirtem, jakby to on się przestraszył.

– Co się stało? – Theo przybiegł od strony ogrodu, rozbryzgując błoto martensami.

– Marguerite? Co się stało? – Josie także przybiegła do mnie.

– Ta cholerna maszyna Triadu, to się stało! – Paul dalej mnie przytulał, ale mimo to poczułam jego wściekłość, być może zdradzającą jego prawdziwą naturę. – Ustawiłeś ją na test przeciążeniowy?

– Nie! Oszalałeś? Wiesz, że nie zrobiłbym tego i nie zostawiłbym maszyny bez nadzoru.

– No to dlaczego się przeciążyła? – zapytał gwałtownie Paul.

– Co takiego? Serio? – Theo wyglądał na przerażonego. – Jezu, jak to się mogło stać?

– Co się stało? – zażądała odpowiedzi Josie. – Czy ja w ogóle chcę wiedzieć?

– Nie, nie chcesz. – Palce Paula zacisnęły się na moich ramionach. Trzymał mnie tak mocno, że zostawił sińce. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego było to jednocześnie onieśmielające i pocieszające, ale tak to odbierałam. Nie patrzył już na mnie. – Theo, kto ci ją dał? Conley osobiście? Ktoś z Triadu mógł zaprogramować test bez naszej wiedzy.

Theo prychnął.

– Nie popadaj w paranoję. Możesz raz spróbować? – Dodał łagodniej: – Oddychaj głęboko, Meg. Wszystko w porządku?

– W porządku – powiedziałam i w tym momencie tak się już czułam. Odsunęłam się od Paula i stanęłam o własnych siłach. Josie podeszła do mnie, ale miała dość rozsądku, żeby mnie nie przytulać, po prostu trzymała się blisko.

Paul w padającej mżawce podszedł do Theo; był od niego ponad dziesięć centymetrów wyższy i o wiele potężniej zbudowany, ale Theo nie drgnął nawet wtedy, gdy Paul szturchnął go palcem w obojczyk.

– Ktoś ustawił test przeciążeniowy. To nie byłeś ty. To nie byłem ja. Czyli to musiał być Triad. To nie paranoja, to fakty.

Chociaż Theo wyraźnie chciał się z tym kłócić, powiedział tylko:

– Okej, dobra, może się pomylili.

– Przez tę pomyłkę Marguerite mogło się coś stać! Powinieneś to zauważyć, gdybyś był ostrożniejszy. Ale nie byłeś, tak?

– Już przyznałem, że nawaliłem...

– Nie wystarczy, że to przyznasz! Musisz się bardziej postarać. Musisz umieć się skoncentrować. Jeśli nie potrafisz i jeśli znowu narazisz Marguerite, to liczą się z konsekwencjami. – Paul pochylał się nad Theo, wykorzystując przewagę wzrostu i złość, żeby go zastraszyć. – Czy to jasne?

Całe ciało Theo stężało i przez moment myślałam, że może odepchnąć Paula. Ale ten impuls minął tak samo szybko, jak się pojawił.

– Rozumiem, braciszku. Rozumiem. Wiesz chyba, że też się teraz czuję gównianie, prawda?

Nie byli braćmi, poznali się niecałe dwa lata temu, ale to określenie było ważne dla nich obu. Theo zaopiekował się Paulem, a Paul niemalże uwielbiał Theo, bardziej podziwiał niż zazdrościł mu swobodnego poczucia humoru i nadzwyczaj bogatego życia towarzyskiego. Trudno było mi wierzyć, że Paul nie mówił szczerze tamtego dnia, kiedy jego wzrok złagodniał.

– Wiem, że nie chciałeś, żeby coś takiego się stało, Theo – powiedział. – Ale nie możesz sobie pozwalać na brak koncentracji. Z żadnego powodu.

– Słuchajcie, to ja powiem Sophii i Henry’emu o wszystkim. Niczego nie będę ukrywać. Po prostu... zasługuję, żeby się od nich nasłuchać, jasne? – powiedział Theo i popatrzył na całą naszą trójkę.

– Dobrze – powiedział Paul i popatrzył na mnie, szukając potwierdzenia. Skinęłam głową. Josie wahała się przez dłuższą chwilę, ale w końcu także kiwnęła głową. Theo pochylił się, prawie jakby chciał się uklonić, a potem powlókł się do samochodu.

Paul podszedł do mnie i poprowadził mnie do domu. Najwyraźniej w środku było już znowu bezpiecznie. Josie poszła za nami i wskazała urządzenie.

– Możemy to przenieść?

– Dobry pomysł – stwierdził Paul. – Zabierzmy to z domu. Prawdopodobnie w ogóle nie powinniśmy tu tego przywozić.

Josie podniosła urządzenie oburącz – było naprawdę ciężkie – i wyszła,

zostawiając mnie samą z Paulem.

Odgarnął mi włosy z twarzy, a ja się poczułam nieoczekiwanie zawstydzona, więc spróbowałam obrócić to w żart.

– To jak, jestem teraz radioaktywna? Zyskałam supermoce?

– Nie, i wątpię w to.

– Czy mało brakowało, a to coś wysłałoby mnie do innego wymiaru?

– To urządzenie chwilowo osłabia granicę. To wszystko. Wszelkie inne efekty są... czysto teoretyczne. – Paul zamrugał i cofnął rękę. Objęłam się ramionami i odsunęłam się o krok. Kiedy właśnie myślałam, że chyba żadne z nas nie ma już nic do powiedzenia, Paul odezwał się znowu: – Wydaje mi się, że te, no... dodatkowe zajęcia Theo zaczynają go za bardzo absorbować.

– Nie chcę o tym myśleć. Nie stało się nic złego, prawda?

– Prawda.

Popatrzył na mnie, a ja przypomniałam sobie, jak mnie trzymał w ramionach. Dotykał moich włosów. Po raz pierwszy byliśmy tak blisko. Myślałam, że to „pierwszy raz”. A nie jedyny.

Zaczynałam się zastanawiać, czy Paul i ja moglibyśmy zacząć dla siebie coś znaczyć...

Nic – powiedziałam sobie gwałtownie. – *Nie, nieprawda. On cię zdradził. A ty go wykończysz.*

Wtedy powtarzałam sobie, że wypadek nie był zwiastunem żadnego poważniejszego trendu w życiu Theo, że to wiele hałasu o nic, ale się myliłam.

Zrozumiałam to, kiedy siedziałam na podłodze w łazience, z zeszytowanymi plecami, przez dobre pół godziny po tym, jak znalazłam Theo nieprzytomnego. Paul mógł kłamać w każdej innej sprawie, ale może naprawdę uważał Theo za swojego „brata”, przynajmniej w jakimś stopniu. Może zależało mu na tyle, że chciał, by Theo dostał jakąś pomoc.

A może Paul chciał tylko, żebym straciła zaufanie do Theo i ufała już tylko jemu.

Położyłam dłoń na głowie Theo, czułam pofalowaną strukturę jego gęstych, jedwabistych włosów. Jego ramię leżało bezwładnie na moich nogach. Poszukałam małego tatuażu nad nadgarstkiem, o którego pochodzeniu obiecywał mi opowiedzieć, ale nigdy tego nie zrobił... Ale to było niemądre. Theo z tego wymiaru najwyraźniej nie uznawał takiego ozdabiania ciała.

Powoli się poruszył, przytulił się do mojego brzucha, jakby to była

poduszka, a potem nieoczekiwanie podniósł się i usiadł koło mnie. Jego oczy wydawały się zaspane, pełne uczucia i półprzytomne, ale jednak był już prawie sobą.

– Mmmpf. Jak długo byłem nieprzytomny?

– Jakieś trzydzieści minut. – Po raz ostatni potraktowałam go pobłaźliwie. Podniosłam buteleczkę z zielonym płynem. – Co to, do diabła, jest?

Pożałowałam, że byłam tak zasadnicza, ponieważ wyglądał na rozpaczliwie zawstydzonego.

– Domowa robota – powiedział cicho. – Coś, czego używa ten Theo, pewnie upichcił to z jakimiś gośćmi z chemii. Daje niesamowity odlot.

On sobie żartuje o „odlotach”, kiedy robimy coś tak niebezpiecznego? Tak ważnego? Powinnam była mimo wszystko wezwać ambulans, będzie potrzebny Theo, kiedy z nim skończę.

Ale w tym momencie dodał:

– Przy okazji naprawdę się ciebie czepia. On... ja... potrzebowałem dawki. Próbowałem z tym walczyć, ale to ciało należy do tego wymiaru i, no wiesz, ma swoje wymagania. Kiedy tu jestem, muszę grać zgodnie z regułami tego świata.

– Ale nie tylko tutaj, prawda? – zapytałam. Gdyby tak było, miałam wrażenie, że Theo powiedziałaby o uzależnieniu swojego innego ja od narkotyków. Ta tajemniczość wydawała się wskazywać na coś więcej. – Brałeś także w domu, tak? Wszyscy to podejrzewaliśmy.

Theo przesunął dłoń po twarzy. Jego wzrok odzyskał zwykłą przytomność.

– Nie jestem uzależniony – powiedział w końcu. – Nie w domu. To... raczej kwestia psychiki. Czasem muszę wyjść ze swojej głowy, uciszyć wszystkie te głosy powtarzające, jakim jestem dupkiem. – Wstyd na jego twarzy odmalował się wyraźniej. – Nie cierpię siebie za to, że tego potrzebuję. Ale potrzebuję.

– Od jak dawna bierzesz?

Skrzywił się, ale odpowiedział pewnym głosem.

– Dopiero od kilku miesięcy i nigdy nie przeszkadzało mi to w pracy. Nigdy. Przysięgam.

Czy zapomniał już o wypadku? Mama i tata byli wściekli, kiedy im powiedział. Potarłam mrowiące ramię, które całkiem mi zdrętwiało pod ciężarem Theo.

– Okej.

– Przepraszam, że tak cię zostawiłem. – Theo sięgnął do mojej ręki, jakby chciał ją wziąć, ale się powstrzymał. – Już po wszystkim, jasne? Zupełnie po wszystkim.

Skinęłam głową i podniosłam się z podłogi.

– Jeszcze jedno...

– Tak?

– Polegam na tobie. – Głos drżał mi lekko, ale nie próbowałam tego opanować. Niech Theo zrozumie, jak bardzo mnie zranił. – Musimy powstrzymać Paula niezależnie od wszystkiego. Nie dam rady tego zrobić bez ciebie, a ty nie dasz rady tego zrobić, jeśli będziesz cały czas napruty. Więc weź się w garść.

Wydawał się urażony, ale nie zamierzałam czuć się winna. Theo zawsze umiał się wykręcić od odpowiedzialności, robiąc smutne oczy – ale nie tym razem.

– Potrzebuję cię. Potrzebuję ciebie całego. Nie myśl nawet, żeby mnie znowu zostawić. – Przeszyłam Theo najtwardszym spojrzeniem. – Rozumiesz?

Skinął głową i popatrzył na mnie z czymś, co mogło być nawet szacunkiem.

– Doprowadź się do porządku – powiedziałam i wskazałam prysznic. – Masz na to kwadrans. Potem spływamy stąd. Mamy coś do zrobienia.

Rozdział siódmy

Theo wyszedł z mojego pokoju wyszorowany do czysta. Założył nowy T-shirt ze swojego plecaka, szary z obrazkiem jakiegoś nieznanego mi zespołu rockowego, chyba z lat sześćdziesiątych – The Gears. Był świeżo ogolony i pachniał mydłem, a wilgotne włosy były zaczesane w sposób, który na innym chłopaku wydawałby się niemal schludny. Kiedy na mnie spojrzał, spodziewałam się jakiegoś cienia zawstydzenia, ale Theo wydawał się tylko zdeterminowany. Skoncentrowany. To dobrze, potrzebowałam tego bardziej niż jego skruchy.

Początkowo żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć, a Theo nie był w stanie dłużej wytrzymać mojego wzroku. Popatrzyłam na jego koszulkę, ponieważ było to mniej krępujące niż patrzenie mu w oczy – i w tym momencie uświadomiłam sobie, że znam część członków The Gears.

– Zaraz. To są Paul McCartney i George Harrison, ale... kim są ci pozostali goście?

– Nie mam pojęcia. – Theo naciągnął koszulkę i spojrzał w dół. – Najwyraźniej nie spotkali Johna Lennona, ani nawet Ringo Starra, więc Beatlesi w ogóle nie zaistnieli. Ale ci goście stali się naprawdę sławni i bez tego.

W tym wszechświecie nie było Beatlesów. Nieistnienie zespołu, który rozpadł się na kilkadziesiąt lat przed moim urodzeniem, sprawiło mi przykrość. Znałam wszystkie ich piosenki na pamięć dzięki mojemu ojcu. Tata był największym fanem Beatlesów na świecie. Jego ulubioną piosenką było In My Life i nucił ją zawsze, kiedy zmywał po obiedzie.

Wspomnienie zapiekło – nienawidziłam tego uczucia, nienawidziłam tego, że wszystkie dobre wspomnienia zmieniły się w coś bolesnego, ale potrzebowałam tego bólu.

Ciocia Susanna suszyła jeszcze włosy, więc zdołaliśmy uciec z apartamentu bez kolejnej mdlącej rundy flirtowania między nią a Theo. Kiedy winda wiozła nas na parter, postarałam się poukładać nasze plany.

– No dobrze. Po pierwsze musimy się dowiedzieć, czy Paul wyjechał z Cambridge...

– Zapomnij. – Theo założył kurtkę. – Jeśli nadal jest w Cambridge, to nie

jest Paulem Markovem, którego szukamy. Jeśli Paul przeskoczył do tego wymiaru, jeśli jest wewnątrz tej wersji Paula, to zaczął działać. Na pewno.

To się wydawało bardzo daleko idącym wnioskiem.

– Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Wiem, że Paul zachowywał się od kilku miesięcy prawie jak paranoik, jeśli w grę wchodziło Triad Corporation – odparł Theo. – Jakby goście, którzy nas sponsorują, mieli sabotować finansowane przez siebie badania. Nie ma sensu, no nie? Ale chyba teraz już wiem, że Paul... nie myślał jasno. Ujmijmy to w ten sposób.

Może na tym polegał cały sekret – Paul przez ostatnie kilka miesięcy powoli popadał w szaleństwo. Wydawało nam się, że zachowuje się normalnie, ale zawsze był tak cichy, tak introwertyczny, że nie można było odgadnąć, co się dzieje w środku.

– To ma sens. Ale co nam to daje?

– Triad Corporation może być jednym z największych koncernów technologicznych na świecie, ale wszyscy wiedzą, że jego sukces jest dziełem jednej osoby, Wyatta Conleya. – Theo triumfalnie podniósł nadgarstek i wyświetlił przed nami holograficzny artykuł z prasy. Zapomniałam o niezwykłości tej technologii, kiedy tylko przeczytałam nagłówek: CONLEY ZABIERZE GŁOS NA KONFERENCJI TECHNOLOGICZNEJ W LONDYNIE.

– On tu jest – powiedziałam, kiedy przeczytałam datę. – Wyatt Conley jest dzisiaj w Londynie.

– On tu jest – powiedziałam, kiedy przeczytałam datę. – Wyatt Conley jest dzisiaj w Londynie.

– A to znaczy, że nie musimy szukać Paula. Wystarczy, że znajdziemy Conleya, ponieważ jeśli nasz Paul jest tutaj, będzie on jego pierwszym celem.

To miało sens, że Conley także tutaj będzie geniuszem technologicznym. Jest dopiero koło trzydziestki, ale uważa się go za jednego z gigantów – przede wszystkim dlatego, że zaledwie w wieku lat szesnastu opracował podstawowe elementy smartfona. Triad to chyba najbardziej prestiżowa korporacja na świecie, której nowa siedziba, efektowna i ultranowoczesna, powstaje niedaleko mojego domu, w Berkeley Hills. Po gadzety i sprzęt Triadu ludzie ustawiają się w kolejkach na dwa-trzy dni przed premierą. Osobiście uważam, że to trochę głupie, tak się ekscytować telefonem, bo ja wiem, o dwa milimetry cieńszym od poprzedniego modelu, ale nie będę się czepiać, ponieważ fundusz

badawczy Triadu umożliwia mamie pracę.

Najwidoczniej Paul postanowił zwrócić się jednocześnie przeciwko każdemu, kto kiedykolwiek mu pomógł.

Drzwi windy otworzyły się, a my znaleźliśmy się w eleganckim lustrzanym holu. Uśmiechnęłam się do portiera, kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, gdzie zimny grudniowy wiatr potargał moje włosy i zatrzepotał kurtką Theo. Portier wyglądał na zaskoczonego, nie wydaje mi się, żeby ta Marguerite poświęcała czas na zachowywanie się życzliwie wobec ludzi. Kiedy tylko zostaliśmy sami, zapytałam:

– Skąd wiesz, że to nie my będziemy pierwszym celem Paula?

Theo wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale tak czy inaczej, nie musimy tracić czasu na jego poszukiwania. Walka sama przyjdzie do nas.

Konferencja technologiczna odbywała się w superluksusowym hotelu w centrum miasta. Theo i ja pojechaliśmy tam lśniącym wagonikiem kolejki jednoszynowej, która wiła się nad głowami przechodniów.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytałam, kiedy usiedliśmy na plastikowych siedzeniach. Nad naszymi głowami holograficzne reklamy lśniły i kołysały się jak psychodeliczne ozdoby choinkowe. – Na tego rodzaju konferencje nie sprzedaje się wejściówek na miejscu, prawda?

– Jasne, że nie. Jeśli głównym prelegentem ma być Wyatt Conley, te wejściówki pewnie kosztowałyby jakieś tysiąc dolców za sztukę.

Otworzyłam szeroko oczy. W tym wymiarze miałam więcej pieniędzy, ale to mimo wszystko dużo – poza tym, tak kosztowne wejściówki były z całą pewnością dostępne tylko w przedsprzedaży.

– To co zrobimy?

– Zakradniemy się do środka. – Rzucił mi spojrzenie kątem oka i uśmiechnął się. – Ponieważ to ja w naszym zespole mam talenty przestępcze, zostaw to mnie, okej? Kiedy znajdziemy się w środku, nikt się nie będzie zastanawiać nad naszą obecnością, jeśli tylko nie puszczą nam nerwy.

Gośćmi takiej konferencji będą rekiny biznesu, milionerzy i tak dalej, a Theo ma na sobie podniszczone dżinsy, kurtkę i T-shirt.

– A twoje ciuchy?

– To ty jesteś ubrana niestosownie na technologiczną konferencję, chociaż oczywiście, jak zawsze, wyglądasz zjawiskowo. – Był zarozumiały jak

zawsze, jakbym nie widziała go naprutego i bezradnego na podłodze w łazience godzinę temu. Czy to budziło we mnie wściekłość czy ulgę? Theo wskazał gestem wytarte dzinsy. – Ja pewnie wyglądam ciut za elegancko, ale jakoś powinno być. Trzymaj się blisko mnie, jasne?

– Jasne.

Nerwowa energia wzbierała we mnie, ponieważ byliśmy coraz bliżej konfrontacji z Paulem. A może nie – mogliśmy się pomylić. To nie musiał być Paul Markov z naszego wymiaru. A jeśli uciekł zupełnie gdzie indziej?

Wtedy będziemy musieli przeskoczyć do nowego wymiaru, z całkiem nowymi regułami gry, gdzie może dzielić nas o wiele większy dystans. Na samą myśl o tym bolała mnie głowa.

A jednak, może w tym nowym wymiarze będę z rodzicami. Obojgiem. W tej chwili mama wydawała mi się równie odległa, jak tata.

Co mama robi teraz w domu? Theo i ja zostawiliśmy jej wiadomość z wyjaśnieniem, co zamierzamy zrobić. Na pewno była wściekła, kiedy ją przeczytała, ale bez własnego Firebirda nie mogła ruszyć za nami. To okropne, myśleć o tym, że teraz boi się o mnie i o Theo, podczas gdy strata taty jest tak świeża, ale kiedy postanowiliśmy wyruszyć, nie zastanawiałam się nad tym, jak długo będziemy nieobecni w naszym własnym wymiarze. Jak na razie nie było nas od półtora dnia.

Zastanawiałam się, czy odbyła się ceremonia żałobna – nie mogli zrobić tacie prawdziwego pogrzebu, nie mogli nawet położyć go na ostateczny spoczynek...

Nie. Nie mogłam pozwolić, żeby takie myśli mnie ogarniały. Byliśmy tak blisko naszego celu, że musiałam być silna.

– Pokaż mi, jak użyć Firebirda – powiedziałam i wyciągnęłam wisior spod bluzki.

– Znasz podstawy, tak?

– Nie chodzi mi o podstawy. – To było trudne nawet do powiedzenia. – Chodzi mi o to, żebyś mi pokazał, jak za jego pomocą zabić Paula. Naszego Paula.

– Może trochę ciszej? – Theo rozejrzał się, ponieważ otaczali nas inni pasażerowie. Byli jednak zbyt zajęci własnymi ekranami holograficznymi i słuchawkami, żeby usłyszeć choćby słowo z tego, o czym mówiliśmy.

– Pokaż mi – nalegałam.

– Posłuchaj, dla twojego bezpieczeństwa i dla mojego spokoju sumienia

zostawmy to mnie, zgoda?

– Moje bezpieczeństwo nie jest jednym z naszych priorytetów.

– Mów za siebie – oznajmił tak gwałtownie, że poczułam jednocześnie dreszcz ekscytacji i strachu na myśl o tym, co chciał przez to powiedzieć.

Mówiłam ciszej, ale mój upór był nieugięty.

– Musisz mi pokazać, jak to zrobić, na wszelki wypadek. – W głębi serca wiedziałam, że zabicie Paula było moim zadaniem, moim obowiązkiem, moim prawem, ale wiedziałam także, że Theo nie przyjmie do wiadomości takiego argumentu. Skoro obawiał się o moje bezpieczeństwo, mogliśmy pomówić o bezpieczeństwie. – Jeśli coś się stanie z tobą, powinnam móc się obronić.

Theo nadal patrzył na mnie nieufnie.

– Wiesz, że to nie będzie łatwe? Żebyś to zrobiła, Paul musi być nieprzytomny albo musisz mu zerwać Firebirda z szyi, zakładając, że ma go przy sobie. Co nie jest pewne.

Paul mógł schować go gdzieś w sejfie, ale założyłabym się, że tego nie zrobił. Theo i ja nadal nosiliśmy nasze, ponieważ były zbyt cenne, żeby trzymać je gdziekolwiek indziej niż na sercu.

– Rozumiem – powiedziałam. – Pokaż mi.

Theo pochylił się i pokazał mi bardzo złożoną sekwencję obrotów i skrętów licznych warstw i zębatek Firebirda – oczywiście tylko jako pantomimę. Ten proces miał tyle kroków, że dopiero zaczęłam go zapamiętywać.

– Dlaczego to tyle trwa? Jak ktokolwiek miałby to zrobić w sytuacji podbramkowej?

– Nikt tego nie powinien robić, kropka – odparł Theo. Jego głowa była pochylona tak blisko mojej, że jeden z moich pukli muskał jego policzek, ale Theo go nie odgarnął. – Stworzyliśmy urządzenie do podróży międzywymiarowych, a nie maszynę do zabijania. To, co ci pokazuję, technicznie rzecz biorąc jest resetem, czymś, co należy robić tylko we własnym wymiarze, żeby Firebird mógł... zostać powiązany z inną osobą, innym rezonansem wymiarowym, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Trochę. – Pozwoliłam, żeby frustracja wzięła we mnie górę. – Chciałabym tylko, żeby to było prostsze.

– To musi być skomplikowane, ponieważ dla każdej osoby, która jest poza swoim wymiarem, byłoby fatalne w skutkach. Nie chcemy, żeby ktokolwiek zrobił to przez przypadek podczas podróży.

Patrzyłam, jak dłonie Theo raz za razem powtarzają sekwencję,

i pomyślałam o tym znowu – że mam kogoś naprawdę zabić. Prawdziwego człowieka, nawet jeśli nie przebywa w tym momencie we własnym ciele.

Jest w cudzym ciele – napomniałam siebie. – *Dzięki temu uwolnisz Paula z tego świata.* Ale trudno mi było zdobyć się na święte oburzenie w sytuacji, kiedy sama porwałam cudze ciało.

Poza tym nie chodziło o anonimowego obcego. To był Paul. Ten, który wyglądał, jakby nigdy nie dostał wspanialszego prezentu urodzinowego niż krzywy tort, jaki upiekła dla niego mama. Ten, z którego kiedyś żartowałam, że kupuje wszystkie ciuchy w sklepach z odzieżą na wagę – a potem poczułam się podle, kiedy zobaczyłam, że jest zawstydzony, bo kupował je nie dlatego, żeby być hipsterski, tylko dlatego, że nie miał pieniędzy. Paul z szarymi oczami, cichym śmiechem i zagubionym spojrzeniem, który przytulał mnie do piersi, kiedy się bałam...

Paul potrafił spojrzeć na całe dobro, jakie było w moim ojcu, całą miłość, jaką od niego dostał, a potem zamordować go bez mrugnięcia okiem. Dlaczego ja nie potrafiłam tego samego? Dlaczego ja nie mogłam być równie twarda, jak on? To ja miałam motyw, prawo, żeby kogoś zabić. To nie ja powinnam czuć się okropnie, chora i z poczuciem winy.

Za tatę – powtórzyłam sobie, ale po raz pierwszy to zabrzmiało głucho.

Żołądek mi się skręcił, wagon kolejki wydał się za ciepły. Kilka razy odetchnęłam głęboko, żeby się opanować, a Theo popatrzył na mnie.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedziałam krótko. – Chyba zapamiętałam.

– Uważaj, kiedy będziesz to konfigurować – powiedział i kliknięciem zamknął Firebirda, którego cienkie metalowe warstwy złożyły się jak skrzydła owada. – Zrobiliśmy je tak, żeby były łatwe do naprawienia i dostosowania, więc kiedy rozkładasz je w ten sposób, mogą się rozlecieć na kawałki. To łatwo naprawić, jeśli się potrafi, ale tego nie nauczę cię przez godzinę. Ani przez miesiąc.

– Jasne. To skomplikowane. Nie musisz mi o tym przypominać.

Theo spojrział na mnie brązowymi oczami, pełnymi ciepła i zrozumienia.

– Mamy zabić człowieka. Powinnam tryskać optymizmem?

Podniósł dłonie w geście, jakby się poddawał.

– Wiem, że to jest trudne. Mnie też nie jest łatwo.

Braciszek. Theo zabierał Paula w różne miejsca w ramach tego, co nazywał „poprawką z dorastania” – starał się zainteresować go muzyką, klubami, nawet

dziewczynami, wszystkim tym, co go ominęło, kiedy w wieku trzynastu lat zaczął studiować fizykę. Oczywiście Theo robił to po części dlatego, żeby napawać się statusem bohatera, ponieważ Paul uważał, że Theo jest jakieś osiemdziesiąt razy bardziej niezwykły niż ktokolwiek na Ziemi.

Przynajmniej myśleliśmy, że tak uważał. Ostatecznie Theo został oszukany przez Paula w takim samym stopniu, jak my wszyscy. Równie gorzko zdradzony.

– Przepraszam. – Oparłam głowę o plastikowy podkład i popatrzyłam w górę, na świecące holograficzne reklamy przewijające się nad nami i namawiające mnie do kupienia produktów, o których nigdy nie słyszałam. – Wiem, że zachowuję się okropnie. Jestem po prostu zmęczona.

– To nie jest łatwe – zgodził się. – Możemy odłożyć bycie miłymi na później. Jak już będzie po wszystkim.

– Właśnie.

Kolejka zatrzymała się na naszej stacji. Theo i ja jednocześnie wysiedliśmy z wagonu, bez jednego słowa. Może nadal myślał o tym, że na bycie miłym przyjdzie czas później. Może też tak powinnam myśleć. Zamiast tego mój mózg zaćmiewała niepewność co do tego, czego się dowiemy, gdy spotkamy Paula, i czy w ogóle go spotkamy. Co gorsza, zadreślały mnie wątpliwości co do mojej determinacji.

Nie mogłam nawet patrzeć na Theo, ponieważ zorientowałby się, jak bardzo jestem wytrącona z równowagi. Dlatego patrzyłam na tłum mijający nas na stacji zrobionej z metalowych kratownic i holograficznych znaków, z nadzieją, że coś odwróci moją uwagę od ponurego zadania, jakie nas czekało.

Jeden człowiek zatrzymał się w pół kroku. Wysoki mężczyzna w długim czarnym płaszczu przyglądał się holograficznej mapie okolicy, unoszącej się w górze. Kiedy kątem oka zobaczyłam ruch, spojrzałam w tamtą stronę, a moją pierwszą myślą było: *Ma zawał serca.*

Wtedy zobaczyłam, kto to jest.

Ścigałam Paula Markova do innego wymiaru. Teraz dzieliło mnie od niego niecałe dziesięć metrów.

Rozdział ósmy

Wyciągnęłam rękę, żeby ostrzec Theo, ale żadne ostrzeżenie nie było potrzebne.

– Sukinsyn – wyszeptał Theo.

Ruszył przed siebie, ale złapałam go garścią za koszulę.

– Przestań. Theo, przestań.

– Co ty... – W pierwszej chwili był wściekły, że go powstrzymałam, tak wściekły, że mnie to zaszokowało, ale zaraz się wyraźnie uspokoił. – Racja. To nie jest dobre miejsce na konfrontację. Prawdopodobnie na każdym kroku są kamery monitoringu i ochrona kolei.

Nie dlatego zatrzymałam Theo, tylko dlatego, że widok Paula przypomniiał mi chwilę, gdy po raz pierwszy policja wymieniła jego nazwisko i wskazała go jako podejrzanego w sprawie śmierci taty. To dziwne, ale nie poczułam od razu złości, byłam zbyt oszołomiona czymś tak konkretnym. Cały czas myślałam, że to nie może być prawda. Że te straszne rzeczy, jakie słyszę, nie mogą być prawdziwe.

Policjanci stali w naszym salonie, a mama płakała z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy mówili o „podejrzanym zachowaniu” Paula, a ja w kółko myślałam, że powinnam do niego zadzwonić, żeby mógł wyjaśnić, co się naprawdę dzieje.

W tym momencie, kiedy na niego patrzyłam, nie widziałam mordercy mojego ojca. Widziałam Paula, którego dawniej znałam.

Przez którego wydawało mi się, że może w końcu się zakocham.

Święto Dziękczynienia w naszym domu zawsze było odrobinę dziwne. Nie mieliśmy praktycznie żadnej rodziny poza ciocią Susanną, a ona była zdania, że Święto Dziękczynienia to jakiś barbarzyński amerykański obyczaj, którym można się zarazić. Dlatego moi rodzice zapraszali przypadkową gromadkę studentów fizyki, wykładowców i sąsiadów. Studenci zawsze przynosili po jednej potrawie, a że pochodzili z całego świata, oprócz indyka na obiad jedliśmy kimchi lub empanadas. Kiedyś Louis – który był z Missisipi – przyniósł coś, co się nazywało turducken. Sama nazwa wydała mi się wyjątkowo dziwaczna, ale okazało się, że jest to indyk nadziewany kaczką

nadziejaną kurczakiem i musiałam przyznać, że smakował przepysznie. To było jedno z najlepszych dań, jeśli mam być szczerą. Czasem czyjś wkład był naprawdę żałosny, jak wtedy, gdy Theo przyniósł babeczki i wszyscy udawaliśmy, że nie pochodzą ze sklepu.

Paul poprosił o możliwość skorzystania z naszej kuchni, ponieważ nie miał u siebie kuchenki. Dlatego byłam świadkiem jego gotowania.

– Lazania? – Podciągnęłam się, żeby usiąść na blacie. – Zupełnie jak za czasów pierwszych pielgrzymów.

– Nic innego nie umiem przyrządzać. – Paul popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na sos pomidorowy w misce, jakby sos zrobił coś, co go osobiście uraziło. – W każdym razie nic, co warto by przynosić.

Powstrzymałam się od wytknięcia, że skoro gotuje u nas w domu, to właściwie niczego nie przynosi. W końcu zaczęłam czuć się swobodniej w jego obecności i wydawało mi się, że może zdołam się przebić przez to milczenie i skrępowanie, żeby zrozumieć Paula Markova.

Mama i tata byli na uniwersytecie. Theo był na imprezie, a Josie miała przylecieć z San Diego następnego dnia rano, zdaje się, że dlatego, bo spędzała cały dzień, surfując z przyjaciółmi. Dlatego Paul i ja byliśmy dla odmiany sami. Jak zawsze miał na sobie spłowiałe džinsy i T-shirt. (Przysięgam, on chyba uważał, że ludziom nie wolno nosić niczego poza czarnym, białym, szarym i dżinsem.) A jednak z jakiegoś powodu sprawiał, że czułam się przesadnie elegancka w tunice i legginsach.

– Dlaczego nie pojedziesz do domu na Święto Dziękczynienia? – Zdołałam nie dodać „jak normalny człowiek”. – Nie chcesz odwiedzić rodziców?

Paul zacisnął usta w wąską linię.

– Nie bardzo.

– Och. – Gdybym tylko mogła, cofnęłabym te słowa, ale to było niemożliwe. – Przepraszam – dodałam bardzo cicho.

– Nie ma sprawy. – Po kolejnej chwili niezręcznej ciszy Paul dodał: – Mój ojciec... nie jest dobrym człowiekiem. Matka nie umie mu się przeciwstawić. Nie rozumieją życia, jakie dla siebie wybrałam. Są zadowoleni, że mam stypendium, bo nie muszą mi dawać pieniędzy. To właściwie wszystko, co jest do powiedzenia.

To było oczywiste kłamstwo – jak mogło nie być nic więcej do powiedzenia w takiej sprawie? – ale nie zamierzałam dokładać kolejnej nieuprzejmości i się dopytywać. Musiałam się jednak zastanawiać, jacy

beznadziejni rodzice mogliby mieć problem z tym, że ich syn jest wybitnym fizykiem. Albo też, co może się kryć za zdaniem „nie jest dobrym człowiekiem”.

Zastanowiłam się, jak zmienić temat rozmowy.

– No, yyy, a co to za muzyka?

– Rachmaninow. Wariacja 18 z Rapsodii na temat Paganiniego. – Spojrzał na mnie. – Rozumiem, że to już trochę przestarzałe.

– To Theo nabija się z twojej muzyki klasycznej, nie ja. – Ponieważ Theo nie było w pobliżu, mogłam w końcu coś przyznać. – Mnie się właściwie podoba. To znaczy, muzyka klasyczna.

– Naprawdę?

– Nie znam się na kompozytorach ani nic z tych rzeczy. Ale nauczyłam się trochę na lekcjach fortepianu – dodałam pospiesznie. – Po prostu... kiedy ją słyszę, wydaje mi się piękna. – Rachmaninow był naprawdę niesamowity, dźwięki pianina toczyły się jedne przez drugie w niekończących się crescendach.

– Zawsze przepraszasz za rzeczy, których nie wiesz. – Paul nie podniósł nawet wzroku znad miski, w której mieszał mozzarellę z białym serem. – Powinnaś przestać.

– Przepraszam, że nie urodziłam się wszystkowiedząca – odparowałam, urażona.

Znieruchomiał, odetchnął głęboko i spojrzał na mnie.

– Chodziło mi o to, że nie powinnaś się wstydić tego, że nie masz wiedzy na jakiś temat. Nie możemy się niczego nauczyć, jeśli nie zaczniemy od przyznania, ilu rzeczy nie wiemy. Nic nie szkodzi, że nie znasz muzyki klasycznej. Ja też nie znam muzyki, której słuchasz, takiej jak ta Adele and the Machine.

– To Florence and the Machine. Adele jest solistką. – Spojrzałam na niego kątem oka. – Wiedziałaś o tym, prawda? Chciałaś tylko poprawić mi humor.

– ...jasne – powiedział Paul, a ja zrozumiałam, że naprawdę się pomylił.

Zanim zdążyłam sobie z tego zażartować, popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na naczynie z lazanią, jakby zawierało nieudany eksperyment. Płaty makaronu, które ułożył na dnie, zaczęły się skręcać, jakby chciały uciec.

– Kupiłaś makaron bez gotowania, tak? – zapytałam i zeskoczyłam z blatu. – On się czasem tak zachowuje.

– Myślałam, że będzie szybciej.

– Możesz i tak do tego włożyć surowy makaron... Zaczekaj. – Ściągnęłam z wieszaka fartuch i szybko go zawiązałam. – Pomogę.

Przez następne kilka minut pracowaliśmy ramię w ramię. Paul układał warstwy makaronu, sera i sosu, a ja drewnianą łyżką starałam się przytrzymać zawijające się płaty prosto, zanim przycisnęliśmy je następną warstwą. Para sprawiła, że włosy mi się skręcały, Paul klął po rosyjsku i oboje śmialiśmy się jak głupi. Wcześniej nie miałam pojęcia, że Paul umie się tak śmiać.

Kiedy już skończyliśmy, musieliśmy przykryć naczynie żaroodporne przed wstawieniem go do piekarnika i oboje jednocześnie sięgnęliśmy po folię aluminiową. Nasze dłonie zetknęły się zaledwie na sekundę. Nic nadzwyczajnego.

Widywałam się z nim praktycznie codziennie od ponad roku, ale w tym momencie zobaczyłam Paula jako kogoś nowego. Zupełnie jakbym nigdy wcześniej nie zauważała czystości jego szarych oczu ani wyrazistych rysów jego twarzy. Zupełnie jakby jego ciało przestało w jednej chwili być wielkie i niezgrabne, a stało się silne. Męskie.

Atrakcyjne.

Nie, seksowne.

Co takiego on widział, kiedy na mnie patrzył? Cokolwiek to było, sprawiło, że leciutko rozchylił wargi, jakby był zaskoczony.

Od razu odwróciliśmy spojrzenia. Paul oderwał kawałek folii aluminiowej, a kiedy lazania piekła się w piecyku, powiedział, że musi popracować nad jakimiś równaniami. Ja poszłam do swojego pokoju malować, co w praktyce oznaczało, że gapiłam się przez kilka minut na tubki z olejną farbą i próbowałam złapać oddech.

Co się właśnie stało? Co to znaczyło? Czy to cokolwiek znaczyło?

Od śmierci ojca żałowałam, że nie mogę cofnąć tej chwili z Paulem. Ale to było niemożliwe.

Paul Markov jest niebezpieczny. Zabił twojego ojca. Wiesz o tym. Jakim mięczakiem jesteś, skoro nie potrafisz go za to znienawidzić? Nie zmarnuj następnej okazji. Kiedy po raz kolejny go zobaczysz, nie będziesz się wahać. Nie będziesz myśleć o wspólnym pieczeniu lazanii i słuchaniu Rachmaninowa.

Będziesz działać.

Udało nam się wyjść w ślad za Paulem ze stacji kolejki tak, żeby nas nie zauważył.

– Widziałaś tę reakcję? – mruknął do mnie Theo. – To prawdopodobnie było przypomnienie. Teraz nas rozpozna. Trzymajmy się za nim.

Instynkt Theo okazał się prawidłowy – Paul kierował się na konferencję technologiczną, na której miał się pojawić Wyatt Conley. Jak na spotkanie poświęcone najnowocześniejszym technologiom, wybrano dziwne miejsce – budynek, który musiał mieć setki lat, z edwardiańskimi gzymsami i ozdobami. Również wchodzący do środka goście tworzyli dziwną zbieraninę. Byli wśród nich eleganccy profesjonaliści w garniturach koloru stali lub atramentu, którzy nie przerywali mówienia do holograficznych ekranów nawet idąc po schodach. Inni wyglądali jak studenci pierwszego roku, którzy właśnie wstali z łóżka, ale byli obwieszeni jeszcze większą liczbą gadżetów technologicznych niż menedżerowie.

– Mówiłem ci, że będę wyglądał zbyt elegancko – mruknął Theo, kiedy Paul zniknął za drzwiami.

– Jak on wszedł do środka? – zapytałam. – Miał już wejściówkę, czy przemknął się koło ochrony?

– Nie ma sensu się martwić, jak on się tam dostał, dopóki nam także nie uda się wejść. Zostaw to mnie, Meg.

Najwyraźniej Theo spędził całą drogę do Anglii, rozpracowując działanie tych zaawansowanych systemów komputerowych. Kiedy staliśmy przy schodach i udawaliśmy, że wcale nam się nie spieszy do wejścia, zdołał się włamać do bazy organizatorów konferencji. Dlatego kiedy pojawiliśmy się przy stanowisku rejestracji i wyraziliśmy oburzenie – oburzenie! – że nie mają jeszcze dla nas przygotowanych identyfikatorów, które zamówiliśmy, naprawdę znaleźli w systemie nasze nazwiska. Dwa pospiesznie wydrukowane identyfikatory – później weszliśmy do środka.

Theo podał mi ramię. Wsunęłam pod nie rękę, kiedy weszliśmy do sali konferencyjnej. Ogromna przestrzeń była już przyciemniona, żeby lepiej było widać ogromny ekran rozmiarów kinowych, czekający na scenie.

– Muszę przyznać – szepnęłam do Theo – że gładko ci poszło.

– Mam na drugie imię Gładki. No dobrze, tak naprawdę Willem, ale jeśli komuś o tym powiesz, to ostrzegam, że się zemszcze.

Siedzieliśmy prawie na końcu, żeby móc lepiej się przyjrzeć całej widowni i zobaczyć, kiedy Paul podejmie działanie... zakładając, że zamierza to zrobić.

Chyba nie było go wśród publiczności.

Jeśli Theo zauważył mój ponury nastrój, nie okazał tego w żaden sposób.

– Całe szczęście, że mogłem poznać ten wymiar tak dobrze, jak to możliwe i tak szybko, jak to możliwe. To naprawdę spora różnica. – Najwyraźniej mogliśmy tu rozmawiać tak samo swobodnie, jak w kolejce, bo większość ludzi wokół nas była otoczona przez małe holograficzne ekrany i prowadziła rozmowę lub dwie jednocześnie. – Musimy to umieścić w przewodniku po podróżach międzywymiarowych, który kiedyś wspólnie napiszemy: „Autostopem przez wymiary”.

Pozwolenie naukowcowi, żeby zaczął opowiadać o pomysłach Douglasa Adamsa, to zdecydowanie zły pomysł, więc zadałam pytanie, które chodziło mi po głowie prawie od początku pobytu w tym wymiarze.

– Jaki może być sąsiedni wymiar?

– Co masz na myśli? – Theo zmarszczył brwi.

– Chyba myślałam... No wiesz, że wymiar sąsiadujący z naszym będzie go bardziej przypominać. Będzie się różnić kilkoma szczegółami. A ten jest kompletnie odmienny.

– Zacznijmy od tego, że to nie jest „kompletnie odmiennie”. Granice państw przebiegają tak samo. Większość największych marek pozostała bez zmian, z wyjątkiem tu obecnej. – Miał na myśli logo „ConTech”, wyświetlające się na ekranie. W naszym wszechświecie Wyatt Conley założył Triad. – Zaufaj mi, wymiary mogą być o wiele bardziej odmiennie od tego.

– Dobra, jasne. – Rozumiałam, o co mu chodzi. Ostatecznie, nie było tu żadnych dinozaurów.

Theo – zawsze zachwycony okazją do popisania się wiedzą – mówił dalej:

– Po drugie, żaden wymiar nie jest, technicznie rzecz biorąc, „bliżej” ani „dalej” niż inne. Nie w kategoriach zwykłej odległości. Niektóre wymiary są matematycznie bardziej zbliżone do siebie niż inne, ale to nie musi korelować z faktycznym podobieństwem tych światów.

Kiedy pojawiło się słowo „korelować”, wiedziałam, że Theo zaraz przejdzie na technobełkot. Dlatego natychmiast zadałam pytanie wprost.

– Czyli mówisz, że jeśli Paul chciałby tylko uciec do „sąsiedniego wszechświata”, to może być sąsiedni wszechświat, nawet jeśli ten wymiar pod wieloma względami różni się od naszego.

– Właśnie. – Światła zgasły, a Theo się wyprostował. Szmer rozmów wśród publiczności ucichł, zniknęły różnobarwne hologramy. – Czas

na przedstawienie.

Ekran, zamiast logo ConTechu, zaczął wyświetlać film promocyjny, jak zawsze pokazujący rozpromienionych ludzi w różnym wieku i z różnych kultur, jednomyślnie używających technologicznych gadżetów, by uczynić swoje i tak już wspaniałe życie jeszcze wspanialszym. Różniły się tylko pokazywane produkty – samochody bez kierowcy, przypominające ten, którym jeździła Romola, wizjery holograficzne i inne rzeczy, których jeszcze nie widziałam, jak skanery medyczne diagnozujące za pomocą dotyku i jakaś gra przypominająca paintball laserowy, ale z prawdziwymi laserami. Kobieta napadnięta przez najbardziej schludnego bandziora wszechczasów odwróciła się i stanowczym gestem dotknęła swojej bransolety. Ten szarpnął się jak porażony prądem i upadł na ziemię, a kobieta odeszła bez pośpiechu.

Spojrzałam na ciężką bransoletę na nadgarstku, tę z wygrawerowaną od środka nazwą Defender. Teraz już rozumiałam.

Muzyka w tle zakończyła się triumfalną fanfara, obraz pociemniał, a prowadzący oznajmił:

– Panie i panowie, oto przed wami wynalazca stulecia, założyciel i prezes ConTechu... Wyatt Conley.

Brawa. Wyatt Conley wszedł na scenę w blasku punktowego reflektora.

Mimo że od ponad roku płacił za badania moich rodziców, nigdy nie poznałam Conleya osobiście. Wiedziałam jednak, jak wygląda, podobnie jak każdy, kto korzystał z internetu lub oglądał telewizję w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Chociaż zbliżał się do trzydziestki, Conley wydawał się niewiele starszy od Theo i Paula. Było w nim coś chłopięcego, jakby nigdy nie został zmuszony, by dorosnąć i nie zamierzał robić tego teraz. Miał pociągłą, szczupłą twarz, przystojną na ekscentryczny sposób – Josie mówiła nawet, że wydaje się jej atrakcyjny. Był ubrany w całkowicie zwyczajne spodnie i równie zwyczajny T-shirt z długim rękawem, który z całą pewnością kosztował tysiąc dolarów za sztukę. Włosy miał tak samo kręcone i nieposłuszne jak ja, ale jaśniejsze, prawie rude, co pasowało do piegów na jego nosie i policzkach. To oraz słynne dowcipy, jakie sobie robił kosztem innych celebrytów, zyskały mu przydomek „Bliźniaka Weasleya z Doliny Krzemowej”.

– Przez cały czas podróżujemy – powiedział Conley z leciutkim uśmiechem.
– Wy, ja, wszyscy na planecie Ziemia. Ta podróż z każdą chwilą staje się

coraz szybsza, przyspiesza coraz bardziej. Mówię o podróży do przyszłości, a raczej o podróży do przeszłości, którą tworzymy dzięki technologii.

Pewnym siebie krokiem przeszedł przez scenę, a ekran za jego plecami wyświetlił infografikę zatytułowaną „Tempo zmian technologicznych”. Przez większość historii ludzkości wyglądało ono jak bardzo powoli wznosząca się linia. Później, w połowie dziewiętnastego wieku, linia zaczęła się wspinać gwałtownie do góry, a przez ostatnie trzy dekady była niemalże pionowa.

Conley mówił dalej.

– Pomimo wszelkich różnic dzielących ich epoki, Juliusz Cezar zasadniczo rozumiałby świat Napoleona Bonaparte, wodza, który żył niemal dwa tysiące lat później. Niewykluczone, że Napoleon zrozumiałby Dwighta Eisenhowera, który toczył bitwy niespełna sto pięćdziesiąt lat po Waterloo. Ale nie wydaje mi się, żeby Eisenhower potrafił objąć umysłem drony militarne, satelity szpiegowskie czy jakkolwiek z technologii, które stoją dziś na straży światowego bezpieczeństwa.

Jak na lekcję historii to było niemal interesujące. Może to ze względu na to, jak gestykulował – jak podekscytowany dzieciak. Ale w momencie, kiedy naprawdę zaczynałam słuchać Conleya, zobaczyłam Paula idącego szybkim krokiem do bocznego wyjścia.

Dłoń Theo zacisnęła się ostrzegawczo na moim przedramieniu.

– Też go zauważyłaś? – zapytał szeptem.

Skinęłam głową. Theo podniósł się z miejsca, pochylony, żeby nie zasłaniać innym i nie robić zamieszania, a ja zrobiłam to samo, byśmy mogli wyslizgnąć się z widowni.

Kilka osób popatrzyło na nas z irytacją, ale jedynym dźwiękiem słyszalnym w sali był głos Conleya.

– Ludzie od pokoleń obawiają się trzeciej wojny światowej. Popełniają jednak ogromny błąd. Spodziewają się, że wojna będzie wyglądać tak jak dotychczas.

W kuluarach było prawie pusto, jeśli nie liczyć kilkorga znękanym asystentów, przygotowujących jakiś poczęstunek na później. Dlatego nikt nie zwracał na nas uwagi, kiedy staraliśmy się zorientować, dokąd właściwie mógł pójść Paul. W tak starym budynku układ pomieszczeń był zupełnie inny od spodziewanego.

– Może tędy? – Theo otworzył drzwi prowadzące do ciemnej sali, pozbawionej krzeseł i stołów.

Weszłam za nim do środka, a drzwi zamknęły się za nami i pogrążyły nas w ciemności, rozpraszaną tylko przez słaby blask gadżetów, jakie na sobie mieliśmy – holograficznych przypinek i mojej bransolety do samoobrony. Znowu słyszeliśmy przemówienie Conleya, trochę tylko stłumione.

– Następne wyzwania, przed jakimi stanie ludzkość, będą kompletnie różne od tego, z czym mieliśmy wcześniej do czynienia. To prawda, oznacza to nowe zagrożenia, ale także nowe możliwości.

W tym momencie usłyszeliśmy coś jeszcze. Kroki.

Ramię Theo objęło mnie w pasie, kiedy pociągnął mnie do tyłu tak, że stanęliśmy pod ścianą, ukryci w najgłębszej ciemności. Adrenalina buzowała mi w żyłach, włosy na głowie zaczęły mrowić i z trudem mogłam zaczerpnąć oddech.

Kroki się zbliżyły. Popatrzyliśmy na siebie z Theo, ramię w ramię w ciemności. Jego ręka nadal przyciskała mój żołądek. Było zbyt ciemno, żebym mogła zobaczyć wyraz jego oczu.

– Przeciwny róg. Biegiem – wyszeptał.

Rozdzieliliśmy się. Pobiegłam w kąt sali, tak jak mi kazał, natomiast Theo ruszył prosto w stronę, z której dochodził odgłos kroków... Okazało się, że to wysoki mężczyzna w mundurze i bez poczucia humoru.

Wiedziałam, że ktoś taki jak Wyatt Conley ma ochroniarzy.

– Chciałem tylko dostać po prelekcji autograf – tłumaczył Theo i nie zatrzymywał się, żeby odciągnąć strażnika dalej ode mnie. – Myśli pan, że podpisałby mi się na rękę? Mógłbym wtedy wytatuować sobie jego autograf!

Prawdopodobnie Theo chciał, żebym się stąd wymknęła, podczas kiedy on odwracał uwagę strażnika. Zamiast tego podkradłam się bliżej sceny.

Na scenie Conley oznajmił:

– Niebezpieczeństwa, których powinniśmy się obawiać, nie przypominają tych, do jakich przywykliśmy. Nadejdą z kierunków, z których się ich nie spodziewamy.

Theo protestował, gdy strażnik wyprowadzał go z sali.

– No daj pan spokój, nie ma co się denerwować... – Drzwi znowu się zamknęły, a ja przestałam słyszeć jego głos. Obejrzałam się przez ramię, jakby wypatrywanie Theo mogło go sprowadzić tutaj z powrotem...

...i w tym momencie dłoń Paula Markova zacisnęła się na moich ustach.

– Nie krzycz – wyszeptał morderca mojego ojca.

Rozdział dziewiąty

Paul pociągnął mnie do tyłu, jedną ręką przytrzymując w pasie, a drugą zaciskając na moich ustach. Nogi się pode mną ugięły i dosłownie musiałam się zmusić, żeby nie zemdleć.

Co mam zrobić? Zawsze wyobrażałam sobie, że go atakuję, a nie – że zostaję zaatakowana. Jak mogłam pozwolić, żeby mnie dopadł? Jak mogłam być tak głupia?

– Co ty tu robisz? – zapytał szeptem. Byliśmy tuż za kurtyną. – Jak się tu w ogóle znalazłaś?

Złapałam go za rękę, chociaż wiedziałam, że nie mam dość siły, żeby ją odepchnąć – i w tym momencie zauważyłam bransoletę na swoim nadgarstku.

Defender.

Szybko nacisnęłam bransoletę jak kobieta na filmie. W jednej chwili na dłoń Paula przeskokczył niebiesko-biały impuls.

Paul wrzasnął z bólu, a ja wyrwałam mu się – i potknęłam się tak, że przeszłam przez kurtynę na scenę. Przez chwilę stałam w blasku reflektorów, zaszokowana, dosłownie kilka metrów od Wyatta Conleya. Patrzyliśmy na siebie, podczas gdy zaskoczona publiczność szumiała, a ja starałam się wymyślić, co mogłabym powiedzieć.

W tym momencie dłoń Paula zamknęła się na moim łokciu, a ja wrzasnęłam.

– Ochrona! – krzyknął Conley, kiedy Paul ściągnął mnie ze sceny. Ludzie na widowni także zaczęli krzyczeć. Ale ochroniarza nie było pod ręką, ponieważ był zajęty wyrzucaniem Theo. To oznaczało, że mogłam liczyć tylko na siebie.

Szarpnęłam się w uścisku Paula tak gwałtownie, jak tylko mogłam. Pewnie nadal był osłabiony po szoku elektrycznym, ponieważ udało mi się uwolnić. Rzuciłam się do ucieczki.

Jak mogłam być taką idiotką? Jak mogłam wątpić, że Paul nie jest niebezpieczny? Zabił mojego ojca, a ja nadal chciałam rozstrzygać wątpliwości na jego korzyść. Głupia, głupia, głupia. Nigdy więcej nie pozwolę, żeby facet zrobił ze mnie taką idiotkę.

Wypadłam z budynku i pobiegłam w stronę stacji kolejki.

Kroki na chodniku i krzyki odpychanych ludzi podpowiadały mi, że Paul

depcze mi po piętach.

– Marguerite! – krzyknął. – Stój!

Jakbym miała zamiar go słuchać.

Krople deszczu rozpryskiwały mi się na twarzy, chodnik z każdą chwilą stawał się ciemniejszy. Lśniący trójwymiarowy znak kolejki dodał mi sił i sprawił, że pobiegłam jeszcze szybciej.

Wpadłam do środka z włosami ociekającymi wodą i bez wahania przeskoczyłam nad bramką biletową. Jeśli zwrócę w ten sposób uwagę ochrony, tym lepiej.

Ale nawet nie zatrzymując się, usłyszałam, że Paul przeskakuje przez bramkę w ślad za mną.

Mój pierścień zaczął migać – tylko jedna osoba mogła do mnie dzwonić. Udało mi się uderzyć w pierścień i przede mną pojawiła się nieostra i drżąca twarz Theo.

– Słyszałem... czekaj, co tam się dzieje?

– To Paul! Zaraz mnie dogoni! Jesteśmy na stacji!

Ekranik natychmiast zgasł. Theo biegł tutaj tak szybko, jak mógł, ale nie byłam pewna, czy dotrze do mnie w porę.

Korytarz stacji rozwidlił się w kilku kierunkach prowadzących do różnych linii. Wbiegłam do najbliższego, nie zastanawiając się ani nie przejmując się, co będzie lepsze, a potem zakłęłam cicho, kiedy usłyszałam skład wjeżdżający na stację. Tłum mógł mnie ochronić przed Paulem, ale chronił także Paula przede mną.

Ale biegłam dalej. Nie mogłam już teraz zawrócić.

Pasażerowie tłoczyli się wokół mnie, a holograficzne gry i rozmowy wirowały wokół nich jak elektroniczna mgła. Jak to możliwe, że tak długo po godzinie szczytu było tu tylu ludzi? Odwróciłam się bokiem, żeby nie wpaść na nikogo – i wtedy dłoń Paula zacisnęła się na moim ramieniu.

Błyskawicznie odwróciłam się i uderzyłam go pięścią prosto w twarz.

AŁA. O szlag. Nikt mi nie powiedział, że uderzenie kogoś boli tak samo, jak bycie uderzonym. Paul cofnął się chwiejnie, a najbliżsi ludzie zatrzymali się gwałtownie, dopiero teraz uświadamiając sobie, co właśnie zobaczyli.

Paul patrzył na mnie, przytrzymując czerwieniejącą szczękę, jakby... jakby nie rozumiał. Jak mógł nie rozumieć?

Za mną kolejka odjechała z peronu w podmuchu powietrza i z hałasem, który niemal zagłuszył jego słowa:

– Kto cię tutaj ściągnął?

Nie miałam szansy odpowiedzieć, ponieważ Theo przepchnął się przez tłum i rzucił się na Paula.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął.

Paul przeniósł spojrzenie ze mnie na Theo w ułamku sekundy przed zderzeniem. Pozostali pasażerowie w jednej chwili się rozproszyli i zaczęli krzyczeć, biegnąc w stu kierunkach naraz. Wielki facet wpadł na mnie z taką siłą, że uderzyłam w metalową barierkę.

Spróbowałam złapać oddech i popatrzyłam na Paula i Theo na ziemi. Theo w pierwszej chwili miał przewagę, ponieważ klęczał, podczas gdy Paul leżał na plecach. Jego pięść uderzyła w szczękę Paula z taką siłą, że usłyszałam trzask.

Potem spróbował go uderzyć po raz drugi. Paul zablokował rękę Theo i w tym momencie wyraz jego twarzy zmienił się z zaskoczenia i urazy w furję.

Zaczęły pulsować czerwone światła alarmowe. Bariierka rzucała dziwne cienie, które wydawały się kreślić linie wokół nas i poprzez nas. Niedługo będzie tutaj ochrona. Cholera.

Ale to wszystko straciło znaczenie, kiedy zobaczyłam, że Paul rzucił Theo do tyłu. Theo poleciał tak daleko, że uderzył w jedną z holograficznych reklam, zachwalających wypoczynek we Włoszech. Gdy Theo na wpół zniknął za przezroczystym Koloseum, Paul skoczył za nim i przykląkł na nim.

– Ty – warknął i ścisnął w garści T-shirt Theo. Nie miałam pojęcia, że twarz Paula może tak wyglądać, bezduszna i wykrzywiona furją. – Jak tu za mną przeskoczyłeś?

Theo kopnął Paula prosto w pierś, ale to spowolniło go tylko na chwilę. Paul natychmiast odzyskał równowagę i uderzył Theo pięścią w szczękę. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Wiedziałam oczywiście, że Paul jest większy od Theo, ale jakoś nie uświadamiałam sobie, jaki jest wielki. Jak bardzo jest niemożliwe, by Theo zdołał go sam powalić.

Ale udało mi się odzyskać oddech. Theo nie musiał już radzić sobie sam.

Pobiegłam do nich, skoczyłam przez holograficzną reklamę i uwiesiłam się Paulowi na szerokich plecach. Jęknął z zaskoczenia i spróbował mnie dosięgnąć, ale zacisnęłam jedną rękę na jego szyi, a drugą na jego włosach. No to co, że ciągnięcie za włosy to babski sposób walki? To boli, więc działa.

– Co... – Paul spróbował mi się wyrwać, ale gdy zacisnął dłoń na moim przedramieniu, nagle znieruchomiał. – Marguerite, przestań.

Ledwie słyszałam jego słowa w hałasie wjeżdżającej na stację kolejki.

– Idź do diabła – powiedziałam.

Na wolnej ręce miałam bransoletkę do samoobrony. Kiedy uderzyłam go nią w bok, zadziałała i znowu poraziła go prądem tak, że krzyknął z bólu.

Theo zdołał wstać i sięgnął do wisiora z Firebirdem Paula. Właśnie tak – właśnie tak, wystarczy, że przytrzymam Paula, podczas gdy Theo go wykończy.

W tym momencie Paul odchylił głowę do tyłu i spojrzał na mnie. Jego szare oczy popatrzyły na mnie pytająco, z poczuciem zdrady i ogromnym bólem, które znałam aż za dobrze, ponieważ czułam to samo. Przez krótką chwilę wątpliwości przyćmiły wszystko, a mój uścisk osłabł.

Paul potrzebował tylko krótkiej chwili.

Wykręcił się z mojego uścisku i uderzył Theo łokciem w twarz, posyłając go na ziemię. Spróbowałam poprawić uchwyt, ale to było niemożliwe, ponieważ teraz wykorzystywał całą przewagę wzrostu i masy, żeby mnie powstrzymać.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął. Światła alarmowe pulsowały ponad nami i zmieniały strużkę krwi w kąciku jego ust z czerwonej na czarną i z powrotem.

– Powstrzymuję cię! – Zamachnęłam się, ale jego duża dłoń z łatwością zatrzymała moją.

Theo wstał chwiejnie, ale Paul to zauważył. W jednej chwili złapał mnie – dosłownie podniósł z ziemi – i przepchnął się przez drzwi kolejki tuż przed zamknięciem. Wyrwałam mu się w porę, żeby zobaczyć, że Theo przyciska dłonie do szklanych drzwi. Ale było za późno. Kolejka ruszyła.

Na krótką chwilę przycisnęłam dłoń naprzeciwko Theo, oddzielona tylko szybą. Wydawał się przerażony, ale nic nie powiedział. Co mógł powiedzieć? Nic nie mogło zatrzymać przyspieszającej kolejki, która nas rozdzieliła, pozostawiając tylko odciski jego palców.

Skład wjechał do tunelu, w ciemność. W wagonie nie było nikogo poza nami. Paul i ja oddychaliśmy ciężko i staliśmy, oświetlani tylko przez holograficzne reklamy nad nami. Nadal miał na szyi Firebirda. Byliśmy sami.

– Jak Theo cię tutaj sprowadził? – zapytał cicho Paul. – I dlaczego?

Podniosłam głowę.

– Theo na własną rękę odtworzył prototypy Firebirda. Nie przypuszczałeś, że będzie to umiał zrobić?

– Prototypy. Jasne – szepnął, zupełnie jakby się cieszył, że to słyszy. – Ale... ale dlaczego zabrał cię ze sobą? Nie rozumiesz, jak bardzo to jest

niebezpieczne?

– To nie ma znaczenia. Jeśli myślałeś, że możesz zabić mojego ojca i uciec, to...

– Co takiego? – Jego twarz pobladła tak nagle, że przez moment wydawało mi się, że może zemdleć. – Co... coś ty powiedziała... Henry nie żyje? Nie żyje?!

Zaskoczenie i ból, które widziałam, były bardzo prawdziwe. Niektórzy ludzie są dostatecznie dobrymi aktorami, by odegrać szok, ale nieśmiały, niepewny Paul Markov nigdy nie był takim typem. Nie ma mowy, żeby udawał taką zgrozę albo łzy, które widziałam w jego oczach.

W tym momencie to do mnie dotarło, a cios był raczej oszałamiający niż bolesny: Paul nie zabił mojego ojca.

– O Boże. – Paul pospiesznie otarł oczy, z całej siły starał się skoncentrować. – Jak to możliwe, że Henry nie żyje?

Wszystkie te chwile, którymi zadręczałam się przez ostatnie dni – Paul uśmiechający się nad tortem urodzinowym, słuchający Rachmaninowa, stojący w drzwiach mojej sypialni – były prawdziwe. Paul był prawdziwy.

Ale skoro tak, to co się, do cholery, działo? Skoro Paul nie zabił taty, to kto to zrobił?

– Chwila. Myślałaś, że ja go zabiłem?! – powiedział Paul bez cienia złości, jaką ja czułabym na jego miejscu. Był tylko kompletnie zaskoczony, jakby nie miał pojęcia, jakim cudem w ogóle mogłam uwierzyć w coś tak dziwnego. – Marguerite, co się stało?

– Jego samochód wpadł do rzeki. Ktoś grzebał przy hamulcach. – Mój głos był cichutki i wydawał się obcy.

– Musisz mi uwierzyć, nie skrzywdziłbym Henry'ego. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

– To naprawdę wyglądało tak, jakbyś to był ty. – Kiedy tylko to sobie uświadomiłam, uświadomiłam sobie coś jeszcze gorszego. – Myślę, że ktoś cię zrobił.

Paul zaklął półgłosem.

– Po cholere Theo zabrał cię ze sobą?

– Dlaczego zachowujesz się, jakby wszystko zależało od Theo? Sama chciałam, żeby mnie zabrał. Muszę się dowiedzieć, kto zrobił coś takiego tacie.

W tym momencie ogarnęła mnie fala gniewu. Przedtem wydawało mi się, że

wiem, kogo mam obwiniać za śmierć taty. Wydawało mi się, że wiem, kogo mam nienawidzić. Teraz nie wiedziałam. Przez ostatnie kilka dni tylko ta nienawiść dodawała mi sił. Czułam się naga i bezbronna.

Kolejka skręciła w tunelu, a podłoga pod nami zakołysała się do przodu i do tyłu. Reklamy lekko zamrugały. Twarz Paula do połowy kryła się w cieniu, jak na okładce albumu Rubber Soul.

– Dowiem się, kto skrzywdził Henry’ego. – Paul zrobił krok w moją stronę.
– Przysięgam ci to.

– Skoro nie wszystko zależy od Theo, to tym bardziej nie wszystko zależy od ciebie! Dobra, czyli nie ty zabiłeś tatę i zniszczyłeś dane. Więc kto to zrobił? Dlaczego uciekłeś?

Paul znowu mnie zaskoczył.

– Nie zabiłem Henry’ego, ale zniszczyłem dane w laboratorium.

Położył mi dłonie na ramionach. Wzdrygnęłam się. Nie mogłam tego powstrzymać. Cofnął ręce błyskawicznie, jakby pomyślał, że zrobił mi krzywdę.

– Powiedz Theo, że przepraszam. Kiedy zobaczyłem go wcześniej, pomyślałem... Obwinałem go za coś, czego nie zrobił. Teraz już rozumiem, że chciał tylko zrobić coś dla Henry’ego... – Głos znowu zaczął mu się załamywać. Rozpacz, jaką oboje odczuwaliśmy, przeszła nas jednocześnie, jak elektryczny impuls przeskakujący od niego do mnie albo ode mnie do niego. – Ale powiedz też Theo, że ma cię natychmiast zabierać do domu. Im szybciej, tym lepiej. To najważniejsza rzecz, jaką może zrobić.

– Nie. Musisz mi wyjaśnić.

– Wracaj do domu. Ja się wszystkim zajmę – powiedział tylko.

Kolejka zakołysała się na torze tak gwałtownie, że się zachwiałam. W ułamku sekundy, zanim złapałam równowagę, Paul ścisnął w dłoni Firebirda i...

Trudno mi dokładnie opisać, co się wydarzyło. Chociaż nic się nie poruszyło, przez moment miałam wrażenie, że powietrze wokół nas zadrzało od podmuchu wiatru i zmieniło coś nieokreślonego w wyglądzie Paula. Podniósł głowę, jakby był zaskoczony, dotknął dłonią rozciętej wargi i skrzywił się. Kiedy zobaczył krew na palcach, wyraźnie nie pamiętał, skąd się tam wzięła.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że na jego szyi nie ma już Firebirda. Nie było żadnego rozbłysku światła, żadnych dźwięków nie z tego świata, nic

w tym rodzaju. W jednej chwili Firebird był, a teraz go nie ma.

Paul zniknął. Skoczył dalej, do jeszcze innego wymiaru.

Co oznaczało, że mężczyzna stojący przede mną był... nadal Paulem Markovem, ale Paulem należącym do tego świata.

Kolejka zatrzymała się na stacji. Złapałam się słupka, żeby utrzymać równowagę, a Paul zrobił to samo, ale niezgrabnie, jakby niezupełnie rozumiał, co się dzieje. Uświadomiłam sobie, że naprawdę nie rozumie. Stoi tutaj, w wagonie, i nie pamięta, skąd się tu wziął ani nawet kim ja jestem.

– Co tu się dzieje? – zapytał Paul-nie-Paul.

– Ja... – Jak miałam to wyjaśnić? – Wsiądźmy tutaj, dobrze?

Chociaż Paul patrzył na mnie nieufnie, w czym nie było nic dziwnego, wysiadł ze mną i razem wyszliśmy ze stacji na ulicę.

Znaleźliśmy się chyba w zupełnie innej dzielnicy Londynu, bardziej przypominającej miasto, jakie pamiętałam. Było tu więcej starych budynków, a na niebie nie było żadnego futurystycznego pojazdu. Znowu zaczęło padać, więc schowaliśmy się pod sklepową markizą. Paul wydawał się teraz mniej zagubiony, a bardziej wytrącony z równowagi.

– Gdzie ja jestem?

– W Londynie.

– Tak, to jasne – powiedział. Sposób, w jaki mrużył oczy, kiedy był niepewny lub zirytowany, wydawał mi się tak znajomy, że trudno mi było wierzyć, iż to nie jest mój Paul. – Przyjechałem rano na konferencję. Żeby posłuchać wystąpienia Wyatta Conleya. Planowałem to od tygodni i mógłbym przysiąc, że pamiętam, jak wysiadałem z pociągu. Potem... nic nie pamiętam.

Miał tak czy inaczej przyjechać na konferencję technologiczną. To oczywiste, dlaczego fizyk miałby nie być zainteresowany jednym z największych współczesnych innowatorów?

– Nie pamiętasz niczego, bo ja wiem... z ostatnich dwóch dni?

– Pamiętam... trochę – powiedział Paul. Wyraz jego twarzy, mowa ciała, wszystko odrobinę różniło się od naszego Paula, tego, którego znałam i który właśnie stąd uciekł. Jakie to dziwne, że potrafiłam zauważyć różnicę w sposobie, w jaki przechylał głowę. – Ale kim ty jesteś? Kto mnie uderzył?

Ja to zrobiłam. Theo i ja cię pobiliśmy, a ty jesteś nieznajomym, który nigdy nic nam nie zrobił.

– Wybuchła bójka. Już po wszystkim. Nic złego się nie stało.

– Ale... – Popatrzył na swoje duże dłonie i zauważył, że ma otarte kłykcie.

Wyraz zagubienia na jego twarzy nagle tak bardzo zaczął przypominać Paula, że wstrzymałam oddech.

Żałowałam, że nie mogę tego wyjaśnić.

Dlatego powiedziałam tak łagodnie, jak tylko mogłam:

– Nie uwierzyłbyś, nawet gdybym ci powiedziała. Po prostu... wracaj do domu. Wszystko w porządku. Więcej mnie nie zobaczysz.

Chociaż Paul wyraźnie chciał usłyszeć jakieś odpowiedzi, jeszcze bardziej chciał uciec od tej nieznajomej wariatki. Wycofał się spod markizy, aż deszcz zaczął padać na jego długi płaszcz i potargane włosy. Odwrócił się i w jednej chwili zniknął w londyńskim tłumie.

Dopiero teraz zauważyłam, że mój pierścień wibruje już od dłuższej chwili. Dotknęłam go z nadzieją, że porozmawiam z Theo. Kiedy jego twarz pojawiła się przede mną w trójwymiarowym blasku, nabrałam nadziei – ale zaraz zauważyłam, że to nagrana wiadomość.

– Marguerite, mam nadzieję, że nic ci nie jest. – Na twarzy Theo malowało się przerażenie, obawa o mnie. Mówił dalej. – Paul kilka sekund temu przeskoczył z tego wymiaru. Domyślam się, że już o tym wiesz. Musimy skoczyć za nim. Nie bój się, ustawiłem twojego Firebirda, żeby prznosił się tam, dokąd on przeskoczy, tak samo jak mojego. Czuję się... okropnie dziwnie, że idę przodem, ale wiem, że powiedziałaś mi, żebym nie pozwolił Paulowi uciec bez względu na wszystko. Henry'emu należy się sprawiedliwość i tylko to się liczy.

Skinęłam głową, jakby mógł mnie zobaczyć. Ale to był tylko hologram, mówiący w próżni.

Theo uśmiechnął się, spięty i zdenerwowany.

– Spotkamy się w sąsiednim wszechświecie, prawda, Meg?

– Tak – szepnęłam. – W sąsiednim wszechświecie.

Wzięłam Firebirda do ręki, ale nie ustawiłam go od razu na następny skok. Najpierw popatrzyłam na otaczający mnie bardziej ponury Londyn, w którym cuda technologiczne były przypięte do każdej osoby lub unosiły się wokół niej, a wszyscy byli zbyt roztargnieni i przybici, żeby to zauważyć. Spróbowałam sobie wyobrazić, jak się będzie czuła ta Marguerite, kiedy za kilka sekund dojdzie do siebie i zacznie się zastanawiać, dlaczego jej serce bije tak mocno.

Wydawało się, że będzie niewiele pamiętać. Ale ja nie potrzebowałam przypomnień tak jak Theo, i najwyraźniej jak Paul. Znosiłam podróż inaczej niż oni. Dlatego może także wrażenia tej Marguerite będą inne. Może zachowa

strzęp tego, obraz lub wrażenie, które należą do mnie, a teraz dzielimy je między sobą.

Dlatego zalałam umysł wspomnieniami rodziców, których ona straciła tak dawno temu. Przypominałam sobie, jak się śmiali, kiedy malowałam stół na tęczowo. Jak mama wzięła mnie na barana w muzeum historii naturalnej, żebym mogła popatrzeć prosto w oczy czaszce triceratopsa. Jak tata woził mnie po mieście na rowerze, kiedy byłam na tyle mała, żeby jeździć w foteliku – to było jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, jak śmiał się, kiedy razem zjeżdżaliśmy ze wzgórza.

Miałam nadzieję, że ta Marguerite trochę ich będzie pamiętać. Że to odrobinę złagodzi okropny żal, który sprawił, że zamknęła się w obecnym życiu... i może da jej dość nadziei, by zdołała się z niego wyrwać.

Potem zaczęłam ustawiać Firebirda, obróciłam ostatnią zębatkę. *Boże, co mnie teraz czeka? Co teraz będzie?* – pomyślałam.

Zderzyłam się ze sobą – z inną sobą – i tym razem całkowicie straciłam równowagę. W ułamku sekundy zachwiałam się i uświadomiłam sobie, że właśnie schodzę po schodach. Okazało się, że to bardzo, bardzo zły moment dla międzywymiarowego podróżnika przeskakującego w twoje ciało, ponieważ wtedy gubisz rytm kroków i...

Zdołałam wyciągnąć przed siebie ręce, zanim upadłam, co nie zapobiegło uderzeniu o schody, ale przynajmniej pozwoliło mi złagodzić impet, z jakim się stoczyłam o kilka stopni, nim zdołałam się zatrzymać. Naszyjnik, który miałam na sobie, pękł i usłyszałam, że koraliki toczą się na wszystkie strony. Ludzie wokół rzucili mi się na pomoc z okrzykami zgrozy. Oszołomiona, podniosłam głowę.

Po pierwsze zobaczyłam, że te schody pokrywa czerwony pluszowy dywan. To dobrze, ponieważ wyraźnie pod spodem jest marmur – to by dopiero zabolalo. Po drugie zauważyłam, że koraliki toczące się po schodach to nie koraliki. To perły.

Podniosłam dłoń do bolącego czoła i popatrzyłam w górę. Moje palce natrafiły na coś we włosach, opaskę podtrzymującą coś ciężkiego na czubku głowy...

Czy to diadem?!

W końcu zwróciłam uwagę na tłoczących się wokół mnie ludzi – wszyscy co do jednego byli ubrani niezwykle wytwornie. Mężczyźni mieli na sobie

nieznane mi mundury, ozdobione sznurami galowymi i orderami, a kobiety białe suknie do ziemi, podobne do tej, która oplątała moje nogi.

– Marguerite? – zapytał życzliwie wyglądający mężczyzna, zaledwie kilka lat starszy ode mnie, z włosami równie ciemnymi i kręconymi jak moje, ale krótko ostrzyżonymi. Jego troska wskazywała na to, że zna mnie dobrze, chociaż ja go nigdy wcześniej nie widziałam. Coś w jego twarzy wydawało mi się jednak dziwnie znajome...

– Nic mi nie jest – powiedziałam. Nie miałam pojęcia, co innego mogłabym zrobić, poza zapewnieniem, że wszystko w porządku. Położyłam dłoń na piersi, by się uspokoić, ale natychmiast z głośnym westchnieniem spojrzałam w dół.

Warstwy Firebirda leżały rozsypane na moich kolanach i na schodach wokół mnie. Na mojej szyi wisiała tylko zewnętrzna oprawka.

Popsuł się.

Firebird był popsuty, a ja nie miałam pojęcia, jak go naprawić.

O cholera.

Rozdział dziesiąty

– Marguerite? – Ciemnowłosa mężczyzna przykląkł koło mnie i wziął mnie za rękę. Oboje nosiliśmy rękawiczki z białej skórki, tak cienkiej i delikatnej, że przypominała drugą skórę. – Margarita? Nic ci się nie stało?

– Nic mi nie jest, naprawdę. Jestem tylko trochę niezgrabna. – Boże, gdzie ja jestem? Co tu się dzieje? Wydawało mi się, że poprzedni wszechświat był odmienny, ale to... to zupełnie inny poziom.

– Trzęsiesz się nad nią jak stara baba, Władimirze. Jak zwykle. – Największy mężczyzna w otaczającej nas grupie zmarszczył brwi. Miał niski, donośny głos, a z jego sposobu mówienia mogłam się domyślić, że był przyzwyczajony, aby jego rozkazy wykonywano bez sprzeciwu. Mundur w kolorze kości słoniowej miał obwieszony większą ilością orderów niż ktokolwiek inny. Mierzył na pewno dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

– No to zostałam babuszką – powiedział młody Władimir i uśmiechnął się do mnie uspokajająco. Szybko zebrałam wszystkie kawałki Firebirda i schowałam je do małej jedwabnej saszetki, którą miałam na nadgarstku.

– Czemu przejmujesz się tym wisiorkiem? – zapytał władczo wysoki mężczyzna, który wydawał się być organizatorem tego... balu kostiumowego. Czy też cokolwiek to było. – Perły Tarasowej rozsypały się po podłodze, a ty pozwalasz, żeby się turlały.

– Zaraz się tym zajmiemy, wasza cesarska mość – powiedziała cicho jedna z kobiet i wraz z kilkoma innymi, ubranymi z mniejszym przepychem od pozostałych, w tym ode mnie, zaczęła zbierać wszystkie perły, co do jednej. Uniosłam dłoń do szyi i odkryłam, że poza Firebirdem i obecnie zerwanym, zwisającym luźno sznurem, na którym były perły, mam na sobie coś w rodzaju nieprawdopodobnie ciężkiej koliai.

Wasza cesarska mość?

– Papo, gdybym ja miała takie prześliczne perły, nie przewróciłabym się i nie zerwałabym ich – powiedziała dziewczynka kilka lat ode mnie młodsza. Chociaż nigdy wcześniej jej nie widziałam, ona także wydawała mi się znajoma.

Przypominała trochę Władimira, a trochę...

– Gdybyś ty miała takie prześliczne perły, Katio, zgubiłabyś je na długo

przed balem. – Wysoki mężczyzna nawet na nią nie spojrział, kiedy to mówił, a Katia spuściła głowę. – Marguerite, czy będziesz mogła dzisiaj tańczyć? Czy też będziemy musieli przeprosić za twoją nieobecność?

– Nic mi nie jest, naprawdę. Wystarczy, że złapię oddech. – Zaraz, co ja wygaduję? Taniec? Jaki taniec? Może jesteśmy aktorami w jakimś przedstawieniu. To by tłumaczyło kostiumy, prawda?

Ale od razu wiedziałam, że to niemożliwe. Marmurowe schody i czerwony pluszowy dywan były tylko częścią otaczającej nas ogromnej przestrzeni, z sufitem na wysokości jakichś piętnastu metrów i sztukaterią połączoną chyba prawdziwym złotem. To jest pałac, a my nie jesteśmy turystami prowadzonymi przez wygradzone linami korytarze i przestrzegany przed robieniem zdjęć z fleszem.

Kiedy Władimir pomagał mi wstać, wysoki mężczyzna powiedział do niego:

– Marguerite ma służbę, która ma się nią zajmować, Władimirze. Syn cara nie powinien się zniżać do bycia... pielęgniarką.

W oczach Władimira błysnął ogień, a on sam uniósł podbródek.

– Czy pomoc własnej siostrze może być poniżej godności jakiegokolwiek mężczyzny? Czy córka cara nie powinna oczekiwać, że w każdym momencie każda osoba pospieszy jej z pomocą?

Siostrze. Otworzyłam szeroko oczy z zaskoczenia, kiedy uświadomiłam sobie, dlaczego Władimir wydał mi się tak znajomy. Podobnie jak Katia, kiedy jej się uważnie przyjrzałam, bardzo przypominał moją mamę. Naszą mamę?

Nie. Absolutnie nie. Oni są dziećmi cara – o szlag, mają tutaj dalej carów? Co to za wymiar?! No dobrze, czyli ten gość jest carem, a oni są jego dziećmi, ale ja nie mogę być jego córką. To niemożliwe, żeby moim ojcem był ktokolwiek inny niż Henry Caine. Jak w przypadku każdego człowieka od początku dziejów, mój kod genetyczny jest niepowtarzalny i niemożliwy do odtworzenia w inny sposób. W dowolnym wymiarze mogę być tylko i wyłącznie dzieckiem ojca i matki, których znałam od zawsze.

Mama? Rozejrzałam się po ubranych z przepychem ludziach z nadzieją, że ją zobaczę. Jeśli w tym wymiarze istniała jakaś wersja mojej matki, była mi teraz potrzebna.

Nie zobaczyłam jej jednak nigdzie.

No dobrze, jedno wiem na pewno: nie uda mi się poradzić sobie dzięki blefowaniu. W tym momencie potrzebuję chwili w samotności, żeby się

zorientować, co się dzieje.

Oparłam się na ramieniu Władimira, tylko częściowo udając, że zakreśliło mi się w głowie.

– Mam okropne zawroty głowy – szepnęłam.

– Uderzyłaś się w głowę? – Władimir objął mnie ramionami i zmarszczył czoło z troską. Najwyraźniej uważał się za mojego starszego brata, a jego pełen czułości niepokój byłby dla mnie bardzo pocieszający, gdybym znała go dłużej niż trzy minuty. – Ojcie, musimy wezwać lekarza.

– Nie uderzyłam się w głowę – zaprotestowałam. – Już wcześniej nie czułam się najlepiej. Chyba... zjadłam coś, co mi nie posłużyło.

Car westchnął z irytacją, wyraźnie rozdrażniony tym, że cokolwiek na świecie wymyka się spod jego kontroli.

– Powinnaś mieć dość rozumu, by pozostać w łóżku. Wracaj do swoich komnat. Władimir i Katia będą musieli reprezentować rodzinę.

Bezpieczna za zgiętym łokciem cara Katia pokazała mi język. Sprawiała wrażenie nieznośnej smarkuli.

– Pozwól, że z nią pójde – powiedział Władimir. Nie mogłam nie myśleć o tym, jak bardzo przypominał mamę... i mnie. – Wrócę za kilka minut.

– Teraz już przeciągasz strunę – burknął car. – Od czego ona ma damy dworu? Od czego ma osobistego strażnika? To są osoby, które powinny się nią zajmować. Nawet ty to chyba rozumiesz.

– Nic mi nie będzie, Władimirze – wyszeptałam. Nie chciałam być powodem rodzinnej kłótni, a poza tym potrzebowałam samotności. – Idź już.

Władimir zawahał się, ale skinął głową i wypuścił mnie z ramion. Damy dworu zatrzepotały wokół rękami, starając się mnie podtrzymać, ale nie odważając się mnie dotknąć.

Car wezwał gestem kogoś z obecnych, kogoś stojącego tuż za mną.

– Poruczniku Markov, odprowadźcie ją do jej komnat.

Silna dłoń ujęła mnie za łokieć.

Odwrociłam się i zobaczyłam Paula stojącego koło mnie, tuż za otaczającym mnie kręgiem.

W pierwszej chwili przestraszyłam się go. Ale ten lęk szybko zamienił się w nadzieję, ponieważ w jego oczach zobaczyłam błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznał. To mój Paul – był tutaj – i nie byłam tak osamotniona, jak mi się wydawało.

Wyglądał elegancko w mundurze gwardzisty, z równo przyciętą brodą,

w wysokich butach i z szablą u boku. A jednak pod kołnierzykiem munduru zobaczyłam błysk łańcuszka – miał swojego Firebirda.

Paul skłonił się i poprowadził mnie z powrotem schodami na górę. Reszta carskiego towarzystwa patrzyła, jak odchodzę – Władimir z niepokojem, Katia z nieukrywaną radością, że pójdzie na bal, a ja nie, natomiast car – mój domniemany ojciec – zaledwie ze znudzoną odrazą.

– Czy my się dobrze zachowujemy? – zapytałam szeptem.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Paul, także półgłosem. – Nikt nic nie mówi. Idź dalej.

Kiedy znaleźliśmy się na podeście na szczycie schodów, zobaczyłam własne odbicie w wysokich połączonych lustrach na ścianie. Brylantowa kolia na mojej szyi była szeroka na kilka rzędów, a każdy klejnot lśnił, tak samo jak rubiny w moim diademie. Falbaniasta biała suknia również lekko połyskiwała, ponieważ tkanina wyglądała jak zrobiona ze srebrnej nici. Paul mógł być tylko zwykłym żołnierzem, ale mundur ze szkarłatną kurtką wyglądał równie wspaniale jak to, co ja miałam na sobie. Miałam wrażenie, że jesteśmy w halloweenowych przebraniach albo też na najbardziej nowobogackim balu naturalnym na świecie.

Kiedy tylko zostaliśmy sami, Paul popatrzył na mnie z wściekłością.

– Mówiłem ci, żebyś wracała do domu.

– Nie masz prawa wydawać mi rozkazów! Myślisz, że mam się ciebie słuchać tylko dlatego, że jesteś geniuszem, a ja nie?

– Powinnaś się mnie słuchać, bo jestem starszy od ciebie i rozumiem, co się dzieje, a ty nie – odparował.

– Nie rozumiem nic tylko dlatego, że niczego nie wyjaśniasz.

– Posłuchaj, Conley jest niebezpieczny. Musisz wracać do domu – powtórzył, a w jego głosie było coś, co mi uświadomiło, że naprawdę mu na tym zależy. Paulowi nie chodziło tylko o to, żebym mu nie przeszkadzała. Naprawdę istniał jakiś powód, dla którego powinnam być w domu, dla którego moja obecność tam była ważna.

To nie znaczyło, że zamierzałam mu odpuścić. Nic z tych rzeczy. Ale uspokoiliśmy się na tyle, żeby skoncentrować się na najbardziej palącym problemie, jaki mieliśmy. Położyłam na dłoni jedwabną saszetkę i pokazałam Paulowi fragmenty Firebirda.

– Z tym nigdzie nie wrócę.

Większość facetów zaczęłaby kląć. Paul tylko zacisnął wargi w bladą linię.

– Jest źle.

– Niedopowiedzenie roku.

Paul wziął ode mnie saszetkę i zaczął oglądać kawałki jeden po drugim. Powstrzymałam się od tego, żeby zacząć się z nim kłócić.

Jeśli ma naprawić Firebirda, czyli jedyną szansę dla mnie, żebym nie została w tym wymiarze na zawsze, zamierzałam mu umożliwić koncentrację.

– Da się to naprawić – powiedział w końcu.

– Jesteś pewien?

– Prawie pewien – odpowiedział Paul, jakby to było równie dobre, chociaż nie było. Musiał zauważyć wyraz mojej twarzy, ponieważ dodał: – Firebirdy zrobione są w taki sposób, by można je było łatwo rozkładać. Chcieliśmy, żeby same rozdzielały się na poszczególne części do naprawy, ulepszeń i tak dalej. Wygląda na to, że coś takiego właśnie się stało.

– Czyli możesz to zmontować? – Ogarnęła mnie ulga, a w ślad za nią euforia. To dopiero się nazywa uniknięcie o włos katastrofy!

– Potrzebuję lepszego światła i muszę porównać to z moim własnym Firebirdem. – Paul oddał mi jedwabną saszetkę i wyciągnął łańcuszek zza kołnierza. Wisior zalśnił na tle szkarłatnego munduru. – Chodź, zajmiemy się tym i odeślemy cię do domu.

Odsunęłam się gwałtownie.

– Nie wrócę, dopóki mi nie powiesz, dlaczego tu jesteś!

Paul nie należy do osób, które w złości podnoszą głos. Zaczyna mówić ciszej. Nieruchomieje.

– To nie jest wymiar, którego szukam. To chyba oczywiste. Muszę przeskoczyć dalej, ale nie zrobię tego, dopóki ty...

– Co to ma znaczyć?

Oboje się wyprostowaliśmy, zaskoczeni widokiem innego wojskowego, zmierzającego w naszą stronę. Miał siwe włosy, brodę równie imponującą jak car, a także monokl. Paul stanął na baczność, a przynajmniej tak to wyglądało w moich oczach. Nie sądzę, by którekolwiek z nas miało pojęcie o tym, jak wygląda prawidłowe oddawanie honorów w rosyjskiej armii.

Wojskowy oznajmił:

– Markov, jestem zdumiony twoim zachowaniem. Zawracasz głowę jej wysokości, zamiast wykonywać swoje obowiązki.

Ach, czyli chodzi o mnie. Ja jestem „jej wysokością”. Musiałam stłumić śmiech.

– Ja, no, poprosiłam, żeby rzucił okiem na coś, co popsułam – pokazałam starszemu mężczyźnie fragmenty Firebirda.

Nadęta pierś wojskowego odrobinę opadła, wydawał się mniejszy, kiedy pozbawiłam go powodów do oburzenia. Ale natychmiast jego oczy się rozjaśniły, kiedy znalazł nowy temat.

– A cóż to takiego? Na służbie w nieregulaminowym stroju?

Z tymi słowami złapał Firebirda wiszącego na szyi Paula.

Westchnęłam. Paul otworzył szerzej oczy. Oboje byliśmy zbyt zaskoczeni, by myśleć, a co dopiero działać.

– Teraz, kiedy już wyglądasz jak należy, możesz wracać do swoich zadań, poruczniku Markov – oznajmił wojskowy, schował Firebirda Paula do kieszeni i ruszył dalej korytarzem.

Patrzyliśmy za nim z jednakową zgrozą. To ja jako pierwsza zdołałam się odezwać.

– O cholera.

– Musimy odzyskać Firebirda. – Paul odetchnął głęboko. – Muszę pobiec za nim.

– Na pewno odda ci go z powrotem. Kiedyś. Prawda?

– Skąd mam wiedzieć? Poza tym mamy niewiele czasu. Moja świadomość już zaczyna gasnąć. Paul Markov z tego wymiaru powróci lada minuta.

Uświadomiłam sobie, co to oznacza. Jeśli Paul nie będzie pamiętał, kim naprawdę jest, nie naprawi mojego Firebirda. Co oznacza, że do czasu, kiedy Theo nas znajdzie – o ile w ogóle mu się to uda i o ile istnieje w tym wymiarze – będziemy tutaj uwięzieni. Może na zawsze.

– Dobrze, czyli musisz go dogonić i... – Przyłożyłam dłoń do głowy, żeby się zastanowić, i dopiero gdy moje palce dotknęły diadem, przypomniałam sobie, kim tutaj jestem i co mogę zrobić. – Czeka! Nie, to ja za nim pobiegnę i rozkażę mu oddać ten wisior. Będzie musiał to zrobić. Jestem księżniczką! Czy tam wielką księżną, jakkolwiek one się w Rosji nazywały...

– Tak! Dobrze, jasne. Idź. – Paul pokiwał głową z niemal komiczną szybkością.

Pobiegłam korytarzem w stronę schodów, a potem na dół, tak szybko, jak tylko mogłam – czyli nie bardzo szybko, ponieważ miałam na sobie długą wąską suknię i wysokie obcasy pozbawione pasków, które by je przytrzymały na stopie. Biżuteria obijała mi się na szyi, diadem przekrzywił się na bok, więc podniosłam rękę, żeby go przytrzymać na głowie.

– Sir! – zawołałam, żałując, że nie pomyślałam, by zapytać go o nazwisko. Nazwisko byłoby bardziej przydatne. Czy mogę po prostu krzyknąć: „Stać, rozkazuję panu?”.

Ale kiedy znalazłam się na dole i skręciłam w korytarz, zobaczyłam ogromny tłum idący szerokim holem. To jeszcze nie był sam bal, ale wejście, którym wkraczała większość gości. Tuziny kobiet w sukniach w kolorach tęczy i klejnotach niemal równie wspaniałych jak moje, od dziewcząt w moim wieku, ze zrobionymi z piór ozdobami we włosach, do podstarzałych wdów, które wydawały się przygięte pod ciężarem brylantów. Młodzi mężczyźni w eleganckich frakach, z barwnymi fularami pod szyją...

Oraz wojskowi. Co najmniej pięćdziesięciu, wszyscy w mundurach wyglądających identycznie jak noszony przez mężczyznę, który zabrał Paulowi Firebirda. Starłam się wypatrzyć właściwego – miał monokl, chyba nie wszyscy taki nosili? – ale nie potrafiłam znaleźć go w tłumie. Możliwe, że wszedł już do sali balowej.

Czy powinnam tam pobiec i zrobić scenę? Miałam przeczucie, że niewiele by mi to dało.

Równie szybko pobiegłam z powrotem na górę. Paul opierał się o ścianę, jakby był wyczerpany.

– Straciłam go z oczu! – zawołałam. – Jest na balu, ale ty byś go potrafił rozpoznać, prawda? Pomożesz mi go znaleźć?

– Chyba... chyba tak. – Skrzywił się i przycisnął palce do skroni, jakby bolała go głowa. Jego zagubienie przypominało mi Theo w Londynie, w ostatniej chwili zanim całkowicie zapomniał, kim jest.

– Paul, nie! Musisz ze mną zostać! – Złapałam go za ramiona i spojrzałam mu w oczy. – Patrz na mnie. Patrz na mnie!

– Musisz odzyskać Firebirda – powiedział, powoli i starannie wymawiając każde słowo, jakby nie ufał sobie, że zdoła je sformułować. – Musisz go użyć, żeby mnie obudzić.

– Jak mam znaleźć tego faceta? – Jak mogłam cokolwiek zrobić w tym wymiarze? Dłonie mi się trzęsły, a brylantowa kolia na szyi przypominała pętlę szubieniczną. – Boże, Boże, miał taką długą brodę i monokl...

– Pułkownik Azarenko – powiedział machinalnie Paul.

Popatrzyłam na niego.

– Co takiego?

Spojrzał na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział. Wyprostował się

i wyrwał się z mojego uścisku.

– Wasza wysokość?

To nie był już mój Paul. To był porucznik Markov.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość – powiedział. – Nie umiem wyjaśnić, dlaczego... Nie pamiętam, jak się tu znalazłem. Czyżbym zachorował?

– Zakręciło ci się w głowie – wytłumaczyłam najlepiej, jak potrafiłam. – Ja także nie czułam się najlepiej. Miałaś odprowadzić mnie do moich komnat, żebym mogła odpocząć.

– Tak jest, wasza wysokość. – Skłonił się i ruszył szybkim krokiem w głąb korytarza. Jego lśniące czarne buty odcinały się na tle czerwonego pluszowego dywanu. Lekko oszołomiona poszłam za nim.

Przynajmniej jedno z nas wiedziało, gdzie są moje komnaty.

Paul i ja byliśmy tutaj uwięzieni. Nie miałam pojęcia, jak skontaktować się z Theo i czy w ogóle mogę to zrobić. Jako punkt zaczepienia miałam tylko jedno nazwisko: „pułkownik Azarenko”.

Jutro – obiecałam sobie. – Będę mogła zapytać o niego jutro, wezwać go do siebie i odzyskać Firebirda Paula.

Jeśli mi się to nie uda...

...Nie, nie mogę teraz o tym myśleć. Dlatego tylko poprawiłam diadem na głowie i udawałam, że mam chociażby najbledsze pojęcie, co właściwie robię.

Rozdział jedenasty

Późniejszym wieczorem, gdy moje pokojówki (mam ich trzy) ubrały mnie w obszerną koszulę nocną i położyły do łóżka, rozłożyłam kawałki Firebirda na haftowanej kołdrze. Ogromne łoże z rzeźbionego drewna wznosiło się wysoko nad podłogą, a każda kołdra i prześcieradło były tak nieskazitelnie białe, że rozważając dalsze kroki, czułam się trochę tak, jakbym odpoczywała na chmurze.

Z westchnieniem opadłam na miękkie poduszki spiętrzone w głowach łóżka. Otaczająca mnie komnata nie była aż tak wielka, a wnętrze nie było przesadnie wystawne, ale dało się zauważyć bogactwo i elegancję, z jaką je umeblowano. Ściany i wysoki sufit były pomalowane na chłodny, jasnozielony kolor patynowanej miedzi. Biureczko w kącie oplatały drewniane intarsje udające pnącza, jakby las upominał się o nie liść po liściu. Naprzeciwko mojego łoża duży kominek z glazurowanymi kafelkami lśnił od ognia, który nagrzewał cały pokój.

Moje klejnoty spoczywały znowu w aksamitnych pudełkach, wraz z pozostałymi.

Moje klejnoty spoczywały znowu w aksamitnych pudełkach, wraz z pozostałymi.

Przynajmniej ta wersja mnie miała książki, z których kilka leżało teraz wokół mnie. Wiele z nich było po rosyjsku... ale tutaj potrafiłam ten język odczytać i nim mówić. Najwyraźniej ten rodzaj pamięci był wgrany na trwałe w mózg, inaczej niż emocje i wspomnienia.

Na ile mogłam to stwierdzić na podstawie przeglądanych książek, technologia, która w londyńskim wymiarze rozwinęła się trochę szybciej, tutaj rozwijała się o wiele wolniej. Moje otoczenie przypominało bardziej początek dwudziestego niż dwudziestego pierwszego wieku. Chociaż pewne rzeczy w tym świecie były bardziej lub mniej zaawansowane w porównaniu do mojego wymiaru, ogólnie czułam się tak, jakbym cofnęła się w czasie o sto lat. W tym świecie dwudziesty pierwszy wiek wyglądał po prostu zupełnie inaczej. Ludzie podróżowali koleją lub parowcami, a czasem konno lub w saniach. Telefony istniały, ale były tak nowym wynalazkiem, że w pałacu znajdowało się ich zaledwie kilka i służyły do celów oficjalnych – nikt jeszcze

nie pomyślał o tym, że można zadzwonić do znajomej tylko po to, żeby pogadać. O internecie nikomu się nawet nie śniło. Zamiast tego ludzie pisali listy. Widziałam na moim biurku stosik kremowej papeterii.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej istnieją, ale uchodzą za odległy i prowincjonalny kraj. (Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale tutaj, w Sankt Petersburgu, wszyscy by się z tym zgodzili.) W całej Europie rządzą rody królewskie, oczywiście łącznie z Romanowami. Mężczyzna, którego wszyscy uważają za mojego ojca, to car Aleksander V, imperator i autokrata wszystkich ziem rosyjskich. Na ile mogłam stwierdzić, ten wymiar nie wydał na razie nikogo pokroju Lenina czy Trockiego. Może i dobrze, bo zupełnie nie miałam ochoty odtwarzać losów Anastazji – zostać zastrzelona w piwnicy, żeby potem przez następne pięćdziesiąt lat udawała mnie każda wariatka w Europie.

Wielotomowa, oprawiona w skórę encyklopedia miała hasło poświęcone rodowi Romanowów. W ten sposób, czarno na białym, przeczytałam, że car Aleksander poślubił młodą arystokratkę, Sofiję Kowalenko. Miał z nią czwórkę dzieci: carewicza Władimira, wielką księżną Margaritę (czyli niżej podpisaną), wielką księżną Jekatierinę (strasznie wyszukane imię dla smarkuli, która pokazała mi język) i wreszcie wielkiego księcia Piotra.

Moja matka zmarła, wydając na świat czwarte dziecko.

Mama i tata zawsze mówili, że ciąża okazała się dla niej „trudna”, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to znaczyło „niebezpieczna”. Ze względu na stan jej zdrowia przestali się starać o kolejne dzieci, kiedy urodziłyśmy się Josie i ja. Tutaj, jak sobie uświadomiłam, car domagał się kolejnych dzieci, zmuszając mamę do jednej ciąży za drugą, aż w końcu zmarła w trakcie porodu najmłodszego syna.

Wycięto go z niej po jej śmierci. Żałowałam, że to przeczytałam.

Moja matka jest naukowcem. Jest geniuszem. Jest silna i niezłomna, no dobrze, potrafi być trochę roztrzepana, jeśli idzie o sprawy codzienne, a poza tym kompletnie nie rozumie sztuki, ale mimo wszystko to mama. Ma do zaoferowania światu więcej niż jakakolwiek znana mi osoba.

Car Aleksander uznał, że ma mu do zaoferowania tylko następców tronu, więc... rozmnażał ją aż do śmierci.

Podniosłam fotografię w srebrnej ramce, stojącą na stoliku przy łóżku. Owalny portret, czarno-biały i lekko rozmyty, przedstawiał moją matkę z młodszymi wersjami mnie, Władimira i Katii. Miała na sobie wytworną suknię z długimi rękawami, ale widziałam sposób, w jaki obejmowała

opiekuńczo mnie i Władimira, jak uśmiechała się do małej Katii na kolanach – było w niej coś, co pozostało niezmiennie także w tym wszechświecie.

Ale to nie wystarczało. Tutaj moja matka nigdy nie miała szans studiować nauk ścisłych. Czym się tutaj interesowała? Czym zajmowała swój błyskotliwy, niespokojny umysł? Czy kiedykolwiek patrzyła na cara Aleksandra z czymś przypominającym tę miłość i zaufanie, jakimi zawsze obdarzała tatę?

Poza tym tutaj nie urodziła się Josie. Tata zaś musiał być w jej życiu przelotną znajomością, choć trudno mi było to sobie wyobrazić.

Drżącą ręką odstawiłam fotografię na miejsce, bo sama myśl o tym, co stało się z moją matką, była dla mnie w tej chwili nie do wytrzymania. Opadłam na spiętrzone puchowe poduszki i oddychałam powoli i głęboko.

Moje oczy pobiegły do smugi światła widocznej pod drzwiami sypialni. Jeszcze kilka minut temu przecinały je dwie ciemniejsze linie – cienie stóp Paula, stojącego na warcie. Ale najwyraźniej, nawet osobisty strażnik wielkiej księżnej miał prawo czasem się przespać. Encyklopedia poinformowała mnie, że mieszkam w Sankt Petersburgu, obecnie w Pałacu Zimowym.

A co z Theo? Jeśli istniał w tym wymiarze, prawdopodobnie był w Stanach, a może w Holandii, z której pochodzili jego dziadkowie. Serce mi się ścisnęło, gdy sobie uświadomiłam, że w świecie, w którym najszybszym środkiem transportu jest kolej, nie ma mowy o tym, by Theo przyjechał do mnie dzisiaj, jutro, czy nawet w kilka tygodni. Jeśli brać pod uwagę słynną surowość rosyjskich zim, niewykluczone, że nie zdoła się tutaj dostać przed nadejściem wiosny. Zresztą, nawet gdyby zdołał przyjechać do Sankt Petersburga, to jak miałby załatwić sobie audiencję u wielkiej księżnej?

Wszystko będzie dobrze – powiedziałam sobie. – Jutro znajdziesz pułkownika Azarenkę. Poza tym jest tutaj Paul. Nie potrzebujesz nikogo innego.

Moje myśli w całości wypełnił Paul. Jak to możliwe, że tak zupełnie nie potrafiłam go dotąd zrozumieć?

– Innymi słowy – powiedziałam – starasz się udowodnić, że los istnieje.

Widziałam tę scenę oczami duszy tak jasno, jakby rozgrywała się w tym momencie. Theo w sztucznie podniszczonym T-shircie z nadrukiem RC Cola. Paul w jednej z tych spłowiałych szarych bluz, które na pewno nosił tylko

dlatego, że nie miał pojęcia, do jakiego stopnia podkreślają jego mięśnie. Ja wpychająca kosmyki włosów za uszy i starająca się wyglądać na tak samo dorosłą jak oni. Wszyscy razem znajdowaliśmy się w największym pokoju, w otoczeniu kwiatów doniczkowych mamy, a przez otwarte drzwi na werandę wpadało letnie ciepło.

Żartowałam, kiedy mówiłam o losie, ale Paul powoli pokiwał głową, jakbym powiedziała coś mądrego.

– Tak. Właśnie o to chodzi.

Ta idea mnie zaintrygowała, chociaż widziałam, że Theo uważa ją za niemądrą. Zawsze starałam się wykorzystać okazję, gdy dyskusje o fizyce schodziły ze skomplikowanych równań na koncepty, które potrafiłam zrozumieć. Dlatego usiadłam obok Paula przy tęczowym stole.

– Jak miałyby w takim razie działać? Mam na myśli los.

Pochylił głowę, zakłopotany w mojej obecności, nawet po ponad roku praktycznie spędzonym w moim domu. Ale jak każdy naukowiec był tak zafascynowany nowym pomysłem, że nie potrafił o nim nie mówić. Złożył palce obu dłoni, przyciskając opuszki do opuszków, i podniósł je przede mną jako ilustrację lustrzanego odbicia.

– W kolejnych wymiarach pojawiają się powtarzalne wzorce. Te wzorce odzwierciedlają określone rezonanse...

– A każdy człowiek ma własny rezonans, prawda? – Wydawało mi się, że dobrze zapamiętałam.

Paul uśmiechnął się, ośmielony. Jego uśmiechy były rzadkie i wydawały się prawie nie pasować do kogoś tak wielkiego, masywnego i poważnego.

– Właśnie tak. Dlatego wydaje się, że grupki tych samych ludzi będą odnajdować się raz za razem. Nie absolutnie zawsze, ale znacznie częściej niż wskazywałoby samo losowe prawdopodobieństwo.

Theo, który po drugiej stronie pokoju wrócił do pracy nad swoimi obliczeniami, skrzywił się.

– Posłuchaj, braciszku, jeśli zapiszesz teorię w takiej formie i nadziejesz ją liczbami, to będziesz wymiatać. Twoją tezę pogrąży dopiero ten bełkot o duszy i przeznaczeniu. Serio, zamierzasz stanąć przed komisją i próbować tego bronić?

– Przestań mu dokuczać – powiedziała do Theo. Byłam w tym momencie zbyt oczarowana pomysłem Paula, żeby słuchać nawet słusznych zastrzeżeń. – W tym domu każdy ma prawo do zwariowanych teorii. To zasada

wprowadzona przez mamę.

Theo wzruszył ramionami, zbyt zajęty swoją pracą, żeby dalej się sprzeczać. A jednak Paul popatrzył na mnie, jakby był wdzięczny za to, że go wzięłam w obronę. Uświadomiłam sobie, jak blisko siedzimy – znacznie bliżej niż zwykle, tak że moja ręka niemal dotykała jego ręki – ale nie ruszyłam się z miejsca.

Zapytałam tylko:

– Czy to przeznaczenie przekłada się na matematykę, czy też matematyka tworzy nasze przeznaczenie?

– Nie mamy dość danych – odparł Paul, ale widziałam w tym momencie, jak bardzo chciał wierzyć w przeznaczenie. Po raz pierwszy pomyślałam o nim jak o kimś, kto wbrew wszelkim pozorom może mieć w duszy odrobinę poezji.

Może to był jedyny raz, kiedy w ogóle go rozumiałam.

Następnego dnia przekonałam się, jak to jest, kiedy masz służbę, która cię rano ubiera.

Mówię to całkiem dosłownie. Kiedy się obudziłam, pokojówki pojawiły się przy moim łóżku, podały herbatę na srebrnej tacy, przygotowały gorącą kąpiel w gigantycznej wannie wyrzeźbionej w marmurze i nawet umyły mi plecy.

(Owszem, kąpiel na oczach innych jest koszmarnie krępująca, ale najwyraźniej ta Marguerite robiła to codziennie, więc musiałam się dostosować. Domyślałam się, że miały już okazję widzieć mnie nago, co... niewiele pomagało.)

Te kobiety wycisnęły nawet pastę na moją szczoteczkę do zębów.

Wybrały dla mnie suknię – jasnożółtą, barwy blasku świecy, długą do ziemi i tak elegancką jak na codzienny użytek, że trudno było mi się powstrzymać, żeby jej nie wyśmiać. Zaplotły mi włosy w warkocze, które upięły szpilkami ozdobionymi białymi emaliowanymi różyczkami. Patrzyłam z niedowierzaniem w lustro na moje szalone, nieposłuszne włosy, ujarzmione i ułożone we fryzurę równie skomplikowaną, jak piękną.

Mogłabym prawie uwierzyć, że jestem piękna, chociaż tak naprawdę to tylko dowodzi, jakich cudów potrafią dokonać stylistki (czy też ich dziewiętnastowieczne odpowiedniczki).

Nie było mowy o żadnym makijażu, ale pokojówki natarły mi twarz i szyję słodko pachnącymi kremami i przypudrowały pudrem o zapachu kwiatów bzu. Kiedy przypięły mi perłowe kolczyki, naprawdę zaczęłam się czuć jak wielka

księżna.

– Dziękuję, moje panie – powiedziałam. Od rodziny carskiej oczekiwano dobrych manier, prawda? Z poczuciem, że wyglądam jednocześnie idiotycznie i dostojnie, otworzyłam drzwi i zobaczyłam Paula.

Poprawka: porucznika Markova. Stał na baczność, doskonale wyszkolony i wychowany. Jego jasnoszare oczy spojrzały na mnie niemal z poczuciem winy, ale zaraz odwrócił wzrok. Może nie wolno było się gapić na arystokratów. Coś sobie przypomielałam, że megagwiazdy pokroju Beyoncé miały czasem w kontraktach klauzule mówiące, że nikt nie może im patrzeć w oczy. Wielka księżna była w tym wymiarze kimś takim, jak Beyoncé w moim.

Paul – powinnam raczej myśleć o nim jako o poruczniku Markovie – nie odezwał się ani słowem. No jasne. Prawdopodobnie była jakaś zasada, że nie wolno mu nic powiedzieć, dopóki ja nie zacznę rozmowy.

– Dzień dobry, Markov.

– Dzień dobry, pani. – Jego głos był niski, ale jednocześnie łagodny. – Mam nadzieję, że dzisiaj zdrowie wam dopisuje.

– Tak, bardzo dziękuję. Powiedz mi, Markov, gdzie mogłabym znaleźć pułkownika Azarenkę?

Zmarszczył brwi.

– Mojego przełożonego?

– Tak, właśnie jego.

Może Paul nie zdołał ściągnąć Azarenki z balu wczoraj wieczorem, ale teraz będzie mógł mi powiedzieć, jaki rozkład dnia mają dowódcy i tak dalej. Odzyskamy jego Firebirda przed obiadem, a mój zostanie naprawiony do wieczora.

– Pułkownik Azarenko wyjechał rano do Moskwy, pani.

Do Moskwy? Nie było go już w Sankt Petersburgu?

– Czy on... czy oddał ci coś przed wyjazdem?

Porucznik Markov musiał już chyba dojść do wniosku, że zwariowałam. Chociaż zmarszczył czoło – co było jasnym sygnałem, że stara się nie skrzywić – odpowiedział mi grzecznie:

– Nie, pani. Co takiego miałyby mi oddać pułkownik?

Nie zamierzałam nawet zaczynać tłumaczyć.

– Kiedy ma wrócić? – zapytałam tylko.

– Po Nowym Roku, pani.

Nowy rok miał się zacząć za prawie trzy tygodnie.

Trzy tygodnie.

Jak miałam udawać księżniczkę przez trzy tygodnie?

Przełknęłam gwałtownie ślinę i pomyślałam, że przekonam się na własnej skórze.

Rozdział dwunasty

Spokojnie. Oddychaj głęboko.

Szłam przez korytarze pałacu jak we śnie. Zupełnie jakby moje ciało było zbyt przerażone, żeby zacząć panikować. Czułam się raczej jak odurzona lekami. Odrobinę chwiałam się na nogach, a skomplikowane brokatowe wzory na dywanach sprawiały, że kręciło mi się w głowie.

– Na pewno czujecie się już całkowicie dobrze, pani? – Paul, a raczej porucznik Markov, szedł z szacunkiem kilka kroków za mną.

– Całkiem dobrze, dziękuję za troskę, Markov.

Właściwie to za jakieś pięć sekund zwariuję, ale na razie idźmy dalej, okej? – taki był ukryty sens tych słów. Może to zrozumiał, ale tak czy inaczej, przez resztę drogi milczał.

Byłoby łatwiej, gdybym miała jakieś pojęcie, dokąd powinnam iść. Pałac Zimowy jest ogromny i nie potrafiłabym znaleźć w nim drogi nawet gdybym wiedziała, co powinnam teraz robić.

Na szczęście nie byłam długo sama.

– Tu jesteś! – Władimir wyłonił się z bocznego korytarza i dołączył do mnie. Pomimo tego, że na pewno położył się późno i wypił mnóstwo szampana, promieniował energią. – Lepiej się czujesz?

– Raczej tak. – Uśmiech, którym go obdarzyłam, przyszedł mi bez najmniejszego wysiłku. Jego swobodne ruchy i przyjacielski uśmiech oczarowały mnie, a poza tym nie dało się nie zauważyć, jak gorącym uczuciem darzył swoją siostrę. Co powiedziałyby ukochana młodsza siostrzyczka w takich okolicznościach? Zastanówmy się. Zeszłego wieczora był na wielkiej imprezie, prawda? Josie ileś tam razy nie wracała o umówionej z rodzicami porze albo wypuszczała się na całą noc, na pewno częściej niż ja. Dlatego powiedziałam do niego coś, co mogłabym powiedzieć do niej. – A co z tobą? Dziwię się, że nie jęczysz, skulony w kłębek w łóżku, z lodowym kompresem na głowie.

Władimir wznosił oczy w górę i westchnął dramatycznie.

– Nigdy mi tego nie zapomnisz, prawda?

– Nie, nigdy. – Blefowanie przychodziło mi łatwiej niż myślałam. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Raz jeden – ciągnął – wypilem zbyt wiele toastów wódką i raz jeden w moim cnotliwym i nieskazitelnym życiu pochorowałem się do ozdobnego wazonu. Zapłaciłem za to wiecznym potępieniem przez moją siostrę.

– To nie jest wieczne potępienie. Ale wieczny temat do żartów? To na pewno.

Na te słowa Władimir roześmiał się, a jego śmiech bardzo przypominał śmiech mamy. Więc to takie uczucie mieć brata. Zawsze chciałam mieć brata, a Władimir wydawał się dokładnie taki, o jakiego by mi chodziło – opiekuńczy, z poczuciem humoru i pełen ciepła.

Właśnie w tej chwili ktoś mnie mocno uszczypnął w ramię.

– Auć! – Odwróciłam się i zobaczyłam Katię, która wydawała się bardzo zadowolona z siebie w różowej sukni. Zgadywałam, że ma jakieś trzynaście lat. Chociaż przypominała cara bardziej niż my, także miała nieposłuszne loki Kowaleńków. – Za co to było?

– Za myślenie, że jestem za mała, żeby iść na bal. Możesz się wypchać! Mężczyźni tańczyli ze mną przez całą noc!

Popatrzyłam na Władimira w poszukiwaniu potwierdzenia. Rzucił Katii złośliwe spojrzenie.

– Nasza kochana Kathy zatańczyła dokładnie cztery razy, z czego raz ze mną, a dwa razy z wujami. Ale jeden bardzo miły oficer poprosił ją do tańca i poradziła sobie bardzo dobrze.

Katia uniosła z uporem podbródek, jakby właśnie nie zaprzeczono jej wersji wydarzeń.

– Ależ one szybko rosną – powiedziałam, potrząsając głową.

– Jak ten czas leci – zgodził się Władimir, razem ze mną udając starszego i bardziej doświadczonego.

Zasłużyliśmy na gniewny grymas Katii.

– Nie jesteś dużo większa – powiedziała i przebiegła koło mnie, łapiąc po drodze za koniec szarfy. Rozwiązała się i opadła na dywan, a Katia upuściła ją i pobiegła dalej, roześmiana.

– Naprawdę? – Czy ona zawsze jest taka irytująca? Marguerite z tego wymiaru pewnie ledwie z nią wytrzymuje.

Ale coś w śmiechu Katii przypomniało mi, jak wiele lat temu podkradłam się do rozmawiającej przez telefon Josie i wyciągnęłam jej z włosów spinkę podtrzymującą koński ogon. Musiała mnie ganiać po całym domu przez co najmniej dziesięć minut, zanim udało jej się mnie złapać. Dlaczego

wydawało mi się to taką świetną zabawą, kiedy miałam dziewięć lat? Nie mam pojęcia. Ale było niesamowite. W pewnym momencie przeskoczyłam nawet przez kanapę i zawyłam ze śmiechu, kiedy Josie spróbowała zrobić to samo, ale zaczepiła się nogą i poleciała na podłogę.

Przypomniałam sobie, jak Josie krzyczała: „Młodsze siostry to najbardziej wkurzające osoby na świecie!”. Z goryczą uświadomiłam sobie, że miała rację.

Paul wyminął mnie i przykląkł, by podnieść szarfę. Kiedy mi ją podawał, spojrzał mi w oczy, jakby nie pomagał mi tylko z obowiązku. Jakby mnie znał. Czy pamiętał prawdziwego siebie? Moje nadzieje wezbrały na jedno szybsze uderzenie serca, zanim uświadomiłam sobie, że to nadal jest porucznik Markov.

– Pani – powiedział tylko.

– Dziękuję, Markov.

Te słowa wypowiedziałam dostatecznie spokojnie, ale to było okropnie dziwne, patrzeć na Paula i widzieć kogoś, kto jednocześnie nim jest i nie jest.

Kogoś, kto bardzo przypominał Paula takiego, jak czasem sobie w marzeniach wyobrażałam...

Władimir najwyraźniej nie dostrzegł w tej scenie niczego nadzwyczajnego.

– Skoro już widzę, że wróciłaś do siebie, powinienem zejść do baraków – powiedział, gdy Paul znowu zajął miejsce za moimi plecami, a ja pospiesznie zawiązywałam szarfę. – Baw się dobrze na lekcjach.

– Do zobaczenia na kolacji. – O szlag, a jeśli oni nie jedzą razem kolacji? A może powinnam powiedzieć „na obiedzie”? Ale chyba niczego nie pomyliłam, ponieważ Władimir skinął głową. Nastawiłam policzek pod szybki pocałunek, a jego wąsy połaskotały moją skórę.

Na końcu korytarza znalazłam bibliotekę – nie, salę lekcyjną.

– Pozwolisz mi się dzisiaj odezwać chociaż słowem? – zapytała wojowniczo Katia, która zajęła miejsce za jednym z biurk. Były szerokie i piękne, niezbyt przypominały coś, co można zobaczyć w publicznej szkole, bardziej pasowały do sklepu z antykami. – Czy znowu będziesz się bawić w pupilkę nauczyciela? On ma uczyć nas wszystkich, nie tylko ciebie.

– Będę się z tobą zamieniać – obiecałam z roztargnieniem. W korytarzu rozległy się szybkie i lekkie kroki.

Po chwili w drzwiach stanął mały chłopiec z roześmianą, szczerą buzią.

– Marguerite!

Encyklopedia podpowiedziała mi jego imię, a to, że był absolutnie uroczy, podpowiedziało mi odpowiednie uczucie.

– Piotr. – Wyciągnęłam ramiona do młodszego brata, który wpadł w nie bez wahania. Przypominał mamę nawet bardziej ode mnie. Delikatny, niemal kruchy i trochę za niski jak na dziesięciolatka, ale słodczy w jego twarzy była jego własna. Czy car obdarzał go uczuciem, na jakie zasługiwał? Nie wyobrażałam sobie tego. To, w jaki sposób Piotr do mnie przyłgnął, przypomniło mi boleśnie, że jego matka – nasza matka – nie żyła.

Nawet Katia spojrzała na niego z odrobiną czułości.

– Zamierzasz mnie dzisiaj oszołomić swoim francuskim, Pierre?

Skinął głową z powagą.

– Ćwiczyłem z Zefirowem.

– Zefirow nie zna ani słowa po francusku! – roześmiała się Katia i wskazała gwardzistę stojącego pod drzwiami, obok Paula. Zefirow nic nie powiedział, patrzył tylko prosto przed siebie. – Zobaczymy, jak sobie poradzisz, Peter.

Nazwała go Pierre, a potem Peter. Na korytarzu Władimir powiedział do niej „Kathy”, a wczoraj wieczorem nazywał mnie „Marguerite”, chociaż encyklopedia potwierdziła, że w tym wymiarze noszę rosyjską wersję mojego imienia. Z lekcji historii pamiętałam, że dziewiętnastowieczna arystokracja często używała różnych form swoich imion we wszystkich językach, jakie znała. Ta wielkopańska maniera musiała przetrwać tutaj.

Obejrzałam się na Paula. Tutaj z całą pewnością nazywał się Pawieł, bo tak brzmiał rosyjski odpowiednik, ale nie potrafiłam o nim myśleć z innym imieniem.

Sala lekcyjna w niczym nie przypominała nudnych, odczłowieczonych placówek, jakie widziałam w telewizji. Zamiast plastikowych ławek i tablic korkowych, pod wszystkimi ścianami stały sięgające sufitu regały z książkami. Perski dywan był odrobinę bardziej przetarty niż w innych komnatach w pałacu, a ciemnozielone pluszowe kotary wydawały się lekko podniszczone. To miejsce nie służyło do popisywania się władzą i bogactwem. To miejsce przypominało mi dom.

Usiadłam za biurkiem, które musiało być moje, i zaczęłam się zastanawiać, jak na litość boską mam teraz blefować, skoro nie mam pojęcia o tym, czego się uczą poza francuskim. Katia może absorbować uwagę nauczyciela, ile tylko zechce. Ja prawdopodobnie nie będę potrafiła odpowiedzieć na żadne pytanie.

W tym momencie znajomy męski głos odezwał się po angielsku:

– Widzę, że wielkie księżne nie są nadmiernie strudzone nocnymi tańcami.

Odwrociłam się i zobaczyłam mojego ojca.

Był żywy. Był żywy, był tutaj, a ja ponad wszystko pragnęłam podbiec do niego, uściskać go, powiedzieć, że go kocham i powiedzieć to wszystko, co chciałam powtórzyć mu raz jeszcze. To był cud, na jaki miałam nadzieję od początku tej podróży.

Ale nie ruszyłam się z miejsca i zacisnęłam dłonie na poręczach krzesła. Co on tutaj robił? Nie rozumiałam...

– Zaczniemy więc lekcje – powiedział. Mój ojciec najwyraźniej przyjechał do Rosji, by uczyć synów i córki cara. Wtedy poznał moją matkę.

Nie mogłam zerwać się z miejsca i uściskać „carskiego gubernera”. Musiałam dalej grać swoją rolę. Ale w tym momencie mogłam tylko powstrzymywać łzy radości.

Zajął miejsce naprzeciwko nas, a z jego teczki wysypały się papiery. W tym wymiarze był takim samym bałaganiarzem, jak w domu. Pomimo dziwnie formalnego stroju, jaki miał na sobie – staroświecki surdut, kamizelka i okulary w drucianych oprawkach – był nadal całkowicie i niezaprzeczalnie moim tatą. Miał taką samą pociągłą przystojną twarz, takie same bladoniebieskie oczy, taki sam zagadkowy uśmiech, kiedy nad czymś się zastanawiał.

– Słyszałem, że wasza wysokość nie czuła się najlepiej. Czy wasze samopoczucie już się poprawiło?

A, prawda. Chodziło mu o mnie.

– Zdecydowanie. Dziękuję za troskę, profesorze. – Gardło miałam tak ściśnięte, że z trudem wydobywałam z siebie słowa. Tata widział, że coś jest nie tak, ale przyjrzał mi się tylko, a potem skinął głową i przyjął to do wiadomości.

– Dobrze, w takim razie wiem, że nie możecie się doczekać francuskiego. Zaczynajmy więc.

Peter uczy się podstaw gramatyki. Katia dostała do przetłumaczenia jakiś tekst. Ja powinnam dokończyć esej o twórczości Moliera. Na szczęście w domu także uczyłam się o Molierze, więc powinnam sobie z tym poradzić. Ale mogłam tylko ścisnąć książkę lepkimi od potu dłońmi i patrzeć ukradkiem na mojego ojca, całego i zdrowego, zaledwie kilka kroków ode mnie.

Nigdy wcześniej nie straciłam nikogo bliskiego, nie w taki sposób. Wszyscy

moi dziadkowie zmarli zanim się urodziłam albo kiedy byłam tak mała, że prawie ich nie pamiętam. Jedyne pogrzeb, na którym byłam, to pogrzeb mojej złotej rybki. Dlatego nie miałam pojęcia, na czym polega prawdziwa żałoba.

Wiem teraz, że żałoba jest jak osełka. Szlifuje całą twoją miłość, wszystkie szczęśliwe wspomnienia, i czyni z nich ostrza, które rozrywają cię od środka. Zostało wyrwane ze mnie coś, co pozostawiło dziurę, która nigdy, do końca mojego życia, nie zostanie zapełniona. Mówią, że „czas leczy rany”, ale nawet teraz, niecały tydzień po śmierci ojca, wiedziałam, że to kłamstwo. Ludzie chcą przez to powiedzieć, że z czasem przywykasz do bólu. Zapominasz, jaka byłaś bez niego, zapominasz, jak wyglądałaś bez blizn.

Myślę, że to jest właśnie granica dorosłości. Nie te wszystkie bzdury, jakie nam wmawiają – ukończenie liceum, utrata dziewictwa, własne mieszkanie czy co tam jeszcze. Przekraczasz granicę, kiedy po raz pierwszy zmieniasz się na zawsze. Przekraczasz ją, kiedy po raz pierwszy zrozumiesz, że nie ma powrotu do tego, co było.

Za każdym razem, gdy widziałam twarz taty lub słyszałam jego głos, musiałam walczyć, żeby się nie rozpłakać. A jednak przetrwałam jakoś lekcje, francuski i geografę, aż do spraw bieżących.

– Jakie zmiany będziemy mogli obserwować w najbliższych dekadach? – zapytał tata, gdy czytaliśmy najnowszy numer „Le Monde” (czyli sprzed czterech dni – wszystko tutaj podróżuje powoli). Był podekscytowany, jak zawsze wtedy, gdy miał okazję popuścić wodze wyobraźni. – Jeśli tego rodzaju linie produkcyjne sprawdzają się w przypadku samochodów, do czego jeszcze można by je zastosować? Wyobraźcie sobie ten wzrost produktywności i postęp technologiczny!

– I wojnę – powiedziałam cicho. – W ten sposób można robić także broń.

Tata spojrzał na mnie z namysłem.

– Wydaje mi się, że to słuszna uwaga. Automatyzacja zwiększy potencjał ludzkości pod każdym względem, na dobre i na złe.

Widziałam, że Peter stara się uważać, a Katia składa samolocik ze strony „Le Monde”. Naprawdę powinnam pozwolić któremuś z nich dojsć do głosu, ale nie mogłam zrezygnować z tej okazji do rozmowy z ojcem.

– Czy wasza wysokość nie sądzi jednak, że ostatecznie korzyści przeważają nad wadami? – Tata poprawił okulary na nosie. Widziałam, że doprowadzają go do szału, ale ta wersja taty nie miała okazji nosić szkieł kontaktowych.

– To nie jest proste równanie. To nie dodawanie i odejmowanie, raczej

wyższa arytmetyka. – Zaczęłam się bawić włosami, ale przypomniałam sobie, że mam je porządnie upięte. – Towary będą tańsze i dostępne w większych ilościach, ale to sprawi, że ludzie zaczną się ich szybciej pozbywać. Zamienimy indywidualność i sztukę rzemieślniczą na przewidywalność i dostępność cenową. Powstaną niezliczone miejsca pracy, ale gdy przemysł zacznie działać na skalę globalną, te miejsca pracy będą się przenosić do krajów rozwijających się, w których mniej się dba o prawa pracowników...

Wszyscy na mnie patrzyli – tata z podziwem, ale Peter i Katia wyglądali na lekko zirytowanych. Ilu anachronizmów właśnie użyłam? Może ta Marguerite nie interesuje się wcale ekonomią.

– ...czyli tego, efekty rewolucji przemysłowej będą złożone. I w ogóle. Właśnie. – Mój uśmiech musiał odzwierciedlać to, jak niezręcznie się czułam.

– Rewolucja przemysłowa – powtórzył tata powoli. – Cóż za interesujące sformułowanie. Można nim podsumować większość tego, co dzieje się obecnie na świecie. „Rewolucja przemysłowa” to bardzo dobre określenie, wasza wysokość.

Lekcje się skończyły, więc niechętnie opuściłam salę razem z moim rodzeństwem. Przed wyjściem uśmiechnęłam się do taty. To nie oddawało ani w części moich uczuć, ale niczego więcej nie mogłam ryzykować. W korytarzu czekał na mnie przez cały czas Paul wraz z osobistymi strażnikami Petera i Katii. Nie okazywał ani cienia zniecierpliwienia, jakby zawsze był gotów na mnie czekać, jak długo by to nie trwało.

– Znowu pupilka nauczyciela – prychnęła Katia, kiedy szliśmy razem.

– O, daj spokój – odpowiedziałam.

Peter roześmiał się.

– Jesteś jego ulubienicą i wiesz o tym. Ale to nic dziwnego, bo jesteś najmądrzejsza.

Mój braciszek wyraźnie nie miał mi za złe dobrych stosunków z nauczycielem, ale Katia miała na ten temat inne zdanie.

– To właściwie zupełnie niestosowne, sposób, w jaki się zachowujecie. – Potrząsnęła długim warkoczem spływającym jej po plecach. – Może chciałby cię nauczyć czegoś więcej niż tylko historii, co?

– Jekatierina! – To zabrzmiało zimno i twardo. Jasne, że nie zdawała sobie sprawy z tego, jak groteskowy był ten żart, ale to nie zmieniało faktu, że miałam ochotę ją spoliczkować. – Jak śmiesz mówić coś tak podłego

i kłamliwego?

Skuliła się w sobie. Jej wojownicza natura miała jakieś granice.

– To był tylko żart!

– To nie są rzeczy, z których możesz sobie żartować, nawet tylko ze mną. Profesor Caine jest dobrym nauczycielem dla nas wszystkich i powinnaś go za to szanować.

– Dobrze, dobrze – burknęła Katia, wyraźnie chcąc zakończyć temat. Dzięki Bogu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było to, żeby domyśliła się, dlaczego naprawdę jestem jego ulubienicą.

Odkryłam, że popołudnie spędzimy oddzielnie. Katia miała się zająć wyszywaniem wraz z jedną z naszych kuzynek, czego nienawidziła. Peter miał lekcję jazdy konnej i ewentualnie inspekcję wojskowych baraków razem z Władimirem, czym był zachwycony. A ja? Ja miałam poświęcić resztę dnia odpisywaniu na listy różnych królewskich krewnych i powinowatych z całej Europy.

Ten plan był z wielu powodów trudny do wykonania. Po pierwsze, nie miałam pojęcia, kim są ci wszyscy krewni. Jasne, dostałam listę, ale kim właściwie była Jej Najjaśniejsza Wysokość Księżniczka Dagmara z Danii? To znaczy jasne, była księżniczką imieniem Dagmara, ale czy była moją kuzynką? Przyjaciółką? Zupełnie obcą osobą? O czym zazwyczaj rozmawialiśmy? Po drugie byłam raczej pewna, że istnieją stosowne protokoły na tę okazję, zasady dotyczące królewskiej korespondencji, których nie znałam.

Nie miałam jednak pojęcia, co innego mogłabym robić. Dopóki nie wróci pułkownik Azarenko i nie odzyskam Firebirda Paula, musiałam się starać, jak mogłam, udawać prawdziwą wielką księżną Margaritę. To oznaczało pisanie listów. W bibliotece udało mi się znaleźć księgę zatytułowaną *Spis rodów królewskich, arystokracji i wysokich urzędników*, wyliczającą członków rodzin królewskich każdego kraju, wraz z notatkami wyjaśniającymi, w jakim stopniu jesteście spokrewnieni.

Najwyraźniej byłam spokrewniona z nimi wszystkimi.

Paul towarzyszył mi przez cały czas w odległości kilku metrów. Na pewno zauważył, jakie to dziwaczne, że potrzebuję tych pomocy, ale nie powiedział ani słowa, tylko czekał cierpliwie. To pomagało mi odzyskać wrażenie, że trochę panuję nad sytuacją, chociaż kompletnie nie radziłam sobie z listami. Wieczne pióro zostawiało kleksy na co drugim słowie, a ręczne pisanie

zabierało wieki. Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, Skype jest o wiele lepszym narzędziem do podtrzymywania kontaktów towarzyskich.

Pomiędzy jednym listem a drugim przeszukiwałam Spis... w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o Theodorze Willemie Becku. No dobrze, to by było zdecydowanie za dużo szczęścia, gdyby Theo także okazał się arystokratą, ale rozpaczliwie próbowałam odgadnąć, gdzie mógłby być. W świecie bez Google takie informacje były o wiele trudniejsze do znalezienia. Ale rejestr nie wspominał o nim, podobnie jak moje pokojówki zapytane rano nigdy nie słyszały jego nazwiska. Miejsce pobytu Theo pozostawało tajemnicą.

Siedziałam nad listem do greckiej księżniczki będącej chyba moją ciotką i przez cały czas byłam doskonale świadoma obecności Paula.

Stał przy drzwiach salonu, w którym postanowiłam pracować – byliśmy sami w przestronnej, eleganckiej komnacie, jeśli nie liczyć patrzących na nas olejnych portretów różnych moich przodków, którzy jednomyślnie okazywali mi dezaprobatę. W końcu nie byłam w stanie dłużej wytrzymać ciszy.

– Musisz uważać, że to okropnie nudne, Markov – powiedziałam.

Paul nie poruszył nawet głową.

– Ależ skąd, pani.

– Nie wolałbyś być ze swoim... – Regimentem? Tak to się nazywało? – Z innymi żołnierzami?

– Moje obowiązki zatrzymują mnie przy was, pani.

W sposobie, w jaki powiedział „pani”, było coś, co mnie poruszyło. Wróciłam do listu, ale mogłam tylko wpatrywać się w kartkę.

No dobrze, dowiedziałam się, że Paul Markov nie jest mordercą. To była ulga, ale ta wiedza rodziła więcej pytań, niż niosła odpowiedzi. Dlaczego Paul miałby zniszczyć dane z eksperymentów mojej matki, a potem uciec? Gdyby był całkowicie niewinny, to dlaczego tak gwałtownie walczył z Theo w Londynie?

Cóż, Theo i ja zaatakowaliśmy go jako pierwsi, a Paul powiedział, że podejrzewał Theo, kiedy go zobaczył...

Zaraz. – Otworzyłam szerzej oczy. – *Theo... to niemożliwe.*

Nie, to naprawdę było niemożliwe. Theo podjął gigantyczne ryzyko, by pomóc mojej matce i pomścić mojego ojca. Skoczył do innego wymiaru bez żadnej gwarancji, że nie zamieni się w „zupkę atomową”. Był tak samo zaskoczony tym, co się okazało, jak i ja. Zmieniające się wokół mnie światy sprawiły, że mało czego byłam pewna, ale Theo dowiódł swojej lojalności

ponad wszelką wątpliwość.

Paul Markov pozostawał zagadką.

A jednak był zagadką, którą musiałam rozwiązać, jeśli chciałam mieć jakiegokolwiek szanse na naprawienie Firebirda.

Spróbowałam skoncentrować się na liście, ale nie mogłam. Oparłam głowę na rękę. Paul zrobił krok w moją stronę.

– Pani? Jak się czujecie?

– Jestem... przytłoczona. To wszystko.

– Czy wasza wysokość chciałaby się przejść do Komnaty Wielkanocnej?

Komnata Wielkanocna? Kiedy podniosłam głowę, Paul się uśmiechał – ale nieśmiało. Nawet tutaj, w świecie, gdzie był oficerem w mundurze, uzbrojonym w pistolet i nóż, nadal był niepewny, czy powiedział to, co powinien.

Wstałam i pozwoliłam, by mnie zaprowadził na miejsce.

Paul poprowadził mnie jednym z najdłuższych korytarzy Pałacu Zimowego. Złoczone sklepienia połyskiwały nad nami, kiedy szliśmy pomiędzy kolumnami z zielonego marmuru, poprzez komnaty pomalowane na kolor złota, karmazynu lub błękitu królewskiego. Odgłosy moich pantofelków cicho towarzyszyły stukaniu jego lśniących wysokich butów na drewnianych parkietach. W końcu znaleźliśmy się przed wysokimi białymi drzwiami. Paul otworzył je i odsunął się na bok, puszczając mnie przodem. Weszłam do środka i z trudem stłumiłam westchnienie zachwytu.

Jak się okazało, w Komnacie Wielkanocnej nasza rodzina przechowywała jajka Fabergé.

Każde z nich było arcydziełem sztuki jubilerskiej. Na tyle małe, że mieściły się w dłoni dorosłego człowieka, były zrobione z porcelany, złota lub klejnotów albo też – najczęściej – z połączenia tych trzech materiałów. Niektóre były skromne, chociaż prześliczne, jak to z różowej emalii ozdobione rzędami malutkich perełek; inne efektowne i pomysłowe, jak jajo z lapis lazuli otoczone srebrnymi pierścieniami jak planeta Saturn i ułożone na „chmurze” z mlecznego kwarcu ozdobionego platynowymi gwiazdkami.

W moim wymiarze kilka tuzinów jajek Fabergé przetrwało z czasów, gdy Romanowowie obdarowywali się nimi w prezencie na Wielkanoc. W tym wymiarze ta tradycja trwała już od ponad stu lat. Na długich półkach wzdłuż ścian lśniło i błyszczało kilkaset jajek. To przypominało znalezienie się w szkatułce z klejnotami, tylko tysiąc razy wspanialszej niż zwykle, ponieważ

każde jajko było niepowtarzalnym dziełem sztuki.

Z szacunkiem podeszłam na palcach do jednej z półek i wzięłam do ręki alabastrowe jajko. Mój wewnętrzny głos powtarzał: *Nie upuść, nie upuść, nie, nie, nie*. Srebrny zawias na środku otworzył się, a ja uniosłam górną część, odsłaniając malutką pozytywkę z metalową tancerką, która zaczęła się obracać przy dźwiękach melodii. Była tak śliczna i tak delikatna, że zaparło mi dech w piersiach.

– Wasza wysokość wybrała inne niż wasze ulubione – powiedział cicho Paul.

Ile razy przyprowadzał mnie tutaj, kiedy czułam się smutna lub samotna? Domyślałam się, że nie po raz pierwszy znajdujemy się tutaj we dwoje.

– A które jest moje ulubione? – Popatrzyłam w szare oczy Paula, jakbym chciała sprawdzić, ile o mnie wie.

Bez wahania wskazał jajo w ciemnym, intensywnym kolorze czerwonego wina, ozdobione delikatnymi zawijasami ze złotego filigranu. Sama uroda tej czerwieni była niezwykła – mogłabym godzinami mieszać farby i nie uchwyciłabym takiej głębi koloru.

Uświadomiłam sobie, dlaczego Paul nie ruszył się z miejsca – z pewnością nie było mu wolno ich dotykać.

Dlatego uniosłam podbródek i powiedziałam:

– Podaj mi je, Markov.

Zawahał się tylko przez ułamek sekundy, a potem wziął jajko w duże dłonie. (Były tak duże i silne, że z pewnością mógłby mnie nimi objąć w talii.) Patrzyłam, jak unosi górną część, by odsłonić „niespodziankę”, dodatkowy popis finezji lub kunsztu ukryty w każdym jajku. Tutaj był to maleńki drobiazg – oprawiony w srebro portrecik mojej matki.

– Och – wyszeptałam. Oczywiście, że do tego zawsze wracałam, to lubiłam najbardziej ze wszystkich. Paul ułożył jajko w mojej czekającej dłoni. Jego palce przelotnie musnęły moje, ale mnie się wydawało, że czuję ich dotyk jeszcze przez dłuższą chwilę.

Przed długą chwilę staliśmy tuż koło siebie i patrzyliśmy na delikatny, bezcenny klejnot. Zauważałam milczenie Paula, jego miarowy oddech. Byliśmy sami w komnacie mającej kilkanaście metrów długości, z sufitem ponad dziesięć metrów nad naszymi głowami, a jednak ta bliskość wydawała się niemal nieznośnie intymna. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez wysokie okno, lśniły na ozdobach munduru i złoceniach trzymanego

przeze mnie jajka.

– Wasza matka była niezwykle piękna, pani – powiedział Paul.

Mógł ją oceniać tylko na podstawie portretu. Byłam pewna, że w tym wymiarze nie miał okazji poznać mojej mamy. Pomyślałam o tym, jak bardzo go kochała w naszym świecie i poczułam ukłucie bólu na myśl o jej stracie – o tej więzi, która powinna istnieć, ale nie istniała.

– Owszem, to prawda.

– Wasza wysokość jest do niej bardzo podobna.

Nie potrafiłam na niego spojrzeć. Nie mogłam złapać tchu.

Dlaczego on tak na mnie działa? Ale jeśli miałam być szczerą, od pewnego czasu coś do niego czułam – najpierw ciekawość, a potem nadzieję na coś, czego nie potrafiłam nawet nazwać.

– Och... – Skrzywiłam się, bo jeden z haczyków wewnątrz jaja w kolorze wina spadł w głąb skorupki. Portret mamy nie miał jak się trzymać na miejscu.
– Popsułam je.

– Proszę się nie martwić, pani. Jestem pewien, że guwerner będzie potrafił to naprawić. Profesor Caine niezwykle zręcznie umie się posługiwać zegarmistrzowskimi narzędziami.

Oczywiście. W domu co pewien czas tata bawił się starymi zegarami i sprawiał, że zaczynały znowu chodzić. Jego naukowy umysł, pozbawiony w tym świecie wyzwania teoretycznych, zajął się zegarmistrzostwem. Z całą pewnością bezustannie grzebał w jakichś mechanizmach.

Kiedy w końcu spojrzałam na Paula, byłam tak rozpromieniona ze szczęścia, że musiałam go tym zaskoczyć. Ale nie potrafiłam nic na to poradzić.

Właśnie wymyśliłam nowy sposób, by się stąd wydostać.

Rozdział trzynasty

– Profesorze Caine.

To dziwaczne, zwracać się do niego inaczej niż „tato”. Ale co w mojej sytuacji nie jest dziwaczne?

Tata wszedł do Komnaty Wielkanocnej w towarzystwie Paula, który na moje polecenie poszedł go przyprowadzić. Kiedy zobaczył ciemnoczerwone jajko w moich rękach, skinął głową, domyślając się, o co poproszę.

– To ten haczyk, prawda? Naprawdę, niedługo wasza wysokość powinna je odesłać do jubilerów Fabergé, żeby to porządnie naprawili. – Sięgnął do kieszeni surduta i wyjął małe skórzane zawiniątko, kryjące zestaw narzędzi zegarmistrzowskich. – Ale na razie potrafię to poprawić, bez obaw.

– Oczywiście, że pan to potrafi. – Uśmiechnęłam się do niego z nadzieją, że uda mi się go poprosić o przysługę. Uświadomiłam sobie zaraz, że to trochę absurdalne. Kiedy jesteś wielką księżną z rodu Romanowów, nie prosisz o przysługę, tylko wydajesz rozkazy.

Ale to nadal był mój ojciec i ponad wszystko chciałam traktować go z szacunkiem.

– Miałabym dla pana jeszcze jedno zadanie, gdyby zechciał pan rzucić na to okiem. – Ostrożnie odłożyłam uszkodzone jajko na mały stoliczek i sięgnęłam do kieszeni. Wyjęłam starannie zawinięte w koronkową chusteczkę kawałki Firebirda. – Ten należący do mnie wisior się rozpadł.

Tata podniósł głowę znad jajka i spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Wydaje mi się, że wasza wysokość próbuje zrobić ze mnie jubilera, aby uniknąć odpytywania z francuskiego.

– Przysięgam, że tak nie jest. To bardzo dla mnie ważna rzecz i bardzo skomplikowana... – Urwałam, zanim w moim głosie zdążyła zabrzmieć panika. Jeśli tata (albo stojący na straży Paul) zorientują się, jak bardzo niepokoję się o Firebirda, zaczną mi zadawać pytania, na które nie będę mogła odpowiedzieć. – Widzi pan, ten wisior to nie była tylko ozdoba. Kiedy wszystkie części znajdują się na miejscu, zacznie znowu działać.

– A co takiego robi? – Tata poprawił okulary, podczas kiedy ja rozwinęłam częściowo chusteczkę, by pokazać kawałeczki barwy mosiądzu. – Gra

muzykę?

– Nie. – Co miałam mu powiedzieć? Z pewnością nie uwierzyłby, gdyby usłyszał prawdę. – Obawiam się, że nie jestem pewna.

– W takim razie wątpię, czy będę potrafił to naprawić, skoro nie wiem, jak powinno działać. Oczywiście chciałbym pomóc waszej wysokości, ale to może być zadanie dla specjalisty.

No nie. Jeśli mam wprowadzić w życie awaryjny plan, który pozwoli Paulowi i mnie na wydostanie się z tego wymiaru, to potrzebuję kogoś takiego jak tata, żeby zajął się Firebirdem. No dobrze, w tym życiu jest skazany na rolę gubernera, ale to nie zmienia faktu, że jest geniuszem. Jego pomoc jest dla mnie najlepszą szansą, być może jedyną, jaką mam.

Nie miałam żadnej pewności, czy pułkownik Azarenko nie wyrzuci albo nie sprzeda Firebirda Paula przed powrotem z Moskwy. Jeśli mój nie zostanie naprawiony, zarówno ja, jak i Paul będziemy tu uwięzieni na zawsze.

Aby uspokoić narastającą panikę, odetchnęłam kilka razy głęboko i patrzyłam, jak mój ojciec naprawia jajko Fabergé. Zręcznie manewrował małutkimi szczypcami, aby wkręcić haczyk w odpowiednie miejsce, ale to, co zrobił później, zaparło mi dech w piersiach.

Tata podniósł portrecik mojej matki, zamówiony przez cara Aleksandra V, który prawdopodobnie nigdy więcej na niego nie spojrzeł. Ale tata trzymał portrecik przez dłuższą chwilę, sycąc się widokiem jej twarzy, a w jego oczach dostrzegałam głęboko ukryty smutek i tęsknotę, najsilniejsze, jakie mogłam sobie wyobrazić.

– Nie miałam pojęcia, jak wygląda twój ojciec, kiedy przyjechał odwiedzić mnie po raz pierwszy – powiedziała kiedyś mama, gdy w upalne letnie popołudnie robiliśmy grilla w ogrodzie. – Ale byłam w nim już na wpół zakochana.

Tata roześmiał się, a ona objęła go od tyłu.

– Ja pomyliłem zdjęcia na liście pracowników naukowych, więc myślałem, że „dr Kovalenka” to starsza pani. – Uniósł jej dłoń i ucałował. – Ale mimo to wymienialiśmy się już naprawdę uwodzicielskimi równaniami. Ja także byłem na wpół zakochany. Jak same widzicie, początkowo to były bardzo intelektualne zaloty.

– Początkowo. – Uśmiech mamy stał się bardzo przebiegły. – Natomiast drugie pół zakochania nastąpiło, kiedy spotkaliśmy się na lotnisku i odkryłam,

że jesteś niesamowicie seksowny.

– I wzajemnie – przyznał tata. – Mało brakowało, a rzuciłbym cię na bagażowy pas transmisyjny.

Josie i ja wykrzywiłyśmy się paskudnie, ponieważ byliśmy młodsze i nadal wydawało nam się, że to obrzydliwe, kiedy rodzice się tak przytulają. Dopiero później uświadomiłam sobie, jak niezwykle rzadkością jest obserwowanie dwojga ludzi, którzy pozostawali zakochani przez całe swoje życie.

Może to nie w porządku, że wykorzystałam jego uczucia, ale w głębi duszy wiedziałam, że tata chciałby mi pomóc i pocieszyć tę wersję mojej mamy, która została w domu, oplakując go i rozpaczliwie czekając na mój powrót. Dlatego uznałam, że mogę tak postąpić. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

– To należało do mojej matki – powiedziałam i wyciągnęłam do niego zawiniętego w chusteczkę Firebirda.

To wystarczyło. Tata odwrócił się od jajka Fabergé.

– Waszej matki?

– Często mi go pokazywała, kiedy byłam mała. – Theo wyjaśnił mi kiedyś, że pierwsza zasada, jeśli się kłamie, brzmi: *nie przekombinuj, baranie*. – Nie pamiętam, co takiego robił, ale pamiętam, że byłam zachwycona. Dlatego kiedy kilka dni temu znalazłam ten wisior, bardzo się ucieszyłam, ale jak pan widzi, jest w kawałkach. Ktoś musi spróbować go poskładać. Pan by to potrafił. Wiem, że pan by to potrafił.

Tata bardzo ostrożnie zawiesił emaliowany portrecik mamy w jajku w kolorze czerwonego wina i zamknął je. Potem wziął koronkową chusteczkę i podniósł kawałeczek Firebirda, owalny kawałek metalu z osadzonym czipem komputerowym. Zaczęłam tracić nadzieję, gdy sobie uświadomiłam, że nie ma mowy, żeby zrozumiał, co to jest czip komputerowy. Czy tylko się oszukiwałam, że to jest możliwe?

– Czy wasza wysokość wie może, jak to było skonstruowane? – zapytał.

Postukałam w obudowę wisiorka.

– Wszystko mieściło się we wnętrzu tego medalionu, poskładane tak, że wyglądało jak pojedynczy wisior. Nie wydaje mi się, żeby jakiejś części brakowało, tylko że są rozsypane. Ale poza tym nic nie wiem.

Tata zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

– Większość mechanizmów ma jakąś wewnętrzną logikę – powiedział. – Możliwe, że uda mi się to zrobić, jeśli będę miał dość czasu.

– Spróbowałby pan?

– Czemu nie? Zawsze lubiłem łamigłówki.

Nadzieja wezbrała we mnie, jasna i niepoohamowana.

– Och, dziękuję panu!

Miałam ochotę go uściskać, ale zdołałam się powstrzymać.

Tata uśmiechnął się i zawinął fragmenty Firebirda z powrotem w chusteczkę.

– To dla mnie sama przyjemność, wasza wysokość. Zawsze chętnie służę pomocą.

– Nie wie pan nawet, ile to dla mnie znaczy. – Czy to możliwe, że uda mi się stąd wydostać?

– Doskonale rozumiem – powiedział tylko, ale w tych dwóch słowach usłyszałam jego miłość do mojej matki i to, ile był gotów zrobić przez wzgląd na jej pamięć.

Nawet mój ojciec nie jest tak genialny, by natychmiast naprawić skomplikowane urządzenie, którego nigdy wcześniej nie widział. Nie może też wydłużyć doby. Boże Narodzenie jest tutaj, w Sankt Petersburgu, obchodzone wyjątkowo uroczyście, co oznacza, że praktycznie co wieczór mamy przyjęcie, bal lub spotkanie towarzyskie. Tata zdołał wymówić się kilka razy od obecności, mnie się to nie udało ani razu. Azarenko nadal przebywał w Moskwie, a bez maszyny czasu, której mama nie zdążyła wynaleźć, nie mogłam sprawić, że Nowy Rok przyjdzie prędej.

Na razie musiałam czuć się tu jak w domu.

Zaczęłam od podstaw. Zapamiętałam ze *Spisu rodów królewskich* tyle, ile mogłam. Na swoim biurku miałam kalendarz z umówionymi spotkaniami, więc zdołałam się zorientować, co mam kiedy robić, znalazłam też plan Zimowego Pałacu, który podpowiedział, jak się po nim poruszać. (Jeśli będę się gubić we własnym domu, otoczenie zacznie podejrzewać, że coś jest nie tak.)

Najdziwniejszą rzeczą było to, że nic nie wydawało mi się takie dziwne. Po kilku dniach całkowicie naturalne stało się dla mnie noszenie sukni do ziemi na co dzień i upinanie włosów w skomplikowane korony z warkoczy. Moje kubki smakowe przywykły do smaku słonego kawioru, kwaśnego barszczu i mocnej rosyjskiej herbaty. Potrafiłam czytać i mówić po angielsku, francusku i rosyjsku, bez żadnego trudu przerzucając się z jednego języka na drugi. Starłam się jak najwięcej ćwiczyć z nadzieją, że uda mi się trochę

tego francuskiego i rosyjskiego zabrać do domu.

Co rano służące przygotowywały mnie do nowego dnia i robiły za mnie wszystko, od zakładania mi pończoch na nogi do polerowania kolczyków przed przypięciem ich do moich uszu. (Wielka księżna nie przekłuwała uszu – w tym wymiarze, przynajmniej w Sankt Petersburgu, wszelkiego rodzaju piercing równałby się założeniu T-shirta z napisem: ZAWODOWA PROSTYTUTKA, ZAPYTAJ O CENNIK.) Zajęły się nawet wszystkim, kiedy czwartego dnia mojego pobytu tutaj rano zaczął mi się okres. Okazało się to okropnie kłopotliwe i wymagało czegoś przypominającego pas do podwiązek, tylko ani odrobinę nie tak seksownego, oraz zwiniętego ręcznika między moimi nogami. Musiałam stać i czerwienić się tak, że robiłam się prawie purpurowa, kiedy co kilka godzin zmieniały ten ręcznik i zabierały go, żeby został wyprany przez jakąś nieszczęsną praczkę. Dlaczego nie mogłam dostać okresu w wymiarze z futurystycznym Londynem? Mieli tam pewnie jakieś cudowne kosmiczne tampony albo coś w tym rodzaju. Ale służące wyraźnie się tym nie przejmowały, więc ja także starałam się to znosić i nie pokazać, jak bardzo się brzydzę.

Codziennie chodziłam do sali lekcyjnej i uczyłam się francuskiego, ekonomii, geografii i wszystkiego innego, jeśli tylko zdołałam namówić tatę na powtórzenie materiału. W odpowiedzi na moje zwiększone zainteresowanie poświęcał więcej czasu wykładom o najnowszych wynalazkach, w tym wyścigu w branży lotniczej. (Samoloty zostały już wynalezione, ale bardzo niedawno, i nadal robiono je z płótna, ze śmigłami. Jak dotąd najdłuższy lot w historii trwał około dwudziestu minut.) Peter był zachwycony i zadawał tyle pytań, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie odziedziczył badawczej ciekawości mamy. Katia kręciła nosem na dodatkowe prace domowe, ale widziałam, że wbrew sobie jest także zainteresowana.

Spotkania z ojcem nie stały się dla mnie łatwiejsze, ale byłam wdzięczna losowi nawet za ten ból. Szansa, by znowu spędzać z nim czas, była darem, którego nie zamierzałam się wyrzekać.

Paul był zawsze w pobliżu. Zawsze ze mną. Jeśli nie w tej samej komnacie, to na zewnątrz, pod drzwiami.

Początkowo jego obecność w pobliżu po prostu dodawała mi otuchy. Dopóki Paul znajdował się przy mnie, wiedziałam, że będzie bezpieczny. Mogłam wierzyć, że odzyskamy jego Firebirda albo mój tata naprawi mojego, a ja będę mogła przypomnieć Paulowi, kim jest – a wtedy będę miała

pewność, że uda nam się wrócić do domu.

Miał się odbyć kolejny wielki bal, zaledwie jeden z ponad tuzina poprzedzających Boże Narodzenie. Nie mogłam się znowu wykręcić, udając omdlenie, ale niestety tańce balowe należały do tych, o których nie miałam pojęcia. Jednym z najważniejszych wśród nich był walc.

Nie umiałam tańczyć walca. Jeśli córka cara wyjdzie na parkiet i zrobi z siebie kompletne pośmiewisko, ludzie zaczną się zastanawiać, co jest ze mną nie tak.

Tego popołudnia, kiedy razem z Paulem poszłam do biblioteki, nie usiadłam nawet przy biurku. Zamiast tego, kiedy tylko Paul zamknął za nami wysokie drzwi, powiedziałam:

– Poruczniku Markov, chciałabym się nauczyć tańczyć walca.

Zatrzymał się. Popatrzył na mnie wielkimi oczami. Nie dziwiłam mu się. Po chwili odezwał się ostrożnie:

– Wasza wysokość jest doskonałą tancerką. Wiele razy widziałem, jak tańczysz walca.

– Niech i tak będzie... – Czy to zabrzmiało królewsko? Może trochę przesadzam... – Ja, no, mam wrażenie, że trochę zeszywniałam. Chciałabym poćwiczyć przed dzisiejszym wieczorem. Zatańczysz ze mną, prawda?

Paul wyprostował się i wydawał się tak samo skrzepowany i niepewny, jak zwykle w domu.

– Jak sobie życzysz, pani – powiedział tylko.

– Dobrze. Doskonale. Przede wszystkim potrzebujemy muzyki.

W rogu stał staroświecki fonograf razem z wielką tubą używaną dawniej zamiast głośnika. Na starych filmach ich obsługa była raczej prosta: wkładało się płytę, opuszczało ramię z igłą i gotowe.

Ale kiedy podeszłam tam, po perskim dywanie, w który zapadały się moje pantofelki, zobaczyłam, że ten fonograf nie używa płyt. Znałam niezłe kolekcję winylów taty, ale tu były... wałki? Zrobione z wosku?

Najlepiej jak potrafiłam ukryłam moje zagubienie.

– Markov, wybierz dla nas jakąś muzykę.

Podszedł szybkim krokiem do mnie i wybrał jeden wałek. Obserwowałam go uważnie, żebym w razie potrzeby potrafiła zrobić to samo. Zakręcił małą korbką z boku i rozległa się cicha, metaliczna muzyka, prześliczna pomimo statycznych trzasków i syczenia.

Odwróciłam się do Paula, gotowa zaczynać, ale on zauważył:

– Na podłodze będzie wygodniej, pani.

Oczywiście. Parkiet do tańca nigdy nie był pokryty dywanem.

Poszłam za nim pod okno, gdzie dywan nie przykrywał podłogi. Kwadraty pod naszymi stopami wydawały się pasiaste, tak gęsto były w nich ułożone intarsje z różnych rodzajów drewna. Z wysokich okien padało miękkie światło, podkreślające rudawy połysk na włosach Paula.

– Jeśli pozwolisz, pani. – Wyciągnął ręce odrobinę sztywno, koło mnie, ale w powietrzu, a ja uświadomiłam sobie, o co mnie pyta. Potrzebował pozwolenia, aby mnie dotykać.

Uniosłam twarz i zrozumiałam, że... on chciałby mnie dotknąć.

– Proszę bardzo, Markov – zdołałam powiedzieć.

Ujął moją prawą dłoń. Lewą dłoń położyłam mu na ramieniu – tyle przynajmniej wiedziałam. On prawą ręką objął mnie w talii, a ja poczułam ciepło nawet przez biały jedwab sukni.

Trudno mi było patrzeć mu w oczy, ale nie odwróciłam spojrzenia. Nie mogłam.

Paul zaczął tańczyć walca. Kroki były proste: RAZ, dwa, trzy, RAZ, dwa, trzy – a jednak przez kilka sekund radziłam sobie kiepsko. Trudno jest udawać, że umie się tańczyć. Ale pamiętałam coś, co moja matka powiedziała kiedyś o tańcu towarzyskim – że należy po prostu pozwalać się prowadzić partnerowi. Należy całkowicie mu się poddać, pozwolić, żeby tobą kierował i poruszał.

Zazwyczaj kiepsko sobie radziłam z pozwalaniem komuś, żeby mną kierował. Ale teraz się temu poddałam. Pozwoliłam, żeby Paul przejął prowadzenie.

Teraz zaczęłam czuć delikatny nacisk jego dłoni na plecach – nie popychał mnie, ale bardzo, bardzo delikatnie sugerował, w którą stronę się obrócić. Nasze splecione dłonie uniosły się razem, moja postawa zmieniła się, ponieważ pozwoliłam, by odchylił mnie odrobinę do tyłu. To przechylenie i obroty sprawiły, że troszeczkę zakręciło mi się w głowie, ale to nawet pomogło. Teraz mogłam mu się podporządkować. Mogłam przestać myśleć, przestać się martwić i istnieć tylko w tym tańcu.

Paul jakby zauważył tę zmianę i stał się śmielszy. Zataczał ze mną coraz szersze i szersze kręgi. Długa suknia wirowała wokół mnie, roześmiałam się z czystej radości i zostałam nagrodzona jego uśmiechem. To było zupełnie tak,

jakby całe moje ciało dokładnie wiedziało, jak on się zamierza poruszać i tańczyliśmy w zapamiętaniu, dla samej przyjemności tańca. Dłoń Paula zacisnęła się na moich plecach, przyciągnął mnie bliżej...

...i w tym momencie skończyła się melodia. Zatrzymaliśmy się gwałtownie, kiedy muzyka ucichła. Pozostały tylko statyczne szумы.

Przez chwilę staliśmy tylko, w pozycji do tańca, która zamieniła się w uścisk. Potem Paul wypuścił mnie i cofnął się o krok.

– Wasza wysokość nadal tańczy doskonale.

– Dziękuję, Markov.

Czy tak powinna zachowywać się księżniczka? Opuścić swojego partnera w tańcu i nawet się nie obejrzeć? Taką miałam nadzieję. Usiadłam przy biurku i udawałam, że czytam listy, które miałam przed sobą – że każda część mojego ciała nie jest doskonale, nieznosnie świadoma obecności Paula, który znowu stanął na straży przy drzwiach.

To, jak ze mną tańczył, jak na mnie patrzył – musiałam to zrozumieć. Co w tym wymiarze łączyło Marguerite i porucznika Markova?

Wieczorem, gdy czekałam, aż pokojówki przyjdą i zaczną mnie szykować na bal, zaczęłam grzebać w rzeczach wielkiej księżnej Margarity w poszukiwaniu... listów miłosnych, pamiętnika, czegokolwiek. Gdy zobaczyłam oprawioną teczkę, poczułam ściskanie w gardle. Ona także jest artystką! W tym momencie byłabym gotowa oddać wszystko za moje farby olejne.

Ale ta Marguerite nie malowała obrazów. Rysowała grafiki.

Ołówki i węgiel – to były jej narzędzia, które znalazłam w małym skórzanym neseserku. Moja fascynacja kolorami i głębią była całkowicie nieobecna w jej twórczości, zamiast tego stawiającej na szczegółowość i precyzję. A jednak w jej pracach rozpoznawałam elementy przypominające to, co sama tworzyłam.

Oto Peter, czytający książkę, z brwiami leciutko uniesionymi w wyrazie fascynacji... Katia, która tak bardzo stara się udawać dorosłą, że wygląda przez to śmiesznie...

...i Paul.

Siedziałam na haftowanym dywanie w sypialni i przeglądałam kartki szkicownika, gdzie znalazłam jeszcze dwa, trzy, a nawet więcej portretów Paula Markova. Kiedy sobie przypominałam pocięty przeze mnie portret, poczułam się zawstydzona – nie tylko dlatego, że zniszczyłam swoje dzieło,

ponieważ uwierzyłam w fałszywe oskarżenia Paula, ale również dlatego, że nie udało mi się tak naprawdę uchwycić jego osobowości. Na pewno nie w porównaniu do tej Marguerite – była naprawdę dobra.

Oddała w jego profilu coś niemal nieuchwytnego, poczucie celowości, jakie towarzyszyło Paulowi w każdej chwili, nawet całkowicie zwyczajnej. Kolejny szkic przedstawiał Paula stojącego na baczność – jego ramiona były nakreślone z pieczołowitością w najmniejszych szczegółach, które powiedziały mi, że Marguerite zauważała, w jaki sposób układa się na nim mundur, jak się porusza.

W końcu podniosłam szkic zrobiony w Komnacie Wielkanocnej. Nie byłam pewna, czy Paul pozował do pozostałych, ale do tego z pewnością nie pozował. W portretach rysowanych z pamięci była jakaś miękkość, wydawały się jednocześnie pełne uczucia i niepewności. Marguerite uchwyciła lekkie przechylenie jego głowy, które świadczyło o tym, że słucha, a także jego pochmurne spojrzenie. Naszkicowane za nim jajka przypominały bardziej cienie, ale zauważyłam, że Marguerite uchwyciła kilka detali – sugestię emalii na jednym z nich, błysk pozłoty na innym.

Starałam się przyglądać właśnie temu, a nie temu, w jaki sposób narysowała tutaj Paula, patrzącego prosto na widza, z wyrazem twarzy, w którym mieszały się w równych proporcjach ból i nadzieja.

(Patrzył na mnie. Zawsze, zawsze patrzył na mnie.)

Szybko pozbierałam rozłożone wokół mnie rysunki i schowałam je do teczki. Zostawiłam na wierzchu ołówki i węgiel, ale doszłam do wniosku, że dopóki tu jestem, nie będzie żadnych portretów. Może dla odmiany spróbuję sił w pejzażach.

Co do diabła – pomyślałam. – Jeśli utknę w tym wymiarze, to mogę wynaleźć sztukę abstrakcyjną.

Ale nie utknę w tym wymiarze. Nie utknę. Jeśli zawiedzie wszystko inne, tata mnie uratuje. Musiałam w to wierzyć.

Jeśli tutaj nie utknę, to nie będę musiała zadawać sobie pytania, jakie uczucie sprawiło, że ta Marguerite raz za razem rysowała Paula. Co takiego w nim widziała, że potrafiła uchwycić jego duszę dokładniej, niż udawało się to mnie.

Albo też, jak to możliwe, że dusze obu Paulów wydają się takie same.

Pokojówki przeszły same siebie, szykując mnie na bal. Moja suknia na ten

wieczór była cała srebrna – jedwab, hafty, paciorki, którymi obszyte były dekolt karo, mankiety i dolny brzeg. Znowu umieściły na moich włosach rubinową tiarę i przypięły mi brylantowe kolczyki tak ciężkie, że nie wyobrażałam sobie, jak mam je nosić przez cały wieczór. Byłam oszołomiona swoim odbiciem w lustrze.

Dlaczego muszę tak wyglądać w wymiarze, gdzie nie ma aparatów w komórkach – pomyślałam z rozpaczą, obracając się w jedną i drugą stronę. – Robiłabym sobie selfie przez godzinę i to byłyby jedyne zdjęcia, jakich bym używała przez resztę swojego życia.

Ale kiedy wyszłam z komnaty, zobaczyłam najbardziej prawdziwe odbicie siebie w oczach Paula.

Westchnął gwałtownie i powiedział niemal szeptem:

– Wasza wysokość.

– Poruczniku Markov. – Chociaż wiedziałam, że powinien mnie odprowadzić na bal, z najwyższym trudem powstrzymywałam się przed wyciągnięciem ramion i zaproszeniem go do tańca.

Czy mogliśmy zatańczyć dzisiaj wieczorem? Prawdopodobnie najpierw będę musiała zatańczyć z różnymi arystokratami – i z pewnością z Władimirem, bo skoro tańczył z Katią, to zatańczy ze mną...

– Nie chcecie chyba powiedzieć, że nie zostałem zaproszony?

Męski głos zagrzemiał z korytarza, kiedy Paul i ja schodziliśmy po schodach. Ponieważ wszyscy zamarli na miejscach, domyśliłam się, że to nie zwiastuje niczego dobrego.

Katia zbiegła z tupotem po schodach za mną, zupełnie bez gracji, chociaż miała na sobie długą białą suknię.

– Przyszedł – powiedziała szeptem. – Mówili, że go nie będzie.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, chociaż nie miałam pojęcia, czy faktycznie tak jest, czy też nie.

Paul odwrócił się do mnie.

– Jeśli w jakimś momencie wasza wysokość zacznie się obawiać o swoje bezpieczeństwo...

– Zaraz cię znajdę – obiecałam.

W tym momencie pojawił się Władimir, którego ponura twarz kontrastowała z wyprasowanym mundurem i lśniącymi orderami.

– Chodźmy w takim razie – powiedział i podał mi ramię. – Najwyraźniej dzisiaj wieczorem będziemy musieli udawać szczęśliwą rodzinę. Razem

stawimy czoła smokowi, hmm?

Z Władimirem u boku i Katią wlekącą się za nami weszłam do głównego holu. Po raz kolejny tuziny obwieszonych klejnotami i wstęgami arystokratów kręciły się tu i tam, udając, że nie zauważają odrobinę tylko zamaskowanej grzecznością konfrontacji na samym środku sali. Car Aleksander stał sztywno wyprostowany i witał... kogoś... Mężczyznę rok czy dwa młodszego od niego, nieco szczuplejszego, ale równie wysokiego, z wyrazem dumnej pogardy na twarzy i w mundurze równie wspaniałym, jak wszystkie wokół.

– Wuju Siergieju. – Władimir skłonił się przed nim. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że można skłonić się przed kimś z ironią. – Jakże się cieszę, że cię widzę, i to w ten świąteczny czas!

Wielki książę Siergiej. Wróciły do mnie informacje zapamiętane ze *Spisu rodów królewskich*. Był młodszym bratem cara i rywalem w walce o wpływy. Nie wiedziałam, na ile serio powinnam traktować prasowe doniesienia o tej rywalizacji, ale teraz, gdy zobaczyłam w spojrzeniu Siergieja czystą furję, w końcu zrozumiałam.

Popatrzył na mnie zmrużonymi oczami.

– Nikogo nie nabierzesz na te pochlebstwa, Władimirze. Ale ty przynajmniej jesteś dostatecznie dobrze wychowany, by udawać, że się cieszysz na mój widok.

Zebrałam się na odwagę.

– Witaj, wuju Siergieju. – Wyciągnęłam do niego dłoń do ucałowania. Siergiej patrzył na nią tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy zrobiłam coś nie tak, ale potem pochylił się nad moją ręką, ujął ją w swoją dłoń i przycisnął wargi do moich kłykci.

Jego usta były zimne. Wyczuwałam, że wyobraża sobie, jakie to by było uczucie, gdyby w moim nadgarstku nie było pulsu.

Po mnie dłoń podała mu Katia z tak nieprzyjaznym wyrazem na upartej twarzyczce, że oczami duszy zobaczyłam, jak pokazuje mu środkowy palec. Siergiej potraktował ją z taką samą sztuczną na twarzy i w mundurze równie wspaniałym, jak wszystkie wokół.

– Wuju Siergieju. – Władimir skłonił się przed nim. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że można skłonić się przed kimś z ironią. – Jakże się cieszę, że cię widzę, i to w ten świąteczny czas!

Wielki książę Siergiej. Wróciły do mnie informacje zapamiętane ze *Spisu rodów królewskich*. Był młodszym bratem cara i rywalem w walce o wpływy.

Nie wiedziałam, na ile serio powinnam traktować prasowe doniesienia o tej rywalizacji, ale teraz, gdy zobaczyłam w spojrzeniu Siergieja czystą furję, w końcu zrozumiałam.

Popatrzył na mnie zmrużonymi oczami.

– Nikogo nie nabierzesz na te pochlebstwa, Władimirze. Ale ty przynajmniej jesteś dostatecznie dobrze wychowany, by udawać, że się cieszysz na mój widok.

Zebrałam się na odwagę.

– Witaj, wuju Siergieju. – Wyciągnęłam do niego dłoń do ucałowania. Siergiej patrzył na nią tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy zrobiłam coś nie tak, ale potem pochylił się nad moją ręką, ujął ją w swoją dłoń i przycisnął wargi do moich kłykci.

Jego usta były zimne. Wyczuwałam, że wyobraża sobie, jakie to by było uczucie, gdyby w moim nadgarstku nie było pulsu.

Po mnie dłoń podała mu Katia z tak nieprzyjaznym wyrazem na upartej twarzyczce, że oczami duszy zobaczyłam, jak pokazuje mu środkowy palec. Siergiej potraktował ją z taką samą sztuczną serdecznością jak mnie, a ja przez ten czas przyglądałam się twarzom zgromadzonych – cara, mojego brata, arystokratów, Paula. Wszyscy wydawali się rozzłoszczeni, ale w niektórych wyczuwałam także strach.

Rywal w walce o wpływy chciał całej władzy dla siebie. Zamierzał ją odebrać carowi, mężczyźnie, którego wszyscy uważali za mojego ojca. Musiałby w tym celu wyeliminować również jego następcę, Władimira. A także Piotra. I Katię. I...

Gdy stałam się Marguerite z tego wymiaru, przejęłam całe jej życie. Nie tylko suknie i klejnoty, nie tylko taniec z Paulem.

Przedtem obawiałam się tylko o to, że nie wrócę do domu. Teraz obawiałam się, że nie wydostanę się z tego wymiaru na tyle szybko, by uciec przed niebezpieczeństwem, które było bardzo, bardzo realne.

Rozdział czternasty

Następnego dnia po południu Władimir wszedł do biblioteki z plikiem listów w ręku.

– Czyżbyś teraz ty miał się zajmować królewską korespondencją? – Uśmiechnęłam się, by obrócić to w żart, ale naprawdę chciałam wiedzieć, dlaczego robi coś tak niezwykłego. Spędziłam półtora tygodnia w tym wymiarze i wiedziałam, jakie to dziwne, że listy przyniósł mi on, a nie służący.

– Rano przyszedł dziwny list. Główny sekretarz poprosił mnie o opinię, ale ja nic z tego nie rozumiałem, więc postanowiłem ci to dostarczyć osobiście. – Władimir rzucił cały plik kopert na moje biurko. – To przyszło poprzez ambasadę francuską. Bardzo nietypową drogą i możliwe, że to po prostu dzieło jakiegoś szaleńca, ale najwidoczniej list przewodni okazał się niezwykle przekonujący. Przysięgał, że zechcesz się tym zainteresować. – Podniósł kopertę z wierzchu i pokazał mi ją. – Naprawdę?

Koperta była zaadresowana po angielsku, eleganckim, wyrobionym pismem: *Jej Wysokość Wielka Księżna Wszechrusi Margarita.*

Poniżej było jeszcze jedno imię: *Meg.*

Theo! Wyrwałam kopertę Władimirowi tak szybko, że roześmiał się, zaskoczony. Ale nie przeszkadzał mi, kiedy złamałam woskową pieczęć, by przeczytać list w środku.

No to jestem chemikiem w Paryżu, co wydawało mi się naprawdę niesamowicie fajne, aż do czasu, kiedy przeczytałem gazetę i uświadomiłem sobie, gdzie Ty wylądowałaś. Jakim cudem zostałam córką cara? Nie mam pojęcia, jak to wyszło, ale... niezły numer, Meg. Niezły numer.

Paul oczywiście przeskoczył do tego wymiaru, tak samo jak Ty, bo mój Firebird powiadomił mnie o tym jednoznacznie. Minął już prawie tydzień, a żadne z was nie przeskoczyło dalej – chyba zwariuję, zastanawiając się nad przyczynami. Bardziej bym się niepokoił, gdybym nie wiedział, że jesteś otoczona strażnikami pilnującymi Twojego bezpieczeństwa, skoro ja nie mogę się tym zająć osobiście. Widziałaś może Paula? Wykorzystałaś swoją władzę księżniczki, żeby skazać go na śmierć w jakiś barbarzyński rosyjski

sposób?

Słowa Theo wydały mi się zaskakujące. Jeszcze gorsza była świadomość, że ja sama niedawno jeszcze uważałam Paula za mordercę. Podniosłam oczy znad listu i zobaczyłam go stojącego przy drzwiach. Theo myślał, że potrzebuję strażników, żeby mnie przed nim chronili, tymczasem to właśnie Paul był tym, który mnie chronił.

Ale mówiąc tak całkiem serio, martwię się o Ciebie. Nie wiem, dlaczego tutaj zostałam. Czy czekasz na mnie? Proszę, nie rób tego. Wizy rosyjskie są trudne do zdobycia (sprawdzałem), szczególnie jeśli nie mówi się po rosyjsku.

Jedynę rzecz, jakie mi jeszcze przychodzi do głowy, to że Firebird został z jakichś powodów uszkodzony, zachorowałaś lub nie pamiętasz, kim naprawdę jesteś. Jeśli to ta ostatnia możliwość – rany, ten list musi brzmieć jak bełkot wariata. Mam nadzieję, że nie zachorowałaś. Czytam codziennie gazety i staram się dowiedzieć z nich, co u Ciebie słychać.

Jeśli coś się stało z Twoim Firebirdem, daj mi znać, dobrze? Tobie będzie łatwiej napisać do mnie niż na odwrót. Może nawet zdołasz załatwić wizę dla obiecującego paryskiego chemika. Właśnie, a może poprosisz o wycieczkę do Paryża, żeby kupić najmodniejsze kreacje? Zdaje się, że na topie są w tym momencie okropnie wielkie kapelusze. Powiedz carowi, że musisz mieć okropnie wielki kapelusz. Zrób, co w Twojej mocy, żeby tu przyjechać. Wtedy będę mógł Ci pomóc i przynajmniej znowu Cię zobaczę. Nie masz pojęcia, jak tęsknię za Twoim widokiem.

Tak przy okazji, o mnie się nie martw. Odrzuciłem ofertę pracy przy badaniu związków radu i mieszkam tylko kilka przystanków metra od Moulin Rouge. Paryż bardzo mi odpowiada.

Potrzebuję tu jeszcze tylko Ciebie.

Opuściłam list na kolana, przytłoczona tyłoma emocjami, że z trudem byłam w stanie się w nich połapać. Radość, że Theo dał znak życia, mieszała się z nadzieją (*Czy zdoła naprawić Firebirda, jeśli tacie się to nie uda?*), niepokojem (*Jak mamy się spotkać?*) i poczuciem winy... ponieważ Theo tęsknił za mną. Martwił się o mnie. Troszczył się o mnie, a ja nie miałam pojęcia, co właściwie do niego czuję.

Czasem myślałam o tamtej nocy w Londynie, o tym, jak pochylił się nad łóżkiem i pocałował mnie w obojczyk. To wspomnienie było oszałamiające.

A jednak bladło przy wspomnieniu Paula stojącego w drzwiach sypialni i patrzącego, jak maluję. Albo uczącego mnie tańczyć w tej komnacie.

Znowu popatrzyłam na Paula i właśnie w tym momencie on spojrzał na mnie. Nasze oczy się spotkały, a we mnie coś zadrżało. Paul wyprostował się bardziej oficjalnie niż wcześniej i udawał, że to się w ogóle nie zdarzyło.

– Wyglądasz, jak trafiona piorunem – powiedział Władimir. Chociaż starał się żartować, słyszałam w jego głosie autentyczny niepokój.

– To sprawa osobista – odparłam. Kiedy podniosłam głowę, Władimir wydawał się niemal zraniony. Prawdopodobnie Marguerite z tego wymiaru mówiła mu prawie o wszystkim. Wydawał się chłopakiem, któremu można się zwierzać. Dlatego wyciągnęłam rękę, a gdy Władimir ją ujął, postarałam się uśmiechnąć. – Myślisz, że car pozwoli mi pojechać do Paryża, żebym mogła kupić kilka kapeluszy?

– Tu chodzi o kapelusze?!

– W pewnym sensie.

Władimir potrząsnął głową.

– Nigdy nie zrozumieję kobiet.

Zostawił nas samych, więc zajęłam się pisaniem odpowiedzi dla Theo. Potem spróbowałam przejrzeć resztę popołudniowej poczty, ale nie potrafiłam się skoncentrować. List Theo przypominał mi, jak dziwna była moja pozycja w tym świecie, jak trudno mi będzie wydostać się z tego wymiaru, o ile w ogóle okaże się to możliwe, a także o wszystkich moich uczuciach do niego – i do Paula – nad którymi w tym momencie nie mogłam się zastanawiać.

Oparłam głowę na rękę, zmęczona i przybita. Po chwili Paul odezwał się:

– Czy wasza wysokość źle się czuje?

– Nie, absolutnie nie. Ja tylko... Chyba akurat dzisiaj trudno mi sobie z tym wszystkim poradzić. – Spróbowałam znaleźć jakiś temat do rozmowy, która nie przypominałaby emocjonalnego pola minowego. W tym momencie nie było to proste zadanie. – To jest list do rumuńskiej księżniczki, która przyjeżdża do Sankt Petersburga. Dlaczego rosyjska wielka księżna pisze do rumuńskiej księżniczki po angielsku? A skoro o tym mowa, dlaczego teraz rozmawiamy po angielsku?

– Taki jest carski obyczaj od wielu pokoleń – odparł, wyraźnie niepewny, do czego zmierzam.

To było prawdą nie tylko w tym wymiarze. Kiedy przypominałam sobie teraz lekcje historii, jakie miałam w domu, uświadomiłam sobie, że to samo dotyczyło mojego świata. Mikołaj i Aleksandra pisali do siebie po angielsku. Członkowie rodów królewskich są dziwni.

– Czy wasza wysokość wolałaby mówić po rosyjsku?

– Nie, wszystko w porządku. Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu myślę na głos.

– Poza tym... – Głos Paula stwardniał, jakby się starał brzmieć bardziej oficjalnie. – To będzie przydatne ćwiczenie na przyszłość. Wasza wysokość.

O czym on mówił? Zadałam to pytanie tak niezobowiązująco, jak tylko potrafiłam.

– Doprawdy? A dlaczego dokładnie?

Paul wyprostował się.

– Mówiłem o... planowanych zaręczynach z księciem Walii. Proszę waszą wysokość o wybaczenie, że wyraziłem się z taką śmiałością.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się to komiczne. Mam wyjść za księcia Williama! Będę chodzić w takich ślicznych płaszczach, jak Kate Middleton! Ale potem przypominałam sobie, że ze Spisu... wynikało, iż następcą tronu Imperium Brytyjskiego nie jest Wills, tylko ktoś w znacznie większym stopniu pochodzący z chowu wsobnego i o wiele mniej atrakcyjny. Zresztą nawet gdyby to był książę William, niedługo będzie mi się to wydawało zabawne, ponieważ jeśli zostanę tutaj uwięziona, naprawdę będę musiała wyjść za obcego człowieka, mieszkającego na drugim końcu świata.

– Wasza wysokość? – zapytał niepewnie Paul.

Chciałam powiedzieć, że wszystko w porządku, ale zamiast tego zacisnęłam dłoń na ustach i starałam się zachować panowanie nad sobą. Nie mogłam się załamać. Nie mogłam.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam mówić płynnie po angielsku. – Mój głos drżał, Paul na pewno widział, jak bardzo cierpię, nawet jeśli nie do końca rozumiał, dlaczego. – Ponieważ pewnego dnia zostanę ich królową.

No dobrze, dzięki Bogu, że o tym pomyślałam, ponieważ zauważyłam odrobinę komizmu w tym, że będę machać niezgrabnie z karety albo nosić wielkie kapelusze z piórami.

Ale Paul wydawał się prawie tak samo nieszczęśliwy jak ja.

– Jestem przekonany, że jego cesarska mość nigdy nie zgodziłby się na małżeństwo waszej wysokości z mężczyzną, który nie byłby waszej

wysokości godny – oznajmił.

Podejrzewałam, że car Aleksander praktycznie sprzedał mnie na aukcji najlepszemu królewskiemu licytującemu.

– Chciałabym mieć taką pewność.

Paul pokiwał głową z dziwną gorliwością.

– Księżę Walii z pewnością okaże się oddanym mężem, pani. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić, by jakikolwiek mężczyzna nie... nie czuł się szczęśliwy, mając taką żonę. Że nie zakochałby się w waszej wysokości od pierwszego wejrzenia.

Dzieliło nas dziesięć metrów, ale wydawało się, że jesteśmy dość blisko, aby się dotknąć.

Wyobrażałam sobie, że Paul mógł nawet usłyszeć, jak na moment wstrzymałam oddech.

– Każdy mężczyzna, pani – powtórzył.

– Miłość od pierwszego wejrzenia. – To był prawie szept, ale w przestronnym pokoju ze świetną akustyką nawet najcichsze słowa były dobrze słyszalne. – Zawsze myślałam, że prawdziwa miłość potrzebuje czasu. Pojawia się dopiero wtedy, kiedy się znacie, ufacie sobie nawzajem. Po dniach, tygodniach lub miesiącach spędzonych razem na uczeniu się rozumienia tego wszystkiego, czego nie mówi się na głos.

Paul uśmiechnął się, co tylko sprawiło, że jego oczy stały się smutniejsze.

– Jedno może przemienić się w drugie, pani. – Mówił jeszcze ciszej niż ja. – Sam wiem o tym najlepiej.

Kiedy popatrzyliśmy na siebie, bez słowa przyznał się do czegoś pięknego i niebezpiecznego. Czy to samo wyznanie zobaczył w moich oczach?

Teraz wiedziałam już, że tamta Marguerite odwzajemniała jego przywiązanie, bez słowa i bez nadziei.

Żaden zwyczajny gwardzista, niezależnie od swojej lojalności i odwagi, nie mógł poślubić wielkiej księżnej. Żadna wielka księżna nie ryzykowałaby gniewu cara dla zakazanego, potajemnego romansu.

– Dziękuję, poruczniku Markov – powiedziałam. Staralam się, by zabrzmiało to oficjalnie, obojętnie. Nie udało mi się to.

Paul skłonił głowę i znowu stanął na baczność, jakby nic się nie wydarzyło. Potrafił udawać lepiej ode mnie.

Nadeszło Boże Narodzenie. Spędziłam je w kościele. To samo w sobie

było dostatecznie dziwaczne dla mnie, córki dwojga ludzi określających się jako „konfucjo-agnostycy”. Poza tym tutaj „kościół” oznaczał ogromny sobór prawosławny pełen biskupów noszących wysokie haftowane nakrycia głowy i długie brody, chórów polifonicznych oraz zapachu kadzidła tak mocnego, że musiałam chować twarz w dłoniach, żeby kasłać.

Kiedy klęczałam w ławce, myślałam o mamie i Josie, które w domu spędzały pierwsze święta bez taty i beze mnie. Teraz wiedziały już, co Theo i ja zamierzaliśmy zrobić, ale na pewno straciły także nadzieję, że kiedykolwiek wrócimy do domu.

Czy mama myślała, że nie żyjemy?

Powinnam być przy niej, a zamiast tego postanowiłam ścigać Paula, ponieważ byłam zbyt wściekła, żeby jasno myśleć, zbyt wytrącona z równowagi, żeby zwolnić i poczekać, aż razem z Theo będziemy pewni tego, co robimy. Bardzo łatwo byłoby zwalić całą winę na Theo – kochał tatę prawie tak samo jak ja. Nie myślał ani odrobinę jaśniej ode mnie.

Nie, to była moja własna wina, że nie spędzam z moją matką i siostrą Bożego Narodzenia, które musiało być najgorszym w ich życiu. To moja wina, że mama prawdopodobnie opłakuje zarówno tatę, jak i mnie. Dławiłam się wstydem tak jak dymem kadzidła, a ciemne, pełne smutku oczy ikon wydawały się mnie potępiać, patrząc z połączonych ram.

Po południu w carskim gabinecie wymieniliśmy się prezentami. (Na szczęście wielka księżna Margarita była lepiej zorganizowana ode mnie – prezenty, zawinięte i podpisane, zostały przygotowane, zanim trafiłam do tego wymiaru.) Ku mojemu zaskoczeniu, te prezenty były bardzo zwyczajne: Władimir podarował mi wieczne pióro, ja dałam Katii koronkowe chusteczki, a car Aleksander wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany parą wysokich butów, jakie dostał od Piotra. Spodziewałam się, że członkowie rodzin królewskich dają sobie niezwykle, wyjątkowe prezenty, takie jak szmaragd wielkości piłki baseballowej. Ale może jeśli na co dzień otacza cię przepych, bogactwa być może tracą na znaczeniu.

Wielki książę Siergiej nie pojawił się na tym rodzinnym spotkaniu. Nie czułam się zaskoczona.

Później Paul jak zwykle odprowadził mnie do mojej sypialni, ale pod drzwiami odchrząknął.

– Pani?

– Słucham?

– Jeśli wasza wysokość zechce mi uczynić ten zaszczyt... jeśli to nie będzie zbyt niestosowne... Chciałbym, żeby wasza wysokość przyjęła ode mnie prezent.

Wydawał się tak niepewny, tak samo skrępowany, jak Paul z mojego wszechświata. Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

– Ja także mam coś dla ciebie.

Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość ...

Skinęłam głową, pozwalając mu odejść, a on pobiegł do pobliskiej komnaty, gdzie musiał zostawić przygotowany prezent. Ja wyjęłam ostatni zapakowany prezent, jaki znalazłam – zawinięty w czerwony materiał, nie w papier, przewiązany białą wstążką – i czekałam. Co takiego kupiła mu Marguerite?

Paul wrócił z małym pudełkiem, także przewiązany wstążką.

– Proszę, wasza wysokość.

– A to dla ciebie. – Wręczyliśmy sobie prezenty jednocześnie, co wyszło trochę niezgrabnie, więc oboje lekko się roześmialiśmy. Byłam doskonale świadoma, że robimy to w drzwiach mojej sypialni, gdzie w każdej chwili może się ktoś pojawić i nas zobaczyć. Ale inna opcja – zaproszenie Paula do środka, byłaby jakieś dziewięćset razy bardziej niestosowna. – Proszę, ty pierwszy.

– Zgoda, wasza wysokość. – Paul zręcznie rozwiązał wstążkę i rozwinął materiał, odsłaniając książkę. Oczy mu się rozjaśniły, był wyraźnie zachwycony, więc szybko spojrzałam na tytuł: „Prawa optyki, czyli o refrakcji światła”.

Oczywiście. Ten Paul i mój Paul byli dostatecznie podobni, by jednakowo fascynować się nauką, a Marguerite z tego wymiaru musiała się o tym dowiedzieć. Stanie przez cały dzień i patrzenie, jak piszę listy? To nie wystarczało do zajęcia błyskotliwego umysłu Paula. Teraz z nabożeństwem przesuwiał dłoń po skórzanej oprawie książki, jakbym podarowała mu najgłębsze sekrety wszechświata.

– Dziękuję – powiedział, wyraźnie z trudem znajdując właściwe słowa. – Oszczędzałam na jej kupno, ale teraz... zacznę czytać już dzisiaj wieczorem.

To był świat, w którym książki były drogie i stanowiły jedyne źródło wiedzy. Nic dziwnego, że był taki zachwycony. Rozpromieniłam się ze szczęścia, na które nie zasługiwałam – ostatecznie to nie ja wybrałam ten

prezent.

Paul od razu zaczął mnie przeproszać.

– Mój prezent nie może się z tym równać.

– Nie bądź niemądry. – Rozpakowałam prezent tak szybko, jak mogłam, aż wstążka spadła z trzepotem na podłogę u moich stóp. Kiedy podniosłam pokrywkę czarnego pudełka, zobaczyłam tęczę kolorów i moja twarz się rozjaśniła. – Pastele! Kupiłeś mi suche pastele.

– Wiem, że wasza wysokość ma zwyczaj szkicować. Ale pomyślałem, że może... wasza wysokość chciałaby poeksperymentować.

Nawet w moim wymiarze zawsze zamierzałam spróbować pewnego dnia rysunku pastelami. Przesunęłam palcem po różowej pałeczce, która zabarwiła mi skórę na różany kolor.

– Są prześliczne.

– Nie są tak świetne, jak prezent, który ja dostałem...

– Przestań. Nie zauważyłeś, że podarowaliśmy sobie dokładnie to samo?

Paul przechylił głowę.

– Pani?

– Każda forma sztuki to inny sposób spoglądania na świat. Inna perspektywa, inne okno. Zaś nauka jest najwspanialszym z tych okien. Można zobaczyć przez nie cały wszechświat. – Tak zawsze powtarzali moje rodzice i chociaż brzmiało to strasznie ckliwie, wierzyłam im. Uśmiechnęłam się do Paula. – Więc to tak, jakbyśmy podarowali sobie nawzajem cały świat, przewiązany wstążką.

– Wasza wysokość chce, abym się nauczył całego wszechświata? – Uśmiech przyszedł mu naturalnie, z lekkim zawstydzeniem. Nie byliśmy w tym momencie gwardzystą i wielką księżną, tylko chłopakiem i dziewczyną, stojącymi bardzo blisko. – Dla ciebie to zrobię, pani.

– A ja dla ciebie... – Zaczęłam się zastanawiać, co z punktu widzenia artysty oznaczają pastele. – Za wiele czasu spędzałam na myśleniu o... liniach i cieniach. Chcesz, żebym zaczęła zauważać subtelność i głębię.

Twarz Paula spochmurniała.

– To nie miała być krytyka, pani.

– Ależ skąd. Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że ty... ty chcesz uczynić mój świat piękniejszym. A to niezwykle. Dziękuję ci.

– A ja dziękuję waszej wysokości.

Położyłam dłoń na jego dłoni tylko na moment, ale między nami przemknęło

napięciu. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a ja poczułam coś, co do tej pory czułam tylko raz – to oszałamiające wrażenie, jakby się stało na krawędzi przepaści, czując jednocześnie przerażenie i niewyjaśnione, szalone pragnienie, by rzucić się w niebo.

– Wesołych świąt, pani – powiedział półgłosem Paul.

– Wesołych świąt.

Nasze dłonie rozdzieliły się. Paul cofnął się od drzwi, które zamknęłam i wycofałam się na łóżko. Ścisnęłam pudełko z pastelami i położyłam się na narzucie, próbując zrozumieć, co właśnie się wydarzyło.

To uczucie – podobne do stania na skraju przepaści – czułam tylko raz wcześniej, tamtego wieczora, kiedy rozmawialiśmy z Paulem o malarstwie. Tamtego wieczora, kiedy wiedziałam, że rozumiał mnie lepiej niż ktokolwiek inny...

Mówiłam szczerze, kiedy stwierdziłam, że nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Potrzeba było czasu, by naprawdę, głęboko się w kims zakochać. A jednak wierzyłam w określony moment. Moment, w którym dostrzegasz w kims przeblysk prawdy, a on dostrzega przeblysk prawdy w tobie. W tym momencie nie należysz już do siebie – nie do końca. Część ciebie zaczyna należeć do niego, część niego należy do ciebie. Potem nie możecie już tego cofnąć, jak bardzo byście tego pragnęli, jak bardzo próbowali.

Próbowałam to cofnąć, kiedy uwierzyłam, że Paul zamordował mojego ojca, ale nie mogłam, nie całkowicie. Nawet kiedy go nienawidziłam, nadal wiedziałam, że mogłabym go pokochać. Może już zaczynałam go kochać.

A jednak nie mogłam także cofnąć tego, co właśnie zaszło pomiędzy mną a Paulem z tego wszechświata. Coś we mnie należało teraz do niego i czułam, wiedziałam, że on należy do mnie.

Widziałaś szkice tej Marguerite – powiedziałam sobie. – Ona żywiła już do niego głębokie uczucie. Może to ta inna Marguerite... przesącza się w ciebie.

Nie. Nie byłam taka głupia.

Zakochałam się w Paulu. W tym Paulu. Byłam całkowicie, nieodwracalnie, namiętnie zakochana.

Ale czy byłam zakochana w jednym mężczyźnie czy w dwóch?

Niedługo po Bożym Narodzeniu mieliśmy się udać carskim pociągiem

do Moskwy pod pretekstem wzięcia udziału w jakichś oficjalnych przyjęciach. Prawdziwym zamiarem cara Aleksandra było przyjrzenie się arystokracji i wysokim urzędnikom oraz sprawdzenie, czy pozostają wierni jemu, czy też zaczynają popierać wielkiego księcia Siergieja. Cała reszta rodziny była poirowana. Ja byłam zachwycona.

– Czy spotkamy się tam z pułkownikiem Azarenką? – zapytałam Władimira obojętnie, kiedy przygotowywaliśmy się do wyjazdu.

Zmarszczył brwi.

– Chyba tak. Co cię obchodzi ten sztywny stary dziad?

Wzruszyłam ramionami i wyobraziłam sobie moment, kiedy stanę przed Azarenką i zażądam zwrotu Firebirda Paula.

Oczywiście, o ile nadal go ma.

Na podstawie tego, czego nauczyłam się na lekcjach historii o Napoleonie i czego dowiedziałam się z oglądanych filmów dokumentalnych w telewizji, nabrałam przekonania, że podróżowanie po Rosji w zimie jest niemożliwe. Najwyraźniej nie dla samych Rosjan. Carski pociąg mógł dojechać do Moskwy w ciągu kilku godzin. Mieliśmy wrócić w przeddzień Nowego Roku, w samą porę na największy bal sezonu, mający się odbyć pierwszego stycznia.

– Chciałbym poznać maszynistę! – powiedział Peter, kiedy weszliśmy po obitych pluszem stopniach do carskiej salonki. – Mogę tym razem? Proszę.

– Pozostaniesz ze mną, tak samo jak twój brat – oznajmił car Aleksander. Nie uśmiechnął się nawet do swojego najmłodszego dziecka. – Jesteś już dostatecznie duży, by zacząć słuchać o sprawach państwowych.

Peter miał dziesięć lat. Ale nie odezwałam się ani słowem. Wiedziałam już, że sprzeciwianie się carowi może tylko pogorszyć sprawę. Mój ojciec, stojący trochę z boku i niosący własną walizkę, zacisnął zęby tak jak wtedy, kiedy był zły, ale starał się tego nie okazywać.

Car rzucił Peterowi pogardliwe spojrzenie.

– A może wolisz siedzieć z tyłu, z siostrami, i wyszywać kwiatki?

– Nie, zostanę z tobą – powiedział Peter, chociaż wydawał się zdrętwiały z przerażenia. Biedny maluch. Kiedy tylko car Aleksander się odwrócił i odszedł, tata poklepał Petera po ramieniu.

– W drodze powrotnej przyjdziemy na stację troszeczkę wcześniej i wtedy będziesz miał okazję porozmawiać z maszynistą. Co ty na to?

Peter rozpromienił się, a kiedy wymienił uśmiech z moim tatą, zaczęłam się

zastanawiać, czy to możliwe, by Peter także był jego synem? Wyczuwałam, że raczej nie, a jednak tata był niezwykle przywiązany do tego chłopca. Opiekował się synem mamy ze względu na mamę, w akcie miłości, którego nie mogła zobaczyć i który trwał przez prawie dekadę po jej śmierci.

– Pani? – zapytał cicho Paul.

Zamrugałam, żeby stłumić łzy.

– Popiół wpadł mi do oka. To nic takiego.

Podczas gdy wielcy i męscy mężczyźni udali się do sąsiedniego wagonu, by rozmawiać o dyplomacji i pić wódkę – czy co tam innego robili – Katia i ja zostałyśmy w carskiej salonce. Raz wreszcie Katia nie poświęcała całej uwagi irytowaniu mnie, ponieważ była zbyt zajęta grą w karty z Zefirowem.

Paul stał na baczność w przedniej części wagonu. Ja czytałam najnowszą gazetę, początkowo dlatego, żeby się uspokoić, ale stopniowo z coraz większym zainteresowaniem.

To było na swój sposób fascynujące – teoria Paula o powtarzalnych wzorcach w różnych wymiarach była najwyraźniej prawdziwa. Czasem ci sami ludzie, którzy byli sławni w moim świecie, zdobyli sławę także tutaj, ale w nieoczekiwany sposób. Na przykład „słynna diva Florence Welch” kończyła koncertowe tournée po Europie, podczas którego śpiewała arie operowe. Bill Clinton został niedawno wybrany na drugą kadencję jako prezydent USA – kandydował z ramienia Bull Moose Party, a zdjęcie pokazywało go z bokobrodami i wąsami, jakich pozazdrościłby mu każdy hipster.

Doniesieniom z Nowego Jorku towarzyszyła fotografia znanego wynalazcy Wyatta Conleya.

Wagon kołysał się na boki, a ja złożyłam szeleszczącą gazetę i przyjrzałam się uważnie temu zdjęciu. Conley miał na sobie staroświecki surdut i był uczesany z przedziałkiem – naprawdę nie wyglądał korzystnie; jakim cudem to kiedykolwiek mogło być modne? Poza tym wydawał się praktycznie taki sam. Łobuzerski uśmiech nie mógł zamaskować jego pewności siebie, tak samo jak chłopięca twarz nie pozwalała ukryć bezwzględności. Artykuł omawiał wynaleziony przez niego kinematograf i zapewniał, że pozwala on nakręcić filmy „o długości nawet dwóch minut”, co sprawiło, że się uśmiechnęłam. Najwyraźniej Conley słynął ze swoich wynalazków w każdym wszechświecie.

Hamulce zapisały na torach, kiedy pociąg zaczął zwalniać.

Przytrzymałam się pluszowego siedzenia i zmarszczyłam brwi. Spojrzenie przez okno potwierdziło, że znajdujemy się w środku niczego, otoczeni przez zasypane śniegiem pola i sosnowe lasy, wciąż jeszcze daleko od Moskwy.

– Dlaczego się zatrzymujemy?

– Może śnieg zasypał tory – powiedział Paul, ale na jego twarzy odmalował się niepokój. – Niech wasza wysokość założy płaszcz. Na wszelki wypadek.

Na wypadek czego? Ale zrobiłam jak polecił mi Paul, narzuciłam długi sobolowy płaszcz, podczas gdy on przeszedł do sąsiedniego wagonu, by sprawdzić, co się dzieje.

– Czy ja muszę zakładać płaszcz? – zapytała Katia Zefirowa.

– Nie, dopóki nie wygram w tym rozdaniu – odparł ze śmiechem.

W tym śmiechu było coś dziwnego.

Powoli podniosłam się z miejsca.

– Katia?

– Nie widzisz, że jestem zajęta? – odpowiedziała.

Zefirow popatrzył na mnie – na jego czerwonej twarzy malowało się takie samozadowolenie, że poczułam ściskanie w gardle. Coś było nie tak, straszliwie nie tak. On wiedział, co się dzieje. Reszta z nas miała się zaraz przekonać.

– Katia! – Wyciągnęłam do niej rękę. Odwróciła się, rozzłoszczona i gotowa mnie zwymyślać. Ale wtedy zaczęła się strzelanina.

Rozdział piętnasty

– Katia! – Złapałam ją za ramię i przyciągnęłam do siebie. Karty rozsypały się na podłodze salonki, kara i trefle leżały jak śmieci pod naszymi nogami.

Zefirow nie ruszył się z miejsca, uśmiechnął się tylko do nas tak paskudnie, że miałam ochotę go spoliczkować.

– Zobaczmy, kto teraz będzie taki ważny i mądry. Kto musi grać w karty z rozpuszczonymi bachorami, zamiast służyć jak prawdziwy żołnierz.

Katia zaczęła płakać. Przytuliłam ją do piersi. Chociaż chciałam go zapytać, co się dzieje, już się domyśliłam.

– Wielki książe Siergiej. To on za tym stoi, prawda?

– Nie będziemy dłużej tolerować tchórzy – oznajmił Zefirow i wstał. – Będziemy mieć prawdziwego cara, dostatecznie odważnego, by poprowadzić nas na wojnę.

Wojna? Od kiedy tu chodziło o wojnę? Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć ten wymiar, ale mimo wszystko nie byłam w domu. Moja niewiedza w sprawach bieżących okazała się niebezpieczna, ponieważ nie miałam możliwości zrozumieć do końca tej pułapki, która została na nas zastawiona.

– Przecież chronisz Petera. Jesteś naszym przyjacielem – zaprotestowała Katia.

Zefirow roześmiał się i sięgnął do pistoletu przy pasie.

Boże. Uświadomiłam sobie, co się dzieje, i zamarłam z przerażenia. Zastrzelą nas wszystkich, a potem zrobią coś z pociągami, żeby to wyglądało na wypadek. Wtedy Siergiej stanie się oficjalnie następcą tronu. Dostanie wszystko, kiedy tylko my zginiemy.

Z pozostałych wagonów dobiegały wrzaski i krzyki, którym towarzyszyły wystrzały. Rzuciłabym się do ucieczki razem z Katią, gdyby było dokąd uciekać. W tym momencie mogłam tylko patrzeć ze zgrozą, jak Zefirow wyciąga przed siebie pistolet.

Dwa strzały rozległy się w salonce, tak głośne, że zaboląły mnie bębniaki w uszach. Katia pisnęła przeraźliwie. Ale to Zefirow upadł na ziemię.

Odwróciłam się błyskawicznie i zobaczyłam Paula, stojącego z wyciągniętą bronią.

Stałam zaszokowana, dzwoniło mi w uszach. Paul podszedł do nas.

– Czy waszej wysokości nic się nie stało?

– Nic... nic nam nie jest. Co się dzieje?

– Nie każdy żołnierz w tym pociągu jest zdrajcą. – Paul był bardziej wściekły niż kiedykolwiek widziałam. Właśnie zabił bez wahania człowieka i nie spojrzał nawet na zakrwawione ciało na podłodze. – Możliwe, że w wagonach zostały podłożone ładunki wybuchowe. Musicie uciekać do lasu.

Od ściany lasu dzieliło nas kilkaset metrów. Zaczął padać śnieg, dużymi i miękkimi płatkami, ale wydawało mi się, że zdołam przejść tę odległość. Groziło nam, że będą do nas strzelać – ale jeśli tu zostaniemy, zginiemy na pewno.

– Idźcie – powiedział Paul, wziął mnie za rękę i ścisnął mocno, żeby pomóc mi otrząsnąć się z szoku. – Biegnijcie tak szybko, jak potraficie, i nie oglądajcie się za siebie. Znajdę cię, pani. Przysięgam.

Katia wyrwała mi się i złapała swój płaszcz. Musiała mieć silniejszy instynkt przetrwania ode mnie. Podeszłam do drzwi tuż za nią, ale jeszcze się obejrzałam.

– Uważaj na siebie, Paul.

– Idź! – krzyknął i pobiegł do wagonu mojego ojca.

Wyskoczyłam z pociągu i ruszyłam biegiem poprzez śnieg. Był głębszy niż przypuszczałam, sięgał mi prawie do kolan. Bieg w tych warunkach wymagał prawdziwego wysiłku, ale robiłam, co w mojej mocy.

Mokry śnieg kleił się do mojego płaszcza, do moich włosów i rzęs. Wszystko było ciężkie i białe, gęstsze od mgły. Słyszałam strzały, ale teraz już rzadsze i bardziej odległe. Walczyli teraz wręcz, lojaliści ze zdrajcami, a w niektórych miejscach śnieg zaczynał się barwić na czerwono.

– Marguerite! – Przez ogólną wrzawę przedarł się wysoki głos Petera. Popatrzyłam w tamtą stronę i zobaczyłam go w ramionach taty. Tata biegł do lasu tak szybko, jak tylko potrafił, chociaż kiedy spojrzał na mnie, na jego twarzy odmalowała się rozpacz. Zmieniłam trochę kierunek biegu, żeby się do nich zbliżyć.

Próbowałam biec szybciej, ale tylko się potknęłam. Kiedy się zachwiałam, czyjaś ręka chwyciła mnie za łokieć, a brutalność tego uścisku podpowiedziała mi, że to jest wróg. Wyrwałam mu się, ale miał nóż i był tuż za mną...

– Zostaw moją siostrę! – Katia dosłownie skoczyła mężczyźnie na plecy i zaczęła go tłuc pięściami. To była najgłupsza i najbardziej lekkomyślna rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić, a jednak zrobiłabym to samo dla Josie.

– Katia, nie! – Spróbowałam ją od niego odciągnąć, obrócić w drugą stronę, żeby mogła uciec, nawet jeśli mnie się to nie uda. Ale dogonił nas jeden z lojalnych żołnierzy. Jego nóż wbił się w brzuch zdrajcy, a nasz ratownik złapał Katię w ramiona, gdy tamten mężczyzna upadł na ziemię. Ruszył z nią biegiem w stronę pociągu.

Była bezpieczna – na tyle, na ile którekolwiek z nas było teraz bezpieczne. Czas uciekać.

Biegłam dalej w kierunku, w którym zniknął mój ojciec. W każdym razie próbowałam. Śnieżna zadymka z każdą chwilą była coraz gęstsza, utrudniała mi widzenie i zacierała ślady stóp. Nie byłam już pewna, w którą stronę powinnam iść, ale brnęłam przed siebie, ponieważ wiedziałam, że każda chwila wahania może mnie zabić. Bezustannie wyobrażałam sobie kulę, która trafia mnie w głowę i rozkwita czerwienią w mojej czaszce, gdy będę upadać na ziemię.

Odległe strzały nadal rozbrzmiewały za mną, kiedy w końcu chwiejnie dotarłam do lasu. Ale gałęzie drzew tylko trochę zatrzymywały gęsty śnieg, nie widziałam też nikogo – ani mojego taty, ani Petera, ani nikogo z mojej rodziny. A także żadnych żołnierzy. Byłam sama.

Co mam teraz robić? Nic z tego, co przeżyłam w dowolnym wymiarze, nie mogło mi się tutaj przydać. Jeśli zacznę wołać o pomoc, może mnie usłyszeć niewłaściwa osoba. Jeśli zostanę na miejscu, mogą mnie dogonić żołnierze lojalni wobec Siergieja. Ale jeśli będę uciekać, mogę się tak zgubić, że nie znajdzie mnie nikt, nawet Paul.

W końcu postanowiłam wierzyć, że idę w dobrym kierunku. Tata i Peter z pewnością są gdzieś w pobliżu. Jeśli weszli głębiej w las, ja powinnam zrobić to samo.

Ruszyłam przed siebie, trochę jak we śnie. Całe szczęście, że miałam na sobie płaszcz, bez niego na pewno dostałabym już hipotermii. W domu odmawiałam noszenia futer, ponieważ wydawały mi się obrzydliwe, ale teraz byłam im wdzięczna za ciepło. *Przepraszam, malutkie sobole. Przysięgamy, że tym razem oddałyście życie w słusznej sprawie.*

Jednakże ten płaszcz pełnił rolę bardziej ozdobną niż użytkową. Czarne kłapy przy szyi przepuszczały mnóstwo zimna i wciskał się przez nie mokry, lodowaty wiatr. Zamiast zimowych butów miałam na sobie pantofelki, teraz już przemoczone na wylot. Kostki nóg piekły mnie z zimna, aż zaczęły drętwieć. Mój futrzany toczek został w pociągu, więc płatki śniegu spadające

między gałęziami sosen lądowały na moich włosach, które stawały się wilgotne.

Zaczęłam szcząkać zębami. Szłam teraz bardziej niepewnie, a w myślach miałam chaos.

Musisz iść dalej – powtarzałam sobie. – *Musisz znaleźć tatę. Tylko to się liczy.*

Potknęłam się i wpadłam na drzewo, żeby się przytrzymać. Kora skruszyła się pod moimi dłońmi, ale ledwie to poczułam. Ręce miałam czerwone i zeszywniałe. Rękawiczki także zostały w pociągu.

Idź dalej – myślałam, chociaż teraz szłam tak powoli, że wydawało mi się, iż w ogóle nie posuwam się naprzód. *Idź dalej.*

Nie ma taty. Nie ma Firebirda. Nie ma Theo. Nie ma Paula. Nie wiem już, gdzie jestem. Kim jestem. Wiem tylko, że jestem zmęczona. Przynajmniej nie czuję już tego zimna, ogarnia mnie intensywne, uwodzicielskie ciepło, które mówi mi, że wszystko będzie dobrze, że mogę się zatrzymać i odpoczywać tak długo, jak będę chciała...

Idź dalej...

Opadłam na kolana koło wielkiej sosny. Oparłam głowę o pień i powiedziałam sobie, że wcale się nie zatrzymuję, nie zasypiam, potrzebuję tylko chwili, by odzyskać siły.

Kiedy poczułam, że lecę do tyłu, śnieg pode mną był miękki jak łóżko, a ja już się nie bałam.

Obudziłam się, słysząc trzaskający ogień, ciepły i kojący. Byłam rozgrzana – to nie była śmiertelnie groźna iluzja, jak w lesie, ale prawdziwe ciepło prawdziwego piecyka.

Czułam pod sobą miękkość materaca, na sobie futro, a obok...

Otworzyłam oczy i zobaczyłam leżącego koło mnie Paula.

– Pani? – zapytał szeptem, a jego twarz natychmiast rozjaśniła nadzieja.

– Gdzie... gdzie jesteśmy?

– To dacza w lesie. Zostało tu trochę zapasów, wystarczająco dla nas.

Wielu Rosjan miało daczę, małe domy na prowincji, gdzie przyjeżdżali latem, by uprawiać warzywa i pływać w jeziorach. Te oddalone od cywilizacji domy zimą stały puste. Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam proste pobielone ściany, ikonę Matki Boskiej i mały piecyk rozpalony do czerwoności. Moja mokra suknia i mundur Paula suszyły się, zawieszane

na ścianie.

Na skromnym łóżku w daczce, przykryci moim futrzanym płaszczem i kilkoma kocami, Paul i ja leżeliśmy praktycznie w samej bieliźnie.

– Ja... ja chciałem tylko ogrzać waszą wysokość... – zająknął się.

– Oczywiście. – Tak właśnie należało postępować, jeśli ktoś miał hipotermię. Rozgrzać go ciepłym ciałem drugiego człowieka. Nawet gdybym tego nie wiedziała, domyśliłabym się, że Paul chciał tylko mi pomóc. Przewróciłam się na bok, żeby na niego spojrzeć. – Gdzie mój ojciec? Moi bracia i siostra? Gdzie jest car?

Jeśli Paul zauważył, że mówiłam o moim ojcu i carze jak o dwóch różnych osobach, przypisał to mojemu oszołomieniu.

– Car przeżył, podobnie jak carewicz Władimir. Jeśli chodzi o pozostałych, nic nie wiem. Nasi ludzie odbili carski pociąg, tego jestem pewien, ale nie mogłem z nimi pozostać, ponieważ moim obowiązkiem było odnaleźć waszą wysokość.

Czy przeżyłam tak daleką drogą tylko po to, by znowu doświadczyć śmierci mojego ojca? Czy w każdym wymiarze musiał zginąć z powodu okrucieństwa i chciwości innych?

Jeśli tata został zabity, zginął, starając się ocalić Petera. Myśl o tym, że ten mały chłopiec może leżeć martwy w śniegu, przeraziła mnie niemal tak samo, jak obawa o mojego ojca. No i Katia! Moja siostrzyczka zmieniła się w nieustraszonego wojownika, żeby mnie ratować. Czy została zabita? Nie mogłam znieść myśli, że mogłaby zginąć przeze mnie, przez uzurpatorkę.

A jeżeli mój ojciec został dzisiaj zabity – jeśli stracił życie, zagubiony w tym śniegu i lesie – to Firebird prawdopodobnie przepadł, a ja nigdy nie wrócę do domu.

– Nie lękaj się, pani – wyszeptał Paul.

– Nie możesz mi powiedzieć, czy są żywi, czy też martwi. Nie próbuj mnie pocieszać kłamstwami.

– Nie zrobiłbym tego. – To była prawda. Paul potrafił być szorstki, niezręczny lub bezpośredni, ale zawsze był ze mną szczery. Jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że nas oszukiwał?

Spróbowałam się do niego uśmiechnąć, chociaż wiedziałam, że to musiało wyglądać zupełnie sztucznie.

– Jeśli nie kłamiesz, to dlaczego mi mówisz, że mam się nie lękać?

– Chodziło mi tylko o to, że wasza wysokość jest bezpieczna. Gdy tylko

ogrzejesz się i odpoczniesz, jutro rano możemy wrócić do carskiego pociągu.

Poczułam przyływ nadziei.

– Pozostali tam będą?

– Nie, pani. Przypuszczamy, że oddziały lojalne wielkiemu księciu Siergiejowi idą na Sankt Petersburg. Car i carewicz mieli wyruszyć przodem, by rozłożyć obóz wojskowy i przygotować się do bitwy. Ja mam rozkaz odprowadzić waszą wysokość do pociągu, który zabierze was bezpiecznie do Moskwy, nadal lojalnej wobec cara.

Jeśli mój ojciec i Peter przeżyli, oni także udali się do obozu. Wiedziałam już, że zdaniem cara Aleksandra jego młodszy syn powinien uczyć się sztuki wojennej, więc na pewno będzie nalegać, by Peter z bliska obserwował bitwę, jak krwawa by ona nie była. Mój ojciec nigdy nie zostawiłby go samego w takich okolicznościach.

Nalegałby, by pozwolono mu zostać przy boku Petera, żeby mógł go pocieszać, nawet ryzykując życiem.

– Nie. Nie pojedę do Moskwy. – Jedynym powodem, dla którego w ogóle chciałam tam jechać, było odnalezienie Azarenki, ale on także wyruszy do walki, prawda? – Musisz zabrać mnie do obozu.

– Pani, wydano mi rozkazy.

– Ja także mogę wydawać rozkazy, prawda? Musisz mnie tam zabrać. Nie mogę jechać do Moskwy.

– Musisz tam jechać. – W głosie Paula pojawił się większy nacisk, a on sam nieświadomie przysunął się bliżej, próbując mnie przekonać do swojego punktu widzenia. – Inaczej wasza wysokość narazi się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

– Jeśli mój ojciec zginie, ja także chcę zginąć.

– Proszę tak nie mówić. Wasza wysokość powinna myśleć o swoich obowiązkach. Przynajmniej jeden z członków młodego pokolenia rodu Romanowów powinien być bezpieczny.

– Udam się do tego obozu, z tobą lub bez ciebie. – Wystarczyłoby, że wrócę do Sankt Petersburga wzdłuż torów kolejowych, prawda? Oczywiście to mogło nie być takie proste, ale nie zamierzałam tego przyznawać. Musiałam się dowiedzieć, czy mam jeszcze jakąś szansę na powrót do domu, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie.

– Wasza wysokość musi przeżyć – powiedział Paul.

– Dlaczego? – Ścisnęłam kołnierzyk jego koszuli. – Dlaczego, skoro jestem

uwięziona w życiu, które nie należy do mnie?

Nie mógł na to odpowiedzieć. Popatrzył tylko na mnie.

Moja dłoń zaczęła drżeć, tak samo jak mój głos.

– Zawiodłam wszystkich. Zawiodłam mojego ojca. Moją matkę, moją siostrę, Theo, ciebie... wszystkich. Poniosłam całkowitą porażkę. Nie mogę pozostać tu uwięziona. Nie poślubię mężczyzny, którego nawet nie znam. Ale nie widzę innej drogi ucieczki. Jeśli to wszystko, co mi pozostało, jeśli pozostało mi tylko takie życie... nie chcę go.

Przez dłuższą chwilę Paul nie potrafił mi odpowiedzieć. Leżeliśmy tak, twarzą w twarz, z moją dłonią na jego piersi, ze stykającymi się stopami. Tylko tak blisko mogliśmy być. Nigdy więcej nie będziemy mieli szansy, byśmy zostali naprawdę sami.

– Jeśli nie dla siebie, pani, to przeżyj dla mnie – powiedział Paul.

Nasze oczy się spotkały.

Następne słowa wypowiedział szeptem.

– Nie potrzebuję świata bez ciebie.

Nie wiem, czy to, co czułam, było przeznaczone dla Paula z tego wymiaru, dla mojego Paula czy dla nich obu. Nie potrafiłam ich już odróżnić, a w tym momencie mnie to nie obchodziło.

Moje palce przesunęły się po jego gardle i po krawędzi szczęki, po linii krótko przyciętej brody, by znaleźć kącik jego ust. Rozchylił wargi i wstrzymał oddech.

– Paul – mruknęłam cicho. – Powiedz moje imię.

– Wasza wysokość wie, że mi nie wolno.

– Raz. Tylko raz chciałabym usłyszeć, jak mówisz moje imię.

Paul tak bardzo zbliżył twarz do mojej, że prawie się dotykaliśmy.

– Marguerite.

I tak przepadliśmy.

To ja złamałam ostatnią zasadę, ostatnie tabu – to ja go pocałowałam. Ale on się wtedy poddał. Przestał się hamować. Spletliśmy się w uścisku i całowaliśmy się rozpaczliwie, ściągając ostatnie części ubrania, jakie mieliśmy na sobie, ledwo zdolni oddychać, myśleć, czy robić cokolwiek poza zatracaniem się w sobie nawzajem.

Kiedy pociągnęłam go za brzeg koszuli, podniósł ją, by pomóc mi ją ściągnąć. Potem ja zsunęłam z ramion paski gorsetu. Nigdy nie uważałam mojego chudego ciała za piękne, aż do chwili, gdy zobaczyłam, jak oczy Paula

ciemniej na mój widok, aż do chwili, gdy pochylił się nade mną, całując mnie jeszcze namiętniej, jeszcze bardziej nienasycony niż wcześniej.

– Marguerite. – Paul ciężko oddychał z ustami przy moim ramieniu. – Nie możemy... Nie wolno nam...

– Możemy. – Wygięłam ciało w łuk w zaproszeniu, jakiego żaden mężczyzna nie mógłby nie zauważyć. Znowu mnie pocałował, nasze usta się otwały, a nasze ruchy sprawiły, że znaleźliśmy się jeszcze bliżej.

– Jesteś pewna?

– Tak. Paul, proszę...

Jego umysł walczył z tym, chociaż jego ciało reagowało.

– Wybacz mi. Wybacz.

– Nie mam czego... och. Och.

Paul wtulił twarz w zagłębienie mojej szyi. Całe jego ciało drżało z wysiłku, by trochę zwolnić tempo.

– Jesteś... – szepnął ochryple. – Czy jesteś...

Pocałowałam go w czoło. Moje dłonie przesunęły się wzdłuż jego pleców, po krzywiznie bioder, rozkoszując się twardością mięśni i kości. Zamiast odpowiedzieć mu słowami, poruszyłam się pod nim. Jęknął, musnął zębami moje gardło i poddał mi się.

– Kocham cię – szepnął. – Zawsze cię kochałem.

– Ja także cię kocham – powiedziałam całkowicie szczerze, nawet jeśli nie byłam pewna, czy kocham jednego z nich czy wszystkich.

Kiedy znowu się obudziłam, był środek nocy. Przez pojedyncze małe okno widać było skrawek granatu ponad parapetem zasypnym kilkoma centymetrami śniegu. Piecyk nadal promieniował ciepłem, a Paul leżał obok i obejmował mnie, opierając moją głowę na swoim ramieniu.

Ogrom mojej zbrodni był oczywisty, ale nie potrafiłam jej żałować. Wiedziałam, co wielka księżna Margarita czuła do swojego Paula i podejrzewałam, że pragnęłaby tego tak samo jak ja – dokonałaby takiego samego wyboru – ale nie dało się ukryć, że to ja podjęłam za nią decyzję. Noc, którą spędziła z ukochanym mężczyzną, należała do mnie, a ja nigdy nie będę mogła zadośćuczynić za tę kradzież.

Jeśli chodziło o mnie, to cóż, w domu zdarzało mi się całować z chłopakami. Tak naprawdę o wiele więcej niż tylko całować, chociaż aż tak daleko nigdy się nie posunęłam. A jednak byłam nie mniej zdumiona, nie mniej

oszołomiona.

Wargi Paula musnęły linię moich włosów, a ja pomyślałam: *Nigdy nikogo już tak nie pokocham. To niemożliwe.*

Z poczuciem winy pomyślałam o Theo. Gdyby był trochę bardziej samolubny, gdyby trochę mniej się o mnie troszczył, mogliśmy razem spędzić tamtą noc w Londynie.

Pomyślałam także o moim Paulu Markovie – tym, który mi powiedział, że potrafię malować tylko prawdę. Był teraz przy mnie, uspiiony w głębi mężczyzny, z którym się kochałam. Nie wiedziałam, czy będzie to później pamiętał, bo to by było... dziwaczne. Nie znałam go dostatecznie dobrze, by przewidzieć, jak zareaguje.

Ale tego Paula znałam tak dobrze, jak tylko kobieta mogła znać mężczyznę. Raz za razem dowodził mi swojej wierności i oddania. Zrobiłby dla mnie wszystko.

– *Gołubka* – wyszeptał. To rosyjskie pieśczośliwe określenie najdroższej, „gołębka”. W Rosji to całkowicie normalne, zawsze w podobnej sytuacji używają nazw jakichś małych zwierzątek.

Jednak kiedy Paul to powiedział, było coś w sposobie, w jaki mnie tulił – przygarnął do piersi mocnymi ramionami, a jednak jego duże dłonie z taką delikatnością obejmowały moje plecy – jak ktoś trzymałby małego ptaszka, coś kruche i drżące, chcąc go ochronić i zatrzymać przy sobie.

Podjęłam decyzję. Uniosłam twarz, a Paul uśmiechnął się lekko, gdy jego palce musnęły moje włosy.

– Dobrze się czujesz, pani?

– Pani? Nawet teraz?

– Marguerite. – To oczywiste, że nadal cudem dla niego było, iż w ogóle wolno mu wypowiadać moje imię. Jego szare oczy spojrzały na mnie pytająco.

– Nie żałujesz tego?

– Nie. Nigdy nie będę żałować. Nie mogłabym. – Pocałowałam go i na chwilę znowu zatnęliśmy w sobie.

Gdy nasze wargi się rozdzieliły, Paul był lekko zadyszany.

– Możesz być pewna, że nigdy nikomu nie zdradzę, co tutaj zaszło. Żadnym słowem ani uczynkiem.

To, co zrobiliśmy, było absolutnie zakazane. Gdyby car kiedykolwiek się dowiedział, że uprawialiśmy seks... Cóż, nie wydawało mi się, żeby był tak średniowieczny, żeby kazać zabić za to Paula, ale zdegradowałby go i odesłał

do jakiegoś odległego garnizonu, być może na Syberię. Co stałoby się ze mną? Nie byłam pewna, ale na pewno nic dobrego.

– To pozostanie między nami – powiedziałam łagodnie. – Ta noc jest nasza i niczyja inna, na zawsze.

– Na zawsze.

Dotknęłam dłonią policzka Paula.

– A teraz muszę zdradzić ci jeszcze jeden sekret. Czy obiecujesz, że to także zachowasz w tajemnicy?

– Oczywiście, pa... Marguerite. – Paul zmarszczył brwi, wyraźnie zaskoczony, ale gotów iść tam, gdzie go poprowadzę. – Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Głęboki oddech. Zaczynamy.

– Prawdę.

Rozdział szesnasty

Mama i tata mówili mi, jak niezwykle inteligentny jest Paul. Widziałam fizyczne równania spływające z jego długopisu, podczas gdy on mówił o czymś zupełnie innym. Poza tym pomagał w wynalezieniu podróży międzywymiarowych. Dlatego wiedziałam, że jest mądry.

Ale nigdy nie wierzyłam w jego geniusz tak bardzo jak w tej chwili, kiedy – po niespełna pół godzinie spędzonej na opowiadaniu mu mojej historii – poukładał sobie z grubsza zarys teorii podróży międzywymiarowych.

– Jesteś jednocześnie wielką księżną Margaritą i inną Marguerite – powiedział. – Jesteś tą samą osobą żyjącą w dwóch różnych życiach.

– W tym momencie nie są specjalnie różne.

– Uważasz także, że ja jestem zarówno sobą, jak i tym innym Paulem, który miał szczęście iść na studia i zostać naukowcem.

Sposób, w jaki Paul to sformułował, sprawił, że zabrakło mi tchu. Tutaj tylko synowie bogaczy mogli marzyć o wyższym wykształceniu. Nic dziwnego, że tak cenił tę książkę o optyce, którą mu podarowałam.

– To prawda. On... śpi teraz wewnątrz ciebie. Nieświadomy. Ale jest częścią ciebie.

Zaplótnął ręce wokół kolan, poważny i skoncentrowany, chociaż nadal byliśmy razem w łóżku, wśród skotłowanych koców, ze stopami przykrytymi futrzanym płaszczem. Paul miał znajomy wyraz twarzy, który widywałam wielokrotnie, ale dopiero niedawno zaczęłam rozumieć. To była oznaka, że ogląda w głowie daną scenę ze wszystkich stron, rozważa każde pytanie i ewentualność, starając się odkryć jej tajemnicę.

– To wyjaśnia moje sny – powiedział w końcu.

– Sny?

– Od dwóch tygodni moje sny stały się... barwne i bogate. – Ten uśmiech nie był przeznaczony dla mnie, oczami duszy widział obrazy, jakie pojawiały się w jego umyśle. – Śniło mi się, że malujesz zamiast szkicować, a włosy nosisz swobodnie rozpuszczone. Śniła mi się twoja matka, znowu żywa, ucząca mnie fizyki. Profesor Caine, który był dla mnie prawie jak ojciec. Pokoje mniej wspaniałe od komnat pałacowych, ale zawierające prawdziwe cuda, takie jak maszyny będące bibliotekami, które zawierają wszystkie

możliwe fakty.

– To są komputery. Moja matka żyje, została w domu, i naprawdę jest twoją nauczycielką. Twoją opiekunką na studiach. O Boże, przypominasz to sobie.

– Śnił mi się także przyjaciel... może brat, nie byłem tego pewien... zawsze sprawiający kłopoty, ale zawsze chcący dobrze. – Zmrużył oczy i przygotował się, by mnie sprawdzić. – Powiedz mi, jak ma na imię.

– Theo. Ma na imię Theo.

Paul odetchnął głęboko.

– A zatem to, co powiedziałaś, to prawda.

Roześmiałam się na głos.

– Naprawdę mi uwierzyłeś. Większość ludzi uznałaby, że oszalałam.

– Gdybyś kiedykolwiek oszalała, zrobiłabyś to w bardziej melodramatyczny sposób.

Jego szczerłość całkowicie mnie zaskoczyła.

Zauważył moją reakcję.

– Chodzi mi tylko o to, że... masz duszę pełną pasji. Pragniesz silnych emocji i poszukujesz ich, gdzie możesz. Gdybyś zaczęła tracić zdrowe zmysły, właśnie te impulsy przejęłyby władzę nad tobą. Tymczasem ty wygłaszasz niezwykle nietypowe wyjaśnienie w całkowicie racjonalny sposób. To oznacza, że mówisz prawdę.

Czy miał rację, kiedy twierdził, że poszukuję silnych emocji? Że jestem wręcz melodramatyczna?

Bez zastanowienia uznałaś, że zemścisz się na Paulu, i wykorzystałaś do tego kompletnie nieprzetestowane, eksperymentalne urządzenie – pomyślałam. – Niewykluczone, że ma trochę racji.

Paul przyglądał się mojej twarzy z uwagą, jakby był malarzem, który musi poznać każdy cień, każdą linię. Dodał cicho:

– Myślę, że i tak bym ci uwierzył.

Nikt nigdy nie pokładał we mnie takiej wiary. Znowu poczułam to ukłucie w sercu, sprawiające, że poczułam się, jakbym została otwarta i zdemaskowana, a jednak z jakichś powodów czułam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– Musisz mi pomóc znaleźć wisior z Firebirdem, który zabrał ci pułkownik Azarenko.

– Nie pamiętam tego. Ale z drugiej strony, zgodnie z twoimi słowami, nie mogę pamiętać.

Firebird miał właściwości obiektu z innego wymiaru – nie był niematerialny czy niewidzialny, ale łatwo było o nim zapomnieć. Przesunęłam dłońmi przez poczochrane włosy.

– Ostatnio słyszałam, że Azarenko był w Moskwie. Jak myślisz, po czyjej stronie teraz stanie?

– Jest lojalny wobec cara Aleksandra aż do granic fanatyzmu. Na pewno poprowadził swoje oddziały z Moskwy prosto na pole bitwy. Nie wątpię, że jest już na pierwszej linii frontu.

– W takim razie my też udamy się na linię frontu.

– Powinnaś wracać do Moskwy. – Spojrzał na mnie spokojnie i z pewnością. – Musisz sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa.

– Teraz już chyba rozumiesz, że stawką nie jest tylko moje życie.

– Nie – odparł krótko. – Dla wielkiej księżnej Margarity to jest jedyne ryzyko, jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo.

Wiatr wył na dworze, szarpał oknem i gałęziami drzew, jakby chciał się zemścić za to, że został zamknięty za drzwiami.

Jako żołnierz Paul mógłby posłuchać moich rozkazów, pomimo protestów. Nasz związek już nigdy nie będzie tak prosty. Miłość, jaką do mnie żywił, oznaczała, że będzie mnie chronił, nawet jeśli to oznaczało, że stracę szansę na powrót do domu.

– Nie możemy wiedzieć, czy wielki książę Siergiej nie został już zmuszony do odwrotu – zaczęłam.

Paul niechętnie skinął głową.

– Byłby głupcem, gdyby rozpoczął wojnę domową z tak niewielkim poparciem... Ale zawsze uważałem go za głupca.

– W takim razie powinniśmy przynajmniej poszukać tego obozu. Dowiemy się, co się dzieje, a potem podejmiemy dalsze decyzje, co ty na to?

– Walczyłabyś ze mną przez całą drogę do Moskwy, prawda?

Powiedział to tak, jakby zamierzał przerzucić mnie przez ramię i zanieść tam osobiście, nawet gdybym wrzeszczała i kopała. Boże, naprawdę mógłby to zrobić.

– Muszę się dowiedzieć, czy mój... czy moi bracia i siostra, a także profesor Caine, są cali i zdrowi. Czy Firebird jest nadal w jednym kawałku. Jeśli został zniszczony, jeśli nie znajdziemy pułkownika

Azarenki albo jeśli nie ma już twojego wisiora, zostanę tu uwięziona na zawsze.

– A wielka księżna Margarita będzie na zawsze uwięziona wewnątrz ciebie. Zaskoczyła mnie myśl o tym, że Paul nadal chce chronić przede wszystkim ją, ważniejszą dla niego od kogokolwiek, nawet ode mnie. Ale czy spodziewałabym się po nim czegoś innego?

– Chciałbym, żebyście obie były wolne – dodał łagodniej Paul.

– To brzmi, jakbym była więzienną celą. – To miał być żart, ale natychmiast go pożałowałam, ponieważ nie było w nim zupełnie nic śmiesznego. – Jak to możliwe, że mnie nie znienawidziłeś? – zapytałam szeptem.

– Nie jesteś moją Marguerite. A jednak... jesteś nią. Ta najważniejsza rzecz, jaka was łączy... twoja dusza... to właśnie pokochałem. – Uśmiech Paula był smutniejszy i piękniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Kochałbym cię w każdej postaci, w każdym świecie, z każdą przeszłością. Nie próbuj w to wątpić.

Nie potrafiłam na niego patrzeć, to przypominało wpatrywanie się w jasność i ciepło słońca. Wiesz, że może cię spalić, a jednocześnie masz świadomość, że umożliwi ci życie.

– Co zrobisz, jeśli stanie się najgorsze? – zapytał Paul. – Jeśli nie uda nam się odzyskać ani naprawić Firebirdów?

– Wtedy pewnie będę musiała żyć jako ta Marguerite. Na zawsze. – Sama myśl sprawiała, że ogarniały mnie mdłości.

– Czy to będzie takie straszne?

– Jak możesz mnie o to teraz pytać?

Zamknął rękę na mojej dłoni.

– Nieważne, co się wydarzy, nieważne, co się z tobą stanie, jeśli będziesz tutaj, ja zawsze będę przy tobie.

Splotłam palce z jego palcami. Uniósł moją dłoń do ust i ucałował, a potem przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Nie chcę myśleć, co się stanie, jeśli nam się nie uda, jasne? – powiedziałam w końcu. – Musi nam się udać. Znajdziemy lub zreperujemy jeden z Firebirdów bez względu na wszystko. Czego by to nie wymagało.

– Wiem, co to oznacza – oznajmił Paul z westchnieniem. – To oznacza, że będę musiał cię zabrać do carskiego obozu. – Zanim zdążyłam mu podziękować, dodał: – Jeśli trwają już walki lub jeśli zobaczymy jakiegokolwiek oznaki niebezpieczeństwa, zawrócimy i tym razem nie zatrzymamy się, dopóki nie znajdziemy się w Moskwie. Nie narazę cię na żadne niebezpieczeństwo.

- Okej. To znaczy, zgoda. Tak właśnie zrobimy.
- W takim razie wyruszamy rano.
- Wyruszamy rano. – Co zostawiało nam resztę nocy.

Chociaż leżeliśmy razem, nago, w łóżku, w którym się kochaliśmy, żadne z nas nie próbowało dotknąć drugiego. Prawda wszystko zmieniała. Nie byłam jeszcze pewna, w jaki sposób, ale zmieniała.

– Być może nie powinniśmy... nie powinniśmy – powiedział Paul. – I tak naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo? Ach – miał na myśli ciążę. Jasne, w żadnym wymiarze nie byłoby dobrze, gdybym teraz zaszła w ciążę, ale dla wielkiej księżnej Margarity, mającej zostać dziewiczą oblubienicą księcia Walii, byłaby to osobista i polityczna katastrofa. Poczułam przypływ lęku, ale powiedziałam sobie, że zrobiliśmy to tylko raz.

Czy to źle, że tego chciałam, biorąc pod uwagę, jak niezwykle skomplikowana była ta sytuacja? Nie wiem. Nie mogłabym tego wiedzieć. Jedyną prawdą, jakiej mogłam się trzymać, było to, że potrzebowaliśmy siebie nawzajem, i że noc taka jak ta już nigdy się nie powtórzy. Dlatego uniosłam jego dłoń do ust i pocałowałam kciuk, miękki opuszek każdego palca, środek jego dłoni.

– Czy ona dokonałaby takiego wyboru? – zapytał cicho Paul. – Wielka księżna... gdyby nie chciała być ze mną, ja nigdy... wtedy ja...

– Widziałam szkice, na których cię narysowała. Opowiedziały mi o wszystkim. – Początkowo czułam się winna, przyznając to, zdradzając tajemnicę tamtej Marguerite. Ale znałam prawdę, którą powinien poznać także Paul. – Ona cię kocha. Marzy o tobie. Myślę, że gdyby tutaj była, dokonałaby takiego samego wyboru.

Widziałam, jak rozpaczliwie pragnął mi uwierzyć. Jego walka o zapanowanie nad sobą była widoczna w każdej napiętej linii jego ciała.

– Ale która... jaka część ciebie dokonuje wyboru?

Pochyliłam się do niego bliżej.

– Każda część mnie – szepnęłam. – Każda Marguerite. Obie cię kochamy bez pamięci, duszą i ciałem.

– Każda Marguerite – powtórzył i walka się zakończyła. Znowu poddaliśmy się sobie nawzajem.

Następny dzień był mroźny, ale pogodny. Wyruszyliśmy w porze śniadania –

to znaczy, byłaby to pora śniadania, gdybyśmy mieli jakieś jedzenie. Zabrałam z daczki kolorowy szal, którym obwiązałam sobie włosy – nie był wprawdzie tak ciepły, jak mój futrzany toczek, ale lepszy niż nic. Paul uparł się, żebym założyła jego rękawice. Były na mnie za duże, ich skóra fałdowała się na moich nadgarstkach i palcach, ale byłam wdzięczna za ich ciepło.

Głęboki śnieg sprawiał, że posuwaliśmy się powoli, aż do chwili, gdy spotkaliśmy starego drwala i jego żonę, którzy przyjechali do lasu po chrust. Paul miał trochę pieniędzy i obiecał, że car sowicie ich wynagrodzi w swoim czasie. Patrzyli na nas z powątpiewaniem, ale zgodzili się wypożyczyć nam sianie i konia, dali nam też bochenek chleba, który zabrali dla siebie. Nalegałam, żebyśmy ich podwieźli do domu, znajdującego się w pobliżu, zanim pojedziemy dalej. Sądząc po reakcjach, taki akt życzliwości nie przyszedłby do głowy prowadzącej uprzywilejowane życie wielkiej księżnej Marguerite. Para staruszków patrzyła na mnie dziwnie, nawet Paul był zaskoczony, jednak odwieźliśmy ich przed ruszeniem w dalszą drogę.

Kiedy jechaliśmy w kierunku torów kolejowych, objęłam Paula ramionami, ale on potrząsnął głową.

– Wasza wysokość nie może się tak zachowywać.

– Nadal mówisz do mnie „wasza wysokość”? To w sumie nawet ekscytujące, ale wydawało mi się, że jesteśmy już po imieniu.

Paul nawet na mnie nie spojrzał, wpatrywał się tylko przed siebie i uwolnił swoje ramię.

– Od tej pory w każdej chwili ktoś może nas obserwować. Moje zachowanie względem ciebie musi być zgodne z zasadami. Nienaganne. Jesteś córką cara. My... pozwoliliśmy sobie na chwilę zapomnienia. Więcej nie wolno nam się zapomnieć.

Miał rację, ale to i tak bolało. Złożyłam dłonie na kolanach. Teraz siedzieliśmy koło siebie, ale nie dotykaliśmy się.

Tak jak wcześniej.

Kiedy Paul poganiał konia poprzez śnieg, ja mrużyłam oczy z powodu jasności słońca odbijającego się od pokrytej kryształkami śniegu ziemi i powtarzałam sobie, że oczy pieką mnie tylko przez to ostre światło, nic więcej.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, pełen milczenia, przerywanego tylko mokrym człapaniem konia na zaśnieżonej drodze, srebrzystym dźwiękiem płóz przesuwających się po lodzie i od czasu do czasu moją propozycją, by Paul

zjadł coś albo się napił. Oboje byliśmy wygłodzeni, więc bochenek szybko zniknął.

Co się stanie, jeśli oddziały carskie musiały się wycofać, albo co gorsza, zostały rozbite? Dopiero teraz zrozumiałam, że Paulowi nie chodziło tylko o to, żebyśmy nie zostali zastrzeleni, kiedy chciał, żebyśmy jechali do Moskwy. Zależało mu, żebyśmy mieli co jeść.

Ale gdy późnopołudniowe słońce zabarwiło czubki sosen na złoto i pomarańczowo, zobaczyliśmy w oddali obóz, nad którym powiewała czerwono-biała rosyjska flaga. Flaga caratu. Paul przejechał pospiesznie resztę drogi, poganiając konia, a kiedy zbliżyliśmy się do obozu, w naszą stronę ruszył biegiem jeden z żołnierzy. Rozpoznałam go i stanęłam, machając obiema rękami.

– Władimir!

– Margarita! – Wyciągnął do mnie ramiona, a ja skoczyłam w nie. Objęliśmy się tak mocno, że ledwie mogliśmy oddychać. Ale nastrój Władimira błyskawicznie się zmienił. – Markov, miałeś ją zabrać do Moskwy, kiedy tylko ją znajdziesz.

– Nie krzycz na niego. Wydałam Markovowi rozkaz, żeby jechał do ciebie, więc nie miał wyboru. – Obejrzałam się na Paula, ale on stanął już na baczność przy saniach, znowu jako wzorowy żołnierz. Wzięłam Władimira za rękę. – Katia? Peter?

– Bezpieczni w Moskwie, gdzie ty też powinnaś być. Chociaż rozumiem, że nie mogę obwiniać o to Markova, hmm? Ty mały uparciuchu. – Władimir pocałował mnie w czoło tak głośno, że jego słowa straciły całą ostrość.

Paul, nadal stojący na baczność, odezwał się:

– Czy powstanie zostało już stłumione, wasza wysokość?

– Jeszcze nie, ale zostali zmuszeni do odwrotu. – Władimir zacisnął palce na mojej dłoni. – Bardzo nieliczne pułki wypowiedziały wierność mojemu ojcu, a spośród zbuntowanych kilka przysłało już potajemnie wiadomość, że są gotowe opuścić Siergieja i złożyć broń, jeśli będą mogły liczyć na carską łaskę. Oczywiście ojciec na razie nie chce o tym słyszeć, ale za dzień czy dwa wygotuje się w nim najgorsza złość. Podejrzewam, że bardzo mu w tym pomoże wieść, że jesteś cała i zdrowa.

Zaskoczył mnie kompletnie – przypomnieniem, że chociaż car Aleksander V jest szorstki i surowy, naprawdę uważa mnie za swoją córkę i przejąłby się, gdyby coś mi się stało. Ale to nie zmieniało faktu, że chciałam się dowiedzieć,

co z moim prawdziwym ojcem.

– Czy profesorowi Cainowi nic nie jest?

– Cały i zdrowy. Oraz w kolejce po order po tym, jak uratował życie Petera. To się nazywa zimna krew pod ostrzałem! Nigdy bym nie uwierzył, że nie był w armii. – Władimir skinął głową Paulowi, żeby dać znać, że może odejść. To było całkowicie rozsądne postępowanie, ale wydawało mi się tak pogardliwe, tak wyniosłe. Tak naprawdę przypominał mi tylko przepaść, jaka dzieliła członków rodu Romanowów od całej reszty Rosji – przepaść pomiędzy mną a Paulem, której być może nigdy już nie zdołamy przekroczyć.

Spojrzałam na Paula stojącego za plecami Władimira. Jego szare oczy na moment spotkały się z moimi, ale zaraz odwrócił się, żeby zająć się biednym, zmęczonym koniem.

– Chodź ze mną – powiedział Władimir. – Wlejemy w ciebie trochę gorącej kawy, może z paroma kropelkami brandy. Opowiesz mi wszystko o swojej brawurowej ucieczce.

Nie wszystko – pomyślałam.

Car ucieszył się, że żyję, a przynajmniej tak twierdził. Przynajmniej był wściekły, że jestem tutaj, a nie w Moskwie, chociaż na szczęście skierował gniew przeciwko mnie, a nie przeciwko Paulowi.

– Co sobie wyobrazasz, że miałabyś tutaj robić?! – zagrział nad stołem zastawionym obiadem, gulaszem podanym w metalowych miskach. – Kobiety na froncie. To absurd!

– A co z pielęgniarkami? – zaprotestowałam, a car spojrzał na mnie, jakbym zwariowała. Nikt nigdy mu się nie sprzeciwił. Może częściej powinien słuchać cudzych opinii. Bardzo obojętnie dodałam: – Gdzie jest regiment pułkownika Azarenki? Jeszcze go tutaj nie ma?

– Wrócił do Petersburga, by zwerbować dodatkowe siły, ale niedługo do nas dołączy – odparł Władimir. – Spodziewamy się go tutaj jutro.

– Teraz interesujesz się ruchami wojsk? – prychnął car Aleksander, ale zignorowałam te słowa.

No dobrze, pułkownik Azarenko miał tutaj przyjechać. Ale jakie są szanse, że będzie miał przy sobie Firebirda Paula? A jeśli jego regiment po drodze tutaj będzie musiał stoczyć bitwę? Mógłby zginąć w walce, co na pewno byłoby przykre dla jego rodziny i w ogóle, ale przyznaję, że najbardziej przerażała mnie myśl o tym, że jeśli umrze, wraz z nim zaginie wiedza

o miejscu pobytu Firebirda.

Gdy rozeszliśmy się po obiedzie, zamiast wrócić do małego namiotu, który został dla mnie przygotowany, powiedziałam do Paula:

– Chciałabym się spotkać z profesorem Cainem.

Paul skinął głową.

– Oczywiście, pani. – Był wyprostowany jak struna, z twarzą tak celowo pozbawioną wyrazu, że dawało to odwrotny efekt do zamierzonego. Gdyby ktokolwiek przyjrzał się uważniej, zauważyłby, że coś się między nami zmieniło.

Na szczęście nikt z oficerów kręcących się po obozie nie zauważył nic niezwykłego w jego zachowaniu. Paul trzymał się kilka kroków za mną, kiedy szliśmy do namiotu, który Władimir wskazał jako należący do mojego ojca. Chociaż przebywałam w tym wymiarze od kilku tygodni, chociaż wiedziałam, że mam go nazywać profesorem Cainem – kiedy Paul odchylił klapę namiotu i zobaczyłam tatę siedzącego przy polowym stole i piszącego coś przy blasku świecy, podbiegłam i uściskałam go. Tata roześmiał się, skrępowany.

– Wasza wysokość, powiedziano mi, że jesteś bezpieczna. Dzięki Bogu.

Mój głos był słumiony przez jego ramię.

– Tak bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Ja również się cieszę. – Uściskał mnie przelotnie. – Słyszałem, że wasz bezpieczny powrót należy przypisać bohaterstwu porucznika Markova.

Uśmiechnęłam się do Paula, który wydawał się jeszcze bardziej sztywny.

– Tak, to prawda. Na pewno nic panu nie jest? Nie powinien pan także wracać do Moskwy?

– Jego cesarska mość życzy sobie, żebym napisał raport z tych wydarzeń dla mojego króla, aby mieć pewność, że inne kraje poznają prawdę o tej rebelii. – Tata zmarszczył czoło z niepokojem. – Ale żałuję, że nie mogłem zostać z Peterem. Był naprawdę wstrząśnięty.

– A Katia? – zapytałam.

Tata uśmiechnął się.

– Katia była gotowa osobiście wycelować armatę w wielkiego księcia Siergieja. Trzeba było ją siłą odciągnąć z frontu. Cóż za szkoda, że kobiety nie mogą być żołnierzami, bo ona ma ducha bojowego za dziesięciu ludzi.

– Mogę w to uwierzyć. – Rzuciła się na żołnierza, który chciał mnie zabić, chociaż miał nóż, a ona tylko pięści. Chociaż z drugiej strony, nie należało lekceważyć pięści Katii.

– Wasza wysokość pojedzie niedługo do Petera, prawda? On na pewno potrzebuje kogoś bliskiego. – Tata odgarnął mi włosy z twarzy, ale natychmiast przypomniał sobie, że nie powinien okazywać takiej czułości „córce cara”.

– Niedługo pojedę – obiecałam. – Ale najpierw potrzebuję czegoś od pana. Czy pamięta pan ten wisior, który panu dałam? Czy nadal go pan ma?

Tata zamrugał, zaskoczony.

– Tak, jest nawet w mojej nowej walizce... ale to z pewnością bez znaczenia w tym momencie.

– Proszę mi go pokazać.

Walizka stała w rogu namiotu. Tata otworzył ją i wyciągnął koronkową chusteczkę, a ja z przygnębieniem zobaczyłam, że Firebird nadal był w kilku kawałkach. Tata zdołał dopasować niektóre części, ale to nie wystarczało.

– To bardzo interesujący przedmiot – powiedział tata. – Części tworzą jakiś mechanizm, to oczywiste, nawet jeśli nie rozumiem, co powinien robić. Ale w tej konstrukcji jest fascynująca logika, złożona, ale niezaprzeczalna. Z przyjemnością postaram się dopasować resztę.

– Chciałabym prosić, żeby się pan pospieszył. Potrzebuję tego już teraz. – Moje palce przesunęły się po łańcuszku medalionu i z trudem powstrzymałam się, żeby ich nie zacisnąć. Nigdy więcej nie chciałam się oddalać od tego przedmiotu.

Tata wyraźnie nie chciał mi się sprzeciwiać, ale...

– Wasza wysokość, otrzymałem rozkazy od samego cara. Chociaż doskonale rozumiem, jak wielką wartość sentymentalną ma ten wisior, w tym momencie mamy bardziej naglące sprawy.

– Nie mamy. Naprawdę, naprawdę nie mamy. – Jak miałam go przekonać?

Popatrzyłam na Paula i pomyślałam: *On mi uwierzył, więc czy tata także może mi uwierzyć? Szczególnie jeśli Paul mnie poprze?*

Dlatego po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin powiedziałam komuś z tego wymiaru prawdę o tym, kim naprawdę jestem, skąd pochodzę, i co może zrobić Firebird.

Tata nie kupił tego.

– Proszę się spokojnie zastanowić. – Mówił bardzo łagodnie. – Wczoraj wasza wysokość przeżyła ogromny szok. Sam strach wystarcza, by wielu ludzi na długo wytrącić z równowagi. Jeśli doliczyć do tego zamrożenie prawie na śmierć...

– Nic mi nie jest! Czy ja brzmię jak histeryczka? – Chwila. Bredzę o równoległych wymiarach. Nie powinnam zadawać takiego pytania. Dlatego skierowałam jego uwagę na bardziej wiarygodnego podróżnika międzywymiarowego. – A co z porucznikiem Markovem? Jego sny to wspomnienia mojego Paula Markova. Jak to byłoby możliwe, gdyby to nie była prawda?

– Jej wysokość mówi prawdę – potwierdził Paul, nadal stojący na baczność. – Ja jej wierzę.

Tata westchnął.

– Wybacz, że mówię to głośno, Markov, ale przypuszczam, że stałbyś murem za wielką księżną, nawet gdyby twierdziła, że pochodzi z Księżyca.

Próbowałam dalej.

– Wiem, że to wszystko o równoległych wymiarach brzmi dziwnie, ale myślę jasno i mówię prawdę. Dlatego właśnie potrzebuję naprawionego Firebirda, już teraz.

Wyraźnie nie był przekonany i chyba uważał, że przejdzie mi to, kiedy się porządnie wyśpię.

– Będę dalej nad tym pracował, obiecuję. Ale rozkazy ojca waszej wysokości mają pierwszeństwo.

W tym momencie zrozumiałam, jak go mam przekonać.

– Wiem o rzeczach, których sama wielka księżna Margarita nie była świadoma – powiedziałam. – Rzeczach, które dowiodą, że pochodzę z innego miejsca. Z innej rzeczywistości.

Stojący przy wejściu do namiotu Paul wydawał się zaintrygowany wbrew sobie. Tata wyglądał raczej, jakby chciał mi zrobić przyjemność.

– Co to takiego?

– Wiem, że car nie jest moim ojcem – szepnęłam. – Ty nim jesteś.

Rozdział siedemnasty

– Sofija nigdy mi nie powiedziała – powiedział tata. – Nie wprost.

Siedzieliśmy razem w jego namiocie, a on trzymał moje dłonie w swoich. Kawalki Firebirda na stole polowym lśniły w świetle świecy. Pochyliłam się, koniecznie chcąc dowiedzieć się więcej o tym, jak zdołałam zaistnieć w tak nieprawdopodobnych okolicznościach.

– Czyli aż do teraz nie byłś pewien?

– Byłem pewien. – Tata uśmiechał się, ale był to najsmutniejszy uśmiech, jaki widziałam. Ponieważ nie patrzył na mnie, wpatrywał się w przeszłość, w moją matkę, której już nigdy nie zobaczy. – Wtedy już... Niedługo byliśmy razem. Dla nas obojga było to ogromne ryzyko. Oczywiście Sofija nie mogła mówić o swoim wątłym zdrowiu, ale po kilku miesiącach zauważyłem, że znowu spodziewa się dziecka. Car mógł być jego ojcem, więc wmawiałem sobie, że taka jest prawda. Ale pewnego dnia, niedługo zanim się urodziłaś, przyszła odwiedzić Władimira podczas lekcji. Kiedy był zajęty, ona... wzięła mnie za rękę. – Głos taty się załamał. – Położyła ją na swoim brzuchu, żebym poczuł, jak kopiesz. To był jedyny znak, jaki mi kiedykolwiek dała. Jedyny, jakiego potrzebowałem.

– Och, tato. – Uścisnęłam go, a on w odpowiedzi przytulił mnie niemal za mocno. Uświadomiłam sobie, że to jedyny raz w jego życiu, gdy mógł okazać swoje prawdziwe uczucia.

Tata zeszywniał i wyprostował się.

– Poruczniku Markov – zapytał, a jego twarz straciła wszelki wyraz. – Czy masz zamiar złożyć z tego raport?

– Oczywiście, że tego nie zrobi! – Popatrzyłam na Paula, czekając na potwierdzenie.

Paul skłonił przede mną głowę.

– Sekrety wielkiej księżnej są moimi sekretami. Nie powiem słowa o tym ani żywej duszy.

Tata uspokoił się, gdy zrozumiał, że jesteśmy bezpieczni.

– Katia... to oczywiście, że jest córką cara. A Peter? – zapytałam.

– Twoja matka i ja więcej się nie spotykaliśmy. Nie mogłem jej narażać na takie niebezpieczeństwo. Na szczęście okazało się, że jesteś niezwykle

podobna do niej. – Spojrzenie taty złagodniało, gdy przyglądał się mojej twarzy. – Żałuję, że nie mogła zobaczyć, jak dorastasz.

– Mogła. – Pochyliłam się i miałam nadzieję, że uda mi się go przekonać. – W moim wymiarze ona żyje i ma się dobrze. Zakochaliście się w sobie, kiedy prowadziliście razem badania naukowe.

– Naukowe? Sofija mogła zostać naukowcem? – Nie było słów, by opisać radość w jego uśmiechu. – Jej umysł marnował się na nauce dworskiej etykiety i tańców balowych. Była niezwykle błyskotliwa.

– Wiem. Ponieważ ona to wynalazła. – Znowu postukałam w Firebirda.

Wiedziałam, że teraz tata mi wierzy, ale chciał posłuchać więcej o świecie, w którym on i mama mogli być razem.

– Jesteśmy małżeństwem nawet teraz? Ona i ja?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Po pierwsze, mama i tata jakoś nigdy się nie pobrali. O ile wiem, raz złożyli wniosek, ale potem w badaniach nastąpił jakiś przełom, a kiedy skończyli pracować nad wszystkimi tego implikacjami, okazało się, że wniosek się przeterminował. Mama powtarzała, że kiedyś to załatwią oficjalnie, jak będą mieli czas i zorganizują prawdziwą ceremonię ślubną, ale przysięgłabym, że zwyczajnie zapomnieli, że nie są w oficjalnym związku. Josie i mnie to nigdy nie przeszkadzało, ponieważ wiedziałyśmy, że żadne z nich nigdzie się nie wybiera. Wątpiłam jednak, by Henry Caine w tym bardziej tradycyjnym świecie spojrzeć na to tak samo.

Ale to wydawało się praktycznie bez znaczenia w zestawieniu z wiedzą, że mój ojciec – Henry Caine, który mnie kochał i wychowywał – nie żyje.

Nie mogłam mu tego powiedzieć. To byłoby zbyt straszne, poinformować go, że został zamordowany.

– Nic nie mogłoby rozdzielić ciebie i mamy – powiedziałam. – Razem prowadziliście naukowe badania z zakresu fizyki, dzień po dniu. Ja... ja mam nawet starszą siostrę, Josie. To znaczy, Josephine. Jest naukowcem, tak jak wy.

Tata szybko odwrócił głowę, a ja uświadomiłam sobie, że musi tłumić łzy na myśl o tej drugiej córce, której nigdy nie miał okazji poznać.

– Proszę – szepnęłam. – Wiem, że to samolubne z mojej strony, ale muszę wracać do domu. Mama na pewno okropnie się o mnie boi. Muszę do niej wracać.

Tata odetchnął głęboko i popatrzył na Firebirda. Kiedy się odezwał, jego głos był urywany:

– To urządzenie jest tysiąc razy potężniejsze niż mogłem przypuszczać. Czy mimo to chcesz mi je powierzyć?

– Pomogłeś je wynaleźć. To sprawia, że ty masz największe szanse pomóc mi wrócić tam, gdzie moje miejsce. Jeśli nie zdołamy odzyskać Firebirda Paula, to będzie moja jedyna szansa.

Podniósł jeden z metalowych kawałków, przyjrzał mu się w blasku światła, a jego wzrok stał się skoncentrowany.

– W takim razie, moja malutka, musimy wyprawić cię do domu.

Polowe łóżko w moim namiocie byłoby zimne i niewygodne w każdych warunkach. Teraz jednak porównywałam je do łóżka, w którym spałam zeszłej nocy, gdy Paul obejmował mnie mocnymi i ciepłymi ramionami.

Tej nocy Paul został zakwaterowany z innymi żołnierzami. Był może o sto metrów ode mnie, w namiocie dość podobnym do mojego, ale równie dobrze mogliśmy się znajdować na innych planetach. Następnego dnia miał wrócić do swojego regimentu, który maszerował, by połączyć się z główną armią.

– Spotkamy się po drodze z regimentem pułkownika Azarenki – powiedział mi, zanim się rozstaliśmy. – Oczywiście zapytam go o Firebirda, kiedy tylko będę miał okazję, ale to nie znaczy, że go dostanę.

– A co, myślisz, że mógł go sprzedać albo coś?

– Nie, nie zrobiłby tego. Ale przyłapał mnie na nieregulaminowym stroju i zabrał ten wisior za karę. Dlatego możliwe, że nie odda mi go od razu.

– Oddałby go mnie – powiedziałam. Dostatecznie długo żyłam już życiem wielkiej księżnej i potrafiłam zdobyć się na odpowiednią władczość. Odnalazłam w sobie wewnętrzną Beyoncé. Odrzuciłam włosy na ramię i oznajmiłam: – Jeśli wie, co dla niego dobre.

– Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć – uśmiechnął się Paul i natychmiast ukrył ten uśmiech. Obawiał się, że ktoś nas zobaczy, a nasz sekret zostanie odkryty.

Przewracałam się z boku na bok na pryczy. Miałam wrażenie, że nigdy już nie będzie mi ciepło. Że nigdy nie będę się czuła tak wygodnie i bezpiecznie, jak zeszłej nocy. Jakbym nigdy już nie miała znać siebie tak dogłębnie, jak w ramionach Paula.

W końcu zasnęłam, chociaż niespokojnie. Kiedy się obudziłam, Paul wyruszył już w drogę wraz z innymi żołnierzami ze swojego regimentu. Chociaż moją pierwszą myślą było spędzić dzień z tatą, wiedziałam, że muszę

mu umożliwić koncentrację.

Władimir całkowicie nieoczekiwanie zajął mnie czymś innym.

– List do ciebie – powiedział i zmarszczył brwi, patrząc na kopertę. – Przyszła paczka z listami z Petersburga. Najwyraźniej twój tajemniczy paryski korespondent znowu się odezwał.

Theo!

Wyrwałam list Władimirowi, który roześmiał się na widok mojej niecierpliwości. Szybko rozłożyłam grubą kartkę i zobaczyłam gryzmoły Theo, teraz jeszcze gorsze niż zwykle, z powodu rozlewającego się atramentu.

Marguerite,

dostałem dzisiaj Twój list...

Jaką datę miał ten list? Kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Ja napisałam do niego prawie tydzień wcześniej. Korespondencja wlokła się tutaj w ślimaczym tempie.

...i usiadłem, aby Ci odpisać, kiedy tylko przestałem panikować. Nie wiem, czego Paul naopowiadał Ci w Londynie i nie obchodzi mnie to. Nie znamy faktów, a dopóki nie znamy faktów, NIE MOŻESZ MU UFAĆ. Trzymaj się od niego z daleka. Piszesz, że on nie pamięta, kim jest, i może rzeczywiście nie pamięta, ale twierdzisz, że ten facet jest Twoim ochroniarzem i stoi koło Ciebie przez cały dzień z pistoletem? To niedobrze. (Dobra, może ma bagnet, szablę, czy jaką jeszcze cholerną broń tam macie. Nieważne, co to jest, nie chcę, żeby się z tym zbliżał do Ciebie.)

Potrząsnęłam głową. On jeszcze nic nie rozumiał, nie widział twarzy Paula, kiedy dowiedział się o śmierci taty. Theo nie znał także „porucznika Markova” – nie wiedział, że najbezpieczniejsza jestem wtedy, kiedy Markov jest przy mnie.

Odłóżmy na bok pytanie, jak na litość boską zdołałaś się przewrócić tak, żeby popsuć Firebirda. Owszem, Henry z tego wszechświata być może zdoła go naprawić, ale byłbym znacznie bardziej szczęśliwy, gdybym sam mógł rzucić na to okiem. To znaczy, może byłbym w stanie spokojnie spać w nocy.

Powiem Ci, co zrobimy. Załatwisz mi wizę rosyjską, a ja zrobię, co tylko konieczne, żeby się do Ciebie dostać. Nie obchodzi mnie, czy będę musiał iść

całą drogę pieszo w rakietach śniegowych. Wydostaniemy Cię stamtąd całą i zdrową, nic poza tym się nie liczy.

Oddech uwiązał mi w gardle, a ja musiałam walczyć, by moja twarz nie zdradziła żadnych uczuć. Theo narząłby się dla mnie na takie same niebezpieczeństwa jak Paul – tak samo o mnie walczył, tak samo chciał mnie chronić. Wszystko, co kiedykolwiek do niego czułam, wezbrało we mnie i nagle uświadomiłam sobie, że tęsknię za nim rozpaczliwie, i z trudem mogę to wytrzymać.

W tym wymiarze nie było CNN. Czy Theo dowiedział się już o próbie przewrotu? Czy odchodzi od zmysłów z niepokoju, wyobrażając sobie, że mogłam zostać ranna lub zabita?

W tym świecie jestem związany z ESPCI. To dostatecznie prestiżowa uczelnia, żebyś mogła wmówić wszystkim, że jestem wykładowcą albo kimś, kto powinien pracować na Waszym uniwersytecie, czy coś takiego. Zamierzam znowu iść do ambasady rosyjskiej i błagać ich na własną rękę. Tak czy inaczej niedługo będę znów przy Tobie.

Wpakowałam Cię w to bagno, Meg, więc przysięgam, że Cię z niego wyciągnę. W żadnym wszechświecie nie ma niczego ważniejszego dla mnie.

Theo

Powoli złożyłam list i przycisnęłam kartkę do piersi.

Władimir odezwał się przyciszonym głosem:

– Jak rozumiem, lepiej, żebym nie wspominał o tym liście carowi.

– Bardzo proszę.

Jakby kiedykolwiek mógł na mnie naskarżyć. Wyciągnęłam do niego rękę, do jedyne go starszego brata, jakiego kiedykolwiek miałam. Władimir nie zadawał pytań, chociaż na pewno się zastanawiał, co takiego się ze mną dzieje. Wspierał mnie bez względu na wszystko.

Uświadomiłam sobie, że będę za nim tęsknić, kiedy stąd zniknę.

Usłyszeliśmy na zewnątrz okrzyki – nie kilku ludzi, ale kilkudziesięciu. Kilkuset. Władimir ścisnął moją dłoń, przestraszony podobnie jak ja, ale po chwili zrozumieliśmy, że to nie są odgłosy paniki. To świętowanie.

Wybiegliśmy z namiotu i zobaczyliśmy, że żołnierze rzucają czapki

w powietrze i nalewają z manierek wódkę, by wznieść radosny toast.

– Co się dzieje? – zawołał Władimir. – Jakie są wieści?

Car Aleksander podszedł do nas energicznym krokiem, z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Dziś po południu lojalne oddziały zaatakowały siły mojego zdradzieckiego brata. Siergiej nie żyje. To koniec jego rebelii!

Wzniósł toast za śmierć swojego brata. Biorąc pod uwagę, że Siergiej próbował nas pozabijać, to mogło być usprawiedliwione, ale ja potrafiłam myśleć tylko o tym, że to jedyny raz, gdy widziałam cara uśmiechniętego.

Władimir nie dołączył do ogólnego świętowania, ale widać było jego ulgę.

– Którzy z naszych dzielnych żołnierzy zakończyli tę rebelię?

Car wyraźnie uważał to za mało istotny szczegół, ale odpowiedział:

– Regiment Azarenki.

To oznaczało, że Paul brał udział w bitwie.

– Porucznik Markov... czy nic mu nie jest? Został ranny?

– Skąd ja mam wiedzieć? – Car Aleksander znużył się już rozmową ze swoimi dziećmi, skoro czekali żołnierze, gotowi wiwatować na jego cześć.

– Jeśli chcesz, przejrzyj raporty.

Władimir spojrzał tylko na mnie i ścisnął moją rękę.

– Chodź ze mną, Marguerite. Przyniosę ci te raporty.

Okazało się, że miały one postać ręcznie zapisanych kartek, ledwie czytelnych, ponieważ zostały wysłane, zanim wysechł atrament. Stałam w namiocie cara, ścisnęłam dokumenty i z trudem odczytywałam kolejne słowa. Dowiedziałam się, że wielki książę Siergiej poniósł śmierć, przeszyty bagnetem. Że zaledwie dziewiętnastu spośród lojalnych carowi żołnierzy zapłaciło za zwycięstwo najwyższą cenę – i znalazł się wśród nich pułkownik Azarenko. Że kolejnych ośmiu żołnierzy zostało ciężko rannych.

I że jednym z tych rannych żołnierzy był Paul.

Rozdział osiemnasty

– Czy nie możemy jechać trochę szybciej? – Czułam się winna, zadając to pytanie. Konie robiły co mogły, ciągnęły sanie po śniegu szybciej, niż mógłby to robić pojazd mechaniczny. A jednak czułam, że mogłabym prześcignąć konie, jakby – jeśli tylko poddam się obezwładniającej sile lęku o Paula – prawa grawitacji miały zniknąć, pozwalając mi polecieć prosto do niego.

– Spokojnie – powiedział tata. To on zgłosił się na ochotnika, że mnie zawiezie, za co byłam mu wdzięczna. Nie wiem, czy wytrzymałabym w tym momencie towarzystwo innej osoby, kogoś, kto nie znałby prawdy. – W tym tempie będziemy tam za godzinę.

– Wiem. Przepraszam. Po prostu... – Ale co mogłam powiedzieć?

On dokończył za mnie.

– Po prostu go kochasz.

Kiedy popatrzyłam na niego ze zdumieniem, tata tylko potrząsnął ze smutkiem głową.

– Wiem, jak wygląda zakazana miłość, Marguerite. Nauczyłem się ją rozpoznawać w oczach twojej matki.

Ścisnęłam jego ramię.

– On musi przeżyć.

– Czy jeśli porucznik Markov nie przeżyje, twój Paul także umrze?

– Nikt tego nie wie na pewno. Ale prawdopodobnie tak.

Tata popatrzył na mnie.

– O którego z nich się boisz?

– O obu. – Ostre, zimowe powietrze piekło mnie w policzki, kiedy jechaliśmy szybko przed siebie. – Jestem powiązana z Paulem, być może wszędzie, w taki sam sposób, w jaki ty jesteś powiązany z mamą.

Tata milczał przez chwilę.

– Nie jesteśmy razem w twoim świecie – powiedział. – Twoja matka i ja.

– Mówiłam ci...

– Tak, mówiłaś mi, a ja nigdy nie widziałem, by ktoś z takim smutkiem przekazywał szczęśliwe wiadomości. – Słowa taty były łagodne, jak zwykle, ale zawsze wiedział, kiedy i w jaki sposób mnie przycisnąć. – Wystarczająco

pociechą jest dla mnie świadomość, że istnieje nieskończenie wiele światów. Nieskończenie wiele możliwości. Teraz wiem już, że gdzieś, w jakiś sposób, Sofija i ja mieliśmy naszą szansę. Ale nie próbuj mnie oszczędzać, żeby mnie nie zranić.

– Byliście zawsze razem. Nic nie mogłoby was rozdzielić. – Prawda: tata zasługiwał na nią. – Nic oprócz śmierci.

Odetchnął gwałtownie.

– Nigdy nie zmuszałbym ją do rodzenia dalszych dzieci.

– Nie ona – wyszeptałam. – Ty.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, jedynym towarzyszącym nam dźwiękiem były odgłosy końskich kopyt, skrzypienie sań na śniegu i dzwonięcie uprzęży. Czy tata był przerażony? Jakie to uczucie, dowiedzieć się, że się nie żyje?

Objął mnie ramieniem.

– Moja biedna mała dziewczynka.

Oczy napełniły mi się łzami, kiedy oparłam się o niego. Przytulił mnie mocniej, żeby mnie pocieszyć. Teraz rozumiałam, że to właśnie znaczy być ojcem – dowiedzieć się o najstraszniejszej rzeczy, jaka mogłaby ci się przydarzyć, a jednak myśleć tylko o tym, jak to musiało zranić twoje dziecko.

– Czy to się stało bardzo niedawno? – zapytał cicho tata.

Skinęłam głową opartą na jego ramieniu.

– Tuż przed tym, jak przeskoczyłam do innego świata.

– To musiało być dla ciebie bardzo trudne, zobaczyć mnie.

– Nie, to cudowne, że mogę znowu z tobą być. Ponieważ naprawdę jesteś o wiele bardziej podobny do niego niż ci się wydaje.

– Czy byłem dla ciebie dobrym ojcem? Zawsze się zastanawiałem, jak by to wyglądało, gdybym miał taką szansę.

– Najlepszym na świecie.

Wszystkie te drobne urazy, jakie żywiłam do taty – nie pozwalał mi pożyczać samochodu, naśmiewał się z mojego uzależnienia od *Pamiętników wampirów*, a czasem po prostu nie wiedział, kiedy odpuścić ten kawałek o hiszpańskiej inkwizycji z Monthly Pythona – wszystko to ostatecznie nie miało znaczenia.

– Pozwalałeś mi być sobą, zarówno mnie, jak i Josie. Nasz dom zawsze był dziwny, inny od domów innych dzieciaków, ale ja się tym nie przejmowałam. Wszyscy inni musieli się dopasowywać. Musieli się

przejmować tym, co pomyślą inni ludzie. Ty i mama, wy nigdy tego nie robiliście. Chciałeś, żebyśmy znalazły własną drogę, ale zawsze byłeś gotów nam pomagać. Powtarzałeś nam, że nas kochasz, codziennie na dobranoc. Wieczorem, po obiedzie, zmywałeś naczynia i nuciłeś piosenki Beatlesów. Twoją ulubioną było *In My Life*, a ja zawsze już będę myśleć o tobie, kiedy ją usłyszę. Nie chciałabym, żeby było inaczej. Tak bardzo cię Kocham.

Znowu wtuliłam twarz w jego ramię, a on ponownie mocniej mnie przytulił. Po bardzo długiej chwili zapytał:

– Ale o co chodzi z tymi owadami?

– Owadami?

– Mówiłaś coś o „beetles”.

– The Beatles byli zespołem rockowym. – To dla niego nie miało sensu, więc roześmiałam się przez łzy. – Piosenkarzami. Byli piosenkarzami, których lubiłeś.

Poklepał mnie po ramieniu.

– Twoja matka i ja byliśmy szczęśliwi?

– Prawie absurdalnie szczęśliwi.

– Sofija ma dobre życie?

– Jest znanym naukowcem i pracuje nad badaniami, które interesują ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Urodziła mnie i Josie, jest... jest naprawdę świetną mamą, ale pewnie musiałbyś to zobaczyć na własne oczy. Myślę, że powiedziałaaby, że jej życie było praktycznie idealne aż do chwili, kiedy cię straciła.

– Dziękuję – powiedział tata. – Ta świadomość bardzo mi pomoże. – Zastanawiał się przez chwilę. – A co z wielką księżną Margaritą?

– Co masz na myśli?

– Jeśli... czy raczej kiedy odejdziesz, jaki to będzie miało wpływ na wielką księżną? Czy zapamięta cokolwiek z tego? Czy ona... – Głos mu się na moment załamał. – Czy będzie wiedziała, że jestem jej ojcem?

W pierwszej chwili chciałam mu powiedzieć, że nie. Widziałam, jak zachowywał się Paul w wymiarze z Londynem, kiedy mój Paul przeskoczył dalej. Całkowicie stracił pamięć i nie miał pojęcia, co się z nim działo.

Ale najwyraźniej Paul i ja zupełnie inaczej znosiliśmy podróż między wymiarami.

Dlatego kto mógł przewidzieć, co tamta Marguerite będzie pamiętać, a czego nie?

– Nie wiem – powiedziałam do taty. – Ze względu na nią mam nadzieję, że tak. Ona cię potrzebuje.

– Ja także jej potrzebuję.

Zapamiętaj – pomyślałam i spróbowałam wyryć ten moment w moim mózgu tak, żeby ślady pozostały nawet wtedy, gdy stąd zniknę. Ramię taty zacisnęło się na moim ramieniu, jakby rozumiał, co staram się zrobić. Może rozumiał. Zapamiętaj na zawsze.

W końcu z grzbietu wzgórza zobaczyliśmy pole bitwy, które początkowo wyglądało tylko jak plamki czerni w gorączkowym ruchu na bezkresnej białej płaszczyźnie. Kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłam na śniegu czerwone plamy. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł do nas zapach bitwy: prochu i czegoś, co mogłam nazwać tylko śmiercią.

Tata na chwilę musiał zatrzymać sanie. Kilku żołnierzy miało gburowaty wyraz twarzy – dama pcha się pomiędzy nich? – aż rozpoznał mnie jeden z generałów. Kiedy nazywał mnie „waszą wysokością”, pozostali stanęli na baczność. Wyprostowałam się jak wielka księżna, którą byłam, i zażądałam:

– Prowadźcie mnie do Paula Markova.

Wiedziałam, że opieka medyczna w tym wymiarze jest o wiele bardziej prymitywna niż w moim, ale nie byłam przygotowana na widok lazaretu. Żołnierze leżeli na pryczach z bandażami prowizorycznie obwiązany wokół kikutów nogi lub ręki. W metalowych miskach znajdowały się przyrządy medyczne i krew. Większość rannych okropnie cierpiała – w tym świecie istniała morfina, ale było jej bardzo niewiele. Słyszałam krzyki, jęki, modlitwy, a jeden chłopiec, młodszy ode mnie, rozpaczliwie płakał za matką.

Paul milczał.

Podeszłam do niego i spojrzałam na niego ze zgrozą. Był obwiązany bandażami – wokół ramienia, obu kolan i, co najgorsze, tułowia. Przeczytałam dostatecznie wiele powieści wojennych, żeby wiedzieć, co oznacza rana uszkadzająca wnętrzności w czasach przed wynalezieniem antybiotyków.

Nie. To niemożliwe. Paul nie umrze. Nie może.

Jakoś go z tego wyciągnę. Napiszę do Theo do Paryża i powiem mu, żeby zostawił na noc nieschowane szalki Petriego i w ten sposób odkrył penicylinę. Będę przy nim czuwać bez ustanku. Paul z tego wyjdzie.

Kiedy przyklęknęłam przy łóżku i wzięłam go za rękę, poruszył się lekko. Jego głowa przetoczyła się na bok, jakby była zbyt ciężka, by mógł ją unieść.

Otworzył oczy, a kiedy mnie rozpoznał, próbował się uśmiechnąć. Chociaż był ciężko ranny, starał się mnie pocieszyć.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Kłamstwo zostawiło gorzki posmak w ustach. Wiedziałam, że nawet jeśli przeżyje, jego nogi nie będą już w pełni sprawne. Czy będzie mógł pozostać na służbie wojskowej? To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza ratowaniem go. – Jestem tutaj. Nie zostawię cię.

Paul próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Jego palce poruszyły się w moich, jakby chciał wziąć mnie za rękę, ale był zbyt słaby.

Na pewno w pobliżu byli jacyś lekarze, na pewno mogli nas słyszeć inni żołnierze. Do diabła z nimi wszystkimi. Pochyliłam się nad jego ręką i ucałowałam ją.

– Kocham cię, Paul. Tak bardzo cię kocham. Już nigdy, nigdy cię nie opuszczę.

– Marguerite... – Tata położył mi rękę na ramieniu, ale cofnął się, gdy potrząsnęłam głową.

Paul odetchnął głębiej i zamknął oczy. Nie byłam pewna, czy nadal jest przytomny, ale na wszelki wypadek powtarzałam mu, jak bardzo go kocham i trzymałam go za rękę. Nawet jeśli praktycznie nie miał świadomości, nawet jeśli nie mógł widzieć lub słyszeć, mógł czuć mój dotyk i wiedział, że jestem przy nim.

Wiedziałam, że inni żołnierze i lekarze gapią się na nas. To, co właśnie powiedziałam do Paula, było czymś, czego żadna wielka księżna nigdy, przenigdy nie powinna mówić do zwykłego żołnierza. Wiedziałam jednak, że nikt z nich nie ośmieli się pisać o tym ani słowem. Rozsiewanie plotek o członkini carskiej rodziny to doskonały sposób na załatwienie sobie przeniesienia do Władywostoku.

Drugą ręką dotknęłam jego szyi, z wątpliwą nadzieją, że znajdę tam Firebirda. Nie obchodziło mnie już, co się stanie ze mną, ale gdybym mogła sprawić, że mój Paul przeskoczy dalej, wtedy przynajmniej on by to przeżył.

A jednak chciałam, by przeżył także ten Paul.

To nie miało znaczenia. Nie miał na szyi Firebirda, a kiedy wydałam jednemu ze zdrowych żołnierzy rozkaz, by przeszukał rzeczy Paula, nie znalazł niczego takiego, jak opisywałam. Pułkownik Azarenko zginął w bitwie, więc nie miałam kogo o to zapytać.

Firebird zaginął, a ja patrzyłam teraz, jak dwóch kochanych przeze mnie

mężczyzn umiera w jednym ciele.

Gdy zaczęła zapadać noc, Paul znowu się poruszył. Jego oczy się otworzyły, a mój uśmiech zupełnie zdeformował z moich oczu łzy.

– Paul? Jestem tutaj, *gołubczyk*. Jestem tutaj.

– Wszystkie Marguerite – powiedział i umarł.

Następne chwile pamiętam jak przez mgłę. Wydaje mi się, że bardzo spokojnie wstałam, wyszłam na zewnątrz i upewniłam się, że odeszłam dostatecznie daleko od lazaretu, zanim zaczęłam krzyczeć. Ranni żołnierze potrzebowali odpoczynku. Nie powinni słyszeć, jak krzyczę i krzyczę, aż całkowicie zachryłam, oczy zaszyły mi łzami i opadłam na kolana w śnieg.

Kiedy nie mogłam już dłużej krzyczeć, pozostałam na zewnątrz, sama, przez kilkanaście minut. Kolana i stopy miałam całkowicie zdrętwiałe z zimna, a mój umysł i serce także były odrętwiałe. Niech zamarzną. Niech stracę w nich czucie. Wtedy reszta mnie będzie mogła pójść chwiejnie dalej.

A jednak za każdym razem, gdy wydawało mi się, że nie będę mogła już czuć większego bólu, wracało do mnie wspomnienie: Paul w Komnacie Wielkanocnej, trzymający w dłoniach jajko Fabergé; Paul prowadzący mnie w walcu i ciepło jego dłoni na moich plecach; Paul całujący mnie raz za razem, gdy zasypialiśmy, spleceni w uścisku.

W końcu zdołałam się z trudem podnieść na nogi. Jeden z lekarzy stał niedaleko. Prawdopodobnie kazali mu iść za mną, w obawie, że mogę zemdleć.

– Gdzie jest profesor Caine? – zapytałam go. Głos miałam ochrypy, przypominający bardziej głos starej kobiety niż mój własny.

Zostałam zaprowadzona do namiotu, najwyraźniej przygotowanego dla mnie, ale w środku zastałam tatę. Kiedy weszłam, wstał na mój widok.

– Powiedzieli mi, że już po wszystkim. Pomyślałem, że potrzebujesz chwili dla siebie.

– Potrzebowałam. Dziękuję.

– Tak mi przykro, skarbie. Tak mi strasznie przykro. Markov był dobrym człowiekiem.

Te ciepłe słowa na nowo otworzyły moje rany, ale stłumiłam łzy. Dopiero teraz zauważyłam, czym mój tata się zajmował przez te kilka godzin. Na polowym stole leżał mój Firebird, najwyraźniej w jednym kawałku.

Spojrzał w tę samą stronę.

Jakoś go z tego wyciągnę. Napiszę do Theo do Paryża i powiem mu, żeby zostawił na noc nieschowane szalki Petriego i w ten sposób odkrył penicylinę. Będę przy nim czuwać bez ustanku. Paul z tego wyjdzie.

Kiedy przyklękałam przy łóżku i wzięłam go za rękę, poruszył się lekko. Jego głowa przetoczyła się na bok, jakby była zbyt ciężka, by mógł ją unieść. Otworzył oczy, a kiedy mnie rozpoznał, próbował się uśmiechnąć. Chociaż był ciężko ranny, starał się mnie pocieszyć.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Kłamstwo zostawiło gorzki posmak w ustach. Wiedziałam, że nawet jeśli przeżyje, jego nogi nie będą już w pełni sprawne. Czy będzie mógł pozostać na służbie wojskowej? To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza ratowaniem go. – Jestem tutaj. Nie zostawię cię.

Paul próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Jego palce poruszyły się w moich, jakby chciał wziąć mnie za rękę, ale był zbyt słaby.

Na pewno w pobliżu byli jacyś lekarze, na pewno mogli nas słyszeć inni żołnierze. Do diabła z nimi wszystkimi. Pochyliłam się nad jego ręką i ucałowałam ją.

– Kocham cię, Paul. Tak bardzo cię kocham. Już nigdy, nigdy cię nie opuszczę.

– Marguerite... – Tata położył mi rękę na ramieniu, ale cofnął się, gdy potrząsnęłam głową.

Paul odetchnął głębiej i zamknął oczy. Nie byłam pewna, czy nadal jest przytomny, ale na wszelki wypadek powtarzałam mu, jak bardzo go kocham i trzymałam go za rękę. Nawet jeśli praktycznie nie miał świadomości, nawet jeśli nie mógł widzieć lub słyszeć, mógł czuć mój dotyk i wiedział, że jestem przy nim.

Wiedziałam, że inni żołnierze i lekarze gapią się na nas. To, co właśnie powiedziałam do Paula, było czymś, czego żadna wielka księżna nigdy, przenigdy nie powinna mówić do zwykłego żołnierza. Wiedziałam jednak, że nikt z nich nie ośmieli się pisać o tym ani słowem. Rozsiewanie plotek o członkini carskiej rodziny to doskonały sposób na załatwienie sobie przeniesienia do Władywostoku.

Drugą ręką dotknęłam jego szyi, z wątlą nadzieją, że znajdę tam Firebirda. Nie obchodziło mnie już, co się stanie ze mną, ale gdybym mogła sprawić, że mój Paul przeskoczy dalej, wtedy przynajmniej on by to przeżył.

A jednak chciałam, by przeżył także ten Paul.

To nie miało znaczenia. Nie miał na szyi Firebirda, a kiedy wydałam jednemu ze zdrowych żołnierzy rozkaz, by przeszukał rzeczy Paula, nie znalazł niczego takiego, jak opisywałam. Pułkownik Azarenko zginął w bitwie, więc nie miałam kogo o to zapytać.

Firebird zaginął, a ja patrzyłam teraz, jak dwóch kochanych przeze mnie mężczyzn umiera w jednym ciele.

Gdy zaczęła zapadać noc, Paul znowu się poruszył. Jego oczy się otworzyły, a mój uśmiech zupełnie zdeformował z moich oczu łzy.

– Paul? Jestem tutaj, gołubczyk. Jestem tutaj.

– Wszystkie Marguerite – powiedział i umarł.

– Poświęciłem temu całą uwagę. Może mi się udało. Ale nie chciałbym, żebyś robiła coś tak niebezpiecznego bez jakiegoś wcześniejszego sprawdzenia.

– Mogę go sprawdzić – powiedziałam głucho. Podniosłam Firebirda i ustawiłam go na przypomnienie. Metalowe warstwy klikały pod moimi palcami, aż w końcu przeszył mnie wstrząs. Ból, intensywny, elektryczny i niemal nie do wytrzymania, był bardzo pożądanym. Tego rodzaju ból był jedyną rzeczą zdolną znieczulić moje serce. Byłam wdzięczna za choćby kilkusekundową ulgę w rozpacz.

– To chyba zabolalo. – Tata spróbował mi zabrać Firebirda, ale nie pozwoliłam mu na to.

– To powinno zboleć... to, co właśnie zrobiłam. – Spróbowałam się uśmiechnąć. – Udało ci się go naprawić. Widzisz, wiedziałam, że jesteś geniuszem.

Tata jedną ręką przeczesał potargane brązowe włosy.

– Jesteś zupełnie pewna, że właśnie tak to powinno działać?

Niepokoił się i trudno mi było się temu dziwić. Nawet ja czułam się nieswojo na myśl o kolejnej podróży z tym urządzeniem. Ale alternatywą było czekanie tygodniami, lub nawet miesiącami, aż uda mi się ściągnąć Theo do Moskwy lub pojechać do Paryża.

Musiałam wracać do mamy. Musiałam powiedzieć jej jak najszybciej o Conleyu. Firebird Theo powiadomi go, że przeskoczyłam dalej, więc będzie mógł pójść w moje ślady. Pytanie brzmi, dokąd trafię – Firebird był nadal nastawiony na podążanie za naszą wersją Paula, który właśnie umarł w moich

ramionach. Ale to, dokąd trafię, było prawie bez znaczenia, jeśli tylko będzie to miejsce, gdzie Theo zdoła do mnie dotrzeć. Wierzyłam, że Theo sprowadzi mnie do domu.

Ponad wszystko zaś ufałam mojemu ojcu.

– To będzie działać – powiedziałam i miałam nadzieję, że w moim głosie brzmi pewność. – Zaraz wyruszam.

Tata skinął głową. Miał w oczach smutek. Być może to była ostatnia chwila, gdy jego córka będzie wiedziała, kim on dla niej jest.

Być może to był ostatni raz, gdy widziałam mojego ojca.

Rzuciłam mu się w ramiona i zamknęłam oczy, kiedy mnie przytulił.

– Kocham cię – szepnął tata. – Kochałem cię w każdej sekundzie i w każdej godzinie, odkąd się urodziłaś. Nawet jeszcze wcześniej.

– Ja także cię kocham, tato. Powtarzałam ci to prawie codziennie i nadal mam poczucie, że to było za mało. Jak bym się nie starała, nie mogłabym tego mówić dostatecznie często.

Wypuszczenie go z objęć było nie do zniesienia. Dlatego nie ruszając się z miejsca, dotknęłam Firebirda. Ostatnią rzeczą, jaką poczułam w tym wymiarze, był pocałunek w policzek. Żegnaj. Żegnaj.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy wpadłam w nową siebie, siedziałam już na fotelu, miękkim i wygodnym. *Cóż, to miła odmiana* – pomyślałam, zanim otworzyłam oczy i zobaczyłam...

Galerię namalowanych przez siebie portretów w mojej własnej sypialni.

Uświadomiłam sobie, że siedzę w fotelu, w rogu pokoju i patrzę na portret Josie – znajome niebieskie oczy, znajomy pogodny wyraz twarzy. Ściany były pomalowane na znajomy kremowy kolor. Wzorzyste zasłony poruszały się lekko na wietrze, ponieważ jak zwykle zostawiłam okno otwarte. Miałam nawet na sobie ulubioną sukienkę, czerwoną w żółte ptaki i kremowe kwiaty.

Jestem w domu.

A jednak gdy spojrzałam na łóżko, zauważyłam, że narzuta jest odrobinę inna. To nadal był kolorowy patchwork, który Josie dała mi na ostatnie Boże Narodzenie, ale kolory i wzory się zmieniły. Zachwyciłam się tą narzutą w katalogu (nie mam oporów przed podpowiadaniem, co chciałabym dostać) i zapamiętałam opis mówiący: *Każdy egzemplarz jest niepowtarzalny*.

Kiedy się teraz nad tym zastanawiałam, portret Josie wyglądał tak samo, ale wisiał koło portretu mojej przyjaciółki Angeli, zamiast koło portretu taty. Za to portret mamy przedstawiał ją w białej bawełnianej bluzce koszulowej, a nie w szarym T-shircie, który ja wybrałam.

Ten wymiar bardzo, bardzo przypominał mój własny – ale nie byłam w domu.

W pierwszej chwili poczułam okropne ukłucie tęsknoty za domem, jeszcze gorsze dlatego, że otaczało mnie coś, co tak doskonale pamiętałam, a jednak nie należało do mnie. Zaraz jednak coś do mnie dotarło: skoro przeskoczyłam do kolejnego wymiaru, a mój Firebird był ustawiony na podążanie śladem Paula – czy to znaczyło, że on także zdołał się stamtąd wydostać?

Na pewno. Musiało tak być. On był żywy. Serce wypełniła mi nadzieja, gdy uświadomiłam sobie, że mój Paul przeżył, że był gdzieś w pobliżu... i zaraz zgasła.

Porucznik Markov z Carskiego Regimentu Piechoty – Paul, który uratował mi życie i z którym spędziłam najcudowniejszą noc – nie żył, odszedł na zawsze.

Skuliłam się na fotelu i objęłam kolana ramionami. Mężczyzna, którego pokochałam, nie żył. Nic nie mogło tego zmienić.

Pamiętałam ciężar jego ciała w moich ramionach, zakrwawionego i pustego. Wiedziałam, że straciłam coś nieodwracalnie.

Nie czułam się już jak we własnym pokoju. Równie dobrze mogłabym znajdować się z powrotem w Rosji, kłęzcę na śniegu i krzycząc z rozpacz, nie przejmując się tym, kto to słyszy. Ale teraz mogłam tylko płakać, jakby mi pękło serce.

Możliwe scenariusze zderzały się ze sobą, emocje zaplątały się w węzeł gordyjski. Kochałam Paula Markova, wąpiłam w niego i traciłam go na tysiąc sposobów, które dopiero zaczynałam poznawać.

W tym momencie mogłam się koncentrować tylko na tym, że Paul, Theo i ja byliśmy w poważnym niebezpieczeństwie – możliwe, że mama i Josie także. Musiałam działać. Nie miałam innego wyboru.

Weź się w garść – powiedziałam sobie. Wzięłam chusteczkę higieniczną – pudełko stało na tej samej półce, co zawsze – wytarłam nos i postarałam się skoncentrować na tym, co mnie w tej chwili otaczało.

Gdy rozglądałam się po pokoju, zwyczajne stawało się niezwykłym. Po kilku tygodniach w świecie, w którym elektryczność była świeżym wynalazkiem, cudownie było widzieć moją komórkę, głośnik bezprzewodowy, tablet. Nawet niezaawansowane technologicznie rzeczy były piękne przez swoją swojskość. Na krzesło były rzucone moje poplamione farbą robocze dzinsy i stary T-shirt, na podłodze leżała rozłożona płachta ochronna, na której stała sztaluga. Najwyraźniej zamierzałam się zabrać za jakąś robotę.

Podniosłam pudełko z farbami. Sam widok lśniących srebrnych tubek napełnił mnie ulgą, że znowu mam przed sobą coś znajomego.

Wyszłam na korytarz, pomalowany farbą tablicową i pokryty równaniami fizycznymi, tak jak powinien. W dużym pokoju znalazłam rośliny mamy i tęczowy stół, a także wszystkie stosy papierów i książek, jakich się spodziewałam. Niektóre barwne maźnięcia na stole wyglądały jednak inaczej. Pochyliłam się, by przyjrzeć się jego powierzchni – przynajmniej na tyle, na ile była widoczna spod kartek – ale moją uwagę zwrócił jeden z przycisków do papieru. To był gruby metalowy dysk, leżący na teczce z logo Triad Corporation...

Rany. Otworzyłam szeroko oczy. Nigdy wcześniej nie widziałam Nagrody Nobla, ale byłam na dziewięćdziesiąt pięć procent pewna, że tak właśnie

wygląda.

Kiedy podniosłam nagrodę, zdumiona tym, jak ciężkie jest szczerze złoto, uświadomiłam sobie, że w tym wymiarze przełom w badaniach mamy i taty musiał nastąpić kilka lat wcześniej. Popatrzyłam na Nagrodę Nobla i pomyślałam: *nieźle ci poszło, mamo!*

A co z resztą z nas? Co z Josie? Tak, tutaj także studiowała oceanografię w Instytucie Oceanografii Scrippsa w San Diego. Przywiozła nam stamtąd magnesy na lodówkę, które zobaczyłam na tej lodówce. Zgodnie z notatką w kalendarzu w kuchni miała przyjechać do domu na... o kurczę, na sylwestra. To dzisiaj. Trochę pogubiłam się w czasie, kiedy byłam w Rosji. To wszystko przez tę krwawą rebelię i w ogóle.

A co z Theo? Tutaj także był jednym z asystentów mamy i taty. Chyba że to inny niedoszły hipster zostawił na wieszaku fedorę ze sklepu z używaną odzieżą. Właśnie teraz Theo prawdopodobnie materializuje się w swojej zabałaganionej kawalerce na kampusie. Założę się, że będzie tu w ciągu godziny.

A Paul...

Drzwi kuchni otworzyły się, usłyszałam głos mamy:

– Czy gdyby psy naprawdę miały percepcję bardziej zbliżoną do ludzkiej niż najbliższe spokrewnione z nami naczelne, musielibyśmy zacząć je uważać za naszych partnerów w procesie ewolucji?

– Naprawdę powinniśmy kupić dziewczynkom psa, kiedy się tego domagały. – Tata wszedł do kuchni za nią, oboje nieśli wypchane tekstylne torby na zakupy. – Dzięki temu mielibyśmy obiekt do obserwacji, a poza tym moglibyśmy go nazwać Ringo.

Mama i tata. Żywi, zdrowi, tutaj w naszej kuchni, jakby nic się nie stało – ponieważ tutaj wszystko było tak, jak powinno.

Mama zobaczyła mnie pierwsza.

– Cześć, skarbie. Myślałam, że będziesz zajęta malowaniem.

– Cześć – powiedziałam. To było nieporównanie za mało, ale nie potrafiłam wymyślić nic innego. Wbiegłam po dwóch schodkach do kuchni i uściskałam oboje rodziców.

– A to za co? – roześmiał się tata.

Jakimś cudem głos mi się załamał, kiedy odpowiedziałam:

– Po prostu... tęskniłam za wami.

Tata cofnął się i spojrział na mnie nieufnie.

– Wylałaś na coś farbę?

– Nie! Wszystko w porządku, przysięgam. – Wypuściłam ich, ale nie potrafiłam się przestać głupio uśmiechać. Ich bliskość nie mogła uleczyć rany, jaką pozostawiła śmierć Paula w Rosji, ale sprawiała, że czułam się znowu niemal w komplecie. – Wszystko w największym porządku.

Mama i tata wymienili spojrzenia.

– Przypuszczam, że nastoletnie wahania hormonów zaczęły w końcu działać na naszą korzyść – stwierdziła mama.

– Najwyższy czas – odparł tata.

Popchnęłam ich żartobliwie. Mama i tata mogliby się ze mną drażnić tysiąc razy bardziej, a ja bym się tym nie przejęła, nie dzisiaj.

– Co kupiliście?

– Składniki na lazanie. I trochę czerwonego wina, może Josie będzie miała ochotę na kieliszek. – Mama zaczęła rozpakowywać torby z zakupami, ale wzięłam od niej jedną.

– Może pozwolicie, że ja zrobię obiad? Wy możecie sobie usiąść i odpocząć.

Mama i tata popatrzyli na siebie, tym razem mniej rozbawieni, a bardziej zaniepokojeni.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała mama.

Tata potrząsnął głową.

– Będziesz chciała pożyczyć samochód.

Roześmiałam się głośno. Najwyraźniej w tym wymiarze wykręcałam się od pomagania w kuchni tak samo często, jak w domu.

– Przestańcie, nic się nie dzieje. Po prostu mam ochotę to zrobić. Nic więcej.

Chociaż tata wyraźnie nie był przekonany, mama powiedziała:

– Henry, nie kłóć się z nią.

Podła mi paczkę makaronu na lazanie, a potem odwróciła się do ojca i popchnęła go lekko za ramiona w kierunku kanapy. Kiedy roześmiał się i ruszył w tamtą stronę, mama zatrzymała się jeszcze koło mnie.

– Dziękuję, że nam pomagasz, Marguerite – powiedziała bardzo cicho. – W tym momencie to bardzo wiele dla nas znaczy.

W tym momencie. Co chciała powiedzieć przez „w tym momencie”?

– Okej – powiedziałam. To się wydawało bezpieczną odpowiedzią.

– Wiem, że to... że to dotknęło nie tylko nas. – Mama dalej mówiła

półgłosem, jej palce muskały moje loki. Robiła to, kiedy byłam małą. Przez ostatnie kilka lat zaczęło mnie to irytować, ale już nigdy więcej nie będzie, nie po dwóch światach bez niej. – Nawet jeśli policja znajdzie Paula, możemy nigdy nie zrozumieć, dlaczego zrobił to, co zrobił. Twój ojciec i ja chętnie wycofaliśmy wszystkie zarzuty, jeśli tylko poznamy odpowiedzi, ale Triad tego na pewno nie robi, więc... – Głos jej się załamał. – Jestem wściekła o to, co nam zrobił, ale nie potrafię znieść tego, co Paul zrobił samemu sobie. Zrujnował całe swoje życie, i po co?

Nie umiałam odpowiedzieć. W tym momencie trudno mi było nawet oddychać.

– Wybacz, wiem, że starasz się nas pocieszyć. Nie będę ci w tym przeszkadzać. – Mama poklepała mnie po ramieniu i poszła za tatą.

Mogłam tylko stać na środku naszej kuchni, ścisnąć głupie pudełko makaronu i zastanawiać się, co się, do diabła, dzieje.

Nawet bez dalszych szczegółów wiedziałam, co się tutaj stało. Paul zdradził zaufanie mamy i taty. Zdradził zaufanie nas wszystkich. Znowu.

Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć Paula. Teraz wydawało mi się, że nigdy nie rozumiałam, ani jego, ani nikogo innego.

Pół godziny później nadal byłam zajęta w kuchni, o ile „zajęta” oznacza „snująca się w odrętwieniu i szoku”. Jakimś cudem udało mi się umieścić w garnku wszystkie składniki sosu pomidorowego, ale potrzebowałam pięciu minut, żeby sobie przypomnieć, że muszę włączyć palnik. Mój umysł był zbyt oszołomiony zdradą Paula, żebym mogła się skoncentrować na czymś tak pospolitym jak obiad.

Czy powinnam powiedzieć rodzicom prawdę o tym, kim jestem i skąd się wzięłam? Zdołałam przekonać mojego ojca do istnienia międzywymiarowych podróży w świecie, w którym nie wynaleziono nawet radia. Tutaj uwierzyliby mi od razu. Wystarczyłoby, że wyjęłabym spod sukienki Firebirda.

Ale teraz nie potrzebowałam ich pomocy, tak jak potrzebowałam pomocy taty w Rosji. Chciałam im powiedzieć prawdę, ponieważ chciałam, żeby mnie pocieszyli i wysłuchali, kiedy wyrzucę z siebie wszystko, przez co do tej pory przeszłam. To nie był wystarczająco dobry powód. Byli już zdruzgotani tym, co zrobił Paul; o ile gorzej będzie, jeśli im powiem, że jego zdrada miała większy zakres?

Nadal chciałam wierzyć w Paula i bolało mnie serce na myśl o tym Paulu, który umarł w moich ramionach, ale w tym momencie nie ufałam już swojemu

instynktowi.

Drzwi kuchni znowu się otworzyły, więc odwróciłam się, żeby sprawdzić, kto wszedł.

– Cześć, Meg – uśmiechnął się do mnie Theo. – Szczęśliwego Nowego Roku.

Nie widziałam go od prawie trzech tygodni. Miałam wrażenie, że to były trzy długości życia.

– Theo! – zarzuciłam mu ramiona na szyję. Mógł udawać obojętnego i nieczułego, ale uściskał mnie równie mocno.

– Zachowaj dla mnie ten pocałunek o północy, dobrze? – szepnął mi do ucha.

Żartował. Jednocześnie nie żartował. Zarumieniłam się... a jednak potrafiłam myśleć tylko o Paulu leżącym na pryczy, na której umarł, otwierającym oczy, by zobaczyć mnie po raz ostatni, i mówiącego: „wszystkie Marguerite”.

Cofnęłam się o krok.

– Powinniśmy... yyy... powiedziałam mamie i tacie, że ja zrobię obiad.

Theo otworzył oczy szerzej.

– To ty, prawda?

Zrozumiałam, co ma na myśli. Zahaczyłam kciukiem łańcuszek Firebirda i wyciągnęłam go spod sukienki. Theo wyraźnie się uspokoił, gdy zyskał potwierdzenie.

– Theo, zdążyłeś! – zawołał tata z salonu.

– Jakbym mógł się spóźnić na sylwestra – odparł z uśmiechem.

– Jeśli nie zamierzasz pomagać w kuchni, chodź tutaj i pomóż mi przy tej formule opisującej trzydziestowymiarową sferę – wtrąciła mama.

– Wiecie co? – Theo klasnął w dłonie. – To chyba świetny dzień na naukę gotowania.

Tata wyjrzał zza rogu, a jego twarz była ledwie widoczna nad rozrośniętym filodendronem mamy.

– Czy wy oboje zwariowaliście jednocześnie?

– Tak, żeby nie tracić czasu – odparł Theo. Tata roześmiał się, ale co ważniejsze, wrócił do tego, czym się zajmował, więc Theo i ja mieliśmy chwilę dla siebie.

– Tak, żeby nie tracić czasu – odparł Theo. Tata roześmiał się, ale co ważniejsze, wrócił do tego, czym się zajmował, więc Theo i ja mieliśmy

chwilę dla siebie.

Zaczęliśmy układać w szklanym naczyniu żaroodpornym płaty makaronu, sos i ser. Wszystko szło gładko. Żadnego zawijającego się makaronu, żadnego śmiechu, żadnego Paula koło mnie. To było o wiele mniej przyjemne.

Jednocześnie opowiedziałam Theo przyciszonym głosem, czego się dowiedziałam w ostatniej chwili w Londynie.

– Gdyby Paul to zrobił, z całą pewnością nie byłby tak zaskoczony. Naprawdę nie miał o tym pojęcia.

– Mam tylko jedną odpowiedź i to mało cenzuralną. Daj spokój, jesteś za mądra, żeby tak łatwo dać się nabrać.

– Ty go nie widziałeś, ja tak – szepnęłam, urażona.

– Nie muszę widzieć Paula, żeby wiedzieć, co zrobił. Wydaje ci się, że jesteś za inteligentna, żeby się dać oszukać? On oszukał twoich genialnych rodziców, więc jestem pewien, że z tobą także dałby sobie radę.

Nie mogłam się z tym pogodzić. Nie mogłam. Jeśli wiedziałam cokolwiek o Paulu Markovie, to że nie jest dostatecznie zły, by zamordować mojego tatę. A jeśli byłam coś winna Paulowi z Rosji za to, że mnie kochał i uratował mi życie, powinnam rozstrzygać wątpliwości na korzyść innych jego wcieleń.

– On nas nie zdradził – powiedziałam. – A ja nie zdradzę go znowu, wątpiąc w niego.

Theo westchnął i zaczął nakładać łyżką następną warstwę ricotty.

– Masz miękkie serce, Meg. Łatwo się złościsz, ale też bardzo szybko ci to przechodzi. Uwielbiam to w tobie, ale to nie pora na zmianę kierunku działania. Świat zmienia się wokół nas, a to oznacza, że musimy trzymać się tego, co wiemy.

– Niczego nie wiemy. Nie zostaliśmy nawet na pogrzeb. Może ustalono coś nowego, kiedy policja mogła już... – *Zbadać ciało. Przeprowadzić sekcję zwłok.* Nie potrafiłam nawet powiedzieć tych słów na głos, myśląc o moim ojcu. – Poza tym w Rosji Paul zginął, żeby mnie uratować. Nie wydaje mi się, żeby był tam złoczyńcą.

Cały czas przypominałam sobie daczę i to, jak leżałam w jego ramionach. Jego szept odbijał się echem w mojej głowie: *Gołubka. Gołubeczka.*

Jakiś przebłysk tego, co czułam, musiał się pojawić na mojej twarzy, ponieważ Theo zaczął jeszcze bardziej naciskać.

– Dobra, czyli Paul Markov nie jest draniem w każdym wymiarze. Nieskończona liczba wymiarów to nieskończona liczba możliwości.

Prawdopodobnie istnieje nawet taki wymiar, w którym nie jestem obiektem pożądania każdej spotkanej kobiety. – Żart nie zdołał wpłynąć na napiętą atmosferę. Theo ciągnął: – Mówię serio. Wszystko może się zdarzyć. Wszystko musi się zdarzyć, jeśli nie w jednym wymiarze, to w innym. Czyli gdzieś tam musi istnieć Paul będący porządnym człowiekiem. Spotkałaś go. Gratulacje. Ale Paul, którego ścigamy? Ten Paul? On zrobił z nas idiotów i chce to powtórzyć. Nie pozwól mu. Nie rozczulaj się teraz nad nim.

Nie wydawało mi się, żebym się rozczulała. Wydawało mi się, że jestem twarda.

– Po prostu nie wierzę, żeby to zrobił, Theo. Przyznał się do zniszczenia danych i oczywiście ukradł Firebirda, ale...

– Czyli przyznał się do wszystkiego poza morderstwem i to wystarczyło, żeby wrócił do łask? – Theo przeciągnął dłonią po nieposłusznych czarnych włosach, wyraźnie próbując się uspokoić. – Wiesz, dla mnie to też jest trudne. Byłem blisko z Paulem. Zawsze myślałem... no wiesz, że będziemy pracować na jednym wydziale gdzieś w Cambridge czy w Caltechu, razem będziemy szalonymi naukowcami. – Uśmiechnął się lekko i melancholijnie. – Pewnie w jakimś wymiarze właśnie tak będzie.

– Sam widzisz – powiedziałam i nałożyłam łyżką ostatnią warstwę sosu pomidorowego. – Wiesz, że Paul nie jest zły. Musiał mieć poważne powody, żeby zrobić to wszystko.

Theo westchnął i widać było, że traci nadzieję na wygraną.

– Odpocznij tutaj trochę, skoro jesteśmy bezpieczni i nic nie zrobiło się zbyt dziwaczne. Przemyśl to. Przemyśl to poważnie. Pamiętaj tylko, że to, jakim facetem mógłby być, nie ma takiego znaczenia jak to, kim faktycznie jest.

Wiedziałałam, że Theo z całego serca chce mnie chronić – ale wiedziałałam także, że zauważył, iż Paul i ja zbliżyliśmy się do siebie w Rosji. Nie wiedział dokładnie, jak blisko byliśmy, ale domyślał się dostatecznie wiele, żeby się denerwować.

Był zazdrosny.

Kiedy spojrzał na mnie, zobaczyłam, że wie dokładnie, o czym myślę. Kącik jego ust zawiął się do góry, jakby chciał się uśmiechnąć, ale nie do końca potrafił się na to zdobyć.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem obiektywny, kiedy ty wchodzisz w grę, Meg.

– Chcę, żebyś był obiektywny, kiedy w grę wchodzi Paul.

– Jedno z nas patrzy na niego obiektywnie – odpowiedział Theo. – Musimy tylko się dowiedzieć, które. Ale stawka w tej grze jest wysoka. Postaw na Paula, pomył się... i oboje możemy zapłacić za to życiem.

Rozdział dwudziesty

Drzwi kuchni się otworzyły, a kiedy Theo i ja podnieśliśmy głowy, zobaczyliśmy Josie w T-shircie Coronado Island, z plecakiem na ramionach.

Uśmiechnęła się diabolicznie.

– Czyżbym przeszkodziła?

Ależ skąd, tylko prowadziliśmy poważną rozmowę o morderstwie w innym wymiarze – to nie było wyjaśnienie, jakie powinna usłyszeć moja siostra. Zwłaszcza, że w tym momencie byłam bardzo uszczęśliwiona, że ją widzę.

– Cześć – podeszłam do Josie i uściskałam ją najmocniej, jak mogłam, pomimo przeszkadzającego plecaka. – Witaj w domu.

– Dzięki. – Josie zmierzwiła mi włosy w sposób, którego nienawidzę. Zazwyczaj w takim momencie krzywiłam się gniewnie, ale teraz byłam szczęśliwa, nawet jeśli się ze mną drażniła.

Kiedy ostatni raz ją widziałam, szlochała histerycznie w ramionach mamy. Teraz była sobą – wyluzowaną dziewczyną z Kalifornii, w klapkach i z przypieczonym od słońca nosem. Kiedy przyglądałam się jej twarzy, od nowa dostrzegałam, pod iloma względami była podobna do naszego ojca: niebieskie oczy, kwadratowa szczęka, kasztanowe włosy. Ja przypominałam bardziej mamę, Władimira i Petera...

Ta myśl mnie zaskoczyła. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jestem w świecie, w którym moi bracia i młodsza siostra nie istnieją.

– Wszystko w porządku? – Josie dziwnie na mnie spojrzała. Usłyszałam, że za naszymi plecami Theo wstawił lazaniec do piecyka.

– Tak, w porządku. Tylko... – Machnęłam jedną ręką, co miało oznaczać coś w stylu: „tylko nie mogę się pozbierać”.

Spojrzenie Josie stwardniało – uznała, że mówię o Paulu i o tym, jak naszą rodzinę zabolowało to, że zawiódł zaufanie. Dlatego właśnie przyjechała do domu na Nowy Rok, zamiast iść na imprezę z przyjaciółmi. Chciała pomóc rodzicom poradzić sobie z tym wszystkim.

– Mama i tata są w dużym pokoju? – zapytała i rzuciła plecak na podłogę przy drzwiach, tak jak to robiła od czwartej klasy podstawówki. Kiedy pobiegła przywitać się z rodzicami, oparłam się o lodówkę, wytrącona z równowagi.

Gdy Theo spojrział na mnie pytająco, machnąłem ręką w stronę dużego pokoju.

– Idź, porozmawiaj z nimi chwilę. Ja potrzebuję minuty dla siebie.

Nie wydawał się stuprocentowo usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, ale skinął głową i dał mi potrzebną chwilę wytchnienia.

Kiedy Theo wyszedł z kuchni, ja zostałam i patrzyłam przez okno. (W domu mieliśmy wiszący na tym oknie kolorowy witrażyk w kształcie pomarańczowo-żółtego motyla. Tutaj witrażyk miał postać ptaka, niebiesko-zielonego.) Serce mnie bolało i tym razem nie było na to żadnego lekarstwa.

Dostrzegałam ironię losu. Przez całą podróż pragnęłam znowu być z rodziną. Teraz byłam z nimi, przynajmniej do pewnego stopnia, ale tęskniłam za inną rodziną.

Katia i mały Peter – nie zobaczyłam ich już po ataku na carski pociąg. Peter na pewno musiał być przerażony. Wiedziałam, że będzie mu trudno spać w nocy, powinnam poprosić, by przyniesiono dla niego sofę do mojej sypialni, żebym mogła go budzić, kiedy będzie miał koszmary. A Katia? Pewnie już się wyklóca z carem, że powinien pozwolić kobietom służyć w armii. Władimir będzie przekonywał ojca do wzięcia pod uwagę konstytucyjnych reform, żeby inny pretendent do tronu nie mógł wykorzystać niezadowolenia społecznego...

Powinnam tam być – pomyślałam, zanim sobie przypomniałam, że oczywiście tam jestem. Marguerite należąca do tamtego wymiaru znowu przejęła kontrolę nad swoim życiem. Byłyśmy dostatecznie podobne, żebym miała pewność, że zaopiekowała się Peterem i że popiera stanowisko Władimira, na ile to może być przydatne w przypadku kogoś tak upartego jak car Aleksander.

Opłakuje także śmierć Paula Markova – jej Paula, który odszedł na zawsze.

Czy w ogóle pamięta ostatnie tygodnie w jego towarzystwie? Czy wie, że miała okazję spędzić z nim noc – jedną noc, gdy zniknęły wszystkie dzielące ich bariery? Jeśli nie, to... okradłam ją z tego. Coś tak świętego, co powinno należeć tylko do niej, na zawsze przypadło w udziale mnie.

Powiedziałam wcześniej Theo, że nie wydaje mi się, by Paul był złoczyńcą.

Teraz zaczęłam sobie uświadamiać, że być może to mnie należałoby tak nazwać.

– Tak się zastanawiałam nad kwestiami etycznymi związanymi z podróżą po innych wymiarach – powiedziała przy obiedzie.

Mama i tata wymienili spojrzenia, a Theo popatrzył na mnie, jakby chciał

zapytać, czy nie zwariowałam. Zignorowałam go.

– Rozmawialiśmy o tym wiele razy – odparła mama i nałożyła sobie kawałek lazanii. – Wybacz mi, skarbie, ale wydawało mi się, że nie jesteś tym zainteresowana.

Musiałam przyznać, że to w zasadzie prawda. Gdybym się nie wyłączała podczas zaawansowanych rozmów o fizyce, zwariowałabym w tym domu. Poza tym czy całe to teoretyczne gadanie mogło mi się do czegoś przydać w prawdziwym życiu?

Teraz oczywiście znałam odpowiedź na to pytanie.

– Kiedy rozmawialiście o tym wcześniej, to zawsze było na zasadzie „co by było gdyby”. Wiecie, abstrakcyjnie, a nie konkretnie. – Miałam nadzieję, że brzmię całkiem zwyczajnie, po prostu zainteresowana na tyle, żeby podjąć temat. – Teraz to się zmieniło.

– Tak, to prawda – powiedział ze znużeniem tata, a ja wiedziałam, że myśli o Paulu.

Siedzieliśmy wokół tęczowego stołu, chwilowo oczyszczonego z papierów, żeby zrobić miejsce dla lazanii, sałatki, chleba czosnkowego, wina i ceramicznego dzbanka z wodą i lodem. (Nagroda Nobla leżała na podłodze obok stosu książek, zupełnie zapomniana.) Pod wieloma względami ta scena wyglądała dokładnie tak jak powinna: rodzinnie, bałaganiarsko i całkowicie swojsko. Mama spięła włosy w nieporządny koński ogon za pomocą dwóch ołówków. Tata miał okulary w prostokątnych szylkretowych oprawkach. Josie pachniała masłem kakaowym. Theo opierał łokcie na stole. Ja kopałam centralną nogę od stołu w nerwowym odruchu, którego rodzice próbowali mnie oduczyć, kiedy byłam w gimnazjum. Mieliśmy nawet paczkę błyszczących kapeluszy, które jak co roku przywiozła Josie, chociaż zakładaliśmy je dopiero tuż przed północą.

A jednak przy stole stało puste krzesło – miejsce, gdzie powinien siedzieć Paul, którego nie było. Najbardziej wyczuwalną obecnością w pokoju była jego nieobecność.

– Uważaliśmy, że to może być okazja, by popatrzeć na kilka warstw multiwszechświata innymi oczami... a potem wrócić do domu i podzielić się zdobytą wiedzą. – Spojrzenie mamy stwardniało. – Ale najwyraźniej wiedza nie wszystkim wystarcza.

– Daj spokój, Sophia. – Theo obdarzył ją najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów, który był naprawdę piekielnie czarujący. – Nie mów mi, że

ty także popadasz w paranoję.

Mama potrząsnęła głową. Jeden poskręcany kosmyk wymknął się jej na policzek.

– Nie mogę wybaczyć tego, co zrobił Paul. Zawiódł zaufanie nas wszystkich. Ale to nie znaczy, że się mylił w sprawie Triadu.

– Czekaście, Triad dalej na was naciska? – zapytała Josie z ustami pełnymi sałatki. – Myślałam, że powiedzieliście im, żeby wypchali się sianem.

Tata westchnął.

– Próbowaliśmy. Niestety okazało się, że naprawdę trudno jest kazać międzynarodowej korporacji wypchać się czymkolwiek. Szczególnie gdy finansowała nasze badania.

– Z jakiego dokładnie powodu Triad miały się wypchać?

Theo uniósł jedną rękę, dając znać moim rodzicom, że on się zajmie wyjaśnieniami.

– Część badaczy z Triadu chciałaby przesunąć granice tego, co możemy zrobić. Co, w teorii, jest doskonałym pomysłem. Chcemy przecież dowiedzieć się jak najwięcej o możliwościach, jakie dają podróże międzywymiarowe. Ale Conley nie chce wysyłać do innych wymiarów tylko energii. Chiałby wysyłać również materię.

Potrząsnęłam głową – tyle przynajmniej rozumiałam.

– Świadomość jest energią i może podróżować łatwiej. Ale materia jest nieprawdopodobnie trudna, prawda? To praktycznie cud, że Firebird może się przemieszczać.

– Właśnie tak – potwierdziła mama, teraz już w trybie wykładowcy. – Jednakże Firebird dowodzi także, że transfer materii pomiędzy wymiarami jest możliwy.

– I to nie jest złe, samo w sobie – wtrącił Theo. – To znaczy, czy nie byłoby niesamowite, gdybyśmy mogli ściągnąć jakąś świetną technologię z wymiaru bardziej zaawansowanego od naszego? Przenieść ją tutaj, przeanalizować, zrozumieć, jak możemy powtórzyć jej efekty? To by było cudowne.

Przypomniałam sobie technologię z Londynu – holograficzne ekrany, pierścionki zamiast smartfonów i całą resztę.

– Pod tym względem nie mam żadnych zastrzeżeń. – Tata wyglądał na zmęczonego. Postanowiłam nalać mu trochę więcej wina. Zazwyczaj nawet w sylwestra wypijał tylko jeden kieliszek, ale może dzisiaj tego potrzebował. – Jednak Conley naciska na bardziej agresywne podejście. To brzmi nie tyle,

jakby chciał badać inne wymiary, ile jakby chciał, no cóż, szpiegować je.

– Możesz to sobie wyobrazić? – zapytała mama. – Chce znaleźć sposób, który pozwoliłby podróżnikom na trwałe przejmować ciała ich odpowiedników. Na długie okresy, jeśli nie na zawsze. Nie w ten sposób to sobie wyobrażaliśmy. Nigdy nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić, a to, o czym mówi Conley, to więcej niż krzywda. Firebirdy miałyby być używane, aby... kraść ludzi.

Tata potrzęsnał głową, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Możesz rozmawiać z najbliższym przyjacielem i nie mieć pojęcia, że został zastąpiony szpiegiem z innego wymiaru. To cholernie przerażające.

Theo i ja wymieniliśmy ukradkiem spojrzenia i siedzieliśmy bardzo, bardzo cicho.

Mama odetchnęła głęboko.

– Nieważne. Tak jak mówiłam, Paul posunął się za daleko. Jest już za późno, by powstrzymać Triad przed dalszym rozwijaniem tej technologii. O wiele za późno. – Mówiła to z wyraźnym żalem. – Stracą przez to najwyżej kilka miesięcy. Lepiej by zrobił, gdyby współpracował z nami. Nadal uważam, że może mielibyśmy szansę przekonać Conleya, że ryzyko jest większe od potencjalnych korzyści.

– Właśnie – powiedział Theo. – Zmiany powinny następować od środka, prawda?

– Dlatego właśnie pozwoliliśmy ci na ten staż w Triadzie, chociaż nie powinniśmy tego zrobić – powiedział tata. – Przepracowujesz się dla nich przez ostatnie miesiące, nie byliśmy nawet pewni, czy wpadniesz dzisiaj. Jesteś chyba świadomy, że twój doktorat dramatycznie się opóźnia, prawda?

Theo jęknął.

– Błagam, czy musisz w wolny dzień mówić o doktoracie? To jak powtórzyć „Hastur” trzy razy o północy przed lustrem.

Tata podniósł ręce w geście, jakby się poddawał. Pamiętałam, że zrobił taki sam gest, kiedy się wyklócałam, żeby pozwolili mi malować w moim pokoju, ponieważ wtedy wszelkie plamy z farby będą moim problemem. Wspomnienie sprawiło, że się uśmiechnęłam, chociaż jednocześnie chciało mi się płakać.

– W każdym razie nie mam nic przeciwko temu, że jestem w Triadzie – ciągnął Theo. – Dzięki temu mam okazję bronić naszych badań. Poza tym, wiecie, ja rozumiem, że Conley by chciał, żeby nakłady na te badania jakoś mu się zwróciły. Musimy tylko go przekonać, że istnieją pewne granice,

etyczne i dosłowne. Ponieważ, bądźmy poważni, możliwości przenoszenia czegoś między wymiarami zawsze będą niewielkie.

– Módlmy się, żeby tak było. Dobrze, czy moglibyśmy pomówić o czymś innym? Muszę przyznać, że nie potrafię na razie myśleć o Paulu bez... – Tata urwał, a ja wiedziałam, że chciałby powiedzieć, że jest na niego wściekły, ale to nie była prawda. Nie był wściekły, był rozczarowany.

– Zrobiłam mu tort na urodziny – powiedziała cicho mama.

– Nie zadręczaj się. – Theo wziął mamę za rękę i ścisnął ją mocno w geście tak samo czułym, jak te, jakimi ja ją obdarzałam. – Okej, Sophio?

Mama skinęła ze smutkiem głową.

Tata poprawił się na krześle.

– Marguerite, jesteśmy roztargnieni, ale nie aż tak roztargnieni.

O czym on mówił? W tym momencie zauważyłam, że kiedy już napełniłam kieliszki wszystkich przy stole, nalałam także trochę dla siebie. W Pałacu Zimowym piliśmy wino, autentycznie zapomniałam, że jest coś takiego jak ograniczenia wiekowe.

– Przepraszam – mruknęłam.

– Niech ci będzie – powiedziała mama. – Jest sylwester. – Uniosła brew. – Tylko niech ci to nie wejdzie w nawyk.

– Jestem pewien, że to moja wina – uśmiechnął się Theo. – Wszyscy wiedzą, że mam na ludzi zły wpływ.

Josie rzuciła mu wymowne spojrzenie.

– Bylebyś tylko nie okazał się zbytnio złym wpływem. – Mówiła o tym, co w swoim mniemaniu zobaczyła w kuchni, a to nasuwało poważne pytanie, co ja czuję lub nie czuję do Theo, jakby mało było skomplikowanych rzeczy ostatnio...

Wypiłam łyk wina. Nie pomogło.

Po obiedzie tata pozmywał naczynia. Kiedy zaczął nucić *In My Life*, w pierwszej chwili wydało mi się to najpiękniejszą rzeczą na świecie. Potem uświadomiłam sobie, że właśnie po raz ostatni słyszę go, jak nuci ukochanych Beatlesów – i musiałam przygryźć wargę, żeby stłumić łzy.

Mogłam przecież zostać tutaj, w tym wymiarze, na zawsze.

To było kuszące. Tata żył, nasza rodzina była razem. Cokolwiek stało się z Pauliem, mogliśmy dotrzeć do prawdy i wszystko poukładać.

Ale w domu mama opłakiwała tatę, martwiła się o Paula i była śmiertelnie

przerażona, że coś może się stać ze mną i z Theo. Musiałam do niej wracać. Ten wymiar mógł przypominać dom, ale nim nie był i nigdy nie będzie.

Stałam pod drzwiami kuchni i słuchałam, dopóki tata nie skończył. Potem wymknęłam się na werandę za domem, ponieważ potrzebowałam kilku minut, żeby się uspokoić, zanim zaczniemy oglądać w telewizji relację z imprezy sylwestrowej na Times Square.

To znajoma weranda, znajomy ogród, położony na stoku, tak że nie dawało się w nim postawić krzesła. Nawet lampki były identyczne, na balustradzie lśniły plastikowe tropikalne rybki Josie. Wysokie drzewa otaczały ogród i zasłaniały sąsiednie domy. Chociaż byliśmy w sercu Berkeley Hills, można sobie było wyobrazić, że jesteśmy samotni, oddaleni od świata. Kiedy byłam mała, udawałam, że drzewa są kamiennymi murami otaczającymi nasz zamek. Żałowałam, że tak nie jest naprawdę.

Przesuwane drzwi otworzyły się. Nie odwróciłam się i dalej siedziałam na schodach werandy.

Theo zarzucił mi na ramiona jasnozielony sweter mamy, a potem usiadł koło mnie.

– Znowu tu jesteście.

Roześmiałam się wbrew sobie.

– Tu właśnie zaczęła się ta szalona podróż.

– Na pewno żałujesz, że w ogóle powiedziałem ci o Firebirdach.

– Nie, cieszę się, że to zrobiłeś. – Pomyślałam o wszystkim, co widziałam, o każdym poznanym aspekcie ludzi, których kochałam. Szczególnie Paula. Zawsze, zawsze Paula.

Gdzie był teraz? Gdyby był tutaj, może zrozumiałabym, czy to, co w nim pokochałam, zostało niezmienione, czy zdołało przetrwać. Wiedziałam tylko, że chcę go mieć przy sobie tak rozpaczliwie, że aż bolało.

– Znowu masz nieobecne spojrzenie. – Theo oparł przedramiona na kolanach i pochylił się, żeby mi się przyjrzeć. – Jak się czujesz?

– Chyba będę próbowała to przeanalizować przez większość najbliższego roku, a i tak nie dojdę do żadnych wniosków.

– Bardzo ci trudno patrzeć na tatę? Ja cały czas mam ochotę go uściskać. Przynajmniej ty możesz to zrobić i Henry nie zacznie się zastanawiać, czego się naćpałaś.

W ustach Theo to nie był po prostu żart.

Ale po chwili wziął się w garść, przynajmniej na ile byłam w stanie

to stwierdzić. Pewnie nie powinnam go pytać, co robił w Paryżu. Założę się, że miało to jakiś związek z absyntem.

– Posłuchaj – powiedział. – To oczywiste, że chcesz zwalić całą winę na Triad zamiast na Paula. Tak?

– Nawet ty przyznajesz, że Triad posuwa się za daleko – przypomniałam. – Kto może wiedzieć, co jeszcze planują?

– Wiesz, kto? Wyatt Conley. – Theo przeczesał włosy palcami. – Może go zapytamy wprost?

Popatrzyłam na niego.

– Mamy tak sobie podejść do największego magnata technologicznego na świecie, na każdym świecie, i zapytać go, co robi?

– Nie mów tego tak dosłownie. W tym wymiarze współpracujemy z Triadem znacznie bliżej. Pamiętaj, że jestem u nich od kilku miesięcy na stażu. To znaczy, że mam wstęp do ich siedziby głównej, tego megasupernowoczesnego kompleksu, który tutaj został ukończony, więc zobaczymy go rano, gdy tylko wystawimy nos za drzwi. – Theo wyjął z kieszeni koszuli zalaminowaną przepustkę z trójkątnym logo Triadu.

– Możemy wejść do budynku – szepnęłam z uśmiechem. – Masz dostęp do ich komputerów.

Theo uniósł ostrzegawczo dłoń.

– Ta moja przepustka nie pozwala mi wszędzie wchodzić i wszystkiego robić. Ale powiedzmy, że jest odrobinę bardziej wszechstronna, niż im się wydawało. Poza tym w Nowy Rok to miejsce będzie praktycznie puste. Będziemy mieli szansę wsadzić nos tam, gdzie nikt nas nie zapraszał.

Byłam ciekawa, jakim człowiekiem jest Wyatt Conley. Zaczynałam dochodzić do wniosku, że odgrywał w moim życiu i w śmierci mojego ojca większą rolę, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Kiedy już tam będziemy, może nawet uda nam się znaleźć jakiś sposób na odszukanie Paula z tego wymiaru – dodał Theo. – W tym momencie się ukrywa i na własną rękę na pewno go nie znajdziemy. Ale Triad to są ci goście, którzy opracowali oprogramowanie używane przez NSA. Przed nimi nie tak łatwo się schować.

Wplotłam dłoń we włosy.

– Dlaczego nadal jesteś taki pewny tego, że to on zabił tatę?

– Dlaczego ty nagle nabrałaś takiej pewności, że tego nie zrobił? I nie powtarzaj mi znowu, że wyglądał na niewinnego. To nie jest wiarygodny

dowód.

– Te podróże, inne wymiary, jakie widzieliśmy, niczego cię nie nauczyły? – Nie, nie chciałam go atakować. Zdecydowanie nie chciałam kłócić się z Theo, nie po tym wszystkim, co zrobił dla mnie i dla taty. Dlatego popatrzyłam na niego i zaczęłam szukać właściwych słów. – Każda Marguerite, którą byłam, była odrębną indywidualnością, z mocnymi i słabymi stronami. Ale wszystkie one były mną, Theo. Nie jestem pewna, czy byłoby w nich cokolwiek, czego nie znalazłoby się we mnie. Dowiedziałam się czegoś więcej nie tylko o sobie. Dowiedziałam się więcej o Paulu. – Jeśli znowu zacznę myśleć o Paulu z Rosji, nie będę w stanie tego znieść. Dlatego zmusiłam się, żeby skoncentrować się na chwili obecnej. – Wszystkie te wersje Paula były cały czas Paulem. Znam go teraz lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Nie jest mordercą, jestem gotowa założyć się o własne życie.

– Naprawdę zakładasz się o własne życie, nie rozumiesz tego? – burknął Theo i przesunął tenisówką po deskach werandy. – Nie powinienem był ci pozwolić, żebyś zabrała się ze mną.

– Jeśli ktoś powinien pomścić tatę, to ja. Nawet bardziej niż ty. I wiesz o tym dobrze.

– Myślisz, że chociaż przez sekundę od początku tej wyprawy nie byłem na siebie wściekły, że narażam cię na niebezpieczeństwo? Że nie znienawidziłem siebie za to, w co cię wciągnąłem? – Ciemne oczy Theo popatrzyły prosto na mnie. – Teraz słyszę, że zaczynasz mieć wątpliwości, że pozwalasz sobie na nieostrożność, i potrafię myśleć tylko o tym, że grozi ci niebezpieczeństwo. Jeśli coś ci się stanie, to będzie moja wina i nigdy, przenigdy sobie tego nie wybaczę.

Potrząsnęłam przecząco głową, ale nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Uczucia dzwiczące w jego głosie sprawiły, że nie mogłam wykrztusić ani słowa.

Przysunął się teraz bliżej do mnie, tak blisko, że nasze twarze prawie się dotykały.

– Powiedziałaś, że widziałaś te inne wersje Paula. Przekonałaś się, jaki on jest naprawdę. Czego dowiedziałaś się o mnie, Marguerite?

– Theo...

Jego dłoń zacisnęła się z tyłu na mojej szyi, twarda i zaborcza, a potem mnie pocałował.

Westchnęłam i język Theo wślizgnął się w moje uchylone usta. Skóra mnie

zapieczęta z gorąca, kończyny straciły siłę. Moje ciało wiedziało, co się dzieje, nawet jeśli mój umysł nie był pewien. Theo objął mnie ramionami i przez krótką chwilę pragnęłam tylko odwzajemnić pocałunek.

Wtedy przypomniałam sobie Paula, zasypaną śniegiem dachem i miłość z nim w blasku ognia. Przypomniałam sobie, że kocham Paula ponad własne życie.

Odwrociłam głowę i powiedziałam:

– Przestań, Theo. Proszę.

Przez sekundę zamarł w bezruchu, a potem mnie wypuścił. Siedzieliśmy koło siebie, oddychając ciężko i nie mogąc się odezwać.

– Zawrócił ci w głowie – powiedział w końcu Theo.

Chciałam zaprotestować, ale to by tylko pogorszyło sprawę.

Theo wstał z westchnieniem. Kiedy na niego spojrzałam, byłam zaskoczona i pokrzepiona tym, że próbował się uśmiechnąć.

– Po prostu... zacznijmy jutro od nowa. Okej?

– Okej. Jutro.

Kiedy wejdziemy ramię w ramię do siedziby Triad Corporation. Nawet teraz, jak zawsze, Theo był moim sprzymierzeńcem. Kiedy wyciągał z kieszeni kluczyki, zapytałam:

– Nie zaczekasz nawet do północy?

– I na tradycyjny pocałunek? – Theo uniósł jedną brew. Starał się obrócić to w żart, ale nie bardzo mu się to udawało. – Wątpię, żebym miał więcej szczęścia.

Zasługiwał na coś więcej. Ale „zasługiwanie” nie miało nic wspólnego z zakochaniem się w kimś.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Mój własny pokój, moje łóżko, a jednak nie mogłam zasnąć.

Co chwilę wyjmowałam iPhone'a z ładowarki i patrzyłam na listę kontaktów. Był na niej Paul Markov, dokładnie tak samo, jak w domu. Przypisałam nawet do niego ten sam dzwonek.

Rachmaninowa.

Przez moment poczułam się tak, jakbym wróciła do domu i gotowała razem z nim obiad. Oboje udawalibyśmy, że nasze ręce się nie muskają...

Najwyraźniej moje uczucia do Paula także w tym wymiarze były splątane.

(Znalazłam jego pocięty portret w magazynku na parterze, ze strzępami płótna zwisającymi z ramy.)

Matematyka czy los – jak nie nazywałaby się siła, która w kolejnych światach zbliżała nas do siebie, była ona potężna. Niezaprzeczalna. Jednak nadal nie wiedziałam, czy ta siła oznacza dla mnie ratunek, czy zagładę.

Około drugiej w nocy uległam pokusie i wysłałam SMS do Paula. Napisałam i skasowałam co najmniej tuzin wiadomości, zanim zdecydowałam się na proste: *Musimy porozmawiać.*

Nie przyszła żadna odpowiedź. Zasnęłam, wspominając jego martwe ciało w moich ramionach.

– Wszystko dobrze? – zapytał Theo po raz dziesiąty w czasie półgodzinnej jazdy.

– Tak. Dobrze. Po prostu... rano było mi trudno.

Poranek przypominał niezliczone wcześniejsze poranki w moim życiu. Tata zrobił gofry z jagodami (tyle że w zielonym, błyszczącym kapeluszu z zeszłego wieczora); Josie opowiadała wyjątkowo skomplikowany sen, jak zawsze; mama miała na sobie strój do jogi, chociaż reszta z nas była jeszcze w piżamach, ponieważ nawet w Nowy Rok wstała o świcie na powitanie słońca. Ale tym razem jednocześnie przeżywałam to i patrzyłam na to z punktu widzenia kogoś, kto wie, jak to jest utracić takie chwile. Wcześniej nie rozumiałam, jak piękna może być codzienność.

– Mogę sobie wyobrazić. – Theo popatrzył na mnie ciepło, ale tylko przelotnie. Koncentrował uwagę na drodze. W tym momencie jechaliśmy

co najmniej trzydzieści kilometrów na godzinę powyżej limitu, a Theo wykorzystywał każdą lukę między samochodami, żeby szybciej dowieźć nas do Triadu. – Trzymaj się, Meg.

Bawiłam się łańcuszkiem Firebirda pod moim T-shirtem. Theo i ja pilnowaliśmy się w tym wymiarze, by trzymać Firebirdy schowane pod ubraniem ukrywającym ich zarysy. W tym świecie moi rodzice rozpoznaliby je natychmiast i domyśliliby się, co się dzieje.

Telefon miałam nadal w kieszeni spódnicy, przełączony na wibracje, więc na pewno nie przeoczyłabym połączenia ani SMS-a. Mimo wszystko wyjęłam go, żeby sprawdzić. Nic.

Gdy samochód Theo wyjechał na szczyt wzniesienia, na tyle daleko na przedmieściach, że otaczało nas więcej drzew niż budynków, zobaczyłam świetlistą srebrną krzywiznę wznoszącą się wysoko na horyzoncie. Gdy uświadomiłam sobie, co to jest, szczeka mi opadła. Theo roześmiał się.

– Niezły widok, co?

W domu ultranowoczesna siedziba Triadu istniała bardziej w teorii niż w rzeczywistości – w postaci szkiców na billboardach przed placami budowy. Tutaj budowa już się zakończyła i lśniła jak jakiś fantastyczny miraż – surrealistyczna, a jednocześnie tak ogromna, że zdominowała pejzaż. Lustrzany sześcian głównego budynku otaczała lśniąca struktura w kształcie pierścienia, największy i najbardziej efektywny na świecie generator energii słonecznej. Budynki Triad Corporation wykorzystywały podobną estetykę, co ich produkty, łącząc piękno z potęgą.

Theo miał na tablicy rejestracyjnej naklejkę, która umożliwiła nam przejazd przez strzeżoną bramę za ogrodzenie otaczające kampus. Trawa wydawała się idealnie przycięta do identycznej długości, jak na polu golfowym. Długie rzędy oleandrów rosły wzdłuż prostej, gładkiej drogi prowadzącej na parking.

– Chodź – zachęcił Theo. Uśmiechał się, jakby to nie było nic wielkiego. Prawdopodobnie był przeszczęśliwy, że może się tutaj rozejrzeć. – Załatwimy dla ciebie przepustkę gościa.

Szłam koło niego, ale nie potrafiłam nie wpatrywać się w górę, na przytłaczający ogrom budynków, gdy zmierzaliśmy do wejścia. Słońce odbijało się od szyb z taką jasnością, że trudno było dłużej na nie patrzeć.

Jeśli Paul miał rację – jeśli intryga Triadu przekracza najgorsze podejrzenia mamy i taty – wchodziłam prosto w paszczę lwa.

Szklane drzwi rozsunęły się przed nami i weszliśmy do holu jeszcze

bardziej olśniewającego niż fasada budynku. Podczas gdy Theo flirtował z pracownicą ochrony, żeby szybciej załatwić mi przepustkę, ja poddałam się pokusie gapienia na to, co mnie otaczało. Ta przestrzeń byłaby spektakularna niezależnie od wszystkiego, ale wydawało się surrealistyczne, że mamy ją całą dla siebie, a moje kroki odbijają się lekkim echem w ciszy. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej dziesięciu pięter, a ściany otaczał pierścień ekranów wyświetlających prezentacje różnych produktów Triadu, istniejących i teoretycznych. Zawsze przynajmniej na jednym ekranie lśniło szmaragdowe logo Triadu z białymi literami układającymi się w motto korporacji: „Zawsze, wszędzie, dla wszystkich”.

Coś pociągnęło mnie za brzeg rozpinanego swetra, więc obejrzałam się i zobaczyłam, że Theo przypiął mi na biodrze przepustkę. Mrugnął do mnie.

– Spokojnie. Pamiętaj, że jak efektownie by to nie wyglądało, to twoi rodzice są najwspanialszą rzeczą, jaka przydarzyła się temu miejscu.

Akurat. To był budynek wzniesiony przez Wyatta Conleya i wszyscy o tym wiedzieli. Mimo wszystko uśmiech Theo pomógł mi opanować zdenerwowanie. Przy nim czułam się bezpieczniej.

Wyciągnął do mnie rękę. To był naturalny gest, a przynajmniej tak miało wyglądać – ale widziałam, że Theo się denerwuje. Przemknęło mi wspomnienie wczorajszego pocałunku, przypominające mi o wszystkim, co czułam do Theo, i o wszystkim, czego nie czułam. Nadal nie potrafiliśmy spojrzeć sobie w oczy.

Ale wzięłam Theo za rękę.

Oczywiście w tym budynku także były te okropne szklane windy. Weszliśmy do środka, a Theo powiedział:

– Laboratorium 11.

– Bardzo proszę, panie Beck – odparła winda. Dobra, ten komputer był chyba trochę za mądry. Winda gładko uniosła nas w górę, pomiędzy lśniącymi ekranami.

– Powinniśmy mieć to miejsce praktycznie dla siebie – powiedział Theo. Musnął kciukiem moje kłykcie. – Jordyn z ochrony powiedziała, że dzisiaj wpisało się jeszcze tylko pięć osób.

Kiedy to mówił, winda zatrzymała się łagodnie na wcześniejszym piętrze niż to, na które się wybieraliśmy – domyśliłam się tego ze zmarszczonych brwi Theo. Drzwi się otworzyły i do windy wszedł Wyatt Conley.

Wyatt Conley. We własnej osobie. Tak, był założycielem i prezesem

Triadu, co oczywiście oznaczało, że musiał się czasem pojawiać w siedzibie firmy, ale wpaść na niego przypadkiem w windzie... To jak pojechać na wycieczkę do Universal Studios i zostać przywitany osobiście przez Leonarda DiCaprio.

Chociaż to było zupełnie coś innego, ponieważ zaczynałam dochodzić do wniosku, że ten mężczyzna może być odpowiedzialny za śmierć mojego ojca.

– Theo – Conley z taką łatwością wypowiedział jego imię, jakby nie miał paru tysięcy pracowników i jakby zupełnie nie było dziwne, że zna ich wszystkich osobiście. – Przyszedłeś popracować, czy pochwalić się przed swoją dziewczyną? Nie będę miał pretensji, jeśli to drugie.

– To nie jest... to znaczy, to jest Marguerite Caine. – Dłoń Theo zacisnęła się lekko na mojej dłoni. – Córka doktor Kovalenki i profesora Caine’a.

Conley uśmiechnął się szerzej.

– Proszę, proszę. Najwyższy czas, żebyś miał przyjemność cię poznać.

Technicznie rzecz biorąc, spotkaliśmy się w Londynie, jeśli moje wtargnięcie na scenę podczas jego prezentacji można liczyć jako spotkanie. Ale to była wersja Wyatta Conleya z innego wszechświata. Ubierał się praktycznie tak samo jak tamten – z kosztowną niedbałością, udającą swobodny styl, bardziej jak nastolatek niż biznesmen. Wydawał się... mało krwiożerczy. Cokolwiek by to miało oznaczać. Chcę powiedzieć, że Conley na pewno był zadufany w sobie, ale czego innego się spodziewać po trzydziestoletnim magnacie internetowym?

– Miło mi pana poznać – skłamałam z nadzieją, że Conley uzna moje skrzępowanie za onieśmienie spowodowane spotkaniem z kimś taaaaak sławnym.

Najwyraźniej Theo uznał, że to po prostu nieśmiałość i nic innego, ponieważ szybko dodał:

– Pomyślałam, że Marguerite będzie chciała się tutaj rozejrzeć.

– Ależ oczywiście. – Uśmiech Conleya był tak swobodny, tak naturalny, że wbrew wszystkiemu mogłabym uwierzyć, że jest szczery, przynajmniej w tej chwili. – Widzę podobieństwo do doktor Kovalenki. Twój rodzice są niezwykłymi ludźmi, Marguerite. Powinnaś być z nich dumna.

– Owszem, jestem.

I nie musisz mi o tym przypominać.

Winda zatrzymała się płynnie na dziesiątym piętrze. Wysiadłam z niej

w ślad za Theo, ale Conley zrobił to samo. Albo szedł w tę samą stronę, albo miał za dużo wolnego czasu. Chociaż Theo na pewno także był zdenerwowany, zachowywał się tak, jakby to było całkowicie naturalne, że Conley nam towarzyszy. Szliśmy korytarzem ze szklaną ścianą, przez którą widać było hol i żywe barwy na ekranach.

– Córka dwojga geniuszy – powiedział Conley z uśmiechem. – Kto wie, czego pewnego dnia możemy spodziewać się po tobie.

– Ja nie jestem jednym z rodzinnych geniuszy – odparłam szybko. – Ani trochę.

– Marguerite jest zbyt skromna. – Theo uśmiechnął się do mnie, bardziej życzliwie niż zwykle. Czasem zapomniałam, jak ciepłym człowiekiem jest wbrew wszelkim pozorom. – Nie jest naukowcem, ale jest niezwykle utalentowana. Artystyczna dusza, w wielu znaczeniach tego słowa.

Conley skinął głową.

– Prawda, portrety, tak? Może powinienem kiedyś poprosić, żebyś mnie namalowała.

Dwa miesiące temu taka propozycja wydałaby mi się najwspanialszą rzeczą na świecie. Portret Wyatta Conleya? To by sprawiło, że w jednej chwili stałabym się rozpoznawalną w całym kraju malarką. Teraz miałam inne priorytety.

Z drugiej strony, zawsze uważałam, że portret pokazuje prawdę. (*Zawsze malujesz prawdę* – usłyszałam w głowie.) Gdyby Conley pozował mi przez kilka godzin, a ja namalowałabym to, co naprawdę zobaczyłam, może dowiedziałabym się, jakim właściwie jest człowiekiem.

– To by było cudownie – uśmiechnęłam się dziewczęco i promiennie. Tego właśnie się spodziewałam, prawda?

Conley roześmiał się.

– Lubię młode kobiety, które potrafią docenić świetną okazję. Dobrze, Theo, przygotowałeś już ostatnią rundę testów rtęciowych?

– Oczywiście – odparł Theo, doskonale udając, że wie, o czym mowa. Albo może zdążył już o tym poczytać w komputerze tego Theo i potrafił blefować dzięki znajomości technicznego żargonu.

W tym momencie telefon zawibrował mi w kieszeni spódnicy. Cofnęłam się o krok od Theo i Conleya, ze zwykłym przepraszającym wzruszeniem ramion – SMS, co można na to poradzić? Rozmawiali dalej, podczas kiedy ja wyjęłam komórkę, z rozpaczliwą nadzieją, że to wiadomość od Paula, chociaż

podejrzewałam, że to pewnie Angela chce mi opowiedzieć o niesamowitej noworocznej randce albo mama prosi, żebym po drodze do domu kupiła mleko.

To był Paul.

Jego SMS brzmiał: *Nie wchodź tam.*

Szybko odpisałam: *Gdzie?*

Lab 11. Musisz się stamtąd wydostać ZARAZ.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, gdy sobie uświadomiłam, że Paul nas obserwował, nawet w tej chwili.

Rozejrzałam się, na wpół oczekując, że wygląda gdzieś zza rogu, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe. Zauważyłam małe lustrzane półkule na suficie, w równych odstępach, na pierwszy rzut oka niemające żadnego zastosowania. Nie były wyłącznie częścią ultrafuturystycznego wystroju wnętrza. Część z nich musiała ukrywać kamery monitoringu.

Paul pracował tutaj razem z Theo przez ostatnie kilka miesięcy. Nie tylko zniszczył dane rodziców, ale także włamał się do wewnętrznych systemów bezpieczeństwa Triadu, które musiały należeć do najlepszych na świecie.

Telefon znowu zawibrował mi w dłoni. Nie spotkaliście Conleya przez przypadek. Theo nic nie grozi, ale Tobie tak.

Kiedy spojrzałam na moich towarzyszy, upewniłam się, że Theo niczego nie podejrzewa. Uśmiechał się szeroko, a Conley kiwał głową, słuchając o jego pomysłach. Jak na razie wszystko było tak, jak powinno.

Spojrzałam na drzwi odległe zaledwie o kilka metrów, z tabliczką LABORATORIUM 11.

Musisz natychmiast uciekać.

Odpisałam: A jak mam zdobyć jakiegokolwiek odpowiedzi? Było jasne, że nie usłyszę ich od Paula. Skąd mam wiedzieć, o co chodzi Conleyowi?

Theo popatrzył na mnie, o wiele spokojniejszy niż w chwili, kiedy tu weszliśmy. Najwyraźniej nie uważał, że coś idzie nie tak.

– Gotowa?

Komórka zawibrowała z kolejnym SMS-em. Spojrzałam na nią i przeczytałam wiadomość od Paula:

Conleyowi chodzi o CIEBIE.

– Marguerite? – Theo zaczął się dziwić. – W porządku?

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Nie wiedziałam nawet, co mam myśleć.

Wszystko sprowadzało się do jednego: czy ufam Paulowi?

Kiedy tylko ujęłam to w taki sposób, wiedziałam, że nie zamierzam przekroczyć tych drzwi.

– Tak, ja... no... – *Myśl, myśl szybciej!* – To Angela, moja przyjaciółka. Przepraszam. Pożyczyłam od niej bransoletkę, którą koniecznie chce założyć na wielką randkę dzisiaj.

Conley przybrał ten charakterystyczny wyraz twarzy, jakbym była taka słodziutka i urocza jak GIF ze szczeniaczkami czy coś podobnego. Miałam ochotę go spoliczkować.

– Ach, mieć znowu osiemnaście lat.

– Chodzi o to, że założyłam ją rano, ale teraz jej nie mam. – Podniosłam rękę z nadzieją, że Theo nie zauważył, że rano nie miałam żadnej bransoletki. Drugą ręką schowałam komórkę do kieszeni. – Jestem pewna, że miałam ją w samochodzie. Czy mogę tylko... Czy mogę zbiec na dół i poszukać w holu, a potem może w samochodzie? Przepraszam, ale jeśli ją zgubię, to Angela totalnie mnie zabije.

Dobra, może trochę przesadziłam pod koniec z udawaniem głupiutkiej nastolatki, ale w tym momencie musiałam przekonać Conleya, że taka właśnie jestem. Musiał się okazać kolejnym z tych dupków, którzy uważali, że głowę wypełniają mi tylko plotki i ulubiony kolor lakieru do paznokci. Jeśli w to uwierzy, to mnie puści, ponieważ będzie pewien, że wrócę.

Theo wymienił spojrzenia z Conleyem.

– Kobiety – powiedział. – I co poradzisz?

Zamierałam potem zmyć mu za to solidnie głowę, ale może domyślił się, że muszę stąd wyjść. Wyjął z kieszeni kluczyki i rzucił mi je.

– Pospiesz się, dobrze? A, właśnie, tu jest Starbucks i dostarczają zamówienia do labów. Chyba dzisiaj pracują. Masz ochotę na latte?

– Świetny pomysł. – Uśmiechnęłam się do niego, ale ten uśmiech nie mógł być szczególnie przekonujący. Mogłam mieć tylko nadzieję, że wyglądam, jakbym się martwiła o zgubioną bransoletkę.

Samo odwrócenie się do nich plecami, kiedy czekałam na windę, było nieznośnie trudne. W każdej sekundzie spodziewałam się, że Conley mnie zawoła albo że poczuję jego rękę na ramieniu. Ale gdy zadzwieczał dzwonek i drzwi się otworzyły, wsiadłam do środka bez żadnych przeszkód.

Kiedy tylko winda ruszyła w dół, wyciągnęłam telefon, żeby przeczytać nowy SMS od Paula.

Dobra robota. Wydostań się z budynku. Jedź w bezpieczne miejsce.

Odpisałam: *Powiedz mi, gdzie jesteś. Bez wykrętów.*

Odpowiedzi – tego właśnie potrzebowałam i nie zamierzałam na nie dłużej czekać. Ale komórka milczała, a ja jechałam w dół, oświetlana zielonym blaskiem przez ekrany bombardujące mnie wiadomością: „Zawsze, wszędzie, dla wszystkich”.

Wysłałam jeszcze jeden SMS. *Powiedz mi albo przysięgam, że do nich wrócę.*

Zamierzałam spełnić groźbę. Ponieważ jeśli Paul nie był gotów, by mi powiedzieć prawdę, może myliłam się, wierząc mu. Może miałam rację, kiedy chciałam jego śmierci.

Komórka zawibrowała. *Tenderloin, San Francisco. Spotkamy się w Union Square Park.*

Winda wypuściła mnie w holu i powiedziała grzecznie:

– Życzę miłego dnia, panno Caine.

To urządzenie było upiorne.

Na wypadek, gdyby Conley obserwował mnie z góry, udałam, że rozglądam się po holu za bransoletką, a potem przeprosiłam strażniczkę, oddałam jej przepustkę i wyszłam na zewnątrz. Pobiegłam do samochodu Theo tak szybko, że klapki omal nie pospadały mi z nóg.

Kiedy otworzyłam drzwi, Paul napisał: *Wiesz, że musisz ukraść samochód?*

– Pożyczyć – powiedziałam na głos, ze świadomością, że on mnie nie słyszy. – Pożyczam samochód Theo. On to zrozumie. Kiedyś.

Wsadziłam kluczyk w stacyjkę i pospiesznie napisałam: *Co to ma znaczyć, że Conleyowi chodzi o mnie?*

Odpowiedź przeszła zanim zdążyłam wrzucić wsteczny bieg.

Tutaj chodzi o Ciebie, Marguerite. To Ciebie chce od samego początku dorwać Conley.

Rozdział dwudziesty drugi

Theo obiecywał, że kiedyś nauczy mnie prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów, ale jakoś nigdy nie znalazł na to czasu. Dlatego to wszystko była jego wina.

Sprzęgło zgrzytało, a może to silnik zgrzytał – nie mam pojęcia, co wydawało ten dźwięk, ale wiedziałam, że to nic dobrego. Kiedy tylko podjechałam pod stację, zostawiłam samochód Theo na parkingu podziemnym i wsiadłam do pociągu, który mógł mnie zawieźć do miasta.

Teraz jednak, kiedy siedziałam w pociągu – tak nijakim i jasnoniebieskim w porównaniu do holograficznych wagonów kolejki w Londynie – czułam, że serce bije mi tak mocno, że prawie bębniło o wisior z Firebirdem.

Uciekłam prosto do faceta, który najwyraźniej zdradził zaufanie moich bliskich, do mężczyzny, w którego nie wierzył nikt poza mną.

Dawno, dawno temu Tenderloin było podejrzaną dzielnicą, a w każdym razie tak mówili mama i tata. Ale Union Square Park graniczył teraz z Saks Fifth Avenue, na której znajdowały się luksusowe domy towarowe Macy's i Nordstrom. Większość ludzi owijała się ciasno płaszczami, chociaż mnie, po tygodniach spędzonych w Sankt Petersburgu, ten dzień nie wydawał się szczególnie zimny. Wszyscy byli zajęci i pogodni, w szczególności tłumy na lodowisku, które zawsze otwierano na święta. Przez moment wirujący, roześmiani łyżwiarze przypominali mi o Sankt Petersburgu – ale w tym momencie zobaczyłam pojedynczą, nieruchomą sylwetkę w tle.

Paul stał pod cokołem Victoria Monument, ubrany w swój jedyne porządne płaszcz zimowy, który dostał od mojej mamy. Zauważył mnie pewnie wcześniej niż ja jego, bo nie poruszył się na mój widok. Wyprostował się tylko bardziej, jakby szykował się do walki.

Paul. Moje serce wypełniały w równych proporcjach radość, ból i strach. Radość, że widzę go znowu żywego. Ból, ponieważ to nie był ten sam Paul, który umarł w Rosji – ponieważ jego obecność przypominała mi, że Paul, którego kochałam – Paul, który mnie kochał – odszedł na zawsze. Strach, ponieważ nadal nie wiedziałam, co się dzieje. Nie wiedziałam, czy Paul chce mnie uratować, czy wciąga w jeszcze większe niebezpieczeństwo niż to, które groziło mi obecnie.

Nie mogłam się zmusić, żeby podejść do niego. Stałam jak wrośnięta w ziemię. Ale Paul już ruszył w moją stronę, zmniejszając dystans między nami. Z każdym jego krokiem widziałam go coraz wyraźniej i zaczęłam dostrzegać wszystkie detale, które przypominały mi o Paulu z Rosji, i wszystkie te, które czyniły go innym.

Odezwał się pierwszy.

– Dziękuję, że tu przysłaś. Że mi zaufałaś.

Nadal nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że widzę go znowu żywego.

– Jak... jak wydostałaś się z Rosji?

– Azarenko oddał mi Firebirda przed bitwą. Przeskoczyłem niedługo po rozpoczęciu walki.

Paul był zaniepokojony, a ja domyśliłam się, że chciałby zapytać o swoje inne ja. Czy udało mu się przeżyć. Nie potrafiłam się zmusić, żeby powiedzieć coś o poruczniku Markovie. Załamałabym się, a nie mogłam sobie na to pozwolić, nie w tej chwili.

– Co się dzieje?

– Wynająłem pokój w hostelu, tutaj niedaleko. Theo w zeszłym roku załatwił mi fałszywy dowód, więc zarejestrowałem się na niego, a w hostelach można płacić gotówką. Nawet Conley nie może mnie tutaj wyśledzić. Jutro z samego rana jadę pociągiem na lotnisko. Mam kupiony bilet do Quito.

To świetnie, ale zupełnie nie o to pytałam.

– Quito jest w Ekwadorze – dodał.

– Wiem, gdzie jest Quito! – warknęłam, co w zasadzie było prawdą, bo właśnie mi to powiedział. – Chodziło mi o to, co się w ogóle dzieje? O co chodzi z tobą, z Conleyem i ze wszystkim innym. Nie mów mi, żebym była grzeczną dziewczynką i wracała do domu. Jeśli jeszcze raz to powtórzysz, przysięgam...

– Nie powtórzę. – Paul powiedział to mniej, jakby coś obiecywał, a bardziej jakby... się poddawał. – Powinnaś wracać do domu, kiedy cię o to prosiłem, ale teraz jest za późno.

– Czyli zamierzasz mi coś wyjaśnić? W końcu?

– Tak. – Paul popatrzył w niebo, jakby się obawiał, że jesteśmy obserwowani. Z drugiej strony Triad miał własne satelity. Conley mógł nas podglądać z orbity, gdyby tylko zechciał.

Chyba zaczynałam się zarażać paranoją Paula.

– Chodź – powiedział Paul. – Wracajmy do hostelu.

Szliśmy obok siebie, bez słowa. Porucznik Markov z Rosji mógłby mi podać ramię, a gdyby wiedział, że nikt nie patrzy, wziąłby mnie za rękę. Paul nie zrobił tego.

Większość mojej wiedzy o hostelach pochodziła od Josie, która w jedne wakacje podróżowała z plecakiem po Europie, a w następne po Australii i Azji Południowo-Wschodniej. Zgodnie z jej słowami, hostele były przeznaczone dla osób, które chciały zaznać wszystkich niedogodności kempingu, ale bez spokoju i ciszy. Mimo wszystko ona je lubiła, ponieważ miała okazję poznawać ludzi z całego świata. Faktycznie, hol wypełniała grupa studentów ze Szwecji, zastanawiających się, kiedy będzie najlepiej pojechać na wycieczkę do Alcatraz. Paul dopłacił dziesięć dolarów za gościa i przedstawił mnie jako swoją „dziewczyne” z takim skrępowaniem, że zaczęłam się zastanawiać, czy pani w recepcji nie uznała mnie za prostytutkę. Ale zameldowała mnie na mój własny fałszywy dowód.

– Hostel ma pojedyncze pokoje? – zapytałam, kiedy Paul zamknął za nami drzwi.

– Czasem miewa. Wynająłem ten tutaj, ponieważ wiedziałem, że będę potrzebować samotności do pracy.

Pokój wyglądał jak wnętrze superkomputera. Paul podłączył razem pięć laptopów i kilka urządzeń, których nie rozpoznawałam. Na ekranach przesuwaly się bez końca lśniące linie kodu. Chociaż w pokoju, do którego prawie nie wpadało światło dnia, panował półmrok, Paul nie zapalił lampy, może po to, żeby uniknąć odbłasku na ekranach, mrugających z każdą nową linią danych.

– Co robisz?

– Włamuję się na serwery Triadu.

– Myślałam, że już to zrobiłeś.

Rzeczywiście, tablet oparty o ścianę pokazywał na zmianę obraz z różnych kamer monitoringu w siedzibie Triadu.

– Część danych ma mocniejszą ochronę. Jeśli zdołam się do nich włamać przed wyjazdem z kraju, to świetnie. Jeśli nie, będę musiał zdać się na domysły na podstawie tego, co już wiem.

– W jakiej sprawie?

Paul nie odpowiedział wprost, zdjął tylko płaszcz. Firebird załśnił matowo na jego czarnym swetrze.

– Chciałaś odpowiedzi, więc zaczynamy.

Usiadłam na krawędzi łóżka wolnej od komputerów. Paul usiadł na podłodze po turecku, w odległości niespełna metra – nie było tutaj miejsca, żebyśmy zachowywali większy dystans. Telefon zawibrował w kieszeni mojej spódnicy – uświadomiłam sobie, że robił to bezustannie. Kiedy go włączyłam, zobaczyłam serię SMS-ów od Theo ze wzrastającym poziomem paniki. *Gdzie jesteś... Co zrobiłaś... To nie jest... Czy Paul... Moje auto... Dlaczego... Meg, nic Ci nie jest?*

Przestawiłam komórkę w tryb „nie przeszkadzać”.

– Theo mnie zabije – powiedziałam, a potem zastanowiłam się nad tym, co Theo może robić w tej chwili. – Conley nic mu nie zrobi, prawda? – Kiedy uciekłam z Triadu, nie zastanawiałam się, czy nie narażam Theo na niebezpieczeństwo.

– Theo mnie zabije – powiedziałam, a potem zastanowiłam się nad tym, co Theo może robić w tej chwili. – Conley nic mu nie zrobi, prawda? – Kiedy uciekłam z Triadu, nie zastanawiałam się, czy nie narażam Theo na niebezpieczeństwo.

– Prawdopodobnie nie – odparł Paul.

– Prawdopodobnie?

– Szanse są większe niż pół na pół. – Paul wyraźnie uważał to za bardziej uspokajające, niż w rzeczywistości było. – Dzisiaj jest bezpieczny. Nie widziałem niczego nieprzewidywanego przez kamery monitoringu po twoim wyjściu. Theo był zdumiony, a Conley był wściekły.

Pamiętałam, że Conley zachowywał się, jakby wpadł na nas przypadkiem, ale potem do nas dołączył, jakby prezes potężnej globalnej korporacji nie miał nic lepszego do roboty w Nowy Rok. Starał się zachowywać swobodnie, chociaż szedł razem z nami do Laboratorium 11, gdzie zamierzał... co właściwie?

– Theo idealizuje Wyatta Conleya – powiedział Paul. – Zaczyna rozumieć, że sytuacja z Triadem jest nieciekawa, ale nie chce przyznać, do jakiego stopnia.

– Jak to „nie chce przyznać”?

Paul potrząsnął głową, ale życzliwie.

– Theo jest... ambitny, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Wierzy w praktyczne zastosowania naszych odkryć i chciałby, żeby wszyscy z nich korzystali. Współpraca z korporacjami, przekonywanie ludzi takich jak

Conley, żeby dawali nam większe fundusze... Ja bym tego nie potrafił. Próbowałem, ale to wychodziło absurdalnie. Jakby pies próbował chodzić na tylnych łapach.

– Przekonywałeś Triad do badań mamy i taty?

– Tak właściwie, stałem obok, kiedy Theo to robił – wyjaśnił Paul. – To on z nimi rozmawiał i dzięki temu zalały nas setki tysięcy dolarów z ich funduszu badawczego. Ale Theo nie wykorzystuje po prostu Conleya i Triadu – jest nimi zauroczony. Wierzy w Conleya, ponieważ chce w niego wierzyć.

Chociaż chciałam wziąć Theo w obronę, znałam go dostatecznie dobrze, by dostrzec prawdę w słowach Paula.

Paul mówił dalej.

– Theo na pewno nie przywiózłby cię do Triadu, gdyby zdawał sobie sprawę z tego, co naprawdę planuje Conley. Tu chodzi o coś więcej niż szpiegowanie, chodzi o zmuszanie do współpracy, może nawet międzywymiarowe porwania, a Conley dopiero się rozkręca.

– Czy doszliśmy już do tego kawałka, dlaczego niby ma tu chodzić o mnie? Bo to wszystko nie ma cienia sensu. Czy może powiedziałeś to tylko po to, żeby mnie wyciągnąć z Triadu?

Na schodach rozległ się śmiech, donośne głosy rozmawiały po włosku lub portugalsku, w jakimś języku, który prawie rozpoznawałam, ale nie do końca. Oboje czekaliśmy, aż głośnie kroki zejda na dół i oddalą się od nas, jakby każde podsłuchane słowo mogło być niebezpieczne.

Nastała cisza. Paul popatrzył mi w oczy i nie odwrócił wzroku.

– Nie powiedziałem tego tak sobie. To prawda.

– To dalej nie ma sensu. Co ja mam wspólnego z tym wszystkim? Mama i tata są geniuszami stojącymi za tą technologią. Ty i Theo jesteście następnymi w kolejce. Ja tylko siedzę przy tęczowym stole i zadaję głupie pytania.

– Przestań nazywać siebie głupią. Nie jesteś. – Paul odetchnął głęboko. – Masz własną inteligencję. Własną wartość. Ale nie o to chodzi Conleyowi.

– Conley w ogóle mnie nie zna.

– Nie, ale zna nas: twoich rodziców, Theo i mnie. Chce nami manipulować, zależy mu na kontroli nad nami. A na to jest tylko jeden sposób. Nie rozumiesz, Marguerite? Jesteś jedyną osobą, którą wszyscy kochamy.

Poczułam, że policzki robią mi się gorące.

– To... ale... dlaczego Conleya to obchodzi?

Rysy twarzy Paula były podkreślone przez migające światła kodu wokół nas

– mocna szczęka, badawcze spojrzenie.

– Odwiedziłaś już trzy równoległe wymiary. Czy coś zauważyłaś w związku z podróżami? W związku z reakcją na nie, przede wszystkim twoją?

– Pamiętam wszystko lepiej od was dwóch – powiedziałam. – Nie potrzebowałam ani jednego przypomnienia.

– Właśnie. Theo i ja potrzebujemy przypomnień, żeby wiedzieć, kim jesteśmy. Ty nie. W każdym wymiarze, do jakiego przeskakujesz, masz od początku do końca wszystko pod kontrolą. Wyobrazasz sobie, jakie to jest cenne?

Przypomniałam sobie, o czym mama i tata mówili wczoraj wieczorem. Wszystkie ich niesprecyzowane obawy nabrały nagle kształtu i utworzyły ściany wokół mnie.

Paul przechylił głowę, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć.

– W tym wymiarze dowiedziałem się... albo raczej ten Paul się dowiedział... że Conley już wysyła szpiegów do innych wymiarów. Znaleźli sposób, by ustabilizować tych szpiegów na dłuższe przedziały czasowe niż impulsy przypomnienia, nawet na dzień lub dwa, ale ich metody są nadal niedoskonałe. Każdy, kto podróżuje do innego wymiaru, jest narażony na zapomnienie. Każdy oprócz ciebie.

– Muszą być też inni – zaprotestowałam. – Skoro ja mogę to robić, to inni ludzie także.

– Nie. W naszym wymiarze jesteś tylko ty.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno! Zastanów się nad tym. – Może Paul naprawdę miał paranoję. Oparłam dłońe na łóżku i postarałam się opanować przypływ frustracji. – Jakie są szanse, że jedna jedyna osoba w naszym wymiarze, która może podróżować w taki sposób, całkiem przypadkiem okaże się córką ludzi, którzy wynaleźli tę technologię?

Paul potrząsnął głową.

– To nie przypadek. To celowe działanie. Conley ci to zrobił.

– „Zrobił”?!

– Wypadek. Tamten „test przeciążeniowy”. Pamiętasz go, prawda?

Wspomnienia wróciły do mnie, bardziej żywe niż wtedy, kiedy to się zdarzyło. Dziwaczne urządzenie, które dostaliśmy od Triady, panika, w jaką wpadli Paul i Theo, wrażenie, że byłam w poważnym niebezpieczeństwie... To, jak Paul trzymał mnie w ramionach, jakby myślał, że prawie mnie stracił...

Zauważył, że zrozumiałam, o co mu chodzi, ponieważ skinął głową.

– Takie zaburzenie można wywołać tylko raz w jednym wymiarze. Można je wykorzystać do zmodyfikowania pojedynczej osoby. Conley ustawił je tak, by zmodyfikowało ciebie.

– Josie też tam była.

– Ona byłaby egzemplarzem zapasowym. Alternatywnym celem dla Conleya, kimś jeszcze, kto dałby mu władzę nad waszymi rodzicami. Ale myślę, że od początku chciał dostać ciebie.

– Dlaczego mnie? – Nie zapomniałam jednak tego, co Paul powiedział wcześniej, że jestem jedyną osobą, którą wszyscy oni kochali. – Chciał mnie wykorzystać przeciwko tobie. Prawda?

Paul skinął głową.

Los i matematyka. Mogłam dotrzeć do tak wielu wersji moich rodziców – ludzi, którzy wynaleźli podróże międzywymiarowe, których Conley musiałby kontrolować w jednym wszechświecie za drugim, jeśli chciał zachować tę technologię dla siebie. Nawet jeśli chciałam wierzyć, że Conley nie zmuszałby mnie, żebym robiła to, co mi każe, wiedziałam, że byłby do tego zdolny. Wystarczyłoby, że zagrozi komuś, kogo kochałam.

– Który Conley to robi? – zapytałam. – Ten z tego wymiaru, czy z naszego?

– Wydaje mi się, że ten Conley już od jakiegoś czasu bywa w naszym wymiarze. Prawdopodobnie od kilku miesięcy. Powiedziałbym, że wykorzystuje swojego odpowiednika u nas, gdyby nie to, że się zastanawiam, czy przypadkiem nie współpracują. – Paul uśmiechnął się krzywo i bez rozbawienia. – Jednoosobowe stowarzyszenie spiskowe.

Mama i tata powiedzieli, że w tym wymiarze mogło już być wykorzystywane szpiegostwo, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Triad może szpiegować nas. Wzdrygnęłam się, a Paul wyglądał na nieszczęśliwego, jakby nienawidził siebie za to, że mnie przestraszył. Tak bardzo starał się trzymać to w tajemnicy, żebym się nie bała.

Wreszcie, wreszcie wszystko rozumiałam.

– Dlatego zniszczyłeś dane – powiedziałam szeptem. – Dlatego ukradłeś Firebirda. Wiedziałeś, że im szybciej zdobędziemy tę technologię, tym szybciej Conley po mnie przyjdzie.

Paul skinął głową.

– Kiedy zrozumiałem, co z tobą zrobiono, wiedziałem, że niedługo będą chcieli cię przetestować. Pomyślałem... że jeśli zabiorę jedynego sprawnego

Firebirda i utrudnię skonstruowanie kolejnego, będą musieli przesunąć test o kilka miesięcy. Mógłbym wykorzystać ten czas, żeby znaleźć ten wymiar i dowiedzieć się więcej o ich planach, a może także o czymś, co moglibyśmy wykorzystać.

– No to po co w ogóle przeskakiwaliśmy do tych innych wymiarów?

Wydawało się, jakby przyznawał się do porażki. Skulił szerokie ramiona i pochylił się tak, że jego głowa prawie dotykała mojego kolana.

– To były... skręty na niewłaściwym skrzyżowaniu. Wymiary matematycznie podobne do tego. Sąsiednie wszechświaty. W pierwszej chwili myślałem, że Londyn może być właściwym miejscem i chciałem się tam skonfrontować z Conleyem, ale wtedy ty się pojawiłaś, a on cię nie rozpoznał. Z Rosji przeskoczyłbym natychmiast dalej, gdyby Azarenko nie zabrał mojego Firebirda.

– A potem trafiłeś tutaj i to jest świat, którego szukałeś.

Paul wydawał się śmiertelnie zmęczony.

– Pomyślałem, że może uda mi się jakiś sabotaż wewnętrzny. Ale ten Paul zorientował się, co się dzieje, i sam już zaczął działać przeciwko Triadowi. Myślę, że on... on chciał ochronić wszystkie wersje ciebie. Wszędzie.

Właśnie to próbował zrobić Paul, kiedy wszystko się zaczęło: starał się powstrzymać ich przed dowiedzeniem się, że zrobili ze mnie szpiega doskonałego. Tymczasem ja wyruszyłam w pościg za nim, ponieważ byłam wściekła, głupia i przytłoczona wydarzeniami, a w ten sposób udowodniłam dokładnie to, co on starał się ukryć.

– Wszystko popsuałam, kiedy przeskoczyłam za tobą, prawda?

– Theo zachował pozostałe Firebirdy. – Paul zacisnął dłonie w pięści, a potem spróbował się uspokoić, jakby nadal musiał się zmuszać do przyznania, że jego plan zawiódł. – Powinienem się domyślić, że nie wypuści ich z garści. Kiedy zobaczyłem was razem w Londynie, podejrzewałem Theo, ale potem uświadomiłem sobie, że on starał się ciebie chronić, nie wiedząc, jakie to może mieć konsekwencje. Nie miałem też pojęcia o Henrym.

Rozumiałam teraz wszystko z wyjątkiem tego, co stało się z tatą, ale to mogłam zgadnąć. Prawdopodobnie zaczął się domyślać, co planuje Conley. Wiedział za dużo i Conley kazał go zamordować.

Tata nie żył od niecałego miesiąca, a kilka godzin temu Conley wsiadł ze mną do windy i uśmiechnął się do mnie. Mdlilo mnie na myśl o tym.

– Dlaczego nam nie powiedziałeś?

– Nie chciałem niczego mówić z góry, ponieważ zależało mi, żebyście się zachowywali naturalnie. W ten sposób Conley nie zacząłby niczego podejrzewać. Ale zostawiłem Sophii zakodowaną wiadomość, którą miała dostać czterdzieści osiem godzin po moim zniknięciu.

Gdybyśmy razem z Theo zaczekali jeszcze jeden dzień, dowiedzielibyśmy się o wszystkim.

– Mogłeś zostać zabity. Nadal możesz.

– Zamierzam przeżyć, jeśli tylko to będzie możliwe – odpowiedział Paul całkowicie poważnie.

– Ale ryzykujesz wszystkim.

Odwrócił spojrzenie, a potem z wyraźnym wysiłkiem zmusił się, żeby popatrzeć prosto na mnie.

– Byłaś w niebezpieczeństwie – powiedział. – Musiałem cię ochronić w miarę moich możliwości. – Patrzył mi prosto w oczy. – Ryzyko nie ma znaczenia. Tylko ty się liczysz.

Żadne z nas nie potrafiło się odezwać. Siedzieliśmy sami w przyćmionym świetle, ukryci we dwoje przed całą resztą świata.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

Oboje podskoczyliśmy, a Paul roześmiał się lekko, starając się ukryć skrępowanie. Ale moja skóra zamrowiła strachem, gdy przypomniałam sobie, że przestawiłam komórkę w tryb „nie przeszkadzać”. Nikt nie powinien móc się do mnie dodzwonić.

Wyjęłam telefon z kieszeni. Połączenie było z nieznanego numeru.

Podobnie jak 75% Amerykanów, używałam komórki Triadu.

– Czy Conley może się włamać do iPhone’a? – zapytałam.

Paul spochmurniał, gdy zrozumiał, co się dzieje.

– Teoretycznie tak.

– Nie sądzę, żeby to było tylko teoretyczne. – Komórka dalej dzwoniła. Powinna się już włączyć poczta głosowa, ale najwyraźniej to także Conley potrafił obejść. – Nie mogę odebrać. Jeśli odbiorę, dowie się, gdzie jestem.

– Wieża telekomunikacyjna już ustaliła twoją lokalizację. – Paul spojrział w stronę drzwi, jakby w każdej chwili mogła wpaść przez nie policja. Może naprawdę wpadnie. – No dobrze, odbierz.

Dzwonił do mnie morderca mojego ojca. Czego mógł chcieć?

Ale to już wiedziałam. Chciał tylko mnie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Przesunęłam palcem po ekranie i powiedziałam:

– Dzień dobry, panie Conley.

– Marguerite – powiedział, tak samo serdecznie jak wcześniej w siedzibie Triadu. Głos miał nawet młodszy niż wygląd, brzmiał jak jeden ze studentów mamy i taty, który przyszedł posiedzieć przy tęczowym stole. Miałam ściszony dźwięk w komórce, ale razem z Paulem pochylił się do niej, żeby słyszeć Conleya poprzez szum komputerów. – Całe szczęście, że w końcu cię złapałem. Rozumiem, że znalazłaś bransoletkę twojej przyjaciółki?

Byłam wściekła. Gdyby Conley znajdował się tutaj, wbiłabym pięść prosto w jego piegowatą gębę.

– Przepraszam, naprawdę uważasz, że masz prawo mi wytykać mijanie się z prawdą? To nie ja wymyślam tutaj kosmiczne kłamstwa. Więc przestań pieprzyć i mów, co masz do powiedzenia.

Paul rzucił mi spojrzenie mówiące: *O szlag*. Był pod wrażeniem.

– W takim razie przestaję pieprzyć – oznajmił Conley, tak samo przyjazny jak wcześniej. – Jesteś bardzo utalentowaną młodą damą. Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym, jak możesz w przyszłości najlepiej wykorzystać swoje talenty.

– Nie jestem twoją podróżniczką. Nie jestem twoim szpiegiem. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Jak rozumiem, rozmawiałaś z panem Markovem. Jest może tam teraz z tobą? – Nie odpowiedziałam, ale pewnie równie dobrze mogłabym potwierdzić. Paul nie odezwał się, zmrużył tylko oczy. Conley mówił dalej. – Gdyby tylko świat był taki prosty. Stałaś się bardzo ważną osobą o bardzo ważnej pozycji. To oznacza, że pozyskanie twoich talentów należy do głównych priorytetów Triad Corporation.

– Wasze priorytety mnie nie interesują – odparowałam.

– Ludzie, którzy pomagają mi w osiągnięciu celów, mogą liczyć na wynagrodzenie, Marguerite. Mogę dać ci więcej niż sobie wyobrazasz.

– Pieniądze nie naprawią tego, co już zrobiłeś. – Gardło mi się zacisnęło, gdy pomyślałam o moim ojcu, martwym na dnie rzeki w innym wszechświecie.

– Mogę naprawić bardzo wiele.

Paul powoli się podniósł. Domyśliłam się, że przygotowuje się do wyjścia. To oczywiste – jeśli Conley namierzył już naszą lokalizację, mógł lada moment przysłać tu ludzi. Ja także wstałam i odsunęłam się, żeby Paul mógł powyłaczać laptopy i schować je do sportowej torby.

Aby zagłuszyć odgłosy pakowania, zaczęłam znowu mówić.

– Czy doszliśmy już do tego kawałka, w którym zaczynasz grozić wszystkim, których kocham?

– Masz na myśli pana Becka? On jest w tym momencie cały i zdrowy. Trochę poirytowany tym, że ukradł mu samochód. Wrócił do swojej pracowni i czeka na służbowy samochód, którym będzie mógł wrócić do domu. Kiedyś.

Zawołowana groźba sprawiła, że zrobiło mi się zimno. Paul znieruchomiał na chwilę – obawiał się o Theo tak samo jak ja. Ale zaraz wrócił do pakowania. Czas już uciekał.

Conley mówił dalej.

– Musimy się spotkać, Marguerite. Są pewne testy, które muszę przeprowadzić, żeby ustalić całkowity zakres twojego potencjału. Obiecuję, że nic nie będzie bolało.

– Twoje obietnice nie są wiele warte – stwierdziłam.

– Nie doceniasz mnie. Bardzo rzadko mi się to zdarza. – Wydawał się niemal rozbawiony tą nowością. – Po prostu spotkaj się ze mną.

Wybierz jakieś neutralne miejsce. Paul może przyjść z tobą, jeśli będziesz się czuła bezpieczniej. Pozwól mi się zorientować, co masz do zaoferowania w tym przetargu, a potem będziemy się dogadywać.

Jakim cudem nie docierało do niego, co mówię?

– Nie masz niczego, co bym chciała!

Głos Conleya stał się bardzo cichy.

– Owszem, mam. Mam coś, czego byś bardzo chciała.

W sposobie, jaki to powiedział, było coś, co sprawiło, że mu uwierzyłam.

Czy chodziło mu o Theo? Popatrzyłam na Paula, który miał szeroko otwarte oczy. On wiedział, o czym mówi Conley – i cokolwiek to było, było ważne. Naprawdę.

– Dragon Gate w Chinatown – powiedziałam. To było pierwsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy. – Spotkajmy się tam za godzinę. Masz przyjść osobiście i sam. Jasne? Za godzinę od... teraz. – Z tymi słowami rozłączyłam się i wyłączyłam komórkę. Nawet hakerzy Conleya nie mogli nic poradzić

na zwykły przełącznik.

Paul popatrzył na mnie.

– Nie możesz się spotkać z Conleyem.

– No co ty nie powiesz. Ale zyskałam dla nas jedną godzinę. Kiedy on pojedzie do Chinatown, możemy cię odwiedzić na lotnisko.

– Jesteś w tym dobra. – Na twarzy Paula pojawił się uśmiech. – W uciekaniu.

– Dużo ostatnio ćwiczyłam.

Siedzieliśmy koło siebie w pociągu, a ogromna torba Paula stała wepchnięta pomiędzy nas jak trzecia osoba. Jazda na lotnisko zabierała pół godziny, co dało nam jeszcze trochę czasu na rozmowę.

A jednak miałam tyle pytań, tyle do powiedzenia, że trudno mi było znaleźć jakiegokolwiek słowa.

W końcu zadałam najprostsze pytanie, jakie potrafiłam wymyślić.

– Dlaczego Ekwador?

– Tamten Paul układał plan, nie ja. Zakładam, że Ekwador nie ma z USA umowy o ekstradycję.

No jasne. Zniszczenie danych mamy i taty to jedno, ale kiedy Paul zaatakował także Triad, popełnił przestępstwo, którego mu nie wybaczą. Paul z tego wymiaru miał własne powody do ucieczki, więc mój Paul pilnował, by mu się to udało.

– Zawsze zostawiasz sobie wyjście awaryjne, prawda?

– Zanim wpakujesz się w kłopoty, warto się zastanowić, jak się zamierzasz z nich wydostać. – Popatrzył teraz na mnie, jego szare oczy pociemniały z napięcia. – Ty także musisz się stąd wydostać, Marguerite.

– Moment. Chcesz, żebym uciekła z tobą do Ekwadoru?

– Nie jedziesz ze mną – powiedział wprost. Chociaż nie miałam zamiaru uciekać do Ameryki Południowej, ta bezpośrednia odmowa zabolęła. Paul milczał przez chwilę. – Chodziło mi o to, że... powinnaś wracać do domu – dodał.

– Oboje wracamy teraz do domu, prawda? – Zakładałam, że Paul czeka z przeskokiem, aż ta jego wersja znajdzie się bezpiecznie na lotnisku.

Ale Paul wahał się przed odpowiedzią o sekundę za długo.

– Dokąd się teraz wybierasz?

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć.

Miałam ochotę go udusić.

– Czy trzymanie czegoś w tajemnicy okazało się przydatne w jakimkolwiek momencie w czasie tej podróży? Dlaczego nie możesz mi zaufać?

Zamknął oczy, jakby przeze mnie bolała go głowa.

– Tu nie chodzi o brak zaufania.

– No to o co chodzi? Próbowałam ci ufać... nawet wtedy, kiedy wszyscy mi to odradzali...

– Uwierzyłaś, że zabiłem Henry'ego – odparował Paul. To był mocny argument.

– To się nie liczy. Conley cię wrobił. Załatwił to tak, żeby wyglądało, jakbyś przeciął hamulce w samochodzie taty.

Paul wzruszył ramionami. Uważał, że powinnam być mądrzejsza i może miał rację.

– Przepraszam – powiedziałam cicho.

– Nie, nie musisz przeproszać. Rozumiem, że nie byłaś sobą. A Conley potrafi być przekonujący, jeśli tylko chce. – Całe ciało Paula pozostawało spięte. Jeśli nie był na mnie zły, to dlaczego...?

Och.

– W Rosji... – Nie wiedziałam, co powiedzieć, od czego zacząć. – Ty i ja... nie wiem, czy wszystko pamiętasz, czy w ogóle coś...

– Pamiętam, że uprawialiśmy seks.

Chciałam odwrócić głowę, ale czy to nie byłoby idiotyczne, gdybym teraz zaczęła się wstydzić?

Paul chyba się zorientował, że znowu był zbyt bezpośredni.

– Ja, no, pamiętam też, że zostałem ranny. Czy on przeżył?

– Nie. Ty... on... zmarł w moich ramionach.

Paul pochylił głowę, jakby przeżywał tę stratę tak samo głęboko jak ja. Może tak było.

– Przykro mi.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale postarałam się je stłumić.

– Wiem, że go kochałaś – dodał cicho. – Nie mnie.

– Może. Nie wiem – szepnęłam.

Odetchnął głęboko, prawie jakby był zdumiony. Uświadomiłam sobie, że „może” to i tak więcej, niż Paul ośmielał się marzyć. Wszystko, co zrobił, wszystko, co poświęcił i ryzykował dla mnie, zrobił to, nie spodziewając się, że zostanie w zamian pokochany.

– Marguerite...

– Nie wiem, gdzie ty się kończysz, a on zaczyna.

Pociąg zwolnił i zatrzymał się na następnej stacji, gdzie najwyraźniej połowa okolicznych mieszkańców postanowiła się dzisiaj wybrać na lotnisko. Tuziny ludzi tłoczyły się do środka razem z bagażami, więc Paul i ja zamilkliśmy, niezdolni popatrzeć sobie w oczy.

Pomyślałam o Rachmaninowie ustawionym jako dzwonek w mojej komórce. Czym Paul i ja byliśmy dla siebie w tym wymiarze? Musiało nas łączyć praktycznie to samo, skoro ta sama melodia mi o nim przypominała. Jeśli był raz jeszcze gotów poświęcić wszystko – zrujnować własne życie – aby spróbować ochronić dorobek życia moich rodziców, a także mnie...

Pociąg ruszył dalej, a pasażerowie zaczęli gadać albo słuchać muzyki. Otaczający nas gwar znowu pozwolił na chwilę prywatności. W końcu Paul powiedział:

– A co z tobą i Theo? Myślałem, że to on... cóż. Myślałem, że to jego wybrałaś.

Theo mnie obchodził. Nie dało się temu zaprzeczyć i nie dało się o tym łatwo zapomnieć. Ale cokolwiek do niego czułam – to nie było to, co czułam do Paula.

– Nie. Nie Theo.

Zakochałam się w jednym z Paulów. Zakochałam się w jego niezmiennej duszy. Czy to oznaczało, że zakochałam się we wszystkich Paulach, wszędzie?

Paul przerwał ciszę, mówił pospiesznie, jakby tłumił te słowa zbyt długo i nie mógł ich zatrzymać ani na sekundę dłużej.

– Wiem, że nie jestem... nigdy nie byłem... – Popatrzył na swoje szerokie dłonie na torbie podróжной. – Nie radzę sobie ze słowami, nigdy nie wiem, co należy powiedzieć, ponieważ jeśli chodzi o ciebie... Zawsze, kiedy rozmawiamy, mam wrażenie, że powiedziałem coś nie tak.

– Nie zawsze.

Lekko potrząsnął głową z melancholijnym uśmiechem.

– Nie jestem Paulem z Rosji. Nie potrafię mówić tak jak on. Żałuję, że tego nie umiem.

– Nie o to mi chodziło. – Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdybym była pewna, że zależało mi tylko na poruczniku Markowie. Ale od kiedy miłość była prosta? – Wtedy, kiedy patrzyłaś, jak maluję i powiedziałaś, że zawsze maluję prawdę... trafiłaś w sedno. W samo sedno.

Paul uśmiechnął się łagodniej, jakby zaczynał mi wierzyć.

– Powiedziałaś, że nie wiesz, gdzie kończy się porucznik Markov, a zaczynam ja.

Skinęłam głową, objęłam się ramionami i skuliłam na siedzeniu.

– Pamiętam, że byłem częścią niego – mówił cicho i miękko. Popatrzyłam na niego. Jednocześnie trudno mi było spojrzeć mu w oczy i miałam wrażenie, że nigdy nie odwrócę wzroku. – Wiem, że obu nam podobało się to, jak potrafisz dostrzegać piękno w każdym człowieku. W każdej chwili. On żałował, że nie potrafi być tak dowcipny i tak wymowny jak ty, i ja tak samo. Obaj marzyliśmy o tym, że cię całujemy. Żaden z nas nie przypuszczał, że może mieć jakiegokolwiek szanse u kogoś tak niezwykłego jak ty. Obaj zrobilibyśmy wszystko, oddalibyśmy wszystko, żebyś była bezpieczna.

Nic już nie widziałam przez łzy. Paul zauważył to na pewno i zawahał się – jakby czuł się winny, że mnie wytrącił z równowagi. Ale mówił dalej.

– Porucznik Markov i ja nie jesteśmy tym samym człowiekiem – powiedział. – Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Ale nie jesteśmy także całkowicie różni. Najbardziej podobne było w nas to, co czuliśmy do ciebie.

Pociąg zatrząsał się i zatrzymał na końcowej stacji przy lotnisku. Podróżni zaczęli wynosić bagaże, więc otarłam policzki i pomogłam Paulowi wydostać się z ogromną torbą z wagonu. Jednak zamiast pójść za tłumem, Paul zatrzymał się na słabo oświetlonym peronie, a ja wiedziałam, że chce się ze mną pożegnać w samotności.

Kiedy tylko pozostali pasażerowie się oddalili, powiedziałam:

– Paul...

– Kocham cię.

Westchnęłam. Nie z zaskoczenia, bo teraz już wiedziałam, byłam tego pewna tak, jak niczego na świecie. Ale mimo wszystko czułam się, jakby unosila mnie bystra rzeka w stronę spadającego z rykiem wodospadu.

Mówił dalej, jakby się obawiał mojej reakcji.

– Powiedziałem sobie, że to bez znaczenia, jeśli nigdy nie będę z tobą. Wystarczy, że będę cię kochać. Kiedy znalazłaś się w niebezpieczeństwie, musiałem temu zaradzić. Nie jesteś mi nic za to winna. Nie musisz mówić... udawać...

Wyciągnęłam rękę i przycisnęłam palce do jego ust. Byłam przytłoczona,, ale musiałam go dotknąć. Musiałam wiedzieć.

Paul odetchnął głęboko, jak porażony. Przyciągnął mnie do siebie, jego

szeroka dłoń objęła mój policzek, jakbym była czymś kruchym i delikatnym. Jak małą gołąbkę. Paul powoli pochylił się do mnie, musnął wargami moje skronie, policzki, kącik moich ust. Wciągnęłam w płuca zapach jego skóry i zacisnęłam palce na jego przedramionach, prowadząc go ostrożnie, ostrożnie w dół.

Oczywiście zawsze wiedziałam, że Paul jest wysokim mężczyzną, o wiele wyższym ode mnie, a jednak nigdy nie uświadamiałam sobie, jak potrafi się wokół mnie owinać. Jak potrafi zamknąć mnie w ciemności i stać się dla mnie całym światem.

Pierwszym pocałunkiem musnął moją kość policzkową. Dotyk był miękki, niemal niepewny, ale siła towarzyszących mu uczuć obezwładniła mnie skuteczniej niż przemoc fizyczna. Odchyliłam głowę do tyłu, a Paul odpowiedział na to zaproszenie, całując moją szyję, a potem znajdując punkt, w którym puls był najmocniej wyczuwalny. Kiedy przytulił mnie do siebie, poczułam, że jego serce bije równie szybko. Oboje się baliśmy, a jednak żadne z nas nie chciało się odsunąć.

Paul musnął zębami moje gardło, a cienka granica między bólem i przyjemnością sprawiła, że wydałam cichy okrzyk, zanim uciszył mnie pocałunkiem.

Nasze usta rozchyliły się. Poczułam, że jego język musnął mój, kiedy spijaliśmy nawzajem swój oddech.

Świat stanął na głowie. Ścisnęłam jego T-shirt dłońmi zwijającymi się w pięści. Jego szerokie dłonie objęły mnie w talii, a ja potrafiłam myśleć tylko o tym, że to jest cudowne, absolutnie cudowne, zupełnie jak...

Zupełnie jak wtedy, kiedy tamten Paul całował mnie w Rosji.

To powinno dodać mi pewności, ale tylko mnie przeraziło. Mężczyzna, którego kochałam, zmarł dwa dni temu, a ja teraz byłam w ramionach kogoś innego – chociaż nawet nie wiedziałam, czy można go było nazwać „kimś innym”...

Odwróciłam głowę, przerywając pocałunek.

– Przestań – szepnęłam. – Przestań, proszę.

Paul przerwał natychmiast, ale nadal mnie obejmował.

– Marguerite? Co zrobiłem nie tak?

– Nic. – Głos mi zadrżał. – Czuję się, jakbym była niewierna. Co jest zupełnie chore, ale nie chcę... nie mogę.

– Dobrze. Wszystko dobrze. – Paul przyciągnął mnie bliżej, ale nie

z namiętnością. Pogładził mnie po plecach, powoli i delikatnie, pocieszając mnie, gdy walczyłam ze łzami i myślałam o Paulu, którego straciłam.

Czy teraz go zdradzałam? Czy też byłam głupia, ponieważ mężczyzna, którego kochałam, praktycznie wrócił do życia, a ja nie potrafiłam na nowo go pokochać?

– To nie jest chore – mruknął Paul. – Ta sytuacja... trudno zgadnąć, co należy myśleć. Co należy czuć.

Skinęłam głową. Jego wargi dotknęły moich włosów zbyt lekko, by nazwać to pocałunkiem. Nadal gładził mnie po plecach.

W tym momencie usłyszeliśmy statyczny szum krótkofalówki – co oznaczało policję.

Oboje zeszywnieliśmy w tym samym momencie i przyłgnęliśmy do siebie, gdy na peron weszła policjantka. Jeśli zauważyła, że się całujemy, nie okazała tego w żaden sposób. To był tylko rutynowy patrol... Miałam taką nadzieję.

– Oni nas nie szukają. Dlaczego by mieli?

– Conley mógł zmusić Theo, by zgłosił kradzież samochodu. Mógł się nawet upierać, że cię porwałem. Zrobiłby wszystko, żeby mieć cię znowu w swoim zasięgu. Teraz już pewnie się zorientował, że nie jedziesz do Dragon Gate.

Paul miał rację. Nie mieliśmy więcej czasu do stracenia.

– Ten Paul musi uciekać – powiedziałam. – Musisz stąd zniknąć.

– Fakt. Jasne. – Zawahał się jeszcze na moment. Wiedziała, że chciał mnie pocałować, ale nie byłam pewna, czy sama tego chce. Nie zrobił tego.

Przez chwilę doprowadzaliśmy się do porządku – ja odgarniałam włosy z twarzy, Paul poprawiał T-shirt. Na policzku miał smugę ciemnoróżowej szminki, więc wyciągnęłam rękę, by wytrzeć ją kciukiem. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, gdy go dotknęłam.

Ale jego uśmiech szybko zniknął.

– Wracaj do domu – powiedział. – Powiedz Sophii, co się dzieje, i czekaj na mnie.

Byłam tak przytłoczona tym wszystkim, że prawie zapomniałam o tym, co nadal przede mną ukrywał.

– Powiem mamie, co się dzieje, kiedy tylko sama będę wiedziała. Powiedz mi, dokąd się wybierasz.

– Jeszcze nie teraz.

– Przecież znalazłeś właściwy wymiar! Masz wszystkie te dodatkowe informacje o Triadzie i Conleyu! Co jeszcze masz do zrobienia?

– Kiedy przeglądałem tutejsze informacje Triadu, znalazłem... coś, co muszę sprawdzić. Niech to ci wystarczy.

Nie wiem, czy to możliwe, w niecałą minutę przejść od całowania się z kimś do chęci trzepnięcia go bardzo mocno w głowę, ale właśnie to przeżywałam.

– Nadal masz przede mną tajemnice. Nadal.

– Marguerite...

– Dość tych sekretów! Nie wiem, o ile bardziej muszą się sprawy spieszyć, zanim to w końcu zrozumiesz.

– Posłuchaj, proszę – Paul wziął mnie za rękę i pochylił się do mnie. Nie patrzył na mnie jak facet, który się chce wykręcić. Był zdecydowany, silny i niemal irytująco pewny siebie. – Wiem, że popełniłem błędy, ukrywałem przed tobą tak wiele, ale tu chodzi o coś innego. Jeśli teraz powiem ci, o czym myślę, i okaże się, że się pomyliłem, to będzie straszne. Nawet jeszcze gorsze. Zraniłbym cię w niewyobrażalny sposób.

O czym on mówił? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Jak ogromne były zbrodnie Triadu?

Palce Paula zacisnęły się na moich palcach.

– Wiem, że musisz bardzo wiele przyjmować na wiarę. Nie masz nawet pojęcia, ile to dla mnie znaczy, że zaczęłaś mi znowu ufać. Że nadal we mnie wierzysz. Ale chciałbym, żebyś we mnie wierzyła jeszcze przez jakiś czas.

Nie potrafiłam wyrazić, jak bardzo mam dość trzymania mnie w niewiedzy. A jednak, na przekór wszystkiemu, ufałam mu.

– Dobrze. Niech będzie. Zgoda. – Wierzyłam w Paula, ale to nie znaczyło, że musiałam robić, co mi powie. – Nie musisz niczego wyjaśniać, jeśli to takie ważne, ale idę z tobą.

Paul obrócił moją dłoń w swojej i musnął ją kciukiem.

– Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, że jesteś bezpieczna.

Tu nie chodzi o to, co ty czujesz – miałam ochotę powiedzieć, ale wiedziałam, że Paul przez ostatnie tygodnie przeszedł tak samo wiele, jak ja. Oboje byliśmy doprowadzeni do ostateczności, dlatego musieliśmy się trzymać i patrzeć jasno na świat.

– Wyatt Conley ściga mnie w różnych wymiarach, prawda? To znaczy, że najbezpieczniejsza będę z tobą.

– Jesteś skrajnie uparta.

– Chyba powinieneś już do tego przywyknąć.

Uśmiechnął się wbrew sobie. Ten uśmiech... w niczym nie przypominał Paula z Rosji. Należał tylko do tego Paula, a jednak sprawił, że cała się rozpromieniłam w środku.

– Ruszajmy – powiedział Paul. Sięgnęłam do Firebirda, ale zatrzymał mnie.
– Jeszcze nie. Podejdę na lotnisko i odbiorę kartę pokładową, zanim przeskoczę. Inaczej tamten Paul może się nie zorientować w porę, co się dzieje.

– Dobrze. Poczekać piętnaście minut?

– Piętnaście minut, a potem przeskocz za mną.

Równie dobrze mogłam zostać na stacji. Skoro już zaciągnęłam tę wersję Marguerite na drugi koniec San Francisco, mogłam jej przynajmniej ułatwić powrót do domu. Przez chwilę zastanawiałam się nad wysłaniem SMS-a do Theo, żeby dać mu znać, co się dzieje, ale to nie było konieczne. Jego Firebird zawiadomi go, że Paul i ja przeskoczyliśmy dalej, a wtedy Theo na pewno pójdzie w nasze ślady.

Czyli wszystko było ustalone. A jednak jeszcze przez chwilę staliśmy z Paulem w półmroku, przyłoczeni nową wiedzą o nas samych, a także świadomością, że za pięć minut znowu możemy się znaleźć na przeciwnych końcach świata.

Paul poprawił torbę na ramieniu i popatrzył mi w oczy.

– Wszystko w porządku?

– Na tyle, na ile to na razie możliwe. Po prostu... uważaj na siebie.

Skinął głową. Nawet taki drobiazg jak to, że powiedziałam mu, żeby uważał, był dla niego promykiem nadziei. Powodem, żeby się nie poddawać. Chciałabym mu powiedzieć, że te nadzieje mogą się spełnić. Chciałabym wiedzieć, czy to możliwe.

Paul odwrócił się i odszedł, prosto do przejścia na lotnisko. Ale zanim zniknął mi z oczu, po raz ostatni obejrzał się przez ramię.

Znajdziemy się nawzajem – powiedziałam sobie, kiedy zniknął. – *Zawsze się znajdujemy.*

Wzięłam Firebirda do ręki i zaczęłam odliczać sekundy do chwili, gdy będę mogła za nim podążyć.

Rozdział dwudziesty czwarty

Tym razem, kiedy wpadłam w następną wersję siebie, obudziłam się przy tym. Czułam się, jakbym właśnie została rzucona na łóżko. Otumaniona, podniosłam się na łokciach, żeby się rozejrzeć. Chociaż sypialnia była znacznie mniejsza od tej w domu, wyraźnie należała do mnie – na najbliższej ścianie wisiały obrazy, a na stoliku przy łóżku zobaczyłam apaszkę w kolorowe wzory, która wyglądała jak coś, co mogłoby należeć do mnie.

Sądząc po ciemności w pokoju, był środek nocy, więc zaczęłam się zastanawiać, gdzie jestem. Firebird pozwalał podróżować poprzez wymiary, ale nie w czasie. Skoro wyszłam z domu w Kalifornii trochę po lunchu, musiałam znajdować się po drugiej stronie kuli ziemskiej, w miejscu, gdzie jest albo bardzo późno, albo bardzo wcześnie.

Trzy portrety na ścianie były doskonale znajome: z płótna patrzyli na mnie mama, tata i Josie. Dopóki byliśmy razem, ten wymiar powinien się okazać znośny.

Ale portrety trochę się różniły – mama miała krótsze włosy, a Josie związane z tyłu. Tata wydawał się bardziej skoncentrowany, mniej nieobecny duchem. Zmieniła się także używana przeze mnie technika, nakładałam farbę znacznie grubiej, bardziej w stylu kojarzącym się z impresjonizmem. To był styl odmienny zarówno od mojego zwykłego fotorealizmu, jak i delikatnych, szczegółowych szkiców wielkiej księżnej Margarity. Kiedy przesunęłam palcem po portrecie Josie, poczułam pod opuszką grube zmarszczki i zawijasy zaschniętej farby.

Na stoliku rozległ się dźwięk budzika – jakiejś popowej piosenki, której nie rozpoznawałam. Wyłączyłam go i ze zmarszczonymi brwiami spojrzałam na zegar. Była siódma rano, nawet w zimie o tej porze spodziewałabym się więcej światła. Przypomniałam sobie Rosję i Sankt Petersburg, gdzie w grudniu robiło się jasno dosłownie na parę godzin. Czy tutaj także mieszkamy na dalekiej północy?

Wstałam z łóżka i podeszłam do jednego z ciemnych okien w dziwnie zakrzywionym kształcie, z nadzieją, że dowiem się czegoś o moim nowym otoczeniu. Kiedy wyjrzałam, początkowo nie zobaczyłam nic – a potem obok przepłynęła ławica tropikalnych rybek.

Na zewnątrz było ciemno, ponieważ znajdowaliśmy się pod wodą.
To było coś nowego.

Moim domem okazała się stacja oceanograficzna „Salacja”, zlokalizowana w samym sercu Morza Koralowego. „Salacja” była jednym z najbardziej zaawansowanych technologicznie obiektów tego rodzaju na świecie i właśnie dlatego jej kierownikiem był wybitny oceanograf, profesor Henry Caine.

Szybki przegląd internetu ujawnił, że w tym wymiarze poziom morza podniósł się znacznie bardziej i szybciej niż w moim świecie – przypominał najczarniejsze scenariusze zmian klimatu za sto lat. Czy to z powodu większego zanieczyszczenia? Innych zjawisk? Możecie mi wierzyć lub nie, ale politycy nadal spierali się o to na planecie, której kontynenty miały teraz zupełnie inny kształt, niż pamiętałam. Podczas gdy trwały spory o przyczyny takiego stanu rzeczy, ludzkość musiała znaleźć nowe sposoby na życie. Znakomita większość światowej populacji nadal zamieszkiwała lądy, chociaż niektóre z nowych miast nie istniały w moim wymiarze, a inne stały się częściowo nawodne. (Nowy Jork przypominał teraz Wenecję.) Ale coraz większa liczba ludzi wybierała życie na morzu, na ogromnych statkach będących jednocześnie miastami albo w stacjach badawczych, takich jak ta.

W tym świecie oceanografia była najważniejszą dziedziną badań naukowych. Procesy życiowe w oceanach; żelazo, tlen i poziom zanieczyszczenia wody; zachowanie nowych nieprzewidywalnych przyplływów i tak zwanych fal wyjątkowych – tych informacji ludzie potrzebowali do stworzenia nowego społeczeństwa, przynajmniej częściowo morskiego. Dlatego tata nigdy nie odszedł od oceanografii, by zająć się badaniami mamy. W tym świecie mama także poświęciła się oceanografii i spotkali się jako pracownicy naukowcy statku badawczego. (Przynajmniej tak twierdziły wpisy w Wikipedii – moi rodzice nie byli tutaj aż tak znani, jak w domu, ale mimo wszystko dorobili się własnych haseł.) Od pięciu lat przebywaliśmy w „Salacji”. Dla mnie była ona domem.

Ale w stacji oceanograficznej nikt nie siedzi beczynnie, nawet dzieciaki. Wszyscy, którzy tu mieszkają, muszą ciężko pracować, co odkryłam, gdy mój komputer wyświetlił GRAFIK DZIENNYCH ZADAŃ.

Dlatego właśnie przed śniadaniem musiałam przeczłogać się przez jeden z pionów technicznych, żeby manualnie sprawdzić czujniki wiatrowe (cokolwiek by to miało znaczyć). Wspinając się, mając za przeczłoga

ścianą wodę, która z niemal czarnej zrobiła się przejrzyste błękitna, a potem została zastąpiona przez światło dnia. Widok oceanu rozciągającego się po horyzont w każdym kierunku zaparł mi dech w piersiach. Światło odbijające się od fal z każdą sekundą zmieniało natężenie i głębię, a efekt był oszałamiający.

Czy ta inna Marguerite nadal widziała, jakie to wszystko niezwykle jest, mimo że otaczało ją każdego dnia? Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że na pewno, jeśli tylko mamy ze sobą coś wspólnego.

W dzinsach i T-shircie wyszłam na zewnętrzną platformę – wykonaną z metalu z wrytymi rowkami, żeby zapewnić dodatkową przyczepność, kiedy będzie mokro, czyli zawsze. Wszystko pachniało solą i słońcem. Morska bryza potargała mi włosy i natychmiast zrozumiałam, dlaczego Josie i mama noszą tu inne fryzury. Pospiesznie spięłam włosy w nieporządny koński ogon.

– Nie spieszyłaś się! – usłyszałam z drugiej strony platformy.

Podniosłam głowę i zobaczyłam Josie zeskrobującą glony z czegoś tuż nad powierzchnią wody. Musiała tu przyjść sporo przede mną, ale w dowolnym wszechświecie umiałam sobie radzić z jej zaczepkami. Z uśmiechem pokazałam jej nieprzyzwoity gest, a potem wspięłam się po metalowej drabince do czujników wiatru.

Nie przepadałam za wysokością. Nie miałam żadnych lęków ani nic takiego, ale gdy Paul opowiadał o wspinaczce skałkowej, nie potrafiłam uwierzyć, że ktoś może coś takiego robić dla przyjemności. Dlatego kiedy wspinałam się po drabinie, musiałam się napominać, że dla tej Marguerite włożenie na wysokość piętnastu metrów to nic takiego.

Masz okute buciory z takim wibramem, że możesz w nim zaklinować szczebel drabiny! – besztалаm siebie i starałam się zachować pogodę ducha w miarę, jak znajdowałam się coraz wyżej i wyżej. – *Masz uprząż asekuracyjną i prawie 85% pewności, że zapięłaś ją prawidłowo! Nie ma się czego bać!*

Przynajmniej z każdym krokiem miałam coraz lepszy widok na otaczający nas ocean. Powierzchnia „Salacji” wyglądała jak gigantyczny labirynt dla chomika – olbrzymie metalowe rury połączone platformami. A jednak dla tej Marguerite to miejsce było domem.

Kiedy sprawdzałam kolejno każdy czujnik, musiałam się skoncentrować na instrukcjach, które przeczytałam wcześniej w pokoju. W zasadzie miałam sprawdzić, czy wszystko wygląda jak trzeba i... chyba wyglądało?

Wszystko to nie wystarczało, by uciszyć mój głęboko ukryty lęk, powtarzające się słowa:

Ja. Triadowi chodzi o mnie.

Chociaż rodziny jadły obiad w swoich kwaterach, śniadanie i lunch podawano, jak się okazało, w stołówce. Nie przypominała ona jednak niczego, co do tej pory widziałam. Znajdowała się pod poziomem wody, ale blisko powierzchni, więc ogromne łukowate okna wpuszczały mnóstwo światła przefiltrowanego przez błękitną wodę. Ludzie witali się ze znajomymi i zajmowali miejsca przy okrągłych stołach; siedziały przy nich całe rodziny, od małych dzieci do czasem mocno już starszych państwa. Chociaż była to czynna stacja badawcza, wyraźnie znajdowali się na niej nie tylko pracownicy naukowcy – to było w połowie laboratorium, a w połowie małe miasteczko.

Kiedy wszedł tata, nikt nie stanął na baczność ani nic takiego. Ludzie zauważyli, że przyszedł szef, ale tylko się uśmiechnęli. Tata zatrzymywał się przy każdym stoliku, żeby porozmawiać z pracownikami i zapytać, co słychać. Dziwnie było go widzieć na kierowniczym stanowisku, a jednak nie byłam zaskoczona tym, że świetnie się w tej roli sprawdzał. Obserwowałam go z drugiego końca sali, gdzie stałam z tacą w rękach. Do tej pory nauczyłam się już znosić to dziwne, dojmujące uczucie tęsknoty za ojcem, który nie odszedł jeszcze tak do końca.

– Dzień dobry, Marguerite. – Mama pocałowała mnie w policzek i usiadła.
– Wszystko w porządku?

Uświadomiłam sobie, że od dłuższej chwili stoję nieruchomo z tacą.

– A, tak. Jasne.

Kiedy zajęliśmy miejsca, dołączyła do nas Josie.

– Mamo, co zapowiadali w serwisie meteorologicznym? – zapytała.

– Wieczorem zacnie trochę kołysać, ale właściwy front burzowy powinien przyjść dopiero jutro w porze lunchu. – Mama napiła się herbaty i całkowicie zignorowała ogromną płaszczkę, przepływającą za oknem. – Należy się spodziewać przerw w łączności.

Josie skrzywiła się.

– Dobrze, że już ściągnęłam tę relację z zawodów surfingowych.

Dlaczego nie wracaliśmy na ląd, skoro zbliżał się niebezpieczny sztorm? Przypomniałam sobie jednak, co przeczytałam wcześniej o „Salacji” –

a dokładniej o tym, gdzie się znajdujemy. Od najbliższego lądu (Nowej Zelandii lub Nowej Gwinei) dzieliło nas kilka godzin lotu samolotem. Dlatego musieliśmy przeczekać nadchodzące sztormy. „Salacja” została skonstruowana tak, by wytrzymać pogodę. Tak przynajmniej z nadzieją zakładałam. Ale jeśli wierzyć temu, co powiedziała mama, mogliśmy na wiele godzin, albo nawet dni, stracić łączność ze światem.

Zaraz. Została mi dosłownie chwila, żeby skontaktować się ze światem zewnętrznym?

– Wiecie co, nie jestem głodna – powiedziałam i wepchnęłam w siebie kilka kęsów tosta. – Wrócę na trochę do kabiny, dobrze?

Mama rzuciła mi charakterystyczne spojrzenie, mówiące: *Coś się dzieje, obie to wiemy, ale na razie dam ci spokój.*

– Pospiesz się. Nie zapominaj, że masz dzisiaj duży sprawdzian.

Duży sprawdzian? Szlag. Najwyraźniej ferie świąteczne na stacji badawczej trwały wyjątkowo krótko. Ale to było najmniejsze z moich zmartwień.

Raz jeszcze popatrzyłam na tatę, wyszłam ze stołówki i skierowałam się na poziom mieszkalny stacji. Byłam prawie pewna, że pamiętam, dokąd iść. Chociaż mój tata był tutaj szefem, nasza kwatery była dokładnie taka sama jak wszystkie – małe sypialnie i połączenie pokoju dziennego z kuchnią, wystarczająco duże, żeby się wygodnie pomieścić – i ani o centymetr kwadratowy nie większe. Szczerze mówiąc, poza tym, że znajdowaliśmy się pod wodą, nasz dom wyglądał całkiem zwyczajnie. W lodówce stały puszki coli, a pod drzwiami, jak zawsze, leżały klapki Josie.

Wyjęłam tablet, żeby zacząć poszukiwania, ale znieruchomiałam i przyjrzałam mu się uważnie. Miał logo ConTechu... czyli korporacji należącej do Wyatta Conleya w wymiarze londyńskim. Najwyraźniej ta sama firma działała w tym wymiarze. Jak daleko sięgały jego wpływy?

Na pewno nie aż na Morze Koralowe. Napięcie ściskające moją klatkę piersiową lekko zelżało, kiedy uświadomiłam sobie, że Conley nie dopadnie mnie tak łatwo – nie tutaj.

Czy dlatego Paul wybrał ten wymiar? Ponieważ Conley nie stanowi tu zagrożenia? Tutaj naukowcy poświęcali całą energię na przystosowanie ludzkości do życia na wodzie i pod wodą. To oznaczało, że mama nie wynalazła technologii Firebirdów – czyli Conley nie miałby powodów, żeby tutaj podróżować.

A jednak ta odpowiedź nie do końca mi pasowała.

Cele Paula pozostawały irytująco nieprzejryste. Cokolwiek go tu sprowadziło, do tego wymiaru – najwyraźniej było zbyt ważne, żeby o tym powiedział.

Postanowiłam zaufać Paulowi, ale to nie sprawiało, że łatwiej mi było obchodzić się bez odpowiedzi.

Jak dotąd Wi-Fi na stacji działało bez zarzutu. Wpisałam w wyszukiwarkę „Paul Markov, fizyk”... A potem skasowałam i zastąpiłam to: „Paul Markov, oceanograf”. To była dziedzina, którą zajmowali się najwybitniejsi i najbardziej obiecujący naukowcy.

Okazało się, że Paul gromadzi materiały do pracy doktorskiej na statku zbierającym głębinowe próbki na Oceanie Spokojnym, ale nie znalazłam jego dokładnej lokalizacji. Mogło go ode mnie dzielić kilka godzin, ale równie dobrze mógł być po drugiej stronie globu. Spróbowałam wywołać jego konto, ale widocznie nie było go przy komputerze. Dotknęłam ekranu, żeby nagrać wiadomość wideo.

– Cześć, Paul, to ja. To znaczy, to naprawdę ja. – Zaczepiłam palcem o łańcuszek Firebirda, żeby mógł go zobaczyć. – Jestem tu bezpieczna i z rodziną, więc... nie musisz się o mnie martwić. Wygląda na to, że u ciebie też wszystko w porządku. Nie wiem tylko, jak długo będę miała dostęp do internetu. Zadzwoń, kiedy tylko odbierzesz tę wiadomość, dobrze?

Miałam nadzieję, że Paul zobaczy to świeżo po użyciu przypomnienia. Inaczej będzie śmiertelnie zdumiony.

Theo studiował w Australii, w Nowym Perth, nadmorskim mieście położonym kilkaset kilometrów w głąb kontynentu w porównaniu do miejsca, gdzie dawniej znajdowało się Perth. Zadzwoiłam także do niego, a chociaż musiało tam być nad ranem, odebrał niemal natychmiast. Jego twarz pojawiła się na ekranie – z potarganymi włosami i wyraźnym zarostem – i natychmiast powiedział:

– Ukradłaś mój samochód!

– Mnie też miło cię widzieć. – Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Co to miało znaczyć, do cholery?! Ja tu opowiadam Conleyowi, jaką jesteś świetną dziewczyną, a ty wyjeżdżasz z piskiem opon z parkingu. – Theo wyglądał na wściekłego i wiedziałam, że nie chodzi mu o samochód. – Nie mów mi, że pojechałaś się spotkać z Paulem.

– Pojechałam spotkać się z Paulem.

– Jezu...

– Nie miałaś racji, Theo. W końcu mi wyjaśnił, o co chodzi z Conleyem i...

– Nie mogłam się zmusić, żeby dokończyć „ze mną”. Powiedzenie na głos, że jestem prawdziwym celem Conleya sprawiłoby, że to stałoby się zbyt rzeczywiste. – To skomplikowane. Będzie lepiej, gdybym mogła opowiedzieć ci o tym osobiście. Myślisz, że mógłbyś się tu dostać? To nie tak daleko.

– To są tysiące kilometrów, Meg. Powinnaś sobie odświeżyć wiedzę geograficzną. – Theo odchylił się do tyłu i uderzył głową o ścianę. Na pogniecionym T-shircie znowu miał zdjęcie The Gears, najwidoczniej Beatlesi nie spotkali się także w tym wymiarze. – Ale tak, mogę do ciebie przyjechać. Wygląda na to, że stacje badawcze i instytuty oceanograficzne w tym wymiarze bardzo ściśle ze sobą współpracują. Jeśli skontaktuję się radiowo, powiem, że jestem w trakcie rejsu lub lotu obserwacyjnego i potrzebuję odpoczynku, wpuszczą mnie na pokład. Teraz muszę tylko znaleźć coś odpowiedniego.

Jeśli ktokolwiek był dostatecznie pomysłowy, żeby jakoś to załatwić, to właśnie Theo. Uśmiechnęłam się do niego.

– Fantastycznie.

– Czy Paul jest tam z tobą? – zapytał wprost Theo.

– Nie. Jest na statku badawczym. – Po raz pierwszy to ja miałam więcej informacji od Theo i widziałam, że mu się to nie podoba. Ale nie dziwiłam się, że tak niecierpliwie mnie wypytywał. Chociaż zgodziłam się jeszcze na jakiś czas zaufać Paulowi, nie mogłam się doczekać, kiedy się dowiem, co właściwie się dzieje.

Theo odezwał się łagodniejszym tonem:

– Jeśli do ciebie zadzwoni albo jeśli się pojawi... posłuchaj, ja wiem, że twoim zdaniem Paul jest niewinny, ale czy możesz zachować podstawowe środki ostrożności, dopóki do ciebie nie przyjadę? Wykazać zdrowy sceptycyzm?

– Co takiego twoim zdaniem miałby teraz zrobić Paul? Gdyby chciał mnie skrzywdzić, miał już okazję.

– Zdążył już skrzywdzić nas wszystkich. – Sposób, w jaki to powiedział, obudził we mnie żal po stracie taty, z jakichś powodów silniejszy teraz, gdy dzieliłam go z kimś innym. Dotknęłam palcami tabletu, a Theo dotknął swojego tak, że nasze palce spotkały się na ekranie. – Ja tylko troszcę się o ciebie. Próbuję się tobą opiekować. Dlaczego tego nie rozumiesz?

Chciałbym cię jakoś przekonać, chociaż raz.

– Theo...

Nie pozwolił mi dokończyć.

– No dobrze, Meg. Do zobaczenia wkrótce.

Obraz zniknął, a ja przez chwilę siedziałam bez ruchu, dotykając ciemnego ekranu, i zastanawiałam się, czy złamałam Theo serce.

Przetrwałam dzień tej Marguerite, na szczęście całkiem przyjemny. Tutaj chodziłam do szkoły – ale to nie było ogromne, nudne zbiorowisko hermetycznych grup towarzyskich, jakie widywałam w telewizji. Tutaj na szkołę składało się około pięćdziesięcioro dzieciaków, w wieku od przedszkolnego do mojego, a zajęcia były bardzo nieformalne i swobodne. Okazało się, że ten „wielki sprawdzian” był z francuskiego – całe szczęście, że dopiero co uczyłam się o Moliere przez trzy tygodnie w Rosji. Z łatwością pisałam akapit na temat *Świętoszka* i jednocześnie myślałam sobie, że chociaż pożyczam ciało tej Marguerite, tym razem przynajmniej odwdzięczam się jej za przysługę.

Pomyślałam o Paulu. Potrzeba informacji, co się z nim dzieje, co robi, dlaczego tu jest, wypalała mnie od środka uparcie jak pochodnia. Jeśli tylko miałam wolną chwilę, włączałam tablet, żeby sprawdzić, czy się odezwał. Ale jeszcze przed lunchem zaczęły się przerwy w łączności. Odpowiadały mi tylko pociemniały ekran i statyczny szum.

Na obiad był jakiś kawałek kurczaka z woreczka próżniowego oraz warzywa, które zmartwychwstały z zamrażarki w stanie poważnego rozmiękczenia. Tutaj prawdopodobnie nie można było liczyć na świeże produkty spożywcze poza rybami i owocami morza. Ja nie miałabym nic przeciwko nim, ale podejrzewałam, że reszta mojej rodziny po kilku latach w „Salacji” nie może już na nie patrzeć.

Jednak nie przejmowałam się niesmacznym posiłkiem. Byliśmy razem – ja, Josie, mama i tata. W moim wymiarze uważałam to za rzecz oczywistą, dopóki nie zostałam tego pozbawiona, dlatego nie popełniałam po raz drugi tego samego błędu. Od tej pory byłam doskonale świadoma tego, że każda chwila spędzona z tatą może być ostatnią.

– Udało nam się pobrać połowę pakietu danych, zanim siadła łączność – powiedziała mama i nałała sobie herbaty. – A prognozy są coraz gorsze.

– Już huśta jak w hamaku – oznajmił pogodnie tata.

– Dlatego właśnie ty jesteś tu szefem. – Josie potrząsnęła głową. – Tylko ty jesteś takim dziwakiem, żeby lubić sztorm na morzu.

Uśmiechnął się z autentyczną dumą.

– Jeśli chodzi o dziwactwa, przyznaję się do winy.

Skoro już o tym wspomniał, to rzeczywiście, podłoga kołysała się lekko. Uświadomiłam sobie, że „Salacja” musiała zostać zbudowana w taki sposób, by do pewnego stopnia poddawać się falom i prądom, zamiast cały czas im się opierać. W normalnych okolicznościach zostałamby powalona przez chorobę morską, ale ta Marguerite całe lata temu musiała przywyknąć do takiego życia.

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo cicho – zauważyła mama. – Na pewno dobrze się czujesz? Cały dzień byłaś troszkę nieswoja. – Grzbietem dłoni dotknęła mojego czoła, sprawdzając temperaturę, jakbym nadal miała pięć lat.

– Muszę tylko pomyśleć. To wszystko.

Tęskniłam za prawdziwą mamą, która została w domu. Poczułam gułę w gardle, ale udało mi się opanować. Nie chciałam psuć tego wieczoru.

Kiedy zjedliśmy, Josie zapytała, czy mam ochotę razem z nią obejrzeć zawody w surfowaniu. Trudno mi było uwierzyć, żebym w tym wymiarze interesowała się surfingiem bardziej niż w domu – czyli wcale – ale każde zajęcie było teraz pożądane. Dlatego usiadłam koło niej na kanapie, podczas kiedy tata zabrał się za naczynia, ale kiedy zaczął nucić, znowu musiałam całym wysiłkiem woli powstrzymać łzy.

Josie popatrzyła na mnie i zmrużyła oczy.

– Mama ma rację. Jesteś dzisiaj bardziej dziwna niż zwykle.

– Ha, ha. – Odgarnęłam włosy z twarzy i starałam się zachowywać normalnie. W tym momencie przypomniałam sobie nadruk na T-shircie Theo: The Gears.

Mój mózg pracował na pełnych obrotach, porównując informacje z różnych wymiarów.

Beatlesi nigdy tutaj nie zaistnieli. Do zespołu The Gears należeli Paul McCartney i George Harrison – ale nie John Lennon. To właśnie John Lennon napisał *In My Life* dla Beatlesów, byłam tego pewna. Ta piosenka nie istniała w tym wymiarze.

Więc jakim cudem tata ją nucił?

Przypomniałam sobie, co Paul powiedział mi w San Francisco. Znalazł wymiar, z którego szpiegowano nasz świat, i zdobył dowody na to, co planuje

Conley. A jednak nie chciał wracać ze mną, ponieważ dowiedział się czegoś jeszcze – czegoś ważnego. Nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi, ponieważ byłoby zbyt straszne, gdyby się mylił...

Kiedy przenosimy się do nowego wymiaru, nasze ciała w wymiarze oryginalnym „przystają być obserwowalne”. Gdy wyruszałam w podróż, policja nie wydobyła jeszcze z rzeki ciała taty. Prowadzili poszukiwania – ciągnęli sieci i wysyłali pływaczów, żeby grzebali w mule. Trudno mi było o tym myśleć, bo wyobrażenia podsuwała zbyt okropne obrazy. Jeszcze gorsza była świadomość, że mama będzie musiała zidentyfikować ciało, które kilka dni przebywało w rzece i przestało już przypominać tatę, czy też w ogóle człowieka.

A jeśli jego ciało nie zostało porwane przez nurt rzeki? Jeśli przestało być obserwowalne, ponieważ został porwany do innego wymiaru?

A jeśli tata żył? A jeśli był właśnie tutaj?

– Marguerite? – Josie dotknęła mojego czoła takim samym gestem jak wcześniej mama. – Serio wyłączasz się.

Nie chciało mi się wymyślać wymówki.

– Zaraz wracam.

Z mocno bijącym sercem przeszłam do części kuchennej, gdzie tata kończył zmywanie. Uśmiechnął się do mnie życzliwie, z lekkim roztargnieniem.

– Nie mów mi, że jesteś jeszcze głodna.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście.

– Nie tutaj. Może na korytarzu.

Mimo widocznego zdziwienia odpowiedział:

– Dobrze.

Nikt nie zwracał uwagi, kiedy wyszliśmy z naszej kwatery. Mama była w sypialni, którą dzieliła z tatą, a Josie znowu skoncentrowała się na ekranie komputera. Korytarze „Salacji” nie zapewniały pełnej prywatności, ale większość ludzi jadła o tej porze obiad, co oznaczało, że zostaliśmy z tatą sami. Jedynymi świadkami były ryby pływające za iluminatorem.

Tata nie miał na szyi Firebirda. Z drugiej strony, jeśli został porwany, ktoś go tu sprowadził, a potem go uwięził. Bez własnego Firebirda tata nie tylko nie mógłby wracać do domu, ale nie mógłby też liczyć na przypomnienia. Nie miałby pojęcia, kim jest. Mój ojciec stałby się tylko przebłyskiem wewnątrz tej wersji Henry’ego Caine’a – częścią jego podświadomości.

Tą częścią, która nadal nuciłaby piosenkę Beatlesów.

– Czy coś się stało, skarbie? – Tata zaplótł ramiona na piersi. – O co chodzi?

– Czy możesz dać mi minutkę? – Głos zaczął mi się trząść. – Dobrze?

Tata był teraz wyraźnie zaniepokojony, ale skinął głową.

Zdjęłam Firebirda z szyi i założyłam go tacie. Uniósł brew, ale zignorowałam go, ponieważ zaczęłam ustawiać przypomnienie. Upuściłam wisior na jego pierś i uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech...

– Gahhh... szlag! – Tata zatoczył się do tyłu i chwycił Firebirda. Nagle znieruchomiał. Najpierw powoli popatrzył na trzymanego w dłoni Firebirda, rozpoznając go, a potem spojrzał na mnie. – Marguerite? – zapytał ochryple. – O Boże.

To była ta sama twarz, te same oczy, ale dostrzegałam różnicę. Poznałam moją tatę.

Jednocześnie śmiałam się i płakałam, ale to nie miało znaczenia, ponieważ tata przytulał mnie, byliśmy razem, a on był żywy.

Teraz już wiedziałam, czemu Paul nas tutaj ściągnął.

Rozdział dwudziesty piąty

– Dobry Boże. – Tata przeczesał palcami włosy, zdumiony tak jak każdy, kto obudziłby się w innym wymiarze. – Ile czasu minęło?

– Prawie miesiąc. Piątego stycznia, czyli za trzy dni, będzie miesiąc.

– Uciekł mi miesiąc. Nie, nie uciekł. Pamiętam wszystko, byłem świadomy, ale to przedziwny stan umysłu, Marguerite. Tak jak czasem we śnie, kiedy jednocześnie obserwujesz wydarzenia z zewnątrz i uczestniczysz w nich. Nie przyszło mi na myśl zastanawiać się, gdzie jestem ani dlaczego.

Może ten stan oderwania od rzeczywistości był typowy dla większości podróżników międzywymiarowych.

– Teraz już wszystko pamiętasz – powiedziałam i wzięłam tatę za rękę. – A ja mam Firebirda, więc możemy ci o tym przypominać tak często, jak będzie trzeba.

Siedzieliśmy teraz w stołówce. O tak późnej porze nie było tu nikogo poza nami, a większość światła dostarczały rozmieszczone na zewnątrz reflektory, których blask wpadał przez okna. W ciemnej wodzie od czasu do czasu przepływała jakaś ryba, ale fale były wzburzone z powodu zbliżającego się sztormu. Nawet ryby szukały teraz schronienia. Mama i Josie na pewno zorientowały się, że chcemy porozmawiać z tatą w cztery oczy na jakiś temat – chociaż trudno było je obwiniać o to, że nie mogły odgadnąć, o co chodzi.

– Moja biedna, najdroższa Sophia. – Tata zamknął oczy, jakby coś go bolało. – I Josephine. Mój Boże.

– Poczuję się lepiej, jak tylko wrócisz do domu. – Uśmiechnęłam się szeroko. Dom. Mogę zabrać tatę do domu.

– Nie wiem, czy powinienem udusić Paula i Theo, czy im podziękować. Chyba jedno i drugie.

– Nie gniewaj się na nich, tato. Wykazali się niezwykłą siłą ducha i lojalnością wobec ciebie, a przy tym naprawdę się mną opiekowali. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo są niezwykli. Paulowi i Theo bardzo na tobie zależy. – Chciałam powiedzieć ojcu, co Paul i ja czujemy do siebie, ale to mogło poczekać, aż wszyscy wrócimy tam, gdzie nasze miejsce. – Czy to Conley cię porwał?

– Nie, to był ktoś inny, kogo nigdy wcześniej nie widziałem. Kobieta... –

Tata urwał, a potem potrząsnął głową. – Obawiam się, że moje wspomnienia są dość chaotyczne. Przyjechałem na uniwersytet, żeby sprawdzić, jaki czort połknął nasze dane, a kiedy wysiadłem z samochodu, ona do mnie podeszła. Pamiętam, jak pomyślałem, że to musi być nowa doktorantka albo przyszła wykładowczyni. Chyba było w niej coś zbyt wyrafinowanego jak na zwykłą studentkę. – Tata westchnął. – A potem okazało się, że jestem dwadzieścia tysięcy mil pod morzem. Zachowałem świadomość na kilka minut, ale nie miałem Firebirda. Dlatego wiedziałem, że zostałem uwięziony w tym wymiarze, być może na zawsze. To było... trudne.

Jego twarz przybrała teraz wyraz, jakiego nie widziałam od lat, od kiedy umarła babcia, a ja uświadomiłam sobie, że wspomnienie tego bezradnego lęku sprawiło, iż był bliski łez. Zapłonęła we mnie nienawiść do Wyatta Conleya, więc powiedziałam sobie, że policzymy się z nim, kiedy wrócimy. W tym momencie miał pełnię władzy, ale jego potęgą opierała się na geniuszu mojej matki i ciężkiej pracy moich rodziców. Mieliśmy Paula. Mieliśmy Theo. A jeśli ja byłam bronią ostateczną – oni mieli mnie.

Przeciwko nam wszystkim, razem, Conley był bez szans.

– To było tak, jakbym został ogłuszony – powiedział tata. – Albo oszołomiony lekami. Byłem częścią tej osoby będącej zarówno mną, jak i nie mną, nawet nie na tyle świadomy, żeby walczyć z tym stanem. Zamknięty w więzieniu doskonałym. – Odetchnął głęboko, ale kiedy na mnie spojrzał, uśmiechał się. – Dopóki nie odnalazła mnie moja dzielna dziewczynka.

Myślałam, że nigdy już nie będę tak szczęśliwa.

– Teraz musimy tylko zabrać cię do domu.

Tata nadal się uśmiechał, ale wyczuwałam w nim smutek.

– Marguerite, przecież umiesz liczyć. Jest nas dwoje, a ty masz tylko jednego Firebirda.

– Na razie – powiedziałam. – Skonstruowałeś jednego, więc możesz zrobić następnego. Paul i Theo będą ci pomagać, kiedy się tu dostaną.

– Skonstruowanie Firebirda potrwa całe miesiące... czekaj. Powiedziałaś, że Paul i Theo tu jadą?

– Theo jest już w drodze. Możliwe, że Paul też, ale przerwa w łączności trwa tak długo, że nie wiem na pewno.

– Chcą się tu dostać w czasie takiego sztormu, jak zapowiadano? To szaleństwo. – Tata westchnął. – Chociaż z drugiej strony, skakanie pomiędzy wymiarami w pogoni za martwym człowiekiem jest także

szaleństwem. Już od dawna podejrzewałem, że brakuje im którejś kłepki, ale potwierdzenie tego faktu jest mimo wszystko niepokojące.

– Widzisz? Wszystko będzie dobrze.

Tata odgarnął mi włosy z twarzy, takim samym gestem jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką, która potargała się podczas zabawy w ogrodzie.

– Surowce potrzebne do zrobienia Firebirda były bardzo trudne do zdobycia. W tym wymiarze ich pozyskanie może być niemożliwe.

– Niemożliwe? – W tym momencie domyśliłam się, o czym mówił. Jeden z metali używanych w Firebirdach można było znaleźć tylko w jednej dolinie na świecie, a pozostałe składniki były także niezwykle rzadkie. W tym wymiarze nawet odsalana woda stanowiła cenne dobro, a poszczególne kraje nie mogły się lekkomyślnie obchodzić ze swoimi zasobami naturalnymi. Zgromadzenie potrzebnych materiałów może być poważnym wyzwaniem.

– Jeśli będziesz musiała wracać beze mnie – powiedział cicho – masz powiedzieć matce, że bardzo ją kocham. Josie także. Musisz też przestrzec je przed Triadem. Skoro Conley mógł to zrobić, jest zdolny do wszystkiego.

– Przestań. Coś wymyślimy, prawda? Coś wymyślimy.

Tata w odpowiedzi tylko mnie przytulił.

Uściskałam go mocno, popatrzyłam na kłębiącą się wodę i wiedziałam, że sprowadzę mojego ojca z powrotem do domu, choćby nie wiem co.

Nawet gdybym musiała oddać mu mojego Firebirda. Nawet gdybym to ja miała tu zostać na zawsze.

Kiedy wróciliśmy do kwatery, reszta wieczoru upłynęła równie przyjemnie jak zwykle. Mama nie wypytywała o naszą rozmowę, a Josie była tak pochłonięta oglądaniem zawodów, że nie wiem, czy w ogóle zauważyła nasze wyjście. Skuliłam się koło taty na kanapie, tak jak to robiłam, kiedy byłam mała, i od nowa rozkoszowałam się tym, że wrócił.

A jednak bezustannie roztrząsałam w głowie całą tę sytuację.

Triad porwał tatę. Ale po co? Żeby mieć czym szantażować moją matkę? Nie, ponieważ wtedy powiedzieliby mamie, co zrobili, a nie pozwolili jej wierzyć, że jej mąż nie żyje.

Czy to miało być... metodą na szantażowanie mnie? Czy gdybyśmy ja i Theo nie wyruszyli wtedy w podróż, Wyatt Conley albo ktoś inny z Triadu odwiedziłby mnie i jasno dał do zrozumienia, że jeśli nie będę pracować dla nich i robić, co mi każą, mój ojciec nigdy nie wróci do domu?

Tak, zrobiliby to. Tu chodziło o mnie. Cała ta rozpacz, jaką przeżywały

mama i Josie, ból, jaki znosiliśmy Theo i ja... to było po to, żeby Triad mógł zdobyć władzę nade mną.

Ciągle nie potrafiłam w pełni przyswoić wiedzy, że to ja jestem w centrum tego wszystkiego. Najwyraźniej taka właśnie rola przypadła mi po całych latach nieuważnego słuchania z drugiego końca pokoju, jak mama, tata, Theo i Paul dyskutują o swojej fenomenalnej technologii. Nie miałam pojęcia, jak zamierzam powstrzymać Triad przed skrzywdzeniem ludzi, których kocham, lub kolejną próbą przejęcia nade mną kontroli.

Ale jeśli miałam umiejętność, jakiej potrzebował Triad, to oznaczało, że nie byłam bezbronna. I zamierzałam to wykorzystać.

Kiedy w końcu weszłam chwiejnie do swojej sypialni, byłam kompletnie wykończona. Ale nie aż tak zmęczona, by nie zauważyć migającego światła sygnalizującego, że dostałam wiadomość. Rzuciłam się do tabletu, w jednej chwili ożywiona. Łączność musiała wrócić na kilka minut, na dostatecznie długo, by Paul zdołał coś przesłać.

To była wiadomość od Paula, ale nie wideo ani nawet głosowa. Pewnie nie powinnam była się spodziewać listów miłosnych od faceta, który wolał działać, niż mówić. Przysłał mi tylko dwa słowa, ale więcej nie potrzebowałam: Już jadę.

– Załóż wodoodporne ciuchy – zawołała do mnie mama, kiedy następnego dnia rano szukałam po omacku budzika. – Sztorm trochę się uspokoił, ale tylko trochę.

Tak, nawet w tę piekielną pogodę trzeba było wykonać poranne czynności konserwacyjne. Okazało się, że „wodoodporne ciuchy” to neonowo pomarańczowa kurtka i spodnie z plastiku, w których wyglądałam wyjątkowo seksownie. Kiedy wychodziłam przez naszą kuchnię, tata przeszedł koło mnie z sennym uśmiechem i bez żadnej oznaki, że pamięta poprzedni wieczór. Znowu był tutejszym Henrym Cainem, a mój tata stał się zaledwie iskierką w jego wnętrzu, obserwującą, ale pozbawioną samoświadomości.

Mogę go ściągnąć z powrotem – przypomniałam sobie i dotknęłam Firebirda pod ubraniem na piersi. – *W każdej chwili, a niedługo już na dobre.*

– TO ma znaczyć, że sztorm się uspokoił? – zawołałam do Josie, kiedy wyszliśmy na platformę.

– Daj spokój, widywałaś gorsze! – roześmiała się Josie.

Naprawdę? Pogoda wydawała mi się koszmarna. Szarpały mną porywy wiatru, jeszcze ostrzejsze z powodu słonej morskiej wody. Workowate

ubranie łopotało i trzepotało na wietrze, a kaptur niemal od razu zwiąło mi z głowy. Wilgotne włosy jeszcze nikogo nie zabiły, ale wiatr i woda sprawiały, że było naprawdę zimno, chociaż tutaj był środek lata. Na niebie nisko wisiały szare chmury, pomarszczone w sposób, który na pewno nie zwiastował niczego dobrego.

Pospiesznie wykonałam rutynowe czynności, podwójnie wdzięczna mojej uprzejmy asekuracyjnej. Po kilku minutach byłam już na dole i właśnie skierowałam się do drzwi, kiedy usłyszałam wołanie Josie:

– Mamy gości!

Popatrzyłam w tę samą stronę, co ona, i zobaczyłam w oddali zbliżający się helikopter.

Josie dołączyła do kilku osób przygotowujących lądowisko. Ja tego nie zrobiłam. W tej sytuacji nie zamierzałam blefować i udawać, że wiem, co robię – ci ludzie potrzebowali pomocy, a nie tego, żebym coś schrzaniła. Patrzyłam jednak, jak inni przygotowywali się, żeby przypiąć helikopter linami do pokładu, gdy tylko wyląduje.

Śmigła wzbudziły jeszcze gwałtowniejszy wiatr, ale mimo to stałam i mrużyłam oczy w deszczu. Ocean wokół nas pociemniał i przybrał barwę stali. Gdy tylko helikopter wylądował, załoga stacji rzuciła się do działania i zaczęła mocować liny, zanim jeszcze śmigło przestało się obracać. Podbiegłam do drzwi od strony pilota, żeby pomóc mu wysiąść. Kiedy tylko je otworzyłam, pilot podniósł ręce i oznajmił:

– Proszę nie mieć do mnie pretensji. Ten gość uparł się, że zapłaci potrójną stawkę i lepiej, żeby się z tego wywiązał.

– Wszystko da się załatwić, stary. Wyluzuj. – Theo pochylił się koło niego i uśmiechnął się do mnie. – Wiesz, naprawdę powinniśmy przestać spotykać się w takich okolicznościach.

Dziesięć minut później, chociaż w brzuchu burczało mi z tęsknoty za śniadaniem, tkwiłam na lądowisku z Theo, wyrzucając z siebie pośpiesznie wszystko, czego się dowiedziałam. Theo tymczasem dalej próbował się ze mną kłócić.

– Coś sobie wyobraziłaś. Nic dziwnego, po takim czasie. To był najbardziej szalony miesiąc twojego życia – powiedział. Siedzieliśmy na niskich plastikowych ławkach pomiędzy szafkami z wyposażeniem. – Znam to na własnej skórze, ponieważ to był także najbardziej szalony miesiąc mojego życia, a chociaż Henry był mi bardzo bliski, nie był moim ojcem.

– Jest. – Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. – W czasie teraźniejszym. Tata jest tutaj.

Theo westchnął w ręcznik, którego używał do wytarcia mokrych włosów i twarzy.

– Nie zauważyłaś, że wszystko, co ci powiedział Paul, to dokładnie te rzeczy, które chciałaś usłyszeć?

Przechyliłam głowę i przyjrzałam mu się.

– Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że jesteś tak bardzo cyniczny.

Chciał się dalej kłócić, ale w tym momencie wszedł mój ojciec i rzucił Theo wyjątkowo ostre spojrzenie.

– Słyszałem, że jacyś goście chcą się u nas schronić przed burzą – powiedział tata. – Ale najbardziej mnie interesuje, jakim cudem jeden z nich zna moją córkę.

– Przepraszam cię z góry – powiedziałam do taty, wstałam i założyłam mu Firebirda na szyję. Kilka kliknięć, jedno przypomnienie, które sprawiło, że tata zaklął z bólu, i...

– Theo! – Tata roześmiał się na głos i natychmiast dotknął łańcuszka Firebirda, widocznego pod lotniczym kombinezonem Theo. – Boże, Theo, zabiję cię z zimną krwią za to, że zabrałeś ze sobą Marguerite. Co ci strzeliło do głowy? Ale najpierw chodź tu, synu.

Tata objął Theo, który otworzył szeroko oczy.

– O cholera – mruknął. – Rany. Rany!

– Mówiłam ci! – Nie mogłam się nie roześmiać.

Theo gwałtownie odwzajemnił uścisk taty.

– Henry, tak się cieszę, że nic ci nie jest. Nie masz pojęcia... nie masz pojęcia, jak bardzo.

Tata klepnął go mocno w ramię, chyba po to, żeby obaj mogli udawać, że ten uścisk jest całkiem męski.

– Zapamiętaj moje słowa, będziesz miał poważne kłopoty za to, że wciągnąłeś w to Marguerite. Ale wygląda na to, że moja córka jest odważniejszą podróżniczką, niż mógłbym przypuszczać.

Chciałam zaprotestować, że Theo mnie w to nie wciągnął. Teraz, kiedy znałam prawdziwe plany Triadu i własne zdolności, wiedziałam, że prędzej czy później zostałabym w to wszystko zamieszana. Ale nie to było najważniejsze.

– Teraz wystarczy, że Theo wymyśli, jak zrobić następnego Firebirda.

Odtworzyłeś tamte dwa, więc powinieneś umieć zrobić nowego od podstaw, prawda, Theo?

– Chyba tak. Może. Kurczę, muszę się zastanowić. – Theo wyglądał na całkowicie oszołomionego, jakby potrafiła go ciężarówka. Nie dziwiłam mu się. – Chwilę potrwa, zanim będę w stanie powiedzieć cokolwiek bardziej sensownego niż „rany”.

– Nie spiesz się. Odpocznij sobie. – Tata zmrużył oczy i spojrzał przez podwójne okienko w drzwiach hangaru. – Zapowiada się całkiem przyzwoita przerwa w sztormie. Mamy doniesienia o kolejnych przybyszach, tym razem na statkach, i wszystko wskazuje na to, że będziemy mogli ich przyjąć. Kto wie, może będzie wśród nich Paul? Byłoby miło, gdybyśmy znowu byli wszyscy razem. – Uśmiechnął się ciepło, a ja wiedziałam, że jest w tym momencie tak samo szczęśliwy jak ja.

Kiedy tata poszedł zając się kierowaniem stacją, Theo i ja znowu zostaliśmy sami. Nie mogłam się powstrzymać.

– A nie mówiłam?

– Mówiłaś. Mówiłaś to, ale musiałem zobaczyć na własne oczy. – Powoli potrząsnął głową. – Nie mogę uwierzyć, że Paul... że on się wszystkiego domyślił.

– Ja też nie. Kiedy wrócimy do domu, musimy od początku zacząć z Triadem. – Pomyślałam o tym, jak bezwzględny jest Conley i jakie ryzyko musiałyby podejmować Theo. – Wiem, że to niebezpieczne, spróbować coś z nimi zrobić. Nie chciałabym, żeby coś ci się stało. Nie musisz...

– Martwisz się o mnie? – Głos Theo załamał się przy ostatnim słowie. – Właśnie się dowiedziałaś, że polują na ciebie w iluś wymiarach, a ty się przejmujesz mną.

Musimy martwić się o siebie nawzajem – chciałam to powiedzieć, ale Theo wstał i mnie objął.

– Przestań, dobrze? – powiedział i mocno mnie uściskał. – To ty potrzebujesz pomocy. Nie trać czasu na martwienie się o mnie.

Odsunęliśmy się od siebie, a Theo uśmiechnął się, jakby był zakłopotany, co w jego przypadku było zupełną nowością. Zanim jednak zdążyłam się odezwać, ktoś wszedł do pomieszczenia. Nie pamiętałam, kim jest ten facet ani nawet czy go wczoraj widziałam, ale był ubrany w kombinezon przypominający kombinezon taty i zachowywał się, jakby pełnił jakąś kierowniczą funkcję.

– Pani Caine, musi pani wziąć dyżur zanurzeniowy. Ktoś musi odzyskać ten urwany kołowrót.

Mama mówiła o tym rano – z jednego z żurawi wichura oderwała kołowrót. Spoczywał teraz na dnie morza, w obrębie niezbyt głębokiego szelfu, na którym stała „Salacja”, ale silne prądy wzmocnione przez sztorm mogły go zepchnąć do znajdującego się niedaleko rowu oceanicznego.

Czyli co właściwie miałam robić? Dyżur zanurzeniowy? Co to miało znaczyć?

Nagle otworzyłam szeroko oczy, bo uświadomiłam sobie, że chodzi o pojazd zanurzalny. Łódź podwodną.

Miałam wypłynąć łodzią podwodną?

– To jednostka dwuosobowa – powiedział facet do Theo. – Z pana CV wynika, że jest pan też licencjonowanym pilotem. Ma pan ochotę się z nią wybrać i przydać nam się tutaj do czegoś?

– Tak – odparł powoli Theo. – Jasne. Tak. Jestem... no... bardzo dobry w pilotowaniu łodzi podwodnych.

Facet spojrzał na nas trochę dziwnie, ale powiedział tylko:

– Śluza czwarta.

Oddalił się, a Theo odwrócił się do mnie i oznajmił bezgłośnie: „o cholera”.

– Mamy pilotować łódź podwodną? Nie. Nie ma mowy.

– Właściwie to bawiłem się trochę na symulatorze po drodze tutaj. Theo z tego wymiaru miał skonfigurowany w komputerze...

– Theo, nie.

Spojrzał na mnie oczami smutnego szczeniaczka – a możecie mi wierzyć, jest w tym naprawdę bardzo dobry.

– Nie umiesz się bawić – powiedział w końcu.

– Nie możemy.

– No to co zrobimy?

Przeczesałam palcami mokre włosy.

– Pójdziemy... pójdziemy do tej śluzy czwartej, a potem... – A potem co? Powiemy, że z łodzią podwodną jest coś nie tak? Zorientują się, że nic się nie stało i że kłamamy. – Potem zawiadomimy mojego ojca. On wyśle kogoś innego.

Znaleźliśmy śluzę czwartą bez większego trudu. Łódź podwodna nie była wielkim pojazdem z napędem atomowym, jak z Polowania na Czerwony

Październik. Okazała się malutka, zaokrąglona, z czysto białą powłoką i gładkim czarnym ekranem dotykowym, jak w iPhone. Za przezroczystą przednią szybą rozciągała się nieskończona przestrzeń ciemnoniebieskiej wody.

– Spójrz tylko – powiedział Theo, przyglądając się panelowi sterowania. – Jak w symulatorze. Znaczący, dokładnie tak samo.

– Theo...

Wzruszył ramionami, ale twarz rozjaśniła mu się uśmiechem skłonnego do psot chłopaka.

– Grałem w to przez całe godziny po drodze tutaj. Było lepsze od każdej gry wideo. – Theo zabębnił palcami o oparcie siedzenia. – Rzadko ma się okazję zagrać w grę na żywo...

– Nie ma mowy.

– Daj spokój, wiem, co robię!

– Ponieważ bawiłeś się symulatorem?

– Ponieważ mam za sobą około siedem godzin ćwiczeń i ponieważ mamy przepłynąć niecały kilometr tam i z powrotem. I ponieważ to będzie absolutnie, kosmicznie, odłotowo niesamowite. W głębi serca wiesz, że mam rację.

„Kosmicznie niesamowite” – jak kusząco by nie brzmiało – nie stanowiło dobrego powodu, żeby wypływać w łodzi podwodnej. Ale w entuzjazmie Theo było coś jeszcze, jakaś melancholia zdradzająca wewnętrzny smutek

Podczas tej podróży zrobił dla mnie naprawdę wiele. Ryzykował życie, żeby pomóc mojemu ojcu. W zamian za to prosił tylko o kilka minut zabawy. To chyba niewiele, prawda?

– Jeśli w jakimkolwiek momencie zaczniesz mieć choćby cień wątpliwości, czy wiesz, co robisz, zawracamy natychmiast – powiedziałam najbardziej surowo, jak tylko potrafiłam. Ale nie mogłam się nie uśmiechnąć, kiedy Theo zaczął radośnie wybijać na siedzeniu szybki rytm.

Pięć minut później byliśmy gotowi do drogi, a ja musiałam przyznać, że Theo sprawiał wrażenie, jakby wiedział, jak to coś prowadzić.

– Zaraz zwolnię blokady – powiedział. – Gotowa?

Skinęłam głową, więc przestawił coś na panelu, co sprawiło, że łódź podwodna oderwała się od „Salacji”. Przez moment dryfowaliśmy bezwładnie, a potem Theo uruchomił silnik na niskich obrotach, tylko na tyle, żebyśmy mogli się wydostać z podwodnego doku.

Przód łodzi podwodnej został zrobiony z supergrubego szkła, co oznaczało, że mieliśmy doskonały panoramiczny widok na ocean przed nami. W tym momencie widać było kredowobiały piasek, kilka koralowych piór wyrastających tu i ówdzie ze skał oraz bezkresny błękit. Siedzieliśmy koło siebie w kabinie pilota, chociaż wodoodporne drzwi oddzielające tylną komorę były otwarte. Theo wyjaśnił, że ponieważ nikt nie zamierza nurkować, nie musimy ich zamykać.

Całe szczęście, ponieważ inaczej atmosfera mogłaby się zrobić trochę zbyt intymna. W łodzi podwodnej nie było zbędnej przestrzeni, więc Theo i ja praktycznie stykaliśmy się nogami. Rano pod wodoodporne ubranie założyłam tylko czarną koszulkę i legginsy, więc właśnie to miałam teraz na sobie. Theo był ubrany w zwykły biały T-shirt, nadal lekko wilgotny od deszczu. Nie był tak wysoki jak Paul, więc czasem zapomniałam, że także jest przyzwoicie umięśniony. W tym momencie nie mogłabym o tym zapomnieć.

Powiedziałam tylko:

– Yyy, to jak mamy szukać tego kołowrotu, który mamy odzyskać?

– Włączymy sonar. – Dłonie Theo poruszały się zwinnie po panelu sterowania, jakby robił to już setki razy.

Zielona linia sonaru zaczęła obiegać ekran, a ja przyglądałam mu się i próbowałam odgadnąć, które z kształtów to po prostu skały, a które mogą być poszukiwanym sprzętem.

– Jak myślisz, to jest to?

Wskazałam kształt, o który mi chodziło. Theo zrobił to samo. Nasze dłonie musnęły się i to chyba nie był przypadek.

– Tak – przyznał Theo. Nie patrzył na mnie, jego profil był zarysem na tle błękitu. – Warto sprawdzić.

Ruszyliśmy dalej, a Theo rozwinął średnią prędkość. Gdy przemykaliśmy się w ciemności, nasze reflektory oświetlały wodę wokół nas. Raz po raz spoglądałam na Theo, który wyraźnie się zastanawiał, co powiedzieć. Czy zamierzał przeprosić za to, że wątpił w Paula? A może znowu spróbuje mnie pocałować?

– Na pewno... – Urwałam w pół zdania, ponieważ nie wiedziałam, jak to ująć. – Dobrze wiedzieć, że Paul od początku był po właściwej stronie, prawda?

– Tak. Jasne. – Theo otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Wydawał się bardziej udręczony tą wiedzą, niż mogłabym

przypuszczać.

Właśnie w tym momencie w komunikatorze odezwał się tata.

– Co wy, do diabła, robicie w łodzi podwodnej?

– Świetnie sobie radzimy – zapewnił Theo. – I fantastycznie się bawimy.

Przyznaj, że nam zazdrościsz.

– Boję się o was. Dobrze, trochę zazdrozczę, ale to jakieś piętnaście procent w porównaniu do osiemdziesięciu pięciu procent obawy. Jak wam tam idzie?

– Na razie w porządku – powiedziałam i spojrzałam na głośnik na suficie. – Wydaje nam się, że zauważyliśmy kołowrót.

– Cudownie. W takim razie to zredukuje moje obawy do jakichś pięćdziesięciu procent. Posłuchajcie, jeden ze statków zmierzających w naszą stronę właśnie nawiązał z nami kontakt. Pomyślałem, że was z nimi połączę. – Tata na pewno się w tym momencie uśmiechał. – Pogadamy później.

Rozległ się szum statyczny i połączenie zostało zastąpione innym. Usłyszałam głęboki głos mówiący:

– Marguerite?

Miałam wrażenie, że wybuchły fajerwerki.

– Paul. Udało ci się.

– Prawie. Powinienem być na stacji w ciągu dziesięciu minut.

– Rozmawiałeś już z tatą?

– Tak, dzięki Bogu, że był tutaj. Tak podejrzewałem na podstawie dokumentów Triadu, ale... nie byłem pewien aż do momentu, kiedy się odezwał.

– Teraz zrobimy kolejnego Firebirda i wrócimy do domu. – Uśmiechałam się do głośnika, jakbym mogła zobaczyć w nim Paula, ale mimo całego szczęścia, nie mogłam zapomnieć, że nie jesteśmy sami. – Theo tutaj jest.

– Cześć, braciszku – powiedział Theo. Na jego twarzy malował się lekki smutek. – Wygląda na to, że przez cały czas byłeś o krok przed nami.

– Powinienem być od razu przyjść z tym do ciebie. – Trudno mi było nie wyobrazić sobie twarzy Paula mówiącego te słowa, ponurej i pełnej żalu. – Nie miałem pojęcia, co zrobią Henry'emu, bo na pewno bym cię uprzedził.

– Dobra, dobra, nie musisz tak lać wody. – Theo popatrzył na migoczącą wysoko nad nami powierzchnię oceanu i dodał. – To był niezamierzony żart.

Nadal trudno mi było uwierzyć, że Paul tu dotarł.

– Gdzie jesteś? – zapytałam. – Wyruszyłeś od razu, czy potrzebowałeś

przypomnienia?

– Ruszyłem w drogę do ciebie, kiedy tylko się tu dostałem. Nie potrzebuję już przypomnień – oznajmił Paul.

– Nie potrzebujesz? – zmarszczyłam brwi. Theo koło mnie wyprostował się na siedzeniu.

– W poprzednim wymiarze, w którym byliśmy, Triad opracował sposób, żeby szpiegzy zachowywali świadomość podczas podróży. To coś w rodzaju narkotyku, szkodliwego i czasem trudnego do zdobycia, więc to nie jest idealne rozwiązanie, ale działa na krótką metę – wyjaśnił Paul. – Można go zrobić ze zwykłych składników, dostępnych z łatwością w każdym wymiarze, do jakiego trafisz. Nazywają to Włamywacz. Płyn w takim niezwykle zielonym kolorze, który można sobie wstrzyknąć...

Paul mówił dalej. Nie słyszałam ani słowa.

Powoli popatrzyłam na Theo, który patrzył prosto na mnie. Nie powiedział ani słowa, wiedział, że ja wiem.

Włamywacz. Szmaragdowy płyn, który Theo wstrzykiwał sobie w Londynie, wyglądał identycznie z opisem.

Theo nigdy by...

Nie, mój Theo by tego nie zrobił. Ale to nie był mój Theo.

Rozdział dwudziesty szósty

– Włamywacz powoduje halucynacje i silny ból, ale pozwala zachować świadomość i kontrolę przez wiele dni. Wiedziałem, że muszę tego użyć, żeby cię znaleźć. – Paul dalej mówił przez interkom, nieświadomy tego, że możemy go słyszeć, ale go nie słuchamy.

Patrzyłam na Theo. Odwzajemniał moje spojrzenie spokojnie, a na jego twarzy malowało się zawstydzenie, ale także ulga. Jakby myślał: *Wreszcie się dowiedziała.*

Wszystko we mnie odrzucało tę prawdę. *Theo nie zrobiłby tego. Nie szpiegowałby dla Triadu, nie skrzywdziłby mojej rodziny. Nie skrzywdziłby mnie.*

Mój Theo naprawdę by tego nie zrobił. Ale to nie był mój Theo, i to już od dawna.

Na długo przedtem, jak zaczęła się ta podróż...

Wrzasnęłam, kiedy Theo rzucił się w moją stronę:

– Paul, to Theo! Theo jest szpiegiem!

Theo wyłączył łokciem interkom i popchnął mnie na ścianę. Spróbowałam go odepchnąć, ale wewnątrz łodzi podwodnej było tak – Włamywacz powoduje halucynacje i silny ból, ale pozwala zachować świadomość i kontrolę przez wiele dni. Wiedziałem, że muszę tego użyć, żeby cię znaleźć. – Paul dalej mówił przez interkom, nieświadomy tego, że możemy go słyszeć, ale go nie słuchamy.

Patrzyłam na Theo. Odwzajemniał moje spojrzenie spokojnie, a na jego twarzy malowało się zawstydzenie, ale także ulga. Jakby myślał: *Wreszcie się dowiedziała.*

Wszystko we mnie odrzucało tę prawdę. *Theo nie zrobiłby tego. Nie szpiegowałby dla Triadu, nie skrzywdziłby mojej rodziny. Nie skrzywdziłby mnie.*

Mój Theo naprawdę by tego nie zrobił. Ale to nie był mój Theo, i to już od dawna.

Na długo przedtem, jak zaczęła się ta podróż...

Wrzasnęłam, kiedy Theo rzucił się w moją stronę:

– Paul, to Theo! Theo jest szpiegiem!

Theo wyłączył łokciem interkom i popchnął mnie na ścianę. Spróbowałam go odepchnąć, ale wewnątrz łodzi podwodnej było tak – Zamierzasz ze mną walczyć, czy może zechcesz mnie posłuchać? – Odetchnął głęboko, jakby był poirytowany. – Mogę wszystko wyjaśnić.

– Niech cię szlag.

Theo przycisnął mnie mocniej, jego twarz znalazła się tuż nad moją.

– Przeskoczyłem do twojego wymiaru trzy miesiące temu. Wiedzieliśmy, że twoi rodzice są o krok od przełomu w badaniach, a o ile mogliśmy stwierdzić, to był dopiero drugi wymiar na tyle zbliżony do naszego, żeby opracować tę technologię. To oznaczało, że musieliśmy zawrzeć strategiczny sojusz.

Trzy miesiące temu zaczął brać narkotyki, znikać na całe godziny, nazywać mnie Meg – zachowywał się inaczej pod każdym względem. Jak mogłam tego nie zauważyć? Chociaż próbowałam się wykręcić spod niego, byłam praktycznie unieruchomiona.

– Czy właśnie w taki sposób... nawiązujesz przyjaźnię?

– Każdy sojusz ma przywódcę. – Theo naprawdę wydawał się bardziej smutny niż zły. – Tak jak na wojnie potrzebny jest generał.

– Wojnie? Czy ty słyszysz, co mówisz? Dwa wymiary nie mogą... zacząć wojny między sobą! To chore.

– Kiedyś myślano, że wynalezienie samolotów sprawi, że wojny przestaną być możliwe. No wiesz, jak miałyby się ukradkiem przemieszczać swoje siły, kiedy każdy może obserwować to z powietrza? Ale potem ktoś wymyślił, że do samolotów można zabrać bomby i wszystko się zmieniło. Każdą wynalezioną technologię ludzkość zaczyna zwracać przeciwko sobie, to tylko kwestia czasu. Jeśli my nie zaczniemy wojny, zrobi to inny wymiar, i wtedy może być o wiele gorzej.

Przypomniałam sobie przemówienie Conleya w Londynie, o tym, że technologia militarna ewoluuje wraz z nami. To sprawiło, że na moment się zawahałam. Nadal byłam wściekła na Theo, ale myśl o tym, co może gdzieś istnieć – obserwować, czekać, wybierać moment do ataku...

Theo pokiwał głową, nagle pełen nadziei.

– Rozumiesz to, prawda? Musimy działać razem. Musimy sami sięgnąć po tę potęgę, zanim zostanie nam odebrana.

– Nigdy wam nie zagrażała. – Nadgarstki mnie bolały, Theo ścisnął je mocniej, niż robiłyby to kajdanki. – To wy zaatakowaliście. Nie udawaj, że tak nie było.

Mówił dalej, jakbym się w ogóle nie odzywała.

– Kiedy przeskoczyłem do waszego świata, miałem tylko trochę opóźnić prace twoich rodziców, dać nam odrobinę większą przewagę, ale było już na to za późno. Mogłem tylko stworzyć podróżnika. Podróżnika doskonałego. Na jeden wymiar istnieje tylko jedna szansa, wiesz o tym. W naszym wymiarze jest to Conley. W twoim, ze wszystkich ludzi na świecie, wybrał ciebie.

– Rany, czuję się naprawdę wyjątkowa – warknęłam mu w twarz. Dosłownie, bo nasze twarze prawie się stykały. Łódź podwodna, którą nikt nie sterował, kołysała się, a za oknem przechylał się biały półksiężyc piasku. – Dlatego pozwoliłeś, żeby porwali tatę?

– Paul wszystko popsuł. Zabrali Henry’ego, a ja... no wiesz, wjechałem jego samochodem do rzeki, przeciąłem hamulce i dopilnowałem, żeby zatonął. Skoro samochód wpadł do wody, nikt nie oczekiwał, że ciało uda się znaleźć od razu, o ile w ogóle to będzie możliwe. Chciałem tylko zyskać trochę czasu dla Triady.

Oczywiście. To Theo zawsze grzebał przy samochodach. Dlaczego nie domyśliłam się, że potrafiłby przeciąć hamulce?

– Pozwoliłeś mi myśleć, że tata nie żyje. Mama nadal w to wierzy, podobnie jak Josie. Czy w ogóle się zastanawiałeś, co nam zrobiłeś?

– Spokojnie, spokojnie, posłuchaj mnie, dobrze? Czy ty rozumiesz, jakie to ci daje możliwości? To ogromna szansa, jeśli tylko ją wykorzystasz. – Theo potrząsnął głową, miał autentyczne łzy w oczach. – Byłem na siebie wściekły, że muszę cię okłamywać, że okłamuję was wszystkich. Wiesz, że to, co do ciebie czuję, to coś więcej, niż czuł twój Theo? W moim wymiarze nie miałem na co liczyć, a kiedy zrozumiałem, że mogę mieć drugą szansę, nie zamierzałem jej zmarnować. Ale nie wykorzystałem sytuacji, wiesz, że tego nie zrobiłem. W Londynie wycofałem się. Chciałem, żebyś sama podjęła decyzję. Pamiętasz, powiedziałem: „kiedy oboje będziemy sobą”.

– Jasne, należy ci się za to medal.

– Przysięgam, że gdybym mógł nie wciągać cię w to wszystko, zrobiłbym to. Ale nie mogę, Marguerite. Nie mogę. Mogę ci jedynie pomóc, pokazując, jak powinnaś to wszystko rozegrać.

– „Rozegrać”? To nie jest gra, Theo! Mogłeś zabić Paula. – Byłam tak samo bliska płaczu jak Theo, ale z wściekłości.

– Od początku zamierzałem w jakimś momencie wszystko wyjaśnić. Jak myślisz, co się miało wydarzyć w Laboratorium 11? Co miał zamiar

powiedzieć ci Conley, gdybyś przyszła na spotkanie przy Dragon Gate? Chcieliśmy ci powiedzieć prawdę, całą prawdę, wyjaśnić, że możesz sprowadzić Henry'ego do domu, całego i zdrowego. Conley chciał cię tylko wciągnąć do zespołu! Nie rozumiesz tego? Rozsądną decyzją w tym momencie byłoby dołączyć do niego. Dołączyć do nas. Jeśli to zrobisz, będziesz już zawsze bezpieczna. Zawsze. Będę o to dbał do końca życia, Meg, obiecuję.

To znaczy, zamierzaliście mnie zaszantażować, trzymając tatę jako zakładnika. Miałam właśnie wykrzyknąć to do Theo, spróbować go pozbawić złudzeń, jakie żywił na temat Conleya – ale w tym momencie łódź podwodna szarpnęła pod nami gwałtownie, a całą przednią szybę zasłonił biały piasek. Wrzasnęłam tuż przed momentem zderzenia.

Łódź zaryła w piasku i zazgrzytała śrubami napędowymi o skały. Przewracaliśmy się oboje bezwładnie, obijając się o siebie i rozdzielając, a każde takie zderzenie powodowało obrażenia. Zdołałam się przytrzymać siedzenia, kiedy łódź ześlizgnęła się po krawędzi rowu oceanicznego i zaczęliśmy opadać w nieskończoną głębię.

Theo powiedział mi wcześniej, że ta łódź może się zanurzyć tylko do głębokości 500 metrów. Głębiej ciśnienie wody zgniecie nas, podobnie jak dłoń może zgnieść puszkę po coli.

– Kurwa. – Theo zaparł się o ścianę, a następnie przepchnął się do panelu sterowania. Spróbował uruchomić silnik, ale okropne zgrzytanie śrub odpowiedziało nam, że nie działają. Miernik pokazywał 200 metrów... 215... 230...

Podciągnęłam się na swoje siedzenie i spróbowałam zignorować gwałtowne kołysanie i zgrzytliwe dźwięki, przy akompaniamencie których opadaliśmy w ciemność.

– Co teraz zrobimy?

– Spróbujemy się trzymać. – Trzęsącymi, posiniaczonymi dłońmi Theo uruchomił zaczep awaryjny, który wystrzelił, szukając jakiegoś oparcia.

Siedzieliśmy obok siebie bez słowa i słuchaliśmy, jak metal obija się o skały. Opadaliśmy nadal w tym samym tempie, ale kiedy mój strach wzrósł do granic paniki, uchwyt znalazł jakąś szczelinę lub wystający kamień i zdołał się zaczepić. Zatrzymaliśmy się z szarpnięciem, a potem zaczęliśmy się kołysać na uwięzi. Na razie byliśmy bezpieczni, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że uchwyt mógł złapać coś mało wytrzymałego. W każdej chwili ciężar łodzi podwodnej mógł wyrwać kawałek skały, a wtedy znowu polecimy

w dół, na spotkanie śmierci.

– Dobra. – Theo odetchnął głęboko i znowu włączył interkom. – „Salacja”? „Salacja”, tutaj... co to jest, Jednostka 1? Tutaj Theo i Marguerite. Over.

Żadnej odpowiedzi, nawet szumu statycznego. Byliśmy zbyt głęboko, by łączność mogła działać.

– Musimy zachować spokój i zastanowić się...

Uderzyłam jego głową o panel tak mocno, jak tylko mogłam.

W ułamku sekundy, kiedy był ogluszony, zacisnęłam palce na jego gardle, przytrzymując go tak, jak on przytrzymywał mnie.

– Nie jesteśmy partnerami – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Nigdy nie będziemy. Powtórz to Conleyowi.

Theo był ode mnie silniejszy, więc odepchnął mnie tak, że poleciałam do tyłu. Zanim jednak zdążył się na mnie rzucić, znalazłam się po drugiej stronie przegrody i wcisnęłam przycisk oddzielający komory łodzi podwodnej. Wodoszczelne drzwi zatrzasnęły się, odgradzając mnie od Theo – on został w kabinie, z bezużytecznym panelem sterowania, a ja z tyłu, ze skafandrem do nurkowania.

Na szczęście blokada drzwi była wyraźnie oznaczona, więc włączyłam ją tak, żeby trzymać nas na odległość.

– Marguerite? – Twarz Theo pojawiła się w wąskim wizjerze z grubego szkła. – Co ty do diabła wyprawiasz?

– Zamierzam się stąd wydostać.

Ponieważ jeszcze jedną, wyraźnie oznaczoną rzeczą w tylnej komorze była KAPSUŁA RATUNKOWA.

Zobaczyłam mały okrągły otwór, w który mogłam się z łatwością wślizgnąć. Po drugiej stronie była malutka ciemna sfera, w której musiałabym zwinąć się w kłębek. A co z powietrzem? Co z powrotem na powierzchnię? Zakładałam, że coś takiego jest w pełni zautomatyzowane, chociaż wolałam nie przyjmować niczego za pewnik, uwięziona prawie trzysta metrów pod wodą. Do wyboru miałam jednak tylko zostać tutaj, gdzie Theo prędzej czy później znajdzie sposób na otwarcie drzwi. Raczej prędzej. Musiałam uciekać.

– Nie uda ci się wydostać z takiej głębokości – zawołał Theo przez grubą szybę. – Nie zabij się tylko po to, żeby ode mnie uciec. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

– Wydostanę się stąd i wrócę do domu – powtórzyłam i podeszłam bliżej do drzwi, za którymi stał. – I zabiorę ze sobą tatę.

Przycisnęłam dłoń do szyby i zobaczyłam, jak Theo otwiera szeroko oczy na widok tego, co trzymałam w ręku – jego Firebirda.

Tego, który zerwałam mu z szyi podczas walki. Tego, za pomocą którego zamierzał się stąd wydostać – i tego, który miał umożliwić mojemu tacie powrót tam, gdzie było jego miejsce.

– Daj spokój, nie rób tego. – Twarz Theo pobieliała. Doskonale.

– Uznałeś, że ten wymiar jest dostatecznie dobry, żeby uwięzić tutaj tatę – powiedziałam i podeszłam bliżej wjazdu do kapsuły ratunkowej. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że sam zostaniesz tu uwięziony.

– Marguerite!

Wślizgnęłam się do kapsuły ratunkowej, a głos Theo stał się tak przytłumiony, że przestałam odróżniać słowa.

W tym momencie znajdowałam się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż on. Łódź podwodna była nieuszkodzona, nawet jeśli nie mogła się poruszać, była szczelna i utrzymywała ciśnienie. Jasne, Theo był w niej uwięziony, ale załoga „Salacji” przyplynie po niego tak szybko, jak to możliwe. Tata będzie wprowadzić wściekły, kiedy pozna prawdę o Theo, ale nie zostawiłby nikogo na pewną śmierć.

Ja natomiast wyprawiałam się w niebezpieczne wody otaczające łódź – w zimną, miazdzącą ciemność.

Ale jeśli tu zostanę, Theo w końcu poradzi sobie z tymi drzwiami. Odbierze mi Firebirda, a wtedy tata i ja znowu będziemy na łasce intryg Wyatta Conleya.

Nie ma mowy.

Drżącymi palcami nacisnęłam żółty przycisk z napisem „Procedura startowa”.

Z obu stron przejścia wysunęły się metalowe dyski, żeby zamknąć mnie szczelnie w środku. Usłyszałam odległe uderzenia – prawdopodobnie Theo rzucał się całym ciałem o drzwi, w ostatniej rozpaczliwej próbie zwrócenia mojej uwagi, ale nie zamierzałam na niego spojrzeć.

Tutaj nie było dużego okna, tylko cienki przezroczysty pasek, pozwalający mi zobaczyć, jak nieprzyjazne wydaje się otoczenie. W pobliżu nie było niczego, absolutnie niczego poza głębią rowu. Ale to była moja jedyna szansa. Odetchnęłam głęboko, położyłam dłoń na czerwonym panelu z podpisem „Start” i nacisnęłam go.

Metalowe uchwyty natychmiast szczęknęły i stuknęły głucho, a kapsuła

ratunkowa wpadła do oceanu.

W pierwszej chwili byłam przerażona. Spadam! Spadnę na sam dół! – ale zaraz włączył się jakiś silnik i zaczął mnie popychać w górę. Czułam się, jakby nadeszło wyzwolenie. Nawet jeśli było tu nieprawdopodobnie ciemno i ciasno, zdołam się uwolnić.

Na takiej głębokości było za ciemno, żeby dało się zobaczyć powierzchnię wody. Może byłoby to możliwe w pogodny dzień, ale szalejący na górze sztorm nie dopuszczał światła, które mogłoby przeniknąć tak głęboko. Jedynym źródłem światła była fluorescencyjna farba we wnętrzu kapsuły... Ale pociągnięte nią były tylko pojedyncze linie na panelach. Prawdopodobnie powinnam była zabrać ze sobą jakąś latarkę. *Zapamiętam na przyszłość* – pomyślałam, ale nie wydało mi się to zabawne.

Na pewno było tu jakieś ogrzewanie albo koce termoizolacyjne, których nie znalazłam. Wiedziałam tylko, że takie zimno nie może być bezpieczne. Otaczała mnie warstwa metalu oraz woda o temperaturze zaledwie kilku stopni, co oznaczało, że w środku kapsuły zrobiło się tak zimno, że zaczęłam się trząść. Z każdą chwilą coraz trudniej mi się było ruszać, a kończyny zaczęły drętwieć.

Innym czynnikiem, którego nie wzięłam pod uwagę, było zmęczenie. Szarpaliśmy się z Theo przed dłuższą chwilę, a dzień zaczęłam od wspinaczki do instrumentów meteorologicznych w podmuchach sztormowego wiatru. Musiałam zachować przytomność i zastanowić się, jak wezwać pomoc, gdy już wydostanę się na powierzchnię, jednak zimno i zmęczenie skutecznie mi to utrudniały. Adrenalina w końcu musiała się wyczerpać, ale musiałam pilnować, żeby na razie mi wystarczała.

Uda ci się – myślałam, ale to brzmiało rozpaczliwie i nierealistycznie nawet jak na mnie. Założę się, że tu jest bezpiecznie. *Niedługo będziesz na powierzchni, to nie może już być daleko.*

Boże, jak jeszcze daleko? Ile jeszcze?

Światło, intensywne jak blask słońca, rozjaśniło podwodną ciemność i wlało się przez wąskie okienko, za którym widziałam otaczający mnie ocean.

Reflektory skąpały mnie w blasku tak jasnym, że musiałam odwrócić głowę i zmrużyć oczy. Kiedy się zbliżyły, zdołam zobaczyć rysujący się za nimi kształt – to była łódź podwodna, ale nie jedna z tych z „Salacji”.

Co oznaczało, że to mogła być tylko jedna osoba.

Rozmyty obraz za oknem powoli wypełnił się białym spodem łodzi

podwodnej, która zbliżyła się do kapsuły ratunkowej – to było jak patrzenie w niebo. Okrągły otwór pojawił się stopniowo, jak rosnący księżyc w kolorze nocy, a kapsuła wskoczyła przez niego do śluzy wewnątrz łodzi podwodnej. Wejście się zamknęło, woda zaczęła być wypompowywana – jej poziom opadał z każdą chwilą, aż kapsuła osiadła na podłodze śluzy.

Czułam się okropnie ociężała. Okropnie zmęczona. Ale udało mi się nie zasnąć, a nawet zachować spokój pomimo zawrotów głowy i mdłości, w których domyślałam się możliwych oznak choroby głębinowej.

Woda zniknęła całkowicie, pozostawiając tylko smugi na podłodze. Siedziałam skulona w kapsule i patrzyłam, jak wskaźnik ciśnienia na ścianie świeci czerwono – nadal czerwono – a potem zielono.

Nacisnęłam zielony panel „Zwolnienie blokady drzwi”. Metalowa spirala rozsunęła się i umożliwiła mi otwarcie klapy kapsuły. Poleciałam na mokrą metalową kratkę na podłodze jak wyciągnięta z wody ryba, słaba i drżąca. Łapałam głębokie oddechy, kiedy usłyszałam, że drzwi się otwierają. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Paula, który podbiegł do mnie, trzymając coś srebrzystego.

– Marguerite – wyszeptał i założył mi maskę tlenową na nos i usta. – Jesteś już bezpieczna. Jesteś bezpieczna. Oddychaj powoli, tak głęboko, jak możesz.

Mogłam tylko pokiwać głową i oddychać.

Po dwóch wdechach poczułam się odrobinę lepiej. Czyli dalej okropnie, ale nie miałam już wrażenia, że zaraz zemdleję.

– Co to jest?

– Nic nie mów. – Paul rozłożył błyszczący koc termoizolacyjny i przykrył mnie, owijając moje ramiona i nogi. – Oddychasz specjalną mieszanką gazów mającą złagodzić objawy choroby dekompresyjnej. Bardzo zaawansowany wynalazek genialnej oceanografki, profesor Sophii Kovalenki.

No jasne, mama okazała się równie genialnym oceanografem, jak była fizykiem. To było do przewidzenia. Nie mogłam nie uśmiechnąć się pod maską.

Paul siedział koło mnie na mokrej podłodze, na tyle blisko, żeby położyć na swoich kolanach moją głowę. Jego dłonie rozgrzewały mnie, rozcierały mi zmarznięte ręce i nogi nawet wtedy, gdy pochylił się, by pocałować mnie w czoło.

– Nie byłem pewien, czy to ty – mruknął. – W tej kapsule mógł być Theo, a ja myślałem, że jeśli cię tam zostawił, jeśli cię skrzywdził, uwięził...

– Nie, to on został uwięziony. – Popatrzyłam prosto na niego, na ile to było możliwe ze srebrną maską tlenową na twarzy. – Zabrałam Firebirda Theo. To znaczy, że tata może wracać do domu.

– Boże. – Paul pochylił się i otoczył mnie ramionami, jakby chciał mnie osłonić przed całym światem. Zamknęłam oczy, i pomimo wszystkich okoliczności, nigdy chyba nie czułam się tak bezpiecznie jak w tej chwili.

Płynęliśmy w górę, aż woda wokół nas stała się błękitna, a maska tlenowa przestała być mi potrzebna. Paul przestał mi poświęcać uwagę tylko po to, żeby wprowadzić do wnętrza doku „Salacji” łódź podwodną. Była to duża, przeznaczona do pokonywania większych dystansów jednostka, w jakie wyposażano tylko największe statki badawcze.

– Możemy wracać do domu – szepnęłam. Chwilę wcześniej byłam wyczerpana i przerażona, teraz czułam się rozgrzana i bezpieczna w ramionach Paula. Mogłabym zasnąć od razu na jego kolanach, z głową opartą o jego szeroką pierś. Jego mięśnie napięły się, kiedy dotykał panelu sterowania. To było cudowne, że pilotował łódź podwodną, ale mimo to mnie nie wypuszczał. – Wygraliśmy.

– Bitwę, ale nie wojnę.

– Wiem, że Triad znowu spróbuje mnie dorwać. Zdaję sobie z tego sprawę. Wydaje im się, że mogą mną manipulować. – W ich oczach miałam liczne słabości, które istniały tak długo, jak długo na świecie byli ludzie, których kochałam. Ale słabość a bezradność, to dwie różne rzeczy. – Będą musieli to sobie przemyśleć.

Paul uśmiechnął się.

– Kiedy spróbowali cię dorwać... Triad nie wiedział, w co się pakuje.

Znowu pochłonęło go sterowanie, ponieważ kończyliśmy procedurę dokowania. Uchwyty złapały łódź z głośnym, metalicznym szczękiem, a potem usłyszałam szum śluzy powietrznej stacji, łączącej się z naszą śluzą. Paul wsunął mi dłoń pod kolana i wstał, trzymając mnie w ramionach, żeby wynieść mnie na zewnątrz.

Kiedy drzwi otworzyły się z szumem, na zewnątrz stała Josie, żeby wpuścić ostatnich przybyszów. Zaskoczył ją mój widok.

– Marguerite?

– Rozbiliśmy się – powiedziałam. – Theo dalej tam jest. Ja podpłynęłam trochę w górę, a potem Paul mnie znalazł.

– Cholera, rozbiliście łódź podwodną?! – Josie oparła ręce na biodrach. –

I ilu jeszcze facetów przyjedzie dzisiaj do ciebie z wizytą?

– Chyba jest troszkę oszołomiona – powiedział Paul do Josie i ostrożnie postawił mnie na podłodze. – Na pewno przyda jej się coś ciepłego do picia i dłuższy odpoczynek. Poza tym wiem, że chciałaby się zobaczyć z ojcem.

– Wiesz chyba, że cię słyszę? – powiedziałam. Ale Paul mógł mieć rację, że jestem trochę oszołomiona. Byłam wykończona fizycznie i emocjonalnie, jak tylko chcecie. W tym momencie chciałam tylko zwinąć się w kłębek w jego ramionach.

Wzięłam Josie za rękę i pozwoliłam, by pomogła mi przejść przez próg. Podprowadziła mnie do najbliższej ławki.

– Idziesz? – zapytała.

– Nie – odparł Paul.

– Paul? – popatrzyłam na niego. Stał przy wejściu do łodzi podwodnej, w częściowo zmoczonej T-shircie i spodniach, z Firebirdem na szyi. Patrzył na mnie, jakby chciał się nasycić tym widokiem, jakby próbował mnie zapamiętać. – Co ty wyprawiasz?

– Sztorm jest coraz silniejszy, a Theo w uszkodzonej łodzi podwodnej tkwi na samej krawędzi rowu. Nie mogę go tak zostawić.

Josie odwróciła się do mnie.

– Co takiego? Rozbiliście się w rowie?

Nie odpowiedziałam jej.

– Jeśli to niebezpieczne dla niego, będzie też niebezpieczne dla ciebie. Poza tym, to on wszystko zaczął.

– Wszystko zaczął Theo, który nas szpiegował – zgodził się za mną Paul. – Ale Theo z tego wymiaru nigdy nic nam nie zrobił. Nie zasługuje na to, by zginąć za cudze grzechy. Poza tym... to jest Theo.

Miał rację – miał rację tak bardzo, że ogarnął mnie wstyd.

– Nie powinnam była go tam zostawiać.

– Zostawiłaś tam tego gościa? Celowo? – Josie wyglądała, jakby miała zaraz wyjść z siebie.

Paul zrobił krok w moją stronę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zrobiłaś to, co musiałaś, żeby ratować swojego ojca i siebie. Nie obwiniaj się za sytuację, w której znalazłaś się z cudzej winy. Ale muszę uratować Theo, jeśli tylko zdołam.

– Zamierzasz mnie po raz kolejny porzucić, tak?

– Marguerite...

Nie miałam już do niego siły.

– Zabieraj się już i wracaj cały i zdrowy, bo przysięgam na wszystkie świętości, że skopię ci tyłek.

Paul dotknął mojej twarzy, musnął moje wilgotne wargi kciukiem jak pocałunkiem, a potem wrócił do łodzi podwodnej. Uderzył przycisk na ścianie i drzwi się znowu zamknęły.

Kiedy spojrzałam na Josie, gapiała się na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa.

– Czy ja w ogóle chcę wiedzieć, co się dzieje? – zapytała bardzo spokojnie.

– Nie.

Wypuściła głośno powietrze, wydeła policzki z irytacją – ale natychmiast znowu zrobiła się rzeczowa.

– Musimy zamknąć śluzę. Chodź.

Po kilku minutach stałam przy oknie i patrzyłam, jak biała łódź podwodna Paula znika w ciemnej wodzie. Przycisnęłam dłoń do zimnego szkła.

– Marguerite?

Odwróciłam głowę i zobaczyłam tatę idącego w moją stronę, z niepokojem malującym się na twarzy.

– Josie jest roztrzęsiona. Powiedziała mi, co się stało albo też co jej zdaniem się stało, ale cała ta historia nie ma w ogóle sensu. Czy nic ci nie jest?

Nie byłam pewna, czy w tym momencie pamięta, kim jest, czy też nie. To nie miało znaczenia.

– Nic mi nie jest. – Wyciągnęłam drugiego Firebirda i włożyłam mu go do ręki. – Wracamy do domu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Otworzyłam oczy. Tym razem nie było wrażenia napierającej siły, żadnego momentu dezorientacji. Czułam się, jakbym na moment zasnęła i spokojnie się obudziła. Rozejrzałam się powoli wokół siebie. Zapadła już noc, ale stosunkowo niedawno – zachodnia strona nieba nadal miała jaśniejszy niebieski kolor, z różowawą linią na horyzoncie. Siedziałam na schodach werandy, w koronkowej sukience i zapinanym swetrze ojca, obiema rękami ściskając Firebirda na szyi. Innymi słowy, byłam w dokładnie takiej samej pozycji, jak wtedy, gdy miesiąc temu wyruszyłam w podróż.

– Wróciłam – wyszeptałam. – Jestem w domu.

Szybko podniosłam się i wbiegłam po schodach do przesuwanych szklanych drzwi. Jak zwykle mama nie zamknęła ich na klucz, więc wpadłam do środka. Widok własnego domu napełnił mnie niemal deliryczną euforią. Stosy papierów! Równania fizyczne na ścianach! Rośliny mamy! Nawet tęczy stół...

...i siedząca na kanapie mama.

– Marguerite! – wykrzyknęła.

– Mamo! – Podbiegłam do niej, ale spotkałyśmy się w pół drogi. Objęła mnie i uściskała tak mocno, że na nowo uświadomiłam sobie, jak bardzo musiała się o mnie bać przez ostatnie tygodnie. – Przepraszam, mamo, ale udało mi się. Udało nam się.

– Jesteś cała? Jesteś zdrowa? – Łzy spływały jej po twarzy, gdy odgarnęła mi włosy z oczu. – Ale nie zrobiliście nic Paulowi, prawda? Odszyfrowaliśmy jego wiadomość kilka godzin po tym, jak dostaliśmy waszą...

– Boże, jesteś! – Josie wpadła do pokoju z kuchni i przewróciła mnie na kanapę. – Zabiję cię za to, że nas tak nastraszyłaś. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, ty mała wariatko.

– Ja też cię kocham – odparłam i uściskałam ją. – Ale mamy mnóstwo rzeczy do omówienia.

– Triad – powiedziała mama, a jej uśmiech zbladł, ale tylko odrobinę. – Wiemy. To już bez znaczenia, skarbie, dopóki jesteś bezpieczna w domu.

– Wiecie? Ale skąd... – Urwałam, kiedy z korytarza weszła trzecia osoba. Theo.

Spróbował się do mnie uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

– Witaj w domu.

W pierwszej chwili poczułam tylko panikę. *Przeskoczył za mną, jakimś cudem wydostał się z łodzi podwodnej i przeskoczył za mną...* Zaraz jednak uświadomiłam sobie, co to naprawdę znaczy. Chłopak stojący przede mną, w koszulce z nadrukiem Mumford & Sons i spodniach bojówkach, to był mój Theo, którego Triad podmienił kilka miesięcy temu na szpiega. Ten Theo nigdy nie zrobiłby czegoś takiego ani mnie, ani nikomu z mojej rodziny.

Wiedziałam to. Wierzyłam w to. A jednak w głębi serca trudno mi było to zaakceptować.

– Czyli znasz prawdę. Widzę to z twojej twarzy. – Theo skrzywił się. – Nigdy wcześniej się mnie nie bałaś.

– Nie boję się – powiedziałam szybko. – Po prostu... to strasznie dużo do ogarnięcia. No i tak, wiem.

– Czy on ci coś zrobił? – Głos Theo się załamał. – Jeśli ten sukinsyn cię skrzywdził...

– Nie – odpowiedziałam, co prawie nie było kłamstwem.

– A Paul? Nic mu nie jest?

W tym momencie, kiedy zobaczyłam, że Theo boi się o Paula w takim samym stopniu jak o mnie, przypomniałam sobie o sile więzi między nimi i o tym, że właśnie teraz, w innym wymiarze, Paul ryzykuje życie, by uratować Theo, którego nawet nie zna – i który próbował go zabić.

– Paulowi nic nie jest. Niedługo wróci – powiedziałam. Josie odetchnęła z ulgą, a napięte ramiona Theo odrobinę się rozluźniły.

– Theo przybiegł do nas, kiedy tylko szpieg Triadu przeskoczył do innego wymiaru – wtrąciła mama. – Powiedział nam o wszystkim. Ale wtedy było już za późno. Zniknęłaś, a my wiedzieliśmy, że chociaż jesteś poza naszym zasięgiem, Triad może cię dopaść, więc nie mogliśmy nic zrobić ani niczego powiedzieć, żeby cię nie narażać. Pracowaliśmy nad własnymi Firebirdami z nadzieją, że przeskoczymy za tobą, ale to nie jest możliwe tak szybko. Ten miesiąc to było prawdziwe piekło. – Kiedy to mówiła, wydawało się, że postarzała się o więcej niż cztery tygodnie. – Ale teraz tu jesteś. Wróciłaś do domu.

Wyrwałam się z objęć Josie i znowu się uśmiechnęłam.

– Teraz musimy jechać. Wszyscy, natychmiast.

– Dokąd? – zapytała mama, marszcząc brwi.

Nie rozumiała. Nikt z nich nie rozumiał. Nikt z nich nie znał jeszcze najlepszej wiadomości.

– Na uniwersytet. – Wzięłam mamę za rękę, żeby złagodzić szok, i popatrzyłam na nich kolejno, zanim powiedziałam: – Musimy zabrać tatę.

Pomimo tego wszystkiego, co mnie spotkało przez ostatnie godziny, jako jedyna byłam dostatecznie spokojna, żeby prowadzić. Dlatego siedziałam za kierownicą srebrnego volkswagena Josie, kiedy jechaliśmy przez osiedla na wzgórzach. Z tyłu mama i Josie na zmianę szlochały ze szczęścia i popadały w okropne zwątpienie. Nadal były zbyt przytłoczone prawdą i bały się w nią uwierzyć.

Theo siedział koło mnie i wpatrywał się prosto przed siebie z nieruchomą twarzą. Nie odzywaliśmy się do siebie, od kiedy wsiedliśmy do samochodu. Chyba żadne z nas nie miało pojęcia, co powiedzieć.

Przypomniałam sobie jednak, co chciałabym wiedzieć przede wszystkim.

– Jakie to uczucie, no wiesz, kiedy czyjaś świadomość przejmuje kontrolę?

Nadal na mnie nie patrzył, ale troszeczkę się odprężył.

– Na początku miałem wrażenie, że ucieka mi czas. Że tracę przytomność, czy coś w tym rodzaju. Myślałem, że za dużo pracowałem nad Firebirdem, za mało spałem i tak dalej. Nie wspominałem o tym Henry’emu ani Sophii, ponieważ bałem się, że każą mi odpocząć i coś mnie ominie. – Theo westchnął. – Gdybym to zrobił, może któreś z nich domyśliłoby się, co się dzieje. To była czysta głupota.

– Nie mogłeś przecież wiedzieć. – Nie potrafiłam nie myśleć o wszystkich Marguerite, które zamieszkiwałam. Wydawało mi się, że podejmuję przemyślane decyzje, a jeśli popełniam błędy, to tamte Marguerite również by je popełniły. Ale teraz widziałam, jakie piętno odcisnęło na Theo to poczucie naruszenia prywatności. Zastanawiałam się, czy one także czuły to samo.

– Kiedy zaczął używać to zielone świństwo, wszystko się zmieniło. Byłem świadomy tego, co się dzieje, ale to było... dalekie. Zamglone. Coś jak siedzenie u dentysty pod znieczuleniem. Czasem znikał. Wracał do swojego wymiaru, pewnie po to, żeby złożyć raport albo coś takiego. Ale kiedy zaczynałem czuć, że odzyskuję przytomność, on wracał.

Teraz przypomniałam sobie rozmowę w wymiarze Triadu o tym, ile czasu pochłania Theo jego „staż” u Conleya. W rzeczywistości Theo podróżował między wymiarami jako szpieg i wracał tylko co jakiś czas, żeby nie budzić

podejrzeń.

Theo w końcu popatrzył na mnie niepewnym wzrokiem.

– Kiedy ten sukinsyn zniknął na dobre, pamiętałem tylko ogólne zarysy. Że zrobili coś okropnego z Henrym, że wrobiłem w to Paula i że zależy im na tobie. Zależało im na tobie od samego początku, a ja nie mogłem cię nawet ostrzec. Musieliśmy tu czekać, nie wiedząc, czy kiedykolwiek cię zobaczymy.

Chociaż doskonale rozumiałam ból w jego głosie, nie mogłam pozwolić, żeby Theo się tym zadurzył.

– Wróciłam, jasne? Przestań się martwić przeszłością. Możesz za to martwić się przyszłością, bo Triad będzie próbować dalej.

– O, ja myślałem o Triadzie. Możesz mi wierzyć, dużo o nich myślałem. Mieli swoją szansę, żeby nas zaskoczyć, a teraz to ich czeka kilka niespodzianek. – Theo uśmiechnął się, ale był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki widziałam. Nie chciałyśmy być teraz w skórze Wyatta Conleya.

Dojechaliśmy do kampusu uniwersyteckiego. W przerwie świątecznej panowały tu cisza i spokój, całe miejsce było prawie opuszczone, z zaledwie kilkoma samochodami na parkingu i garstką snujących się smętnie studentów z wymiany międzynarodowej. Docisnęłam pedał gazu, podjechałam pod laboratorium i zatrzymałam się na najbliższym miejscu parkingowym.

Volkswagen Josie był tak mały, że musieliśmy wyglądać jak klauni wyskakujący z cyrkowego autka. Rozejrzałam się w ciemnościach, ale nie zobaczyłam nikogo w pobliżu.

Mama wyminęła mnie.

– Henry? – Jej głos drżał, kiedy zawołała go po raz drugi. – Henry?!

W tym momencie zobaczyłam to, co ona – sylwetkę biegiem wyłaniającą się z cienia.

– Sophia! – zawołał tata i wbiegł prosto w ramiona mamy.

Wylądowaliśmy wszyscy na ziemi, spleceni w uścisku – wszyscy płakaliśmy, wszyscy się śmialiśmy i zapewne wyglądaliśmy jak banda wariatów, ale nic mnie to nie obchodziło.

A jednak, w głębi duszy nadal się bałam.

Co się dzieje z Paulem?

Kiedy się rozdzieliliśmy i udało nam się wstać, mama pocałowała tatę. Nie mam tu na myśli zwykłego pocałunku, naprawdę się do tego przyłożyła. Zawsze się cieszyłam, że moi rodzice tak bardzo się kochają, ale nigdy jeszcze nie miałam poczucia, że oglądam aż tak intymny moment. Odwróciłam głowę,

żeby dać im trochę prywatności, a Josie zachichotała.

– Właśnie – powiedziała, ocierając łzy z policzków. – Nie było cię ze mną, kiedy przypadkiem nakryłam ich, jak to robią. Autentyczny freudowski horror.

– Widziałas najwspanialszą stronę swoich rodziców – mruknęła mama, zanim tata przechylił ją do następnego pocałunku.

– No dalej! – zawołała Josie. – Rozmnażajcie się publicznie. Dzisiaj nie będziemy się czepiać. Zasłużyliście, żeby poobrazić trochę moralność publiczną.

Nie mogłam dłużej wytrzymać.

– Muszę iść. Muszę znaleźć Paula.

Theo powoli pokiwał głową.

– Chodź, zaprowadzę cię.

Razem przebiegliśmy przez pogrążony w mroku kampus, pomiędzy ogromnymi pustymi budynkami, a potem do części, w której mieściły się akademiki. Wyglądały lepiej, niż się spodziewałam – właściwie jak zwykłe budynki mieszkalne. Drzwi okazały się zabezpieczone supernowocześnie. Ogromny czarny czytnik kart sprawił, że musiałam się zatrzymać.

– Działa na legitymacje – wyjaśnił Theo i wyjął swoją legitymację studencką z portfela. Jej dotknięcie wystarczyło, żeby zamek szcęknął, wpuszczając nas do środka.

Razem weszliśmy na drugie piętro i przeszliśmy korytarzem pod drzwi Paula. Z niegasnącą nadzieją zastukałam do drzwi.

– Paul? – zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza.

Staliśmy w korytarzu, ponieważ nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać.

– Mówisz, że Paul jest w niebezpieczeństwie, bo postanowił uratować mojego złego bliźniaka? – Theo oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi.

– Inną wersję ciebie, oceanografa z tamtego wymiaru. Tego, który został w to wciągnięty bez pytania, tak samo jak ty.

– Mój braciszek – powiedział cicho Theo.

– Wiesz, że nigdy by cię nie zostawił w trudnej sytuacji.

– Wiem, owszem. Ale nawet złego mnie?

Potrzebowałam chwili, by odpowiednio dobrać słowa, ponieważ to trudna rzecz do zaakceptowania – zapewne jeszcze trudniejsza dla kogoś, kto

przeszedł przez coś takiego jak Theo.

– Zły czy dobry, to nadal ty – powiedziałam tak delikatnie, jak mogłam. – On naprawdę uważał, że może mi pomóc. Ten facet nie jest potworem. Jest tylko... trochę gorszą wersją.

Theo westchnął.

– Skoro tak twierdzisz.

Umilkliśmy oboje. Wpatrywałam się w drzwi i myślami starałam się zmusić Paula, by pojawił się po drugiej stronie i otworzył je przede mną. Nic się nie działo.

Sztorm się wzmaczał. A jeśli łódź podwodna Paula nie mogła wpłynąć do stacji? A jeśli się rozbił, tak samo jak Theo i ja? Może obaj właśnie toną albo zostają zmiażdżeni przez niewyobrażalne ciśnienie...

– Powiedz mi jedną rzecz – odezwał się Theo.

Nie odrywałam wzroku od drzwi Paula.

– Jasne, o co chodzi?

– Ten... ten inny Theo... Przez niego straciłem u ciebie szansę, prawda?

Zaskoczona, odwróciłam się do Theo, który uśmiechnął się niepewnie.

– Miałem szansę, prawda? Przez krótki czas? Przysięgłbym, że tak było. – Wzruszył ramionami. – Zawsze chciałem, żebyś patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakim patrzysz teraz na przekłete drzwi Paula.

Gdyby kilka miesięcy temu Theo powiedział coś takiego... Czy to by zmieniło, w kim się zakochałam? Nie wiem i nie mogłam się tego dowiedzieć.

– Przepraszam – powiedziałam tylko.

– Trudno, ale jeśli już ktoś inny ma cię dostać, to przynajmniej będzie to on.

– Theo skinieniem głowy wskazał drzwi.

Wewnątrz pokoju coś się poruszyło.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze w płuca. Wymieniłam spojrzenia z Theo i zawołałam:

– Paul? Paul, jesteś tam? – Zapukałam szybko do drzwi. – To ja. To...

Drzwi się otworzyły i moja dłoń uderzyła w pierś Paula.

W pierwszym momencie nie mogłam się odezwać. Mogłam tylko patrzeć na niego, a on powoli się uśmiechnął. Rzuciłam się w ramiona Paula, który gwałtownie odwzajemnił uścisk, jakby nie zamierzał mnie nigdy wypuszczać.

– Happy end prawie po całości – stwierdził Theo i cofnął się o kilka kroków. – Ja już sobie pójdę.

– Theo? – Paul nie wypuścił mnie, ale spojrzał ponad moją głowę, tylko

odrobinę mniej ucieszony z tego drugiego spotkania. – To naprawdę ty?

– Jedyne i niepowtarzalny – oznajmił Theo. – Uważajcie na podróbki. Chociaż wiem, że ostatnio łatwiej powiedzieć, niż zrobić. – Brzmiał zupełnie tak jak dawniej, więc musiałam się uśmiechnąć.

Paul wyciągnął do Theo rękę, który uścisnął ją gestem bardziej uroczystym niż zwykłe powitanie – to przypominało stare obrazy pokazujące, jak Rzymianie przysięgali sobie wierność, przysięgali, że oddadzą za siebie życie. Ich więź była zbyt silna, by mogła zostać zniszczona przez ich uczucia do mnie albo rywalizację.

Ale Theo nie mógł długo udawać, że nie przeszkadza mu nasz widok w takim uścisku. Wypuścił rękę Paula, cofnął się kilka kroków i uśmiechnął się z trudem.

– Pójdę po starą dobrą doktor Kovalenkę, powstałego z martwych doktora Caina i przyszlą doktor Josephine, i przyprowadzę ich tutaj. Cała paczka wreszcie będzie razem.

– Dziękuję, Theo – szepnęłam.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki – oznajmił i odwrócił się szybko.

Przez chwilę patrzyliśmy za nim, ale potem Paul wciągnął mnie do pokoju i zamknął drzwi.

Jednak kiedy tylko to zrobił, między nas wdarła się rzeczywistość. Wszystko to, co wiedziałam o Paulu, wszystko to, co do niego czułam, zostało pochłonięte przez niepewność. Przez miłość, jaką czułam do porucznika Markova, spoczywającego w grobie w innym wszechświecie.

Nie powiedziałam ani słowa, ale Paul mnie zrozumiał. Odetchnął głęboko i zbliżył się o krok.

– To nie mnie kochasz. Wiem o tym.

– Jak możesz to wiedzieć, skoro ja nie jestem tego pewna?

Potrząsnął głową, nie zaprzeczając moim słowom.

– Coś w nas musi być takie samo, Marguerite. Wiem, że obaj czuliśmy to samo do ciebie. Po tym, jak go straciłaś, nie oczekuję... że będziesz się spieszyć, że od razu będziesz znała pragnienia swojego serca. Ale chciałbym, żebyśmy spróbowali się przekonać, czy to, co czułaś... Czy coś z tego było przeznaczone dla mnie...

Było. Nadal jest. Wiedziałam to od zawsze.

– Czy dasz mi szansę, Marguerite? – zapytał Paul.

Poczułam, że na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

– Tak – szepnęłam i wzięłam go za rękę. – O, tak.

Podziękowania

Ta książka nie została napisana bez Jordan Waver (mojej dawnej redaktorki z Australii); Dana Wellsa i Lauren Oliver (moich towarzyszy podczas wyjazdowego cyklu spotkań autorskich, gdy wpadłam na ten pomysł); Diany Fox (mojej agentki i pogromczynie dziur w fabule); Ruth Hanny, Edy Moulton i Amy Garvey (pierwszych czytelniczek i nadzwyczajnych czirliderek); Sarah Landis (mojej byłej redaktorki w wydawnictwie HarperTeen, która wniosła nieoceniony wkład do pierwszej wersji tekstu). Dziękuję Rodneyowi Croutherowi, Jesse Holland, Whitney Swindoll Raju oraz Ericowi O’Neillowi za nieustające wsparcie; Walterowi Wolfowi i Alexandrze Mora za polecenie książki, która stała się dla mnie inspiracją; moim rodzicom i reszcie rodziny za ich entuzjazm i wyrazy otuchy; Kiersten White za niezawodną pomoc oraz Florence Welch za słynną Machine. Na koniec specjalne podziękowania dla Marine Frants – kiedy pisze się książkę, w której mowa zarówno o Rosji, jak i o oceanografii, bardzo przydaje się przyjaciółka będąca Rosjanką i oceanografką. Nie wszyscy wymienieni powyżej zdają sobie sprawę ze swojego wkładu w powstanie tej książki – jestem pewna, że Florence Welch nie ma o tym pojęcia – ale każda z tych osób wniosła jakiś niezbędny element składający się na *Tysiąc odłamków ciebie*.